

Mark
Billingham

MIECZAK

Seryjni mordercy
zazwyczaj pracują
sami...



Mark Billingham

Mieczak

Dla Katherne i Jacka, ale jeszcze nie teraz.

Pamięci Vi Winyard (1925-2002)

Podziękowania

Jak zawsze mnóstwo osób służyło mi pomocą, doradzało, cierpiało...

Szczególne podziękowania dla inspektora Neila Hibberda z Grupy do spraw Przestępstw Szczególnych za cierpliwość i informacje kreatywne oraz dla Pauline O'Brien (rzecznika policji), Seliny Onorah (z Biura do spraw Kontaktów z Mediami) Komendy Głównej Policji Sekcji Zachodniej za poświęcony mi czas i trud.

Za nieoceniony wkład w innych, równie trudnych kwestiach muszę podziękować Jasonowi Schone owi, Glendzie Brunt, Yaron Meron i, z jak zawsze właściwie napisanym nazwiskiem, Philowi Cowbumowi.

Z wydawnictwa Little, Brown podziękowania, nierzadko spóźnione, należą się: Filomenie Wood, Alison Lindsay i Tamsyn Berryman.

A oto i ci, których nazwiska z wielu powodów muszą znaleźć się na tej i podobnych stronach następnych moich książek...

Hilary Hale i Sarah Lutyens, z oczywistych względów; Mike Gunn za przeszłość i terażniejszość; Alice Pettet za notatki i nazwisko; David Fulton za wyciągnięcie mnie z dołka; Paul Thome za brak przekonania; Howard Pratt za wiedzę z różnych dziedzin; Wendy Lee za to, że niczego nie przeoczyła...

A przede wszystkim Peter Cocks, który ma oczy i uszy bardziej wyczułone niż większość osób i nieomylny instynkt.

No i Claire, za Dave'a i Carmelę.

Pukaj głośno, życie jest głuche.

- Mimi Parent

SZKOŁA PODSTAWOWA DLA CHŁOPCÓW IM. KRÓLA EDWARDA IV

14 sierpnia 1984

Państwo Palmerowie 43, Valentine Rd Harrow Middlesex

Szanowni Państwo,

Po odbyciu nadzwyczajnego zebrania naszych wykładowców, na którym podjęto niezbędne decyzje, z żalem zmuszony jestem potwierdzić na piśmie, że syn Państwa Martin został nieodwołalnie, ze skutkiem natychmiastowym, relegowany z naszej szkoły.

Przyznać muszę, że podjęte przez nas działania stanowią ostateczność i uciekamy się do nich jedynie w szczególnych przypadkach. Jednakże z uwagi na charakter przewinienia nie mogliśmy przedsięwziąć żadnych innych kroków. Poczynania Państwa syna stanowiły dla nas powód do niepokoju już od jakiegoś czasu, a biorąc pod uwagę jego wybitne osiągnięcia w nauce i wcześniejszy brak jakichkolwiek trudności wychowawczych, decyzja, którą musieliśmy podjąć, była dla nas szczególnie kłopotliwa. Jednakże ostatni, wyjątkowo oburzający incydent jest zaledwie jednym z wielu przejawów niemożliwych do zaakceptowania zachowań oraz jawnym przykładem łamania zasad obowiązujących w naszej placówce.

Jak Państwo wiedzą, syn nie jest jedynym uczniem zamieszany w całą tę drastyczną sytuację i niech pewną pociechą będzie dla Państwa fakt, że moim zdaniem to nie on był prowodyrem wszystkich tych zajść, a jedynie został sprowadzony na złą drogę. Niestety, z przykrością stwierdzam, iż nie przejawia on w ogóle skruchy i nie chce wyjawić, kto był jego współnikiem przy popełnianiu tych ohydnych czynów.

Placówka nasza szczyci się wyjątkową reputacją i aby ją zachować, zmuszeni jesteśmy niekiedy uciekać się do drastycznego przestrzegania dyscypliny. Tak jest właśnie w tym przypadku i zachowania takiego jak Państwa syna nie możemy tolerować.

Życzę Martinowi powodzenia w nowej szkole.

Z poważaniem

Philip Stanley, członek angielskiego kolegium wykładowców, magister nauk humanistycznych, dyrektor szkoły Rectory Road, Harrow, Middlesex, MA3 4HL

CZEŚĆ PIERWSZA

OSIEM LAT I JEDNA ZIMA

2001

Data: 27 listopada

Cel: kobieta Wiek: 20-30 lat

Miejsce wyboru: londyński dworzec (wejście lub wyjście)

Metoda: gołe ręce (broń może być użyta wyłącznie w celu zastraszenia, o ile to będzie konieczne) Nicklin, nie mrugając, patrzył, jak tamtych dwoje, trzymając się za ręce, idzie przez peron w jego kierunku.

Była doskonała.

On wciąż trzymał w ręku książkę, którą zapewne czytał w pociągu, ona jadła kanapkę. Śmiali się i rozmawiali. Szli nieprzerwanie. Patrzyli wprost na Nicklina, lecz go nie dostrzegali. Nie rozglądali się na boki, nikogo nie wypatrywali. Nie spodziewali się nikogo spotkać.

Usiadł, sącząc colę z puszkii, i co kilka chwil zerkał na tablicę odjazdów. Ot jeszcze jeden sfrustrowany podróżny kontrolujący opóźnienia. Odwrócił głowę i patrzył, jak go mijają. Zapewne szli do taksówki, autobusu lub metra. Gdyby wybrali taksówkę, wróciłby tu i zaczekał na kogoś innego. To denerwujące, ale jeszcze nie koniec świata. Jeżeli wybiorą środek komunikacji miejskiej, ruszy za nimi.

Miał szczęście.

Tamci, wciąż trzymając się za ręce, zjechali ruchomymi schodami do metra. Nicklin upuścił niedopitą puszkę na podłogę i wstał przy wtórze głośnego trzasku kolan. Uśmiechnął się. Lat mu nie ubywało.

Sięgnął do kieszeni kurtki po batonik, który kupił wcześniej. Odsuwając nóż, wyjął batonik i zaczął go rozwijać, kierując się ku schodom ruchomym. Gdy na nie wszedł, rozerwał opakowanie, odgryzł kawałek batonika i po upewnieniu się, że dwójka wciąż znajduje się o jakieś dwadzieścia kroków od niego, wyjrzał przez wielkie okno na dworzec autobusowy. Tłumy rzedły, godzina szczytu minęła.

Zaczęło zmierzchać. Na ulicach i w domach robiło się ciemno.

W ludzkich umysłach także.

Pojechali metrem linii Northern na południe. Usiadł o kilka miejsc od nich i obserwował. Miała nieco ponad trzydzieści lat, skonstatował. Wysoka, ciemnowłosa,

ciemnooka, o oliwkowej cerze. Matka Nicklina nazwałaby ją brudaską. Nie była ślicznotką, ale trudno jej było odmówić pewnego uroku.

Zresztą to i tak nie miało znaczenia.

Skład minął West End i kierował się dalej na południe. Jadą do Clapham, uznał, albo może do Tooting. Nieważne...

Tamta dwójka była zajęta sobą. On wciąż wgapiał się w książkę, od czasu do czasu zerkał na nią, aby się uśmiechnąć. Ona ścisnęła go za rękę i co chwilę muskała nosem jego kark. Ludzie wokół nich uśmiechali się i kręcili głowami.

Poczuł pot perlący mu się na czole oraz tę wilgotną zatęchłą woń, kwaśną i przybierającą na sile za każdym razem, kiedy był już blisko.

Wstali, gdy pociąg zaczął się zbliżać do stacji Balham.

Patrzył, jak, chichocząc, wysiadają, i odczekał chwilę, zanim również wyskoczył na peron.

Trzymał się w stosownej odległości za nimi, oni jednak byli tak zajęci sobą, że równie dobrze mógłby im deptać po piętach. Szli, nie mając pojęcia o jego obecności, zmierzając ku wyjściu ze stacji. Ona miała na sobie długi zielony płaszcz i buty do kostek. On był ubrany w niebieską kurtkę z kapturem i wełnianą czapkę.

Nicklin nosił długi czarny płaszcz z głębokimi kieszeniami.

Na ulicy oświetlonej barwnymi lampkami choinkowymi byli widoczni jak na dłoni. Ich sylwetki odcinały się na tle purpurowego nieba. Wiedział, że zapamięta ten obrazek. Oczywiście będą jeszcze inne.

Minęli ciąg małych, ozdobnie udekorowanych sklepików i z trudem powstrzymał się przed wejściem do jednego z nich po kolejny batonik. Został mu już tylko jeden. Wiedział, że to zajęłoby mu zaledwie kilka sekund, ale nie chciał ich zgubić. Kupi batoniki, kiedy już będzie po wszystkim. Do tej pory na pewno zgłodnieje.

Zeszli z głównej drogi w dobrze oświetloną, ale cichą boczną uliczkę, a jego oddech stał się urywany, gdy zobaczył, jak sięgnęła do kieszeni po klucze. Przyspieszył kroku. Słyszał, jak rozmawiali o tostach, herbacie i spaniu. Wiedział, że cieszyli się, iż są już pod domem.

Wsunął rękę do kieszeni, rozglądając się dokoła, czy nikt go nie widzi.

Miał nadzieję, że mają duże, oddzielne mieszkanie. Ze będzie mieć odrobinę prywatności. Modlił się, by dopisało mu szczęście.

Wsunęła klucz do zamka, a on zatkał jej usta dłonią. W pierwszej chwili chciała krzyknąć, lecz Nicklin przyłożył jej nóż i gdy ostrze drasnęło jej skórę, odzyskała zdrowy rozsądek. Nie odwróciła się, by na niego spojrzeć.

- Wejdźmy do środka.

Czując na ustach pot z jego dłoni i struzkę moczu ściekającego po swoich nogach, ona otwiera drzwi frontowe, rozpaczliwie macając ręką i poszukując obok siebie tego, którego kocha. Bo zależy jej tylko na jednym.

Na jej synku.

- Proszę...

Jego dłoń tłumi jej głos. Słowo jest całkiem niesłyszalne. On wpycha ją i chłopca do środka, wchodzi zaraz za nimi i energicznie zatrzaskuje drzwi.

Mały chłopiec w niebieskiej kurteczce wciąż trzyma w dłoni książkę z obrazkami. Unosi wzrok i patrzy na nieznanego ciemnymi jak u jego matki oczami, a usta dziecka rozchylają się w wyrazie nieskrywanego zdziwienia i zakłopotania.

I

Parę minut po wpół do dziesiątej rano. Pierwszy szary poniedziałek grudnia. Z okna na trzecim piętrze Becke House Tom Thome patrzył ponad betonowymi placami i kolumną na obraz zadowolenia, jakim było Hendon, żałując, że nie myśli jasno.

Ale właśnie to robił. Sortował materiał, który miał prze sobą, chłonał go. Nie przeoczył żadnego szczegółu, choćby nieświadomie, reakcje emocjonalne, które temu towarzyszyły, miały ubarwić mu godziny pracy w kolejnych miesiącach.

A także sny.

Rozbudzony i skoncentrowany Thome siedział i kontemplował śmierć, tak jak inni wgapiali się w ekrany komputerów albo siedzieli przy kasach. Pracował z takim materiałem każdego dnia, a jednak zawsze potrzebował czegoś przyjemnego dla rozładowania napięcia. Nawet kac bywał przydatny. Cokolwiek, co mogło choć trochę rozluźnić atmosferę. I stłumić odgłosy koszmaru.

Widział setki, może nawet tysiące takich zdjęć. Patrzył na nie przez lata z taką samą obojętnością jak dentysta na rentgen zębów albo pracownik fiskusa na formularz zeznania podatkowego. Stracił już rachubę bladych kończyn, poskręcanych, oderwanych lub brakujących, przedstawionych na błyszczących czarnobiałych zdjęciach. Były też kolorowe.

Sine ciała na zielonych dywanach. Krąg fioletowych zasinień na białej jak kreda szyi. Krzykliwa barwna tapeta, na której rozbryzg krwi był prawie niewidoczny.

Cała ta ekspozycja mówiła tylko jedno: emocje mają potężną moc. Ciała są kruche i nietrwale.

W jego biurze znajdowało się całe archiwum takich zdjęć, ich duplikaty przechowywał w swojej pamięci. Obrazy umarłych i portrety żywych w agonii. Czasami, kiedy Thome patrzył na te czarnobiałe fotografie, wydawało mu się, że dostrzega gniew, nienawiść, chciwość lub żądzę albo tylko cień tych emocji unoszących się w kątach pokoju niczym ektoplazma.

Zdjęcia leżące na blacie stołu przed nim dziś rano nie wyglądały gorzej od innych, które widywał wcześniej, ale patrzenie na martwą kobietę było jak wpatrywanie się w ogień, miał wrażenie, że roztopiają mu się gałki oczne.

Widział ją oczami dziecka.

Charliego Gamera, trzylatka, teraz sieroty.

Charliego Gamera przygarnęli dziadkowie, którzy nie wiedzieli, jak mają powiedzieć chłopcu, co się stało z jego mamą.

Charliego Gamera, trzylatka, który spędził prawie dwie doby w domu sam na sam ze zwłokami matki, trzymając w dłoni paperek po batoniku, wylizany starannie do czysta; chłopiec był brudny, głodny i zapłakany, aż w końcu odnalazła go sąsiadka, która zapukała do drzwi.

- Tom...

Thorne jeszcze przez chwilę wpatrywał się w szarość, zanim z rezygnacją odwrócił się, by spojrzeć na inspektora Russella Brigstockea.

Wskutek przeprowadzonej w ubiegłym roku reorganizacji służb policyjnych pojawiły się nowe jednostki wchodzące w skład trzech komórek objętych wspólną nazwą Grup do spraw Przepływów Szczególnych. Jednostka złożona wyłącznie z emerytowanych funkcjonariuszy przywróconych do służby zajmowała się starymi, nierozwikłanymi dotąd sprawami. Nazwana Wydziałem Spraw Zamkniętych, stanowiła jedną z kilku nowych inicjatyw mających na celu efektywniejsze zwalczanie przestępstw popełnianych coraz częściej i z coraz większą bezwzględnością. Były też inne grupy specjalizujące się w gwałtach, przemocy wobec dzieci i zbrodniach popełnionych z użyciem broni palnej.

I był też zespół nr 3 Grupy do spraw Przepływów Szczególnych (Sektor Zachodni).

Oficjalnie powołano go, by prowadził śledztwa wykraczające poza kompetencje innych zespołów i niepasujące do ich profilu. Byli też tacy, którzy sugerowali, że zespół nr 3

założono dlatego, że nikt nie wiedział, co zrobić z detektywem inspektorem Tomem Thomeem. Sam Thome uważał, że w tej kwestii prawda leżała pośrodku.

Russell Brigstocke był jego przełożonym i Thome znał go od dziesięciu lat. Był potężnym mężczyzną, postawnym i barczystym, noszącym okulary w rogowych oprawkach i szczyjącym się gęstymi włosami. Były ciemne, granatowoczarne, a nadinspektor preferował fryzurę na Elvisa Presleya. Jeżeli jednak pod pewnymi względami mógł wydawać się karykaturalny, dla podejrzanych bywał istnym koszmarem. Thome widywał Brigstockea, który zdejmował okulary, zaciskał pięści i zarzucał włosami, ocierając pot z czoła, krążąc po pokoju przesłuchań, krzycząc, grożąc, realizując swe groźby i poszukując prawdy.

- Carol Gamer była samotną matką. Miała dwadzieścia osiem lat. Jej mąż zginął w wypadku trzy lata temu, tuż po narodzinach ich syna. Pracowała jako nauczycielka. Znalaziono ją martwą w jej domu w Balham cztery dni temu. Nie było żadnych śladów włamania. Na stacji Euston zjawiała się o wpół do siódmej wieczorem, dwudziestego siódmego, wracając z wizyty u rodziców w Birmingham. Uważamy, że zabójca śledził ją od stacji, zapewne jechał z nią metrem. W kieszeni miała bilet.

Głos Brigstocke a był cichy, beznamiętny, wręcz monotony. A mimo to lista faktów brzmiała przerażająco. Thome znał już większość z nich, bo Brigstocke wprowadził go w sprawę dzień wcześniej, ale mimo to przyjął te słowa jak serię ciosów, jeden mocniejszy od drugiego, i w efekcie aż zaparło mu dech. Wiedział, że inni byli równie wstrząśnięci.

A najgorsze miał dopiero usłyszeć.

Brigstocke mówił dalej:

- Możemy się jedynie domyślać, jak zabójca dostał się do domu Carol Gamer i ile czasu tam spędził, ale wiemy, co zrobił, będąc tam...

Brigstocke powiódł wzrokiem wzdłuż stołu, dając tym samym znak, aby osoba siedząca naprzeciw niego podjęła przerwany wywód. Thome spojrzał na postać w czarnym polarze, z ogoloną głową i mnóstwem kolczyków na twarzy. Phil Hendricks nie wyglądał na archetyp patologa, ale był najlepszym, z jakim Thome miał okazję pracować.

Thome uniósł brew. Czy od ostatniego razu liczba jego kolczyków jeszcze się powiększyła? Hendricks miał zwyczaj upamiętniać swoich kolejnych kochanków nowym ćwiekiem lub kolczykiem. Thome miał szczerą nadzieję, że tamten ustatkuje się, zanim nie będzie w stanie utrzymać głowy w pionie.

Doktor Phil Hendricks był cywilnym członkiem zespołu. Pracował z nim od samego początku, gdyż właśnie odnalezienie zwłok pobudzało zespół do działania. Ciało podziurawione nożem - prawda o jego doświadczeniach, które doprowadziły je na zimną stal

stołu w kostnicy, szeptana cicho, wyjawiona przez martwe tkanki i zeszywniałe organy. To był obszar działań patologa.

Choć on i Hendricks byli przyjaciółmi, od tej chwili, w kontekście śledztwa, Thome ucieszyłby się, gdyby go więcej nie zobaczył.

- Zważywszy na to, że wiemy, o której godzinie wsiadła do pociągu z Birmingham, sądzimy, że zginęła między dziewiętnastą a dwudziestą drugą, dwudziestego siódmego. Kiedy ją znaleźliśmy, nie żyła od czterdziestu ośmiu godzin.

Głos z manchesterskim akcentem mówił zwięźle i precyzyjnie o rzeczach jakby żywcem wyjętych z najgorszego koszmaru. Thome dostrzegł na twarzach osób siedzących przy stole niewypowiedziane przez nikogo pytanie.

Jak musiały wyglądać te dwa dni dla Charliego Gamera?

- Nie było śladów gwałtu ani oznak tego, że zaciekle się broniła. To jawny dowód, że zabójca zagroził dziecku. - Hendricks przerwał, wziął głęboki oddech. - Udusił Carol Gamera gołymi rękami.

- Skurwiel.

Thome spojrział w lewo. Detektyw sierżant Sarah McEvoy wpatrywała się w zawartość leżącej przed nią teczki. Thome czekał, ale najwyraźniej powiedziała wszystko, co ją dręczyło. Z nich wszystkich ją Thome znał najkrócej. I wciąż jej nie znał. Była twarda, to nie ulegało wątpliwości, i wyjątkowo kompetentna. Ale miała w sobie, coś, co sprawiało, że Thome trzymał się na dystans. Coś w sobie skrywała.

Głos konstabla Dave'a Hollanda wyrwał Thome'a z zamyślenia.

- Czy należy brać pod uwagę, że zaatakował ją ze względu na dziecko?

Thome skinął głową.

- To był jej słaby punkt. A więc chyba tak...

Brigstocke wszedł mu w słowo.

- Ale to nic nie znaczy.

- Nic nie znaczy? - Holland wydawał się zdezorientowany, gdy spojrział na swego szefa.

Thome wzruszył ramionami i popatrzył na niego. Poczekamy, zobaczymy, Dave...

Minął ponad rok, odkąd Thome zaczął współpracę z Dave'em Hollandem, i tamten zaczął w końcu dorastać. Włosy wciąż miał zbyt jasne i wiotkie, ale rysy jego twarzy ostatnio nieco się wyostrzyły. Thome wiedział, że miało to związek nie tyle z wiekiem, ile z doświadczeniem. Zmęczenie materiału. Po zetknięciu z tym, co oferowała praca, jaką wykonywali, nawet najbardziej pogodne i niewinne twarze stawały się chmurne.

Zmiana zaczęła się podczas ich pierwszej wspólnej sprawy. Trzy miesiące, podczas których Thome utracił przyjaciół i zyskał wrogów, a Dave Holland był stale przy nim, obserwując, chłonąc i stając się kimś innym. Trzy miesiące zakończyły się wraz z cięciem skalpela na poddaszu ociekającego krwią domu w południowym Londynie.

Holland wiele się nauczył i oduczył, a Thome przyglądał się temu z dumą i smutkiem zarazem. Regularnie spierał się o to z samym sobą. Czy dobry glina i dobry człowiek wzajemnie się wykluczają?

Częściowe zubożenie było jak najbardziej korzystne, ale nawet ten proces miał swoją cenę. Przypomniawszy sobie plakat ostrzegawczy, jaki widział w poczekalni u dentysty: przedstawiał kawałek wargi odgryziony przez pacjenta testującego znieczulenie miejscowe. Możesz gryźć i gryźć, a i tak nic nie poczujesz, kiedy jednak środek przestanie działać, pojawi się ból.

Otępienie także minie, nawet u najbardziej zatwardziałyh gliniarzy, jakich Thome miał okazję poznać. Bez względu na to, czy ich pancierz brał się z umysłu, czy z butelki, któregoś dnia zniknie, a wówczas cierpienie stanie się nie do zniesienia. Tom Thome nie korzystał z podobnych metod, był ulepiony z innej gliny i pomimo brawury i całego tego szajsu, jaki sobie przyswoił, wiedział instynktownie, że Holland jest pod tym względem podobny do niego.

Dobry glina i dobry człowiek. Może to wzajemnie się nie wykluczało, ale cholernie trudno było połączyć jedno z drugim. Jak te zjawiska z fizyki, teoretycznie możliwe, ale nikt ich nigdy nie widział.

W małej klitce, szumnie zwanej salą konferencyjną, zapadła chwila ciszy. Był to praktycznie gabinet, z dzbankiem z kawą i kilkoma dodatkowymi plastikowymi krzesłami. Thorne zastanawiał się, co wie o człowieku, który zabił Carol Garner. Człowieku, który lubił albo musiał panować nad sytuacją. Tchorzu uwielbiającym kontrolę. Zapewne pod względem fizycznym brakowało mu władczych cech... Chryste, zaczynał się zachowywać jak psychiatrzy sądowi, o których miał ugruntowaną opinię i uważał, że byli przepłacani. Wiedział jedno - to nie był zwykły zabójca. Wręcz przeciwnie. Był niezwykle i miał większy potencjał, niż sądzili Holland czy McEvoy.

Nasuwało się pytanie o przyczynę. Jak zawsze zresztą. I jak zawsze Tomowi Thomeowi było obojętne, dlaczego ten ktoś to robił. Stawi temu czoło, jeżeli będzie miał okazję. Uchwyciłby się tej szansy obiema rękami, gdyby tylko wiedział, że dzięki temu złapie zabójcę. Ale nie dbał o przyczyny. Miał gdzieś, czy ten, kogo ścigał, w dzieciństwie nie dostał upragnionego rowerka...

McEvoy zaczęła się wiercić na krześle. Przejrzała już akta i Thome czuł, że chciała coś powiedzieć.

- O co chodzi, Saro?

- To bez wątpienia okropne... Cała ta sprawa z dzieckiem jest naprawdę paskudna, ale wciąż nie rozumiem, czemu trafiło to do nas. W przeciwieństwie do wszystkich innych. Przecież mógł ją zabić ktoś, kogo znała. Nie było śladów wtargnięcia, więc w grę może wchodzić jej facet lub były chłopak... Czemu akurat my?

Thome spojrział na Brigstockea, który z wprawą położył na stole kolejny plik zdjęć. Holland sięgnął po nie jakby od niechcenia.

- Pomyślałem o tym samym. Nie rozumiem, czemu... - Przerwał na widok zdjęcia ukazującego leżącą na wznak kobietę, z otwartymi ustami i przekrwionymi, wychodzącymi z orbit oczami. Kobieta leżała wśród worków na śmieci, w ciemnym chłodnym zaułku. To nie była Carol Gamer.

Ten gest miał być z założenia dramatyczny i taki właśnie był. Brigstocke chciał, aby zespół nabrał motywacji do działania. Chciał nimi wstrząsnąć, zmobilizować ich i przepelnić gniewem.

To mu się udało.

Thome wyjaśnił wszystkim, z czym mieli do czynienia.

- Ta sprawa jest inna, Holland - rzekł, przenosząc wzrok na McEvoy - i dlatego trafiła do nas, ponieważ on zrobił to ponownie.

Cisza, jaka wówczas zapadła, brzmiała niczym krzyk. Thome nie słyszał nic prócz odległego echa własnego głosu i szumu adrenaliny wypełniającej krwiobieg. Brigstocke i Hendricks siedzieli nieruchomo, ze spuszczonej głowami. Holland i McEvoy wymienili pełne zgrozy spojrzenia.

- To dlatego wiemy, że śledził Carol Gamer z dworca Euston. Bo kiedy ją zabił, tego samego dnia udał się na Kings Cross. Na innym dworcu upatrzył sobie inną kobietę i zrobił raz jeszcze to samo.

Karen, to znów się stało.

Pozwól, proszę, że ci o tym opowiem. Nie zniósłbym, gdybyś miała o mnie złe zdanie. Wiem, że nie możesz wybaczyć ani darować tego, co zrobiłem... tego, co robię, ale na pewno to zrozumiesz. Zawsze uważałem, że gdybym miał szansę wyjaśnić ci wszystko, zwierzyć się, ty jedna mogłabyś mnie zrozumieć. Zawsze postrzegałaś mnie takim, jaki byłem. Zawsze wiedziałaś, co o tobie myślę. Wiedziałem to po sposobie, w jaki się uśmiechałaś. Miałaś taki nieśmiały uśmiech.

Wiedziałaś, że masz nade mną władzę, ale ja nigdy się o to nie złościłem. Poniekąd lubiłem te nasze przekomarzania. Chciałem, abyś się ze mną drażniła.

Czułem wtedy, że mnie pragniesz. I stawiałaś się dla mnie jeszcze bardziej pociągająca, Karen...

Ale... fezu, o fezu. Znów to zrobiłem. To, co mi kazano.

Była sama i niczego się nie bała. Zorientowałem się po sposobie, w jaki szła, kiedy ją śledziłem od stacji. To nie była zadziorność nieznająca lęku ani swoista ufność. Ona dostrzegała we wszystkich dobro. Byłem tego pewien. Było ciemno, a ona nie zauważyła, jaki jestem zły i plugawy. W jej oczach nie było lęku, kiedy do niej przemówiłem.

Ale chyba zrozumiała, co ją czeka, gdy ujrzała strach w moich oczach.

Gdy tylko to pojęła, zaczęła stawiać opór, lecz nie była dość silna. Była o połowę mniejsza ode mnie, Karen, i wystarczyło, że zaczekałem, aż trochę osłabnie. Ona drapała i pluła, a ja nie mogłem na nią spojrzeć. A kiedy już było po wszystkim, nie mogłem znieść, że jej oblicze, tak ciepłe i otwarte jak twoje, wydawało się, jakby było za szkłem albo może zastygłe w bryle lodu, i to ja byłem temu winien. To przeze mnie tak się stało.

Co więcej, stwardniałem, Karen. Tam, na dole. Kiedy to robiłem i później, kiedy ją ukryłem. Byłem podniecony, dopóki szum w mojej głowie nie ucichł, a zadrapania na rękach nie zaczęły piec.

Nigdy jeszcze nie byłem taki twardy, nawet kiedy myślę o przeszłości.

Nie chcę wprawiać cię w zakłopotanie tym, o czym mówię, muszę być jednak wobec ciebie absolutnie szczery, w przeciwnym razie wszystko na nic. Kiedy miałem okazję, nie mówiłem ci, co czuję, i teraz nie zamierzam tego ukrywać.

I nigdy cię nie okłamię, Karen, obiecuję.

Oczywiście, nie jesteś jedyną osobą, która wie, kim naprawdę jestem, ale tylko ty wiesz, co we mnie siedzi. Nie zamierzam się tłumaczyć, wiem, że na nic nie zasługuję, ale przynajmniej niczego przed tobą nie zatajam, jestem otwarty i szczery.

Ta kobieta z dworca nic dla mnie nie znaczyła. Była dla mnie nikim i wydusiłem z niej życie.

Tak mi przykro. Zasługuję na to, co mnie z pewnością spotka.

Nie znoszę o nic prosić, Karen, ale kiedy ją spotkasz, tę kobietę, którą zabiłem, czy zechcesz powtórzyć jej to ode mnie?

1982

Dzieciaki nazywały to Dżunglą.

Ofiarę przygniatano do asfaltu, jeden chłopak przytrzymał jej rękę, a drugi siedział na klatce piersiowej. Bronią były palce - dźgające, szturchające i wpijające się w ciało, wystukujące rytm na mostku. Uderzenia symbolizowały kroki kolejnych zwierząt przemierzających dżunglę. Chodziło tylko o jedno - okazję do zadania ofierze możliwie jak największego bólu.

Chudy czarnowłosy chłopak stał oparty o ścianę, jego małe czarne oczy wychwytywały każdy szczegół. Obserwował początek tortur.

W wypadku małych czy innych drobnych stworzeń, o których na początku opowiadał narrator, były to zaledwie delikatne łaskotki. Ofiara wiała się, błagała, by przestali, by ją puścili, najbardziej obawiając się tego, co miało dopiero nadejść. Potem pojawiały się lwy i tygrysy. Stapały ciężiej, palce wpijały się więc głębiej i mocniej, w kącikach oczu pojawiały się łzy. Naturalnie wszystko prowadziło do zdającego się nie mieć końca stada słoni przedzierającego się przez dżunglę, gdy palce przy wtórze rozdzierającego bólu uderzały z wielką siłą o kości mostka.

Wielki dzieciak leżący na asfalcie wył na całe gardło.

Chłopak odsunął się od ściany, wyjął ręce z kieszeni i przeszedł przez boisko, do miejsca, gdzie gapie ustawieni w krąg śmiali się i klaskali. Nadszedł czas, by zainterweniować.

Ten, który „opowiadał historię”, nazywał się Bardsley. Chłopak go nienawidził. Przepisnął się przez tłum, co nie było trudne, gdyż większość obserwatorów bała się go. Bądź co bądź był „szajbusem”, tym, którego stać na wszystko. Nieobliczalnym. Potrafił wyrzucić stolik przez okno, wymachiwać wackiem na środku klasy albo poprzebijać nauczycielowi opony w aucie. Był wielokrotnie zawieszany w prawach ucznia i w pełni zasłużył na swą reputację, ale było warto, bo dzięki temu zyskał respekt.

Nie znał się na gramatyce języka francuskiego czy geografii, ale o respekcie wiedział co trzeba.

Sięgnął ręką, jakby od niechcienia schwycił Bardsleya za włosy i odciągnął go do tyłu. Tłum zamarł, a potem zachichotał nerwowo, gdy Bardsley poderwał się wściekły, gotów dołożyć zdrowo śmiałkowi, który pociągnął go za włosy.

I wtedy zobaczył sprawcę. Chłopca niższego i drobniejszego niż on, który przyglądał mu się ze spokojem oczyma zimnymi i ciemnymi jak kamienie zamrażnięte w błocie; ręce znów włożył do kieszeni.

Tłum rozproszył się na mniejsze grupki. Spodziewano się ostrej rozróby, ale Bardsley po prostu zrejterował do szatni, obiecując, że po szkole spuści śmiałkowi solidne manto, choć nie zamierzał tego zrobić.

Chłopak leżący na ziemi podniósł się powoli i zaczął wygładzać pomięty mundurek. Nic nie mówił, tylko nerwowo patrzył na swego wybawcę, równocześnie poprawiając krawat i wycierając rękawem smarki z nosa.

Czarnowłosy chłopak widywał go wielokrotnie, ale nigdy nie rozmawiali. Był o rok młodszy, miał zapewne tylko dwanaście lat, a różne roczniki nie utrzymywały ze sobą kontaktów.

Jasne włosy miał zwykle starannie uczesane, z przedziałkiem i często przesiadywał gdzieś w kącie, zerkając jasnyniebieskimi oczyma znad książki na dzieciaki grające w gry zespołowe, w których on nie uczestniczył. Był dużym chłopcem, co najmniej o trzydzieści centymetrów wyższym niż większość jego rówieśników, i piekielnie bystrym, ale pod innymi względami, tymi ważniejszymi, pozostawał daleko w tyle. Zapewne nie zrobił nic konkretnego, aby wkurzyć Bardsleya, choć to nie miało większego znaczenia.

Starszy chłopak patrzył z uśmiechem na brązowy plastikowy grzebyk, który pojawił się jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki i zaczął rozczesywać jasne włosy, usuwając z nich grudki żwiru. On sam też miał grzebyk, ale inny, metalowy, dużo fajniejszy, używany głównie do gry z chłopakami, gry, w której był niekwestionowanym mistrzem. Była to brutalniejsza wersja „łapek” albo „papier, nożyce, kamień”, a po spotkaniu z nimi ręka jego przeciwnika po paru sekundach ociekała krwią. Był mistrzem, nie dlatego, że był szybszy od innych, po prostu potrafił dłużej znosić ból.

Kiedy musiał, potrafił poradzić sobie z naprawdę silnym bólem.

Jasnowłosy chłopiec starannie wsunął grzebyk do wewnętrznej kieszeni marynarki, chrząknął nerwowo, a na jego ustach pojawił się rzadki u niego uśmiech. Uśmiech zniknął, gdy nie wywołał żadnej reakcji. W tej sytuacji chłopiec wyciągnął do swego wybawcy rękę, pozbawioną jakichkolwiek zadrapań i blizn.

- Dziękuję za to... co zrobiłeś. Nazywam się Palmer. Martin...

Chudy czarnowłosy chłopak, świr, dzieciak zdolny do wszystkiego, pokiwał głową. Zignorował podaną mu dłoń i przedstawił się, wymawiając swoje nazwisko z łobuzerskim uśmiechem, jakby wyjawiał wstydlivy sekret. Albo dawał podarunek wart więcej, niż mogło się z pozoru wydawać.

- Nicklin. do gry z chłopakami, gry, w której był niekwestionowanym mistrzem. Była to brutalniejsza wersja „łapek” albo „papier, nożyce, kamień”, a po spotkaniu z nimi ręka jego

przeciwnika po paru sekundach ociekała krwią. Był mistrzem, nie dlatego, że był szybszy od innych, po prostu potrafił dłużej znosić ból.

Kiedy musiał, potrafił poradzić sobie z naprawdę silnym bólem.

Jasnowłosy chłopiec starannie wsunął grzebyk do wewnętrznej kieszeni marynarki, chrząknął nerwowo, a na jego ustach pojawił się rzadki u niego uśmiech. Uśmiech zniknął, gdy nie wywołał żadnej reakcji. W tej sytuacji chłopiec wyciągnął do swego wybawcy rękę, pozbawioną jakichkolwiek zadrapań i blizn.

- Dziękuję za to... co zrobiłeś. Nazywam się Palmer. Martin...

Chudy czarnowłosy chłopak, świr, dzieciak zdolny do wszystkiego, pokiwał głową. Zignorował podaną mu dłoń i przedstawił się, wymawiając swoje nazwisko z łobuzerskim uśmiechem, jakby wyjawiał wstydlivy sekret. Albo dawał podarunek wart więcej, niż mogło się z pozoru wydawać.

- Nicklin. do gry z chłopakami, gry, w której był niekwestionowanym mistrzem. Była to brutalniejsza wersja „łapek” albo „papier, nożyce, kamień”, a po spotkaniu z nimi ręka jego przeciwnika po paru sekundach ociekała krwią. Był mistrzem, nie dlatego, że był szybszy od innych, po prostu potrafił dłużej znosić ból.

Kiedy musiał, potrafił poradzić sobie z naprawdę silnym bólem.

Jasnowłosy chłopiec starannie wsunął grzebyk do wewnętrznej kieszeni marynarki, chrząknął nerwowo, a na jego ustach pojawił się rzadki u niego uśmiech. Uśmiech zniknął, gdy nie wywołał żadnej reakcji. W tej sytuacji chłopiec wyciągnął do swego wybawcy rękę, pozbawioną jakichkolwiek zadrapań i blizn.

- Dziękuję za to... co zrobiłeś. Nazywam się Palmer. Martin...

Chudy czarnowłosy chłopak, świr, dzieciak zdolny do wszystkiego, pokiwał głową. Zignorował podaną mu dłoń i przedstawił się, wymawiając swoje nazwisko z łobuzerskim uśmiechem, jakby wyjawiał wstydlivy sekret. Albo dawał podarunek wart więcej, niż mogło się z pozoru wydawać.

- Nicklin.

2

- Kilka pytań mniej, kiedy będzie po wszystkim, choćby o jedno mniej niż przed rozpoczęciem śledztwa i będzie w porządku...

Thome uśmiechnął się, zanosząc swoją kawę do salonu i wspominając reakcję Hollanda, kiedy po raz pierwszy przekazał mu tę życiową mądrość. Jak pamiętał, było to, gdy po raz pierwszy Thome zdołał wyciągnąć go do pubu. Chwalebny dzień.

Pytania...

W pubie Holland uśmiechnął się.

- Co? Masz na myśli pytania w rodzaju „Dlaczego nie uczyłem się pilniej w szkole” albo „Czy nie mogło paść na kogoś innego?”.

- Chyba wołałem cię jako wazeliniarza, Holland...

Thome odstawił kubek na obramowanie kominka i pochylił się, by zapalić imitację gazowego płomienia w pseudogeorgiańskim kominku. Centralne ogrzewanie odkręcił do oporu, a mimo to było mu zimno. Aż ciarki przechodziły mu po plecach. To go wkurzyło...

Było wiele pytań, na które pragnął poznać odpowiedzi.

Czy te dwa zabójstwa faktycznie były ze sobą powiązane? Pomijając datę i fakt, że obie kobiety uduszono, nie było żadnych innych ogniw łączących, czy zatem nie mógł wchodzić w grę zbieg okoliczności? Stacja Kings Cross podsuwała inne możliwości. Czyżby zabójca pomylił drugą osobę, biorąc ją za prostytutkę? Czemu jedna zginęła w domu, a druga na ulicy?

I najistotniejsze pytanie: czy zabił dwukrotnie jednego dnia, ponieważ stracił panowanie nad sobą, czy może wielokrotne zabójstwo stanowiło swoisty wzorec? Żądza krwi czy przymus? Obecnie Holland i McEvoy wyrabiali nadgodziny, próbując to ustalić, ale tak czy owak, odpowiedź nie będzie przyjemna.

W ciągu ośmiu miesięcy, odkąd pracowali w zespole, sami zajmowali się tylko dwiema dużymi sprawami. Zazwyczaj grali drugie skrzypce - indywidualnie lub całą grupą - współpracując przy śledztwach z innymi jednostkami, a do pierwotnego składu powracali tylko w razie potrzeby.

Po atakach terrorystycznych z 11 września zespoły należące do Grupy do spraw Przestępstw Szczególnych wdrożono do operacji, jakiej wcześniej nie było. Niektórzy dziwili się, że przewiezienie ciał z Nowego Jorku do kraju powierzono ich pieczy; ale Thome dostrzegł w tym pewną logikę. To byli przecież obywatele brytyjscy. Zostali zamordowani. Żadna filozofia.

Najtrudniejsze były telefony: tysiące ludzi pragnących odnaleźć żony i mężów, synów i córki, z którymi nie mieli kontaktu, a którzy mogli znajdować się w strefie zagrożenia. Jak dotąd spośród setek tych, którzy stracili kontakt ze swoimi bliskimi, tylko jedna rodzina otrzymała ciało zidentyfikowane i gotowe do pochówku...

Trzy miesiące, a policja wciąż pracowała na pełnych obrotach - tropiąc rzekomych terrorystów grożących atakiem węglika, monitorując potencjalne cele i goniąc własny ogon, podczas gdy powstałą lukę wypełnili błyskawicznie pospolici opryszkowie, przedstawiciele

londyńskiego półświatka. Jeżeli podsłuchy w telefonach przestały być nagle istotne, fala przestępstw bynajmniej nie ustała, przestępstw takich jak te, którymi zajmował się zespół nr 3, a których nie wolno było lekceważyć.

Oba śledztwa były... niezwykle. Pierwsze to sprawa serii okrutnych zabójstw w południowowschodnim Londynie noszących cechy zbrodni dokonywanych przez gangi. Ciało jednak, co stwierdzono (kiedy już żmudnie pozbierano je do kupy), należały nie do handlarzy narkotyków czy lichwiarzy, lecz do zwykłych obywateli. Szybko stało się jasne, że te morderstwa nie były dziełem gangu, lecz jednego obłąkanego człowieka. Czy zabójca - cieszący się udanym małżeństwem elektryk - próbował po prostu ukryć swoje dzieło albo przejawy swego obłądu, wykorzystując typowo gangsterskie metody pozbywania się ciała.

Druga sprawa była o wiele bardziej niepokojąca pomimo braku zwłok. Goście hotelowi byli napadani i okradani w swoich pokojach. Kradzieżom towarzyszyły drobne jak dotąd pobicia, ale ich brutalność zaczynała narastać. Nawet ci, którzy z własnej woli oddawali gotówkę, roleksy i inne kosztowności, także byli torturowani. Sprawca z pomocą noża wydobywał od ofiar numer PIN. Nawet gdy zastraszeni goście podawali ten numer i tak zadawano im rany. Były to z reguły drobne skaleczenia, nacięcia wykonane wyłącznie dla przyjemności. Thome wiedział, że sprawca musiał lubić uczucie dotykania skóry stałą. Ze lubował się westchnieniami przerażonych ofiar i widokiem cienkiej czerwonej strużki wpływającej z rany na ciele. Kradzież przeradzała się w coś innego, złodziej stawał się kimś innym. Z twarzą ukrytą pod czarną kominiarką zaczął trochę za bardzo bawić się tym, co robił, i prędzej czy później nadejdzie taki dzień, kiedy któraś z jego kolejnych ofiar umrze.

Wtedy właśnie na scenę wszedł Thome.

Z braku materiałów dowodowych i rysopisu sprawcy śledztwo potwornie się ślimaczyło. Thome, Holland i McEvoy, próbując dopaść nieuchwytnego złodzieja i niedoszłego zabójcę, spędzali noce w przytulnych hotelach, lecz bez powodzenia. Najwyraźniej ich poczynania zostały zauważone i sprawca postanowił się na pewien czas przyciąć.

Dwie sprawy, jedno aresztowanie. Bilans sukcesów pięćdziesiąt procent, a teraz będzie jeszcze gorzej. Niektórzy żartowali, że sprawa złodzieja hotelowego trafi już wkrótce do Wydziału Spraw Zamkniętych, ale Thome miał na ten temat inne zdanie. Każdy, kto tak jak ten człowiek, lubił krzywdzić innych, na pewno zrobi to ponownie. Prędzej czy później wyjdzie z ukrycia. Sposób działania może się zmienić, ale Thome nie wątpił ani przez chwilę, że któregoś dnia tajemniczy sprawca zapewni patologowi pracę w nadgodzinach. Thome zabrał kawę i przeniósł się na sofę, po czym sięgnął po akta Carol Gamer. Siedział przez kilka

minut, nie otwierając teczek, wpatrując się w strugi deszczu i rozmyślając o setkach, tysiącach ludzi w tym mieście, którzy zawdzięczali swoją pracę brutalnej śmierci innych. Myślał o pieniądzach, jakie przynosiło morderstwo.

Rozmyślał o przemyśle zabójstw.

Dave Holland patrzył ponad komputerem na Sarę McEvoy, która z przejściem wlepiała wzrok w swój monitor. Pomyślał o swojej dziewczynie Sophie.

Niekończące się kłótnie, które trwały, odkąd zamieszkali razem rok temu, znów rozpętały się na nowo. Problemem Sophie był Thome. Spotkała go tylko raz i sformułowała zdanie o nim na podstawie tego, co sam Holland powiedział o Thomie na początku ich współpracy. Tym samym człowiek, o którym Holland ponad rok temu mówił jako o „obsesyjnym” i „aroganckim”, w wyobraźni Sophie stał się tępym, egoistycznym oszołomem, którego niechęć do postępowania zgodnie z procedurą pewnego dnia będzie kosztować karierę nie tylko jego własną, lecz także ludzi z jego otoczenia. Tych, którzy nie zorientują się, co dla nich dobre...

Nie żeby miała coś przeciwko współpracy Hollanda z Thomeem. Chciała tylko, aby robił to w konkretny sposób, aby był jednym z tych gliniarzy, którzy nie wychylają się, otrzymują awanse i są powszechnie lubiani. Robi'ą tylko to, co do nich należy, i nic więcej.

Tak jak ojciec Hollanda.

Kiedyś dała mu do zrozumienia, że jeśli wybierze inną drogę, będzie musiał podążać nią samotnie. Ta pogrożka go rozzłościła i o ultimatum szybko zapomniał.

Oboje udawali, że zapomnieli.

Ich kłótnie nigdy nie były zażarte. Oboje byli introwertykami duszącymi w sobie emocje. Sprzeczki polegały raczej na docinkach i uszczypliwych komentarzach, których intensywność narastała wraz z rozpoczęciem kolejnego śledztwa.

Wczoraj wieczorem, po ciężkim dniu, który rozpoczął się odprawą, Sophie spojrzała na niego zza kuchennego stołu, uśmiechnęła się i rozpoczęła swoją tyradę.

- To ilu ludzi wkurzył dziś Tom Thorne?

Nie wiedział, co go w tym wszystkim najbardziej ubodło. Przypuszczenie, że w kwestii jego kariery ona wszystko wiedziała najlepiej? Brak wsparcia? A może fakt, że przeważnie miała rację, jeżeli chodziło o Thomea?

McEvoy uniosła wzrok znad monitora i spojrzała na niego jasnymi zielonymi oczami. Mam cię.

Była wysoka, prawie metr siedemdziesiąt wzrostu, długie do ramion kasztanowe włosy, złamany nos i pełne usta, które uśmiechały się z łatwością i zdaniem Hollanda dość często. Teraz, jak uznał, uśmiech ten miał co najmniej trzy różne znaczenia.

Nie pojmował żadnego z nich.

- Usłyszałam dziś coś dziwnego. - Pomimo nazwiska była typową Żydówką z północnego Londynu. Miała wyraźny charakterystyczny akcent. Seksowny. - Paskudne plotki na temat wańkiwstańki... - Ten przydomek nadano Thome owi z uwagi na to, że można nim zachwiać, lecz trudno go powalić.

Holland uniósł brwi. Nowe plotki? Jeżeli chodziło o plotki na temat Thome a, słyszał większość z nich, ale nigdy nie przegapił okazji, by dowiedzieć się nowego.

- Słyszałam, że lubi muzykę country. Czy to prawda?

Holland skinął głową, jakby potwierdzał śmiertelną diagnozę.

- Tak, uwielbia ją.

- Naprawdę, całe to jiiha, jupikajej i Dolly Parton? Tańczy też po kowbojsku?

Holland zaśmiał się.

- Myślę, że pod tym względem jest nieco bardziej tajemniczy Słuchał też techno i muzyki garażowej, ale tę fazę ma już chyba za sobą. - Zamrugał powoli, wspominając hałaśliwe, niemal hipnotyczne dźwięki. Powracając myślami do sprawy, o której wspomnienie pomagały zagłuszyć.

McEvoy wyglądała na rozczarowaną.

- Szkoda. Przez chwilę wydawał się całkiem interesujący.

- Och... ależ on jest... interesujący.

Holland szczerze wierzył, że to prawda. O ile interesujący mógł być upór i nieprzewidywalność. Albo niechęć do przyznania się, że możesz się mylić. Jeżeli interesująca była mściwość, determinacja i umiejętność rozróżniania dobra i zła, i to poza wszelkimi regułami. A także niechęć wobec głupców. I pasja, która niechybnie wywołuje gwałtowne reakcje. Pasja, za której choćby odrobinę, niezależnie od opinii innych, Dave Holland był gotów zabić...

Myślał o swoim ojcu. Człowieku, który zmarł w randze sierżanta, mając sześćdziesiąt lat. Który robił to, czego od niego wymagano. I tylko tyle.

McEvoy wzruszyła ramionami i powróciła wzrokiem do ekranu. A konkretnie do katalogu cierpienia i śmierci, z którego oboje chcieli wydobyć jakieś odpowiedzi.

Holland uważał, że ogólnie Londyn jest niegroźnym miastem i że ich poszukiwania nie zajmą wiele czasu.

Mylił się w obu wypadkach.

Poszukiwanie informacji o zabójstwach popełnionych tego samego dnia wydawało się prostą i nieskomplikowaną operacją, ale Thome nigdy nie robił niczego połowicznie. Zarówno kryteria poszukiwań, jak i przedział czasowy stale się rozszerzały. McEvoy i Holland rozpoczęli od poszukiwania wzmianek o uduszeniach i potem stopniowo powiększali krąg badanych spraw. Nie mogli wykluczyć napaści, gdyż mogły być one dziełem człowieka, który obecnie popełniał te morderstwa. Nawet pomijając awantury domowe i ataki przestępczych grup młodzieżowych, była to tytaniczna praca. Staranne sprawdzenie wszystkiego i próba określenia wzorca - o ile takowy istniał - zajmie mnóstwo czasu.

Holland spojrzął na zegar. Jeszcze dwadzieścia minut i skończą na dziś. Próbował wyobrazić sobie Thomea w stetsonie i kowbojkach, ale mu się nie udało.

Thome był zbyt niebezpieczny, a by stroić sobie z niego żarty.

Muzyka Johnnynego Casha idealnie nadawała się jako tło do lektury raportów z sekcji zwłok. Bądź co bądź ten sławny muzyk śpiewał kiedyś, że chciałby zastrzelić kogoś tylko po to, by zobaczyć, co znaczy umieranie. Czy mówił serio, czy zmyślał z nudów, często w swoich tekstach poruszał temat śmierci, jakby sporo o nim wiedział. Thorne, czytając raport Hendricksa z autopsji Carol Garner, zastanawiał się, ile naprawdę wiedział piosenkarz. Teraz ten mężczyzna o głosie zdającym się opadać w bezdenną otchłań piekiel śpiewał, że ciało i krew potrzebują ciała i krwi. Thome nie próbował temu przeczyć, ale miał przed sobą jawny dowód, że niekiedy ciało i krew niszczą inne ciało i krew.

Ciało drugiej ofiary, Ruth Murray, zbadał inny patolog. Thorne widział raport wstępny, który potwierdził, że przyczyną śmierci było uduszenie, i ujawnił, iż spod paznokci ofiary wydobyto i zabrano w celu przeprowadzenia badań DNA fragmenty tkanek. Na razie nie pozwalał sobie na nadmierny optymizm. To brzmiało obiecująco, ale wolał poczekać na opinię Hendricksa po przeprowadzeniu drugiej autopsji.

Thome sądził kiedyś, że uduszenie jako sposób na śmierć jest całkowicie łagodną opcją. Na pewno nie tak upiorną jak zgon wskutek pobicia tępym narzędziem czy od licznych ran kłutych. Nie mogło równać się z utonięciem, dekapitacją czy połknięciem żrących substancji. Tak uważał, dopóki nie przeczytał pierwszego raportu o uduszeniu ofiary gołymi rękami. Pod wieloma względami użycie samych tylko rąk było najgorszym z możliwych sposobów uduszenia. Nie było broni oddzielającej ofiarę od zabójcy. Ciało przylegało do ciała. W wielu wypadkach ofiara szybko traciła przytomność, ale rozmiary uszkodzeń bywały

często bardzo rozległe i ofiara była tak zakrwawiona i posiniaczona, jakby napastnik użył wobec niej młotka.

Carol Gamer zmarła wskutek niedotlenienia za sprawą silnego nacisku na tętnice szyjne, a jej ciało nosiło wszelkie typowe ślady brutalnego uduszenia. Oczy miała otwarte, gałki oczne wychodziły z orbit, rogówki i skóra wokół oczu miały oznaki wewnętrznych wylewów.

Szyję pokrywały rozległe zasinienia, niektóre nawet średnicy dwóch centymetrów, widać też było półksiężycowe wgłębienia, ślady paznokci palców i kciuka zabójcy.

Thome uniósł dłonie do szyi. Zamknął oczy.

Czy to był jego batonik, Charlie? Czy dał ci go, aby cię uciszyć? A może już po wszystkim wyjął go i sam zjadł, powoli, patrząc na nią, gdy ty płakałeś?

Podniebienie denatki także pokrywały sińce i wybroczyny, podobnie było z nagłośnią i wnętrzem krtani. Język został całkowicie przegryziony. Chrząstka pierścieniowata była zmiądzona, kość gnykowa pęknięta. To właśnie te obrażenia wewnętrzne wyraźnie wskazywały, jak brutalny był atak, który doprowadził do śmierci Carol Gamer.

Czy widziałeś, jak to się stało, Charlie? Kazał ci wyjść z pokoju, czy stałeś tam i płakałeś, tłukąc pięstkami w jego plecy i patrząc, jak matce oczy wychodzą z orbit?

Thome schylił się, by podnieść kawę, którą zostawił na podłodze, przy kanapie. Kawa całkiem wystygła. Spojrzał na zegarek. Badał szczegóły zgonu przez ponad godzinę. Ta... zdolność nie przestawała go zadziwiać.

Kiedyś próbował czytać kryminały, ale nie odpowiadały mu. Nie był w stanie skupić się na akcji powieści dłużej niż przez kilka minut, a potem odpływał gdzieś myślami, podczas gdy pełen żargonowych zwrotów opis okaleczonych ciał pochłaniał go bez reszty. Wiedział, że nie chodzi o jakieś perwersyjne upodobania. Uczestnictwo przy autopsji nigdy nie sprawiało mu przyjemności.

Po prostu jego, znawcę prawdziwych zabójców i prawdziwych ofiar, trudno było zadowolić jako czytelnika.

Thome widział dostatecznie dużo szajbusów ze spluwami i ociekającymi krwią ostrzami oraz zbrojeńców o łagodnym głosie i opadających powiekach. Widział mnóstwo tępych osiłków, podpalaczy i uśmiechniętych trucicieli. Widział też więcej, niż mógłby sobie tego życzyć, poranionych ciał, zarówno tych martwych, jak i żywych, lecz okrutnie zmasakrowanych i zapomnianych.

Szyję pokrywały rozległe zasinienia, niektóre nawet średnicy dwóch centymetrów, widać też było półksiężycowe wgłębienia, ślady paznokci palców i kciuka zabójcy.

Thome uniósł dłonie do szyi. Zamknął oczy.

Czy to był jego batonik, Charlie? Czy dał ci go, aby cię uciszyć? A może już po wszystkim wyjął go i sam zjadł, powoli, patrząc na nią, gdy ty płakałaś?

Podniebienie denatki także pokrywały sińce i wybroczyny, podobnie było z nagłośnią i wnętrzem krtani. Język został całkowicie przegryziony. Chrzątka pierścieniowata była zmiażdżona, kość gnykowa pęknięta. To właśnie te obrażenia wewnętrzne wyraźnie wskazywały, jak brutalny był atak, który doprowadził do śmierci Carol Gamer.

Czy widziałeś, jak to się stało, Charlie? Kazał ci wyjść z pokoju, czy stałeś tam i płakałaś, tłukąc piąstkami w jego plecy i patrząc, jak matce oczy wychodzą z orbit?

Thome schylił się, by podnieść kawę, którą zostawił na podłodze, przy kanapie. Kawa całkiem wystygła. Spojrzał na zegarek. Badał szczegóły zgonu przez ponad godzinę. Ta... zdolność nie przestawała go zadziwiać.

Kiedys próbował czytać kryminały, ale nie odpowiadały mu. Nie był w stanie skupić się na akcji powieści dłużej niż przez kilka minut, a potem odpływał gdzieś myślami, podczas gdy pełen żargonowych zwrotów opis okaleczonych ciał pochłaniał go bez reszty. Wiedział, że nie chodzi o jakieś perwersyjne upodobania. Uczestnictwo przy autopsji nigdy nie sprawiało mu przyjemności.

Po prostu jego, znawcę prawdziwych zabójców i prawdziwych ofiar, trudno było zadowolić jako czytelnika.

Thome widział dostatecznie dużo szajbusów ze spluwami i ociekającymi krwią ostrzami oraz zbrojeńców o łagodnym głosie i opadających powiekach. Widział mnóstwo tępych osiłków, podpalaczy i uśmiechniętych trucicieli. Widział też więcej, niż mógłby sobie tego życzyć, poranionych ciał, zarówno tych martwych, jak i żywych, lecz okrutnie zmasakrowanych i zapomnianych.

Widział okaleczone ciała i zetknął się z ludźmi o okaleczonych życiorysach.

Thome wziął do ręki kubek i już maszerował do kuchni po następną kawę, gdy ktoś zadzwonił do drzwi.

Na progu stał Hendricks w czarnym, sięgającym ziemi skórzanym płaszczu i czapce z daszkiem. Wymachiwał reklamówką, która zdawała się pękać pod naporem taniego piwa. Sposób wymowy niezbyt pasował do dramatycznych wypowiedzi, ale mimo to zrobił, co w jego mocy.

- Napijemy się browara i pogadamy o śmierci.

Thorne wycofał się od drzwi. Żaden z nich nie przepadał za zbędną ceremonialnością.

- Wygląda na to, że zaczęłaś już wcześniej...

Hendricks zatrzasnął drzwi frontowe i wszedł za Thomeem do mieszkania.

- Robiłem jedno i drugie, stary. Większość dnia spędziłem z lekarzem o nazwisku Duggan... - Zamknął wewnętrzne drzwi i wszedł do salonu.

- Z tym, który przeprowadził autopsję wstępną Ruth Murray?

- Z tą. To kobieta. Emma Duggan. Niezła i całkiem zabawna, na swój sposób, ma się rozumieć.

Thome pokręcił głową i sięgnął do reklamówki, którą Hendricks trzymał teraz oburącz.

- Nie gustuję w formalinie, wybacz.

- Przez parę godzin urabiałem sobie ręce po łokcie w Ruth Murray - rzekł Hendricks, odkładając reklamówkę na kanapę - więc owszem, przyznaję, że zanim tu dotarłem, wypilem parę piwek.

Podczas gdy Hendricks zdejmował płaszcz, Thome otworzył piwo i sięgnął po pilota od CD. Włączył od początku płytę Solitary Men Casha. Rozległy się gitarowe riffy pierwszego utworu I Won 't Bock Down.

Thorne usiadł na krześle, a Hendricks na kanapie. Był to swego rodzaju rytuał, że, pomijając kilka tygodni w zeszłym roku, spotykali się co najmniej raz w tygodniu, odkąd Thome sprowadził się tu półtora roku temu. Po rozwodzie przez trzy lata błąkał się po wielkim domu w Highbury, aż w końcu zebrał się w sobie i kupił to mieszkanie. Jeszcze do niego nie przywykł. Kanapę z Ikei lubił nieco bardziej teraz, gdy miała kilka plam od piwa, ale choć mieszkanie zaczynało wyglądać na użytkowane, wciąż nie czuł się w nim jak w domu.

Osoba odpowiedzialna za większość tych plam chrząknęła i zaczęła przygotowywać się do rozmowy o śmierci.

- No więc...? - Thome starał się nie zdradzać zniecierpliwienia.

- No więc... jest ciekawie.

Zadzwoił telefon. Thome westchnął, wstał z krzesła i podszedł do frontowych drzwi, gdzie znajdował się bezprzewodowy aparat.

- Thome...

- Panie inspektorze, to ja, Holland...

- Nie ma żadnych postępów? - W ciszy, jaka zapanowała na drugim końcu łącza, wychwycił konsternację. - Nie martw się, Holland, zawsze potrafię wyczuć, kiedy jesteś podekscytowany. Głos podnosi ci się o oktawę.

- Panie inspektorze...

- Nadal nic? Może powinniśmy rozszerzyć także obszar poszukiwań...

- Natrafiliśmy na parę przypadków, które wydawały się podobne, ale w dwóch doszło do aresztowań, a w dwóch pozostałych... chodzi onapaści... i dwie kobiety pchnięte nożem tego samego dnia, w lipcu, ale nie zgadza się przedział czasowy.

- Jesteście pewni?

- Tak. McEvoy sprawdziła dwukrotnie. W obu przypadkach nie mógł uczestniczyć ten sam zabójca. Nawet jeżeli... no wie pan, czas zgonu nie całkiem się zgadza... musiałby mieć śmigłowiec, żeby zamordować je obie.

- Dobra, nie zwracajcie sobie tym głowy... za bardzo. Może jutro bardziej się wam poszczęści. Jestem pewien, że to nie był jego pierwszy raz. Prędzej czy później coś znajdziesz. Poza tym nic już nie będzie cię rozpraszać.

- Słucham?

- Zabieram detektyw sierżant McEvoy do Birmingham.

Dopiero po chwili Holland zorientował się, po co Thome wybiera się do Birmingham i czemu chce, by towarzyszyła mu Sarah McEvoy. Gdy to pojął, ucieszył się, że on sam spędzi ten dzień przy komputerze.

Po zakończeniu rozmowy Holland zaczął się zastanawiać, co Thome miał na myśli, mówiąc o „rozpraszeniu”.

- Mów, co cię tak zaciekało. - Hendricks spojrzał na niego i uniósł brew. Thome kontynuował: - O Ruth Murray. Mówiłeś, że napotkałeś coś, co cię zaciekało.

Ruth Murray. 32 lata. Zamężna, na szczęście bezdzietna. Jej ciało znaleziono wcześniej niż Carol, wciśnięte za metalowy pojemnik na śmieci w uliczce za stacją King s Cross.

Hendricks skorzystał z mizernej zawartości lodówki Thomea, podczas gdy inspektor rozmawiał z Hollandem, i jego odpowiedź zabrzmiała niezrozumiale, dopóki nie przełknął sporego kęsa kanapki z serem.

- Opiszę to w raporcie... będzie gotowy na jutro.

- Jutro mnie tu nie będzie.

- Znajdziesz go na biurku do południa, dobra...?

- Streść mi to choćby tylko pokrótce, Phil.

Hendricks otarł usta, zwiesił nogi z kanapy i odwrócił się do Thorne a. Miał do powiedzenia coś ważnego.

- Dobrze więc... po pierwsze, nie oczekuj zbyt wiele po analizie tkanek, które miała pod paznokciami.

- Ponieważ?

- Ponieważ w większości należą one do niej - wyjaśnił, zanim Thorne zdążył go o to zapytać. - To dość typowe w wypadku uduszenia. Ofiara często rozdrapuje sobie szyję, pragnąc pozbyć się pętli albo... w tym wypadku dłoni zabójcy - Mówiąc te słowa, Hendricks automatycznie uniósł ręce do szyi, a Thome patrzył, jak tamten naśladuje ruchy ofiary.

- Miała długie paznokcie... nieźle się poharatała. Jego też mogła poranić, więc mimo wszystko warto chyba pójść dalej tym tropem.

- Carol Gamer nie miała długich paznokci?

Hendriks pokręcił głową.

- Ogryzione niemal do żywego...

Thome zastanawiał się, czy zaczęła ogryzać paznokcie po tragicznej śmierci męża, gdy patrzyła na synka i widziała w nim jego ojca. Nie spodziewała się, że chłopiec zostanie sierotą jeszcze przed czwartymi urodzinami.

- Aczkolwiek...

- Tak? - Thome wychylił się na krześle do przodu.

Hendricks miał asa w rękawie. Uwielbiał się popisować.

- Możliwe... choć to tylko przypuszczenie... że mamy inne źródło DNA. Duggan coś przegapiła.

- Mówiłeś przecież...

- Że była dobra. Bo jest. Ale nie tak dobra jak ja.

Thome nie był w stanie ukryć poirytowania w swoim głosie.

- Na miłość boską, Phil, czy mógłbyś przestać stopniować napięcie... to nie teleturniej, do cholery!

- No dobrze, posłuchaj... kiedy ustalono, że nie chodzi o napaść na tle seksualnym, Duggan uznała, że poszukiwanie płynów ustrojowych na ciele denatki mija się z celem. W sumie to całkiem logiczne, ciało było ubrane, podobnie jak w wypadku Carol Gamer. Ja jednak, przeprowadzając autopsję, nie zapomniałem o tym i zrobiłem to...

Thome wstrzymał oddech. Czuł napięcie narastające w tym samym punkcie co zawsze, u podstawy czaszki. Drażniące, przybierające na sile pulsowanie, podniecenie i odraza zarazem w oczekiwaniu na to, co zaraz miał usłyszeć. Nie znosił, gdy sprawa nabierała charakteru zbrodni o podłożu seksualnym. Co prawda rosły wówczas szanse na schwytanie sprawcy, ale on i tak tego nie cierpiał.

Hendricks również był poruszony.

- Koniec końców wszystko ujawnił luminal i lampa ultrafioletowa. Maleńkie punkciki na jej twarzy i ramionach. Całe wieki trwało, nim zorientowałem się, co to jest. Więcej czasu zajęło mi ustalenie, co to jest...

Thome pokiwał głową. To była dobra wiadomość, jeśli złapią sprawcę, prawie na pewno uda się im go skazać, ale i tak odraza, jaką odczuwał, była niewysłowiona. Nie pocieszała go nawet świadomość, że zabójca zapewne zrobił to już po zabiciu Ruth Murray. W przeciwnym razie ta sprawa stałaby się jeszcze bardziej ponura.

- A więc czterdzieści osiem godzin?

Hendricks uniósł dłoń.

- Tak, miejmy nadzieję. Próbka jest bardzo mała i szczerze mówiąc, nie wiem, czy do czegokolwiek się nada. Może i zawiera materiał komórkowy, choć szczerze mówiąc, nigdy nie słyszałem, by kiedykolwiek na tej podstawie...

Thome wstał.

- Chwileczkę, Phil. Trochę się pogubiłem... czy nie mówimy tu ospermie?

Hendricks pokręcił głową.

- O łzach, stary. O zaschniętych łzach.

Thomeowi dosłownie opadła szczeka. Hendricks jakby od niechcienia sięgnął po kolejną puszkę piwa.

- Tom, ten skurwiel, mordując ją, wcale nie walił gruchy, tylko płakał.

1983

Nicklin szedł w stronę torów, prawa ręka, w której trzymał wilgotne znalezisko, zwieszała się niezdarnie. W drugiej ręce miał reszkę batonika. Włożył ją do ust, rzucił opakowanie na ziemię i odwrócił się. Oddalił się na jakieś sześć metrów i czekał, ale Palmer opuścił kij. Twarz Nicklina poczerwieniała. Już miał podreptać i przyłożyć Palmerowi znaleziskiem po głowie, ale zachował spokój.

- Dalej, Mart, podnieś kij. To będzie fajne.

Wyższy chłopiec pokręcił głową, spojrzał na Nicklina spod półprzymkniętych powiek i uniósł dłoń, by osłonić oczy od słońca.

- Nie chcę.

- Dlaczego?

- Po prostu nie chcę. - Patrzyli jeden na drugiego przez kilka chwil. - Czemu ja nie mogę być miotaczem? Ty jesteś lepszym pałkarzem ode mnie.

- Będziesz rzucał następnym razem.

Palmer skrzywił się.

- Chcesz to powtórzyć? Ale jak...?

Nicklin zaśmiał się.

- Jest ich tu mnóstwo. A teraz przestań się już wściekać, Martin. Unieś kij.

Palmer milczał, myśląc o dwóch tygodniach, jakie dzieliły ich od powrotu do szkoły.

Szyny zaczęły dygotać, nadjeżdżał pociąg. Patrzyli, jak mija ich z turkotem stara lokomotywa ciągnąca kilka zardzewiałych wagonów towarowych. Pół minuty później słysząc już było tylko odległy łomot i cykanie świerszcza gdzieś nieopodal.

Palmer uniósł wzrok. Ujrzał niebieskoróżowe plamki bławatków i naparstnic odcinające się na tle zieleni nasypu po drugiej stronie torów.

Zobaczył sosnoweczki i barwinki u stóp Nicklina. Zauważył, że Nicklin patrzy na niego, i poczuł, że pocał mu się ręce, boli go głowa, a pęcherz zaczyna dawać o sobie znać.

Mimo to nie chciał tego zrobić.

Zawsze tak się kończyło. Nicklin odnajdował go i spędzali pół godziny albo i dłużej przy torach, rzucając kamieniami do butelek czy rozmawiając o futbolu, aż na ustach Nicklina pojawiał się charakterystyczny uśmiezek i zaczynała się kolejna z ich gier. A potem wkładali piese kupy do skrzynek na listy, rzucali jajkami w autobusy albo... robili coś takiego.

Palmer usłyszał szelest wśród wysokich traw na nasypie za nimi. Chciał się odwrócić i zobaczyć, co to było, ale nie mógł oderwać wzroku od Nicklina. Nagle Nicklin bardzo posmutniał. Wydawał się bliski łez. Palmer zawołał do niego:

- Ej, no co, przecież to nic takiego. Możemy wymyślić coś innego...

Nicklin pokiwał głową, zwierając palce i ściskając to, co trzymał w dłoni.

- Wiem, jasne, że tak. Tyle tylko że... jesteś moim kumplem, więc... Chyba że nie chcesz, żebyśmy się przyjaźnili. Powiedz tylko, a pójdę sobie. Wystarczy, że powiesz...

Palmerowi zakręciło się w głowie. Strużka potu spływała mu po plecach. Nie mógł znieść myśli, że Nicklin poczuł się tak z jego winy. Nicklin był jego najlepszym przyjacielem. Sięgnął po kij do krykieta, a kiedy uniósł wzrok, Nicklin uśmiechnął się do niego.

- No właśnie, Martin. Wiedziałem, że dasz radę. Gotowy?

Palmer wolno pokiwał głową, a Nicklin zaczął biec w jego stronę, przygryzając zębami język.

Żaba rozłożyła łapki na boki, gdy tylko Nicklin ją puścił, i przez chwilę wydawało się, jakby leciała. Nicklin zachichotał, rozwierając palce.

- Teraz, Mart... już.

Palmer zamknął oczy i zamachnął się kijem. Rozległo się wilgotne młaśnięcie. Nieprzyjemne i mięsiste. Poczul lekką wibrację wzdłuż całego ramienia.

Nicklin obserwował wszystko z ekscytacją w oczach i pokrzykiwał radośnie. Ani na chwilę nie oderwał wzroku od rozbryzgu krwi i zielonych wnętrzności, które wylądowały z gracją w pokrzywach po drugiej stronie torów.

Odwrócił się, jego czarne oczy aż lśniły z podniecenia na myśl o ujrzeniu zbolalego, zrezygnowanego wyrazu na bladej piegowatej twarzy Palmera. Ten wyraz zawsze się na niej pojawiał, kiedy już było po wszystkim. Zastygł w bezruchu i przymrużył oczy, koncentrując się na czymś innym, na czymś, co znajdowało się za i ponad Palmerem.

Palmer upuścił kij, nie spoglądając nawet na widniejącą na nim plamę krwi. Odwrócił się, by wspiać się po zboczu nasypu. Nagle stanął jak wryty. Obok dziury w siatce, wśród wysokich, sięgających jej powyżej kolan traw stała dziewczynka o długich jasnych włosach. Była chyba w tym samym wieku co on, może o rok starsza. Palmer nigdy jeszcze nie widział kogoś równie pięknego. Dziewczynka włożyła dwa palce do ust i zagwizdała głośno.

A potem zaczęła klaskać w dłonie, na jej pięknych ustach zaś pojawił się szeroki promienny uśmiech.

3

Zarówno Thome, jak i McEvoy czuli się nieswojo, kiedy przechodzili przez peron na dworcu Euston. Żadne z nich się do tego nie przyznało, a potem oboje żalowali. Oboje, kupując pisma i gazety, dopijając herbatę czy zimny napój, wyobrażali sobie, że są obserwowani przez zabójcę.

To właśnie tu wypatrzył Carol Gamer i poszedł za nią. Może kiedy ujrzał ją po raz pierwszy, słuchał muzyki z walkmana albo oglądał wystawę sklepu obuwniczego. Thome spojrzał na twarze otaczających go ludzi i zastanawiał się, czy Carol Gamer spojrzała w oczy mężczyzny, który potem ją zabił. Może uśmiechnęła się do niego, spytała o godzinę lub poczęstowała go papierosem...

Szli w stronę peronu, mijając własne policyjne plakaty z prośbą o pomoc i informacje od świadków. Podobne rozwieszono na King s Cross i dzięki nim zyskali jedyny jak dotąd trop - fragmentaryczny rysopis. Czterdziestoletnia prostytutka nazwiskiem Margie Knight stawiała się na posterunku i powiedziała im, że widziała kobietę, która mogła być Ruth Murray, rozmawiającą z jakimś mężczyzną przy York Way, ulicy przy dworcu. Zapamiętała ten fakt, bo przez chwilę sądziła, że to jakaś nowa młódka chce zawłaszczyć jej rewir. Naturalnie zapadała już wtedy ciemność, ale wystawy sklepów po drugiej stronie ulicy były jasno oświetlone.

- Twarz raczej pospolita. Ale to był wielki facet. To pewne. Nachylał się nad nią, gdy o czymś rozmawiali. Był wysoki. Nie gruby, po prostu duży i masywny...

Oznajmiła, że nie widziała go na tyle dobrze, by mogła pomóc w stworzeniu portretu pamięciowego. Zresztą Margie raczej nie miała ochoty na bliższą współpracę z policją.

Thome spojrział na plakat. Śmierć Carol Gamer zamknięta w ziarnistej fotografii i numerze telefonu. Zdjęcie z kamer przemysłowych zaprezentowano również w telewizji i choć zgłosiło się wiele osób, żadna nie widziała osoby, która mogła ją śledzić.

Nie mieli stuprocentowej pewności, że ktoś faktycznie ją śledził. Dworzec to mógł być jedynie zbieg okoliczności. Zabójca mógł ją wypatrzeć w metrze albo w drodze do domu ze stacji Balham.

A jednak Thome czuł, że zabójca właśnie tu po raz pierwszy ujrzał Carol Gamer. Wybrał ją.

Thome oglądał nagranie z kamery przemysłowej chyba ze sto razy, przepatrując twarze otaczających ją ludzi, gdy wraz z synem szła w stronę ruchomych schodów. Przyglądał się mężczyznom z aktówkami idącym szybkim krokiem i rozmawiającym przez komórki. I mężczyznom z plecakami człapiącymi wolno przed siebie. Jedni spotykali się ze znajomymi albo pospiesznie zdążali do domu, inni ociągali się z rozmaitych, sobie tylko znanych powodów. Jedni wyglądali groźnie, inni w ogóle nie rzucali się w oczy. Gdyby przyglądać się im dostatecznie długo, można by dostrzec wszystko.

Z wyjątkiem tego, czego szukałeś.

Ostatecznie Thome powracał wzrokiem do Carol i Charliego idących ręką w rękę i rozmawiających o czymś. Charlie śmiał się, ściskając w dłoni książeczkę, kaptur miał naciągnięty na głowę.

Zdjęcia z kamer przemysłowych przedstawiające różne nieznane mu osoby w miejscach publicznych zawsze bardzo wzruszały Thomea. Postaci wydawały się na tyle realne i bliskie, że mógł sięgnąć ręką i pomóc im, zapobiec temu, co miało się wydarzyć. Świadomość, że było to niemożliwe i że niedawna przeszłość nieuchronnie zmieni się w przerażającą przyszłość, wznagała jedynie poczucie kompletnej bezradności. Rozmyte, nieostre obrazy poruszały go bardziej niż większość rodzinnych zdjęć czy nagrań wideo. Zapis ostatniej drogi Jamiego Bulgera, prowadzonego przez centrum handlowe na spotkanie ze śmiercią, czy dziesięcioletniej Damiloli Taylor, biegnącej przez cementowy chodnik, a kilka minut później wykrwawiającej się na śmierć na cuchnącej moczem klatce schodowej domu przy Peckham, czy choćby księżnej, za którą Thome nie przepadał - uśmiechającej się i wychodzącej tylnym wyjściem z paryskiego hotelu.

Te obrazy przejmowały go do głębi.

Wizerunki umarłych tuż przed ich śmiercią.

Teraz Carol i Charlie Gamer szli przez ruchliwy dworzec, rozluźnieni i szczęśliwi w taki sposób, jaki można uchwycić na filmie tylko wtedy, kiedy obiekt nie zadaje sobie sprawy, że jest nagrywany.

Nie wiedzieli, że są obserwowani. Przez kamerę ani przez zabójcę.

Jazda pociągiem powinna trwać półtorej godziny, a trwała w sumie dwie, ale nikogo to specjalnie nie dziwiło. Thome i McEvoy przeglądali gazety i gawędzili, starając się uporządkować pogrążony w chaosie świat. Rozmowa była niezobowiązująca i miła. Pozwalała zabić czas, a poza tym oboje wiedzieli instynktownie, że w drodze powrotnej będą mieć nastroju do rozmowy.

Znajdowali się o godzinę drogi od Birmingham, a McEvoy po raz czwarty czy piąty wybrała się do oddzielnego wagonu dla palących. Wracając, zauważyła Thorne a czytającego gazetę i stwierdziła, że z daleka wyglądał na faceta, obok którego lepiej nie siadać. Z bliska, gdy się już go poznało, można było dostrzec w jego oczach ciepło, coś ujmującego i w pewnym sensie pociągającego. Ale na pierwszy rzut oka wyglądał co najmniej... odpychająco. Kiedy usiadła i sięgnęła po czasopismo, Thorne spojrział na nią jak typowy zreformowany palacz - z nieopisaną zazdrością i dezaprobatą zarazem. Zastanawiała się, co myśleli na ich temat inni pasażerowie. Byli ubrani dość elegancko - ona w niebieski wełniany żakiet i spódnicę, a Thorne w czarną skórzaną kurtkę. Miała ze sobą aktówkę, ale chyba raczej nikt nie wziąłby jej za bizneswoman. Thorne też nie był typem biznesmena. Wyglądał raczej jak jej opiekun. Porywczy i zazdrosny starszy brat albo nawet ojciec, istny pies ogrodnika...

- Co cię tak śmieszy?

Uniosła wzrok. Wciąż się uśmiechała. A może starszy od niej, porywczy, namiętny kochanek.

- Nic takiego, artykuł w czasopiśmie...

Robert i Mary Enrightowie, rodzice Carol Gamer, mieszkali o parę kilometrów na południe od centrum Birmingham, w Kings Heath, dziesięć minut drogi taksówką od stacji New Street. Zajmowali nowoczesny dom z dwiema sypialniami na osiedlu położonym blisko sklepów i przystanku autobusowego. Było to wymarzone miejsce dla osób po sześćdziesiątce. Ciche i spokojne, gdzie ludzie tacy jak oni mogli się rozluźnić i cieszyć emeryturą bez większych problemów, gdy ich dzieci poszły już na swoje.

Poszły na swoje, ale nie były bezpieczne.

Mary Enright, której świat niedawno wywrócił się do góry nogami, powitała ich ciepło i zaprosiła do małego dusznego salonu. Była niską, zamkniętą w sobie kobietą. Niemal natychmiast przyniosła im herbatę.

- Robert niedługo wróci. Poszedł z Charliem do parku. Jest tam mały plac zabaw z huśtawkami i zjeżdżalnicami, to bardzo popularne miejsce. Prawdę mówiąc, myślę, że Robertowi sprawia to większą przyjemność niż Charliemu. Musi wyjść czasem z domu, aby trochę odetchnąć... Ostatnio napięcie robi się tu nie do zniesienia...

McEvoy wypiła łyk herbaty i pokiwała głową z wyrozumiałością, a przynajmniej tak się wydawało. Thome rozejrzał się po dusznym pokoju zadowolony, że ciężar rozmowy przejęła jego towarzysząca. Oboje czekali na spotkanie z chłopcem. Oboje się tego bali.

Dziecinne książeczki i zabawki ułożone starannie przy sofie nie pasowały do bibelotów, pokrowców na meble i podręczników ogrodnictwa. Dom pachniał woskiem pszczelim i mazidłami. To nie było miejsce, w którym dziecko mogło się poczuć swobodnie.

Thome zauważył na regale w rogu pokoju kilka pocztówek świątecznych. Życzenia od osób, które jeszcze o niczym nie wiedziały. Zastanawiał się, czy przez wzgląd na wnuka Enrightowie będą obchodzić święta. Smutek często można zabić różnymi czynnościami.

Również prowadząc śledztwo w jego sprawie.

Charlie Gamer został już przesłuchany. Zgodnie z procedurą uczestniczyli w tym specjalnie przeszkoleni funkcjonariusze. Rozmowę przeprowadzono w ściśle kontrolowanych warunkach. Odbływały się w pewnym domu w Birmingham będącym własnością pomocy społecznej i policji West Midlands. Był to prosty nowoczesny budynek, jak wiele innych, lecz wyposażony w gabinet ze sprzętem medycznym i nagrywającym najnowszej generacji. Charliemu dano zabawki, a pracownicy Zespołu do spraw Opieki nad Dziećmi rozmawiali z nim; cały przebieg spotkania był monitorowany z sąsiedniego pokoju. Thome obejrzał zapisy wszystkich rozmów. Z początku Charlie był trochę nieśmiały, ale gdy już się trochę oswoił z otoczeniem, stał się ożywiony i rozmowny, mówił chętnie o wszystkim z wyjątkiem tego, co spotkało jego matkę...

Thome nie był pewien, czy zdoła cokolwiek z chłopca wydobyć. Nie wiedział, czy jest coś, co może od niego wyciągnąć. Mimo to musiał spróbować.

Zbierał się na odwagę, by zapytać, czy nie dałoby się odrobinę przykręcić grzejnika, gdy nagle usłyszał szcęk klucza w drzwiach frontowych. On i McEvoy natychmiast wstali, tak szybko, że Mary Enright aż drgnęła nerwowo.

Robert Enright przywitał się z nimi i rzekł: „Miło mi państwa poznać”, ale jego wodniste niebieskie oczy mówiły coś innego. W przeciwieństwie do żony był bardzo wysoki i

niegdyś musiał być wysportowany, teraz jednak wydawał się zrezygnowany i wypalony, jakby wyssano z niego życie.

Ludzie różnie reagują na śmierć bliskich. Ona da sobie radę. On już się poddał.

Osunął się ciężko na sofę, a jego żona poszła zaparzyć kolejną herbatę.

- Charlie poszedł chyba do swego pokoju. Zaraz zejdzie. - Głos miał łagodny, głęboki, z silnym birminghamskim akcentem sprawiającym, że stale wydawał się zmęczony.

Thome pokiwał głową. Usłyszał tupot stóp chłopca wbiegającego po schodach na piętro, kiedy tylko zamknęły się drzwi frontowe.

- Przyjemnie było w parku?

Starszy pan wzruszył ramionami. Głupie pytanie. Zjeżdżajcie z mego domu, won ode mnie i mojej rodziny.

- Robi się zimno...

Mary weszła do pokoju, podała mężowi herbatę i próbowała zabawić gości rozmową, dopóki chłopiec nie zejdzie na dół. Rozmawiała z Thomeem i McEvoy o ich podróży tutaj, trudach związanych z pracą i o tym, że jej przyjaciółka miała syna, który pracował w policji w Leicester w randze sierżanta, i stąd wiedziała, jaki to ciężki fach.

Thome pomyślał: ciężiej już chyba być nie może.

Starszy pan wychylił się do przodu i spiorunował Thome'a wzrokiem.

- O co zamierza pan go pytać? - Poważne spojrzenie...

Thome odwrócił się do McEvoy, uznając, że lepiej będzie, jeżeli ona odpowie na to pytanie. Po to ją tu zabrał. Podjęła rękawicę.

- W zasadzie nie musimy go o nic pytać. Chcemy tylko zorientować się, co właściwie zapamiętał. Czy mówił o tym, co zaszło?

- Nie. - Szybka odpowiedź.

- W ogóle? Sądziłam, że mógł powiedzieć coś mimochodem albo...

- Nie. - Głośniejszy, agresywniejszy.

McEvoy zerknęła na Mary, jakby zwracała się do niej o pomoc. Ta ujęła dłoń męża i położyła sobie na kolanie. A potem uniosła rękę i odwróciła ją w stronę śledczych.

- Bob przez czterdzieści lat pracował u jubilera. Zrobił tę obrączkę ślubną w 1965. Cztery lata temu wykonał też obrączkę dla Carol. To coś, dla czego warto wrócić choć na chwilę do zawodu, czyż nie? - Zaśmiała się i poklepała męża po rękę, ale on się nie odezwał.
- Widzicie państwo, ostatnio widywaliśmy Carol raczej rzadko.

Thome spojrział na McEvoy. Wiedział, o czym myślała, i wiedział, że się myliła. To nie był bełkot. To były fragmenty roztrzaskanego obrazu, który Mary Enright rozpaczliwie

starala się ukazać w nadziei, że Thome i McEvoy dostrzegą całość. I uchwycą jego bezmiar. Teraz tylko pokręciła głową i powiedziała:

- Widzicie państwo, Bob ciężko to znosi. Gorzej ode mnie albo może inaczej. Chyba często tak bywa, gdy w grę wchodzi dwie osoby. Jedna uczy się radzić sobie jakoś z nową sytuacją, a druga...

I wtedy Thorne ich zobaczył. Stara kobietę siedzącą w kącie dusznego gorącego pokoju, bawiącą się z wnukiem w układanki albo przygotowującą listę zakupów, podczas gdy jej mąż w sypialni na tyłach, zgięty wpół wrzeszczał wniebogłosy bądź wyplakiwał sobie oczy.

Spojrzał na Roberta Enrighta, aż starszy pan odnalazł jego wzrok, a wtedy powiedział:

- Chcę znaleźć człowieka, który wam to zrobił. Państwa córce i państwu. Charlie go widział. Jesteśmy tu, aby, jeżeli zechce, opowiedział nam o tym. To wszystko.

Zesztywnieli, gdy na schodach rozległy się kroki. Thome owi wydawało się, że ojciec Carol Gamer skinął głową, a chwilę potem drzwi się otworzyły i do salonu wbiegł mały chłopiec. Znieruchomiał na widok obcych i spuścił wzrok. Ruszył w stronę sofy, ale Mary wyciągnęła rękę i przytuliła go do siebie. Był dość mały jak na swój wiek, miał przydługie popielatoblond włosy i brązowe oczy. Nosił drelichowe spodenki i czerwony sweterek z długimi rękawami, a jego dłonie pokryte były czymś, co wyglądało jak plamy od flamastra.

- Nasi znajomi przyszedli cię odwiedzić - rzekła Mary prawie szeptem. - To jest...? - Spojrzała na McEvoy i Thomea pytającym wzrokiem.

- Sarah - powiedziała McEvoy, wychylając się do przodu z uśmiechem. Zerknęła na Thome'a. - I Tom.

Charlie otaksował ich wzrokiem. Przez chwilę przytykał dłoń babci do swego policzka, po czym puścił ją i podbiegł do miejsca, gdzie na podłodze leżały jego zabawki. Uniósł żółte plastikowe pudełko i wysypał zawartość na podłogę.

McEvoy ożywiła się. To nie było to samo, co rozmowa z ofiarą gwałtu czy pobitą żoną. Zwróciła uwagę na nabożny szept, jakim zwracała się do chłopca babcia, i instynktownie wiedziała, że to błąd. A przynajmniej jeżeli chcieli wydobyć od niego jakieś informacje. Wiedziała, że musi zdobyć jego zaufanie.

- Nie możesz doczekać się Gwiazdki, Charlie? - Chłopiec sięgnął po gmby czerwony plastikowy sworzeń i zaczął przepychać go przez otwór w ministole roboczym. - Jestem pewna, że Święty Mikołaj przyniesie ci mnóstwo prezentów, jeżeli byłeś grzeczny - Chłopiec z przejęciem wsuwał sworzeń do otworu. McEvoy uklękła niedaleko niego. - Wydaje mi się, że grzeczny z ciebie chłopiec. - Sięgnęła po plastikowy śrubokręt i zaczęła go oglądać, a

Charlie popatrywał na nią ukradkiem. Starła się, by jej głos brzmiał swobodnie. - Ale byłbyś naprawdę grzecznym chłopcem, gdybyś opowiedział mnie i Tomowi o tamtym dniu, kiedy skrzywdzono twoją mamę... - Spojrzała na Enrightów. W oczach Mary zakręciły się łzy. Jej mąż siedział bez ruchu, z wzrokiem wbitym w podłogę.

Charlie Gamer milczał.

- Gdybyś chciał, na pewno opowiedziałbyś o tym swojej babci. Chciałbyś to zrobić?

Nie chciał...

McEvoy zaczęła się pocić i tylko po części wynikało to z gorąca panującego w pokoju. Brakowało jej konceptu. Chciała coś powiedzieć, ale powstrzymała się. Patrzyła tylko bezradnie, jak chłopiec podnosi się gwałtownie, mija ją i siada u stóp Thomea.

Thome spojrzał na Charliego i wzruszył ramionami...

- Cześć...

Charlie sięgnął po mały plastikowy piszczący młotek i zaczął zawzięcie tłuc nim w stopę Thome'a. Może to nerwy, a może sytuacja wbrew wszystkiemu wydała mu się zabawna, tak czy siak Thome wybuchnął śmiechem. Charlie też się zaśmiał.

- Walę młotkiem w twój but...

- Au... ała... auć! - Thome skrzywił się w wyrazie udawanego bólu, a kiedy chłopiec zaśmiał się głośniejsz, uznał, że chwila może być odpowiednia. - Czy pamiętasz tego pana, który był tam, kiedy skrzywdzono twoją mamę?

Śmiech nie ucichł, lecz odpowiedź na pytanie Thome'a była oczywista. Charlie już tylko odruchowo tłukł młotkiem w but detektywa. Popiskiwanie zabawki było jedynym dźwiękiem rozlegającym się w pokoju. Mary i Robert Enrightowie siedzieli sztywno na sofie, a Sarah McEvoy na moment wstrzymała oddech w obawie, by najlżejszy ruch nie zniweczył wszystkiego.

Thome mówił wolno i z powagą. Nie było konkretnego powodu, dla którego przyjął inną taktykę niż McEvoy. Właściwie nie było tu nawet mowy o taktyce. Instynkt podpowiadał mu, żeby zadawać dziecku pytania prosto, otwarcie i szczerze.

- Czy możesz powiedzieć mi, jak wyglądał ten pan, który skrzywdził twoją mamę?

Pięnięcie młotka. I kolejne. A potem lekkie wzruszenie chudych ramion. Thome widział ten gest u setek nastolatków. Byli wystraszeni, ale nie chcieli się do tego przyznać.

Może i coś wiem, ale nie będzie ci łatwo to ze mnie wydobyć.

- Czy był starszy niż ja? Jak sądzisz?

Charlie uniósł wzrok, ale zaraz wrócił do pracowitego uderzania młotkiem w but.

- Czy włosy miał takiego koloru jak twoje, czy ciemniejsze?

Żadnej reakcji. Thome wiedział, że traci kontakt z chłopcem.

Usłyszał pociągnięcie nosem i zobaczył, że starszy pan na sofie szlocha z chustką przytkniętą do oczu, a jego ramiona unoszą się i opadają spazmatycznie. Thome przeniósł wzrok na chłopca i mrugnął porozumiewawczo.

- Był wyższy od twojego dziadka? Założę się, że to pamiętasz.

Charlie przestał uderzać młotkiem. Wolno, ale zdecydowanie pokręcił głową. Thome zerknął na McEvoy. Uniosła brwi. Oboje myśleli o tym samym. Jeżeli zaprzeczenie było tak stanowcze, jak się wydawało, to sprawca nie pasował do opisu podanego przez Margie Knihgt. Thome zastanawiał się, kto był bardziej wiarygodnym świadkiem. Wścibska pracująca dziewczyna czy trzylatek? Już nieraz zdarzało się, że naoczni świadkowie go zawiedli. A więc może żadne z nich...

Wyglądało na to, że poza ruchem głową nie wyciągną nic więcej od Charliego. Uderzenia młotka stawały się coraz bardziej entuzjastyczne.

- Dobrze sobie radzisz z tym młotkiem, Charlie - pochwalił go Thorne.

Mary Enright, która także wyczuła, że „przesłuchanie” dobiegło końca, wtrąciła:

- To Bob Budowniczy Ma bzika na tym punkcie. Ciebie też tak czasem nazywa, prawda Bob? - Odwróciła się z uśmiechem do męża.

Robert Enright milczał.

McEvoy wstała, rozcierając ścierpnięte od klęczenia nogi.

- Tak, mój siostrzeniec też uwielbia tę bajkę. Cały czas śpiewa tytułową piosenkę, czym doprowadza rodziców do szału.

Mary podniosła się i zaczęła zbierać rzeczy, a Charlie tymczasem dalej robił swoje, tym razem wziął do ręki duży pomarańczowy śrubokręt.

- Mnie ona nie przeszkadza - ciągnęła Mary. - Ale ta bajka jest tak wcześnie. Puszczają ją o wpół do siódmej na kablówce.

McEvoy odetchnęła głęboko i pokiwała głową ze współczuciem.

Thome lekko, koniuszkami palców musnął ramię chłopca.

- Hej, Charlie, pomyśl choć trochę o swojej biednej babci, dobra? Wpół do siódmej? Powinieneś o tej porze jeszcze smacznie spać...

I wtedy Charlie Garner spojrział na niego błyszczącymi oczami, zaciskając w ręczce pomarańczowy śrubokręt.

- Moja mamusia zasnęła.

Pomimo wszystkich koszmarów, jakie w przyszłości nadejdą, pomimo ciał, tych świeżych i od dawna gnijących, to właśnie ten obraz, tak prosty i surowy, Thome będzie widział za każdym razem, kiedy zamknie oczy, jeszcze długo po zakończeniu śledztwa.

Twarz dziecka.

To już ponad tydzień, Karen, a wciąż mówią o tym w telewizji. Przestałem ją oglądać, żeby nic mnie nie zaskoczyło, gdy nie będę gotowy. Wiedziałem, że będzie o tym mowa w wiadomościach, kiedy ją znaleźli, ale sądziłem, że cały ten raban ucichnie... Sądziłem, że po paru dniach sprawa pójdzie w zapomnienie. Ludzie zawsze umierają, w ten czy inny sposób, nie spodziewałem się, że ta sprawa utrzyma się tak długo w newsach.

Mówią, że mają świadka. Ktokolwiek to był, musiał mnie widzieć, bo wiedzą, jakiego jestem wzrostu. Powinienem się martwić, Karen, ale tak nie jest. Po części chcę, żeby zobaczono mnie z bliska. Żeby ujrzano moją twarz.

Funkcjonariusz policji powiedział w telewizji, że to było „brutalne zabójstwo”. Że niby byłem brutalny. A przecież starałem się taki nie być. Wierzysz w to, prawda, Karen? Nie uderzyłem jej ani nic. Starałem się, aby to było szybkie i bezbolesne. Ale nie spodziewałem się, że powiedzą coś innego. Bo niby czemu? Przecież mnie nie znają...

To drugie, to w południowym Londynie... ledwie mogę o tym myśleć. Było straszne. I naprawdę brutalne.

Zadrapania już znikają, ale parę osób w pracy je zauważyło i mają teraz na mnie haka. Choć wątpię, aby zdecydowali się użyć go przeciwko mnie. Chichoczą tylko i szturchają mnie ze słowami: „To musiała być niezła kocica” albo „Nieźle przy tym hałasowała, co?”. No wiesz, jedno i to samo na okrągło. Ja się tylko uśmiecham i czerwienię, jak zawsze. O Boże, Karen, gdyby tylko wiedzieli.

Czasami tak sobie myślę, że może powinienem wyznać im wszystko. Dzięki temu byłoby po wszystkim, bo któryś z nich zawiadomiłby policję, a ja tylko siedziałbym i czekał, aż po mnie przyjdą. Poza tym w ten sposób choć niektórzy z nich zaczęliby myśleć o mnie w inny sposób. Znaleźliby sobie kogoś innego, by z niego podrwiwać. Z niejednej twarzy zniknąłby pogardliwy ironiczny uśmiezek, nie uważasz? Może nawet daliby sobie w ogóle spokój. Tak, chciałbym zobaczyć, jak cofają się przede mną trwożliwie, w milczeniu.

Chciałbym, aby się mnie bali.

Ale to ja się boję, Karen, i dobrze o tym wiesz. Zawsze tak było, czyż nie?

I właśnie dlatego nigdy im tego nie powiem. I dlatego nigdy, przenigdy nie podzielę się swoimi sekretami z nikim innym prócz ciebie i dlatego z całego serca modłę się o to, by Ruth była już ostatnia.

1984

Dopadli Bardsleya tuż przed bramą szkoły. Szło z nim kilku kolegów, ale jeden rzut oka na Nicklina i jego twarz wystarczył, by zwinęli żagle. Było wśród nich kilku piątoklasistów, o rok starszych od niego, i z przyjemnością patrzył, jak pierzchają w popłochu. Miał ich za śmierdzących tchórze i rzeczywiście nimi byli.

Obaj w jednej chwili rzucili się na Bardsleya. Palmer stanął przed nim, rozdygotany, z poczerwieniałą twarzą. Nicklin schwycił za pasek jego sportowej torby i wspólnie zaciągnęli go w krzaki.

Park ciągnął się wzdłuż głównego wejścia do szkoły. Wielu chłopców przechodziło tędy w drodze do i ze szkoły, szóstoklasiści często przyprowadzali tu dziewczyny z pobliskiej szkoły żeńskiej. To nie było miłe miejsce, zapuszczony trawnik do gry w kule, nieudana ptaszarnia i większe lub mniejsze grupki ponurych dzieciaków - palących papierosy, obściskujących się i podjadających chrupki.

Palmer i Nicklin popchnęli Bardsleya w stronę krzaków w pobliżu klatek dla ptaków. Chłopak chwycił się drucianej siatki przy najbliższej klatce. Znajdował się w niej gwarek, który wbrew wysiłkom wszystkich uczniów uparcie nie chciał nauczyć się kłąć, a tylko co kilka minut wydawał z siebie przenikliwy „wilczy gwizd”. Bardsley zaczął gwałtownie wierzgać. Palmer schwycił go za kołnierz blezera, który zaczął już się odrywać, i stanął tak, by wierzgające nogi tamtego nie zdołały go dosięgnąć. Nicklin postąpił naprzód i, nie zważając na bolesne kopnięcia martensami w golenie, z całej siły wyrzwał Bardsleya w twarz. Bardsley puścił siatkę i przycisnął obie dłonie do ociekającego krwią nosa. Nicklin, uśmiechając się, powalił chłopaka na kolana, kopnął go kolanem w szyję i przewrócił na ziemię.

Na znak Nicklina Palmer usiadł Bardsleyowi na piersiach i siedział, ciężko dysząc, czerwony na twarzy jak burak.

Bardsley cofnął rękę od twarzy i spojrzał na młodszego chłopca. Na zębach miał krew.

- Już, kurwa, nie żyjesz, Palmer.

Twarz Palmera poczerwieniała jeszcze bardziej, gdy sięgnął wielkimi łapskami, by schwycić Bardsleya za jasne przetłuszczone włosy.

- Co powiedziałeś o Karen?

- Kto to, kurwa, jest Karen?

Nicklin stanął za głową Bardsleya, opierając się plecami o drzewo, trzymając ręce w kieszeniach i stopą dociskając twarz Bardsleya do ziemi. Po chwili odchrząknął i strzyknął

strużką śliny na pokrwawione oblicze poniżej. Bardsley drgnął i zamknął oczy Kiedy znów je otworzył, zobaczył w ręku Nicklina pistolet.

Palmer i Bardsley jęknęli dokładnie w tej samej chwili. Bardsley z przerażenia na widok pistoletu, a Palmer z odrazą, gdy w kroczu chłopca, którego unieruchomił, pojawiła się rozszerzająca się wilgotna plama.

- On... się złał! - Palmer poderwał się i wskazał na ciemną błyszczącą plamę na szarych spodniach Bardsleya.

- No i świetnie. Odwróć go. - Palmer pokręcił głową. Nicklin zachichotał, gdy z klatki za nim dobiegł przeciągły gwizd gwarka. - Odwróć go, do kurwy nędzy...

Palmer nerwowo postąpił naprzód. Bardsley łypnął gniewnie na niego, usiłując niezdarnie podźwignąć się z ziemi, jedną ręką ocierając krew i kurz, drugą zasłaniając krocze. Z wściekłości głos mu się łamał, z trudnością powstrzymywał łzy.

- Nie żyjesz... już... kurwa... nie żyjesz. - Ale stracił zapał do walki i Palmer bez trudu przewrócił go na brzuch.

Nicklin podszedł i ukląkł obok Palmera, u stóp Bardsleya.

- Ściągnij mu spodnie.

Bardsley próbował się wyrywać, dopóki Nicklin nie pochylił się inie przytknął mu lufy pistoletu do szyi. Bardsley znieruchomiał, wyciągnięty płasko na ziemi.

- Dobra, złap z tej strony... - Nicklin schwycił go za spodnie i zaczął ciągnąć. Spojrzał na Palmera, który po chwili przyłączył się do niego i kilka sekund później spodnie i slipki Bardsleya zjechały mu do kostek.

- Patrz, kurde, ma niebieskie gacie...

- Stu, już wystarczy, co nie?

- Złał się w gacie jak baba. I chyba też trochę popuścił...

- Stuart...

Nicklin podał Palmerowi pistolet.

- Wetknij mu to w tyłek.

Na te słowa Bardsley nagle się ożywił i znów spróbował się uwolnić, jego pośladki zaczęły się unosić i opadać rozpaczliwie. Palmer cofnął się o krok, wlepiając wzrok w ziemię, ale Nicklin nachylił się do Bardsleya i rzucił ze śmiechem:

- No dalej, Bardsley, pokaż, jak to się robi. Ty parszywy zboku, umiesz tylko dymać ziemię, bo żadna dziewczyna nigdy ci nie da... możesz sobie pomarzyć...

Palmer obracał pistolet w dłoni. Nicklin spojrział na niego, uśmiechając się i upewniając, że ten uśmiech uspokoi Palmera, i dopiero wtedy sposepniał. Wydawał się pełen powagi. Zatroškany. Pokręcił głową.

- Martin, on mówił, że zrobi to z Karen.

Bardsley raz jeszcze próbował powiedzieć, że nie ma pojęcia, kim jest Karen, ale głos uwiązł mu w gardle.

Nicklin szeptał, jakby zwierzał się przyjacielowi ze wstydlwego sekretu. Jakby mówił mu coś, czego nie chciał, lecz musiał mu powiedzieć.

- Opowiadał, co z nią robi, Mart. Okropne rzeczy. W dodatku obrażał ją w najbardziej niewybredny sposób. Te wszystkie epitety...

Palmer zacisnął grube palce na kolbie pistoletu i ukląkł ciężko na łydkach Bardsleya.

- Mówił, że robiłeś z nią różne rzeczy... dotykałeś jej cycków...

Palmer wcisnął lufę pistoletu między blade pulchne pośladki Bardsleya i przytrzymał. Bardsley zachlipał.

Nicklin wyszeptał:

- Dalej, Martin!

Palmer spojrział na piegowaty trzęsący się zadek Bardsleya, obawiając się choćby spojrzeć na chłopaka tuż obok. Bał się podniecenia swego przyjaciela. Widział, jak bliźniacze wałeczki tłuszczu na jego spoconym torsie drgają pod wpływem gwałtownego bicia serca. Czuł smak potu ściekającego mu do ust. Wiedział, że powinien odrzucić pistolet jak najdalej, podnieść się i pobiec przez park, nie oglądając się za siebie, poza pole do gry i boisko, nie zatrzymując się, dopóki nie znajdzie się w domu...

Nicklin położył dłoń na jego ramieniu i lekko ścisnął, a kiedy gwarek tuż za nim zaskrzeczał przeciągle, Palmer nacisnął spust.

Bardsley wrzasnął, kiedy uwolniony ładunek sprężonego powietrza wystrzelił niewielką śrucinę, pogrążając ją głęboko w jego ciele.

4

Podróż powrotna pociągiem z Londynu trwała pół godziny krócej niż w pierwszą stronę, ale ciągnęła się w nieskończoność. Przez dwadzieścia minut Thome i McEvoy starali się zagajać rozmowę, ale w końcu odpuścili. On sięgnął po gazetę, którą czytał, ona przeszła do wagonu dla palących.

Thome zamknął oczy i bezskutecznie usiłował zasnąć.

McEvoy nie wróciła.

Thome dotarł do Hendon po szóstej. Becke House znajdował się w Peel Centre, rozległym ośrodku, gdzie także szkolono policjantów. Rekruci uwijali się tam jak w ukropie, ucząc się zakładać kajdanki i poznając procedurę. Ale czegoś się uczyli.

Przez pierwsze miesiące przebywała tam również ekipa BBC kręcąca dokument o nowym narybku. Któregoś dnia w kasynie Thome, rozmawiając z reżyserem, zasugerował, że powinien on znów spotkać się z adeptami za rok lub dwa lata i sprawdzić, jak żółtodzioby radzą sobie w nowym fachu. Reżyser przyjął jego radę z przesadnym entuzjazmem. Thome zakończył rozmowę i pomyślał: facet nawet się nie spodziewa, jak bardzo się zdziwi. Tego filmu na pewno nie pokażą przed dwudziestą drugą...

Thome ruszył w stronę gabinetu. Postanowił spędzić tu trochę czasu. Lepiej uniknąć powrotu do Kentish Town i korków w godzinach szczytu. To była dla niego dostatecznie przekonywająca wymówka.

W biurze zastał tylko Hollanda skulonego przed komputerem. Pomimo ciężkiego dnia Thome mu nie zazdrościł. Mimo że konstabla wysłano na dwa kursy, to o komputerach wiedział tyle co nic. Jedyne linki, które potrafił odnaleźć w okamgnieniu, to strony klubu kibica Tottenham Hotspur FC i łącze pomocy technicznej.

- Gdzie szef?

Holland uniósł wzrok i przetarł zaczerwienione oczy.

- Na spotkaniu z nadkomisarzem.

- Chryste - Thome pokręcił głową - przecież dopiero zaczęliśmy.

- Gdzie McEvoy?

- Pewnie pływa się w gorącej kąpieli...

Holland pokiwał głową.

Thome zauważył, jak bardzo tamten wydawał się zmęczony.

- Jedź do domu, Dave. Zaczniemy od nowa rano.

- Tak, może to i lepiej, zanim palec wskazujący od klikania myszką odmówi mi posłuszeństwa. - Przestał się śmiać, gdy wyobraził sobie oblicze Sophie, kiedy przestąpi próg.

- Skończę tylko, co zacząłem...

Tydzień pracy nad śledztwem i żaden z nich nie chciał wracać do domu. Obaj lękali się wyrazu swoich twarzy.

Thome otworzył drzwi do gabinetu, który dzielił z Brigstockiem, i odczekał parę sekund, zanim zapalił światło. Po ciemku pokój wyglądał znacznie lepiej. Kto mógłby pracować efektywnie w tak dusznej ciasnej szarej klitce albo jeszcze mniejszej, za ścianą, gdzie umieszczono Hollanda i McEvoy? Wyświechtany stary dywan, brudnożółte ściany i

poobijane brązowe biurka jak dwa kawałki drewna unoszące się z prądem na wezbranej rzece. Nie było tu żadnych roślin doniczkowych, zdjęć rodzinnych czy bibelotów; nic nie mogło powstrzymać tego pokoju od wysysania życia z Thome a, przytępienia jego emocji.

W tym gabinecie zdarzały się dni, kiedy zapominał, czym się zajmuje.

Zapalił światło i zobaczył raport z autopsji leżący na biurku.

No, powiedzmy, że tak do końca o nim nie zapomniał...

Sarah McEvoy pocieszyła się kieliszkiem wina, kolejnym papierosem i pomyślała, że płacz przychodzi jej z łatwością.

Nie potrafiła myśleć o chłopcu z Birmingham inaczej niż o potencjalnym świadku i tak jej zdaniem być powinno. Zdawała sobie sprawę z braku uczuć. Niekoniecznie matczynych czy kobiecych. Zwyczajnie ludzkich. Była wściekła z powodu tego, co spotkało matkę chłopca. Gniew był zawsze natychmiastowy i potężny. Aż kręciło jej się od tego w głowie. Gniew był przyjemny, ale współczucie nie przychodziło jej równie łatwo.

To nie w porządku. Czowała, że jej zachowanie poddano ocenie. Może nawet teraz Thome opowiadał Hollandowi, jaka z niej... nieczuła suka. To, że była kobietą, tylko pogarszało sprawę. Przywykła do tego, ale wciąż ją to złościło. Albo nieczuła, albo nadwrażliwa. Dziewczyna albo chłopczyca. Zimna lub emocjonalnie niestabilna. O kobietach takich jak ona mówiono zwykle „zimna ryba” albo „nieczuła suka”.

Tom Thome na pewno nie rozczulał się nad nikim. Ona natomiast kilka razy obudziła się z przeświadczeniem, że płakała przez sen. Mimo iż miała podpuchnięte oczy i nie była tego stuprocentowo pewna, czuła się kompletnie wypompowana. Nie zamierzała pytać nikogo o szczegóły, gdyby zdarzyło się jej przez to kiedyś kogoś obudzić. W takiej sytuacji rozmowy ograniczone były do minimum, aby jak najszybciej uwolnić się od niepożądanego towarzystwa.

Wiedziała, co pomyśleliby sobie na ten temat jej koledzy z pracy. Tymczasem niech to dla nich pozostanie w sferze czystych domysłów. Nie była oziębła, w grę wchodziła więc już tylko druga opcja, czyż nie? Tylko jeden krok dzielił osobę „seksualnie aktywną” od „seksualnie aktywnej z przełożonym z pracy”. Wciąż wielu było takich, co uważali, że kobieta zdobywa awans tylko wtedy, gdy rozłoży nogi przed kim trzeba.

No jasne. Nic więcej nie trzeba robić. Tylko rozłożyć nogi i patrzeć w szklany sufit, leżąc na wznak... To nie ich sprawa, a wybór należał tylko do niej. Stały partner to teoretycznie plus i przydaje się na imprezach, ale ona z doświadczenia wiedziała, że rzadko oznaczało to regularny seks, a tego właśnie potrzebowała. Chciała, by ktoś jej pragnął i od czasu do czasu ją wykorzystał, bo miało to także swoje dobre strony.

Zerkała na program telewizyjny i zastanawiała się, co by tu zjeść, ale i tak wiedziała, że prędzej czy później mszy w miasto. Myślała o tym przez całą drogę w pociągu. Wpatrując się w swoje odbicie w ciemnej szybie przedziału, wypalając papierosy aż do filtra, starała się zabić czas. Może nawet wybierze się na spacer. To było zaledwie o piętnaście minut marszu. Idąc wzdłuż torów od Wembley Park, mogła dotrzeć do Harlesden.

Najpierw jednak musiała się przebrać. Ludzie, których spotka, jak ci w pociągu, na pewno nie będą wiedzieli, czym się zajmuje, ale wołała nie ryzykować.

Przy blasku lampy na biurku Thome starał się myśleć o śmierci, lecz raz po raz dekoncentrowały go wizje związane z życiem. Choć próbował skupić się na raporcie z autopsji Ruth Murray, wciąż widział twarz Charliego Gamera patrzącego na niego od stołu sekcyjnego lub wyglądającego zza drzwi kostnicy.

W końcu pojął, co go tak zaniepokoiło, kiedy Charlie spojrział na niego nagle, kilka godzin temu. Wychwycił to od razu, ale minęło trochę czasu, nim zrozumiał, co właściwie ujrzał w oczach dziecka. A w tych błyszczących brązowych oczach ozdobionych długimi rzęsami Thome spostrzegł powątpiewanie.

Moja mamusia zasnęła...

Uśmiech był szeroki i piękny, ale w oczach czaiła się niepewność. W uśmiechu kryła się nadzieja, lecz oczy zdradzały świadomość, wiedzę, z której posiadania Charlie Garner nawet nie zdawał sobie sprawy. Kto mógł go za to winić? Teraz to dziecko już nigdy nie będzie niczego pewne. Dostało surową lekcję i stało się to zbyt wcześnie.

Za każdym razem, gdy Thome widział tę twarz, iskierka powątpiewania rozpalala się coraz silniej...

Kiedy zadzwonił telefon na biurku, Thome drgnął nieznacznie, a zerkając na leżącą przed nim kartkę, stwierdził, że przez pół godziny wpatrywał się w słowa „krwawe wyboczyny w spojówkach”...

- Inspektor Thome...

- Mówi Phil. Czytałeś?

- Jestem w trakcie. Musiałem... to i owo przemyśleć.

- Jak poszło w Birmingham?

Thome odetchnął głęboko i odchylił się wygodnie w fotelu. Powinien był wcześniej pojechać do domu. Nawet gdyby nie wpakował się w korki, dotrze do Kentish Town najwcześniej o dziesiątej. Gdyby spędził tu kolejnych kilka godzin, oznaczałoby to późne położenie się spać i wstanie w fatalnym humorze. Hendricks tymczasem wydawał się

rozluźniony. Thome wyobrażał go sobie ze stopami opartymi o obitą czarną skórą kanapę w stylu lat 60., podczas gdy w kuchni jakiś skin szykował dla obu kolację.

- Aż tak źle? - spytał Hendricks.

- Słucham?

- W Birmingham. Nieważne, jutro mi opowiesz. Mam dla ciebie dobre wieści. Złap tę łajzę, a my go zapuszczujemy. Pod paznokciami Ruth Murray miała sporo fragmentów własnych tkanek, ale i obcych również. Jutro będziemy mieć gotową analizę.

To naprawdę były dobre wieści. Teraz mógł wrócić do domu w dobrym humorze.

- Nie musiałeś przeprowadzać badań zaschniętych łez, którymi tak się podniecałeś?

Hendricks parsknął.

- Nie. Prawdę mówiąc, byłoby z tym za dużo zachodu. Mogłoby się nam udać, gdyby gość nosił soczewki kontaktowe.

Thome a to zaintrygowało.

- To brzmi ciekawie...

- To oczywiste. Obce ciało w oku powoduje silne podrażnienie, dzięki czemu w wydzielinie łzowej pojawiłoby się więcej materiału komórkowego. Rozumiesz? Albo jeszcze lepiej, gdyby podczas płaczu kapało mu z nosa...

- Wolę nie wiedzieć...

- Teraz to i tak tylko dyskusja akademicka.

- Nie ma mowy o Noblu?

- Może kiedyś, stary.

Thome złożył raport i zaczął pakować kartki do aktówki.

- Nieważne, i tak dowiedzieliśmy się czegoś na jego temat... - Żadnej reakcji. Thome usłyszał, jak ktoś rozmawia z Hendricksem; stłumiona odpowiedź przyjaciela, a potem dłoń zsunęła się z mikrofonu słuchawki. - Wybacz, Tom, kolacja już prawie gotowa - głos Hendricksa zniżył się do szeptu. - Mam tu naprawdę niezłe ciacho, stary. Ma świetny tyłek i w dodatku wybornie radzi sobie w kuchni. Co mówiłeś?

- O łzach. Zastanawiałem się, czego dzięki nim dowiedzieliśmy się na temat sprawcy.

- Wiemy, że był w lepszym nastroju niż wtedy, gdy zabił Carol Gamer.

Thome wstał i zamknął aktówkę. W najlepszym wypadku dotrze do domu za kwadrans dziesiąta.

- No jasne...

- Nie, mówię serio. Przejrzyj raport, masz to tam czarno na białym. Musiał się uspokoić, czy jakoś tak. A może to coś, czym ten skurwiol się napędza, przestało działać.

Atak był zupełnie inny. Kość gnykowa jest nietknięta, chrząstki tylko nieznacznie uszkodzone...

Thome poczuł świerzbienie. Lekki dreszcz na karku i grzbiecie. Zaparło mu dech. To było prawie erotyczne odczucie.

Coś, co nie dawało mu spokoju, powróciło, ukazując mu się w pełnej krasie. Znow usiadł, otworzył aktówkę i wyjął z niej raport.

- Powiedz to raz jeszcze, Phil, tylko powoli. - Otworzył raport i przerzucał strony tak gwałtownie, że rozdarł kilka z nich. Miał coraz bardziej przyspieszony i płytki oddech, w miarę jak Hendricks zmieniał tę sprawę w coś innego, znacznie bardziej złożonego.

- Dobra... zewnątrz oba ciała, Murray i Gamer wyglądały podobnie, ale od środka wszystko wygląda inaczej. Ruth Murray zmarła wskutek powolnego, długotrwałego nacisku na tętnicę szyjne. Możesz to nazwać silnym, uporczywym przyduszeniem. W wypadku Carol Gamer było inaczej. Miała na potylicy sińce w miejscu, gdzie uderzała o podłogę, kiedy ją duszono. To było... brutalne i gwałtowne. Z Ruth Murray tak nie było. Może sprawca wyzbył się gniewu. Może to jego wzorzec. Ty mi to powiedz, stary...

I wtedy Thome zrozumiał. To nie był jego wzorzec...

Łzy. Łzy potężnego mężczyzny na ciele porzuconym na ulicy. Ciało mniej poturbowane, śmierć zadana ze smutkiem, oplakiwana z żalem. A gdzie indziej dziecko tulące się w domu do okrwawionej, pokrytej sińcami i wybroczynami szyi zmasakrowanej kobiety. Papierek po batoniku, porzucony...

Czy był wyższy od twojego dziadka?

Charlie Gamer stanowczo kręcący głową.

- Phil, mogę do ciebie oddzwonić?

Choć skonany, Holland wciąż jeszcze nie poszedł do domu. Wyraz twarzy Thome a, który wparował jak burza do jego pokoju, sprawił, że konstabl nieomal poderwał się na nogi.

- Te przypadki z ofiarami pchniętymi nożem... opowiedz mi o nich. - Głos Thome a był cichy, zrównoważony, ale wyczuwało się w nim coś jeszcze, podniecenie lub może zgrozę.

- Sir?

Thome krążył nerwowo po pokoju, usta mu się nie zamykały.

- Dwie kobiety zasztyletowane tego samego dnia. Chyba w lipcu. Tak mówiłeś. - Thome ruchem głowy wskazał komputer. Z trudem zachowywał spokój. - Chcę poznać szczegóły.

Holland obrócił się na fotelu i zaczął stukać w klawisze, próbując przypomnieć sobie szczegóły.

- Jedna chyba w Finchley. Druga gdzieś dalej, na południe... o ile dobrze pamiętam... - Na ekranie pojawiły się właściwe dokumenty, Holland przyglądał się im przez chwilę. - Tak, w Forest Hill... - Przejrzał cały dokument, kręcąc głową. - Nie... nie... to niemożliwe. Nie mógłby zabić ich obu.

Thome skinął głową i wyjrzał przez okno. Jego wzrok przykuł snop iskier buchający spod kół pociągu jadącego z Colindale na południe; kołyszące głowy w jasno oświetlonych wagonach powoli znikwały w dali.

- Nie zrobił tego.

Holland patrzył na niego i czekał. Thome stał sztywno, jakby połknął kij, i mówił powoli, ale Holland zauważył, że jego przełożony nerwowo zaciska i rozluźnia pięści.

- Noże mogły być podobne, choć niekoniecznie... nie wiem... to bez znaczenia. Układ i głębokość ran, a przede wszystkim ich liczba będą różne u każdej ofiary. Podobnie będzie z przebiegiem każdego z tych zabójstw.

Holland powrócił wzrokiem do ekranu i znów zaczął stukać w klawisze, odnajdując raporty koronera i techników sądowych, podczas gdy Thome mówił dalej:

- Jedna z kobiet umarła wskutek licznych ran kłutych. Zadanych brutalnie, bezlitośnie, w niekontrolowany, niepohamowany sposób. Druga zapewne zginęła od jednego tylko ciosu w serce albo...

Holland znów się odwrócił. Wyraz jego twarzy powiedział Thorneowi wszystko, co chciał wiedzieć...

Brigstocke odebrał już po pierwszym sygnale.

- Russell Brigstocke... - Cichy głos zdradzający zniecierpliwienie.

- Mówi Tom...

- Inspektor Thome... - Powtórzone dla wiadomości osoby trzeciej. Spotkanie z nadkomisarzem Jesmondem zapewne zmieniło się we wspólną kolację. Tym lepiej.

- Mamy coś. Powiedz o tym Jesmondowi. To prawdziwy przełom, na pewno mu się spodoba. - Odwrócił się, by napawać się tym wspólnie z Hollandem, ale konstabl z przejściem czytał treść raportu widocznego na ekranie. Próbował to wszystko ogarnąć i zrozumieć głębszy sens. - Powiedz mu, że mam dla niego dobrą i złą wiadomość.

- Słucham - wycedził Brigstocke.

- Wydaje mi się, że nie szukamy jednego sprawcy. - Thome spodziewał się chwili ciszy i tak też się stało. A potem:

- Chcesz powiedzieć, że te zabójstwa mogą nie być ze sobą powiązane?

- Bynajmniej. Są ze sobą ściśle związane. Nie mam co do tego wątpliwości.

Thome wyobraził sobie teraz wyraz twarzy Brigstocke a. Z trudem musiał powstrzymać ekscytację, jakby miał zaraz eksplodować. Zastanawiał się, co pomyśli o tym Jesmond. Zapewne trzyma w dłoni kieliszek wina i ze zdziwieniem obserwuje dziwny wyraz twarzy nadinspektora.

Brigstocke rzucił ze zniecierpliwieniem:

- No dobrze, więc co konkretnie chcesz powiedzieć? Ze masz nowy trop w sprawie zabójcy?

Thome odparł krótko i rzeczowo:

- Zabójców, Russell, liczba mnoga. Jest ich dwóch.

1985

Tę chwilę będzie pamiętał już zawsze. Karen siedząca na nasypie, odgarniająca za ucho kosmyk włosów i Stuart uśmiechający się, jak zawsze przeżuwający batonik i patrzący na coś w oddali; jego ciemne oczy zdawały się poszukiwać kolejnej fascynującej przygody.

A on zerkał to na nią, to na niego, zdenerwowany, ale szczęśliwy, promienie słońca oślepiły go, a przed jego twarzą unosiła się chmara komarów...

Ta chwila sprawiła, że cofnął się w myślach o dwa lata. Do tamtego dnia z kijem do krykieta. Tego dnia, kiedy po raz pierwszy zobaczył Karen. Wtedy, kiedy jeszcze on i Stuart chodzili do tej samej szkoły. Zanim zrobili użytek z wiatrówki.

Po incydencie z Bardsleyem on i Nicklin mieli się już nie spotykać. Po wydaleniu ze szkoły zadano sobie sporo trudu, by ich rozdzielić, i przez pewien czas Palmerowi było to nawet na rękę. Policja powiedziała ich rodzicom, że byłoby lepiej dla wszystkich, gdyby trzymano ich z daleka od siebie. Mówiono o „złym wpływie” i „uległości”. Brakowało mu jednak ekscytacji, nieprzewidywalności i ucieszył się, kiedy Stuart, gdy znów zaczęli się widywać, wyjawiał, że też za tym tęsknił. Poza tym w towarzystwie Karen zawsze czuł się pewniej, gdy był w pobliżu Stuart.

Karen była od niego starsza, w wieku Stuarta, ale Stu nie umiał jej rozbawić tak jak on. To zawsze on sprawiał, że wybuchała śmiechem od tamtego dnia, kiedy przeszła przez otwór w siatce, by zobaczyć, co zrobili z żabą. Bywały chwile, kiedy widział ich dwoje szepczących między sobą, palących papierosy albo idących wzdłuż torów, kiedy czuł, że nie powinno go tutaj być. Wtedy jednak Karen zatrzymywała się, uśmiechała do niego i prosiła, aby zrobił głupią minę, zaczął parodiować głosy czy coś w tym rodzaju, co już po chwili rozbawiało ją do łez. Niekiedy miał wrażenie, że z niego żartowała, ale nie miał nic

przeciwko temu. Wiedział, jak bardzo był ważny dla niej i dla Stuarta. Widział całą ich trójkę dobranych, wiernych przyjaciół, a porośnięty trawą nasyp przy torach zmieniał się w starannie przycięty trawnik w college u, ogród na tyłach domu każdego z nich... a w końcu w rozległy zieleniec w Heath, w Londynie, dokąd kiedyś zabrała go mama, i wyobraził sobie, że we troje siadawali tam na ławce, wychodząc na spacer z psami, a może nawet z dziećmi.

Palmer na tyle, na ile potrafił to pojąć czternastolatek, był zakochany po uszy.

Karen wstała i rozejrzała się we wszystkie strony, po czym na wpół zbiegła, na wpół zsunęła się w dół nasypu. Udawała, że zaraz wpadnie na Nicklina, a on udał wystraszonego. W ostatniej chwili uskoczyła, a Nicklin zatoczył się do tyłu, chwytając ją, pokrzykując i śmiejąc się, jedną ręką mocno ścisnął jej pośladek.

Palmer też się zaśmiał i machnięciem ręki odegnał od siebie chmarę komarów, po czym ruszył za przyjaciółmi, którzy, paląc papierosy, zacierali w stronę poczerńiałych, zniszczonych kolejowych budynków widocznych w oddali.

Gdy znaleźli się w starej, nieużywanej już szopie, jak zwykle spenetrowali ją w poszukiwaniu oznak, że ktoś w nim zamieszkiwał. Niekiedy sypiali tam bezdomni. To miejsce wciąż cuchnęło moczem i tanim piwem. Kilka razy napotkali tam resztki ogniska, a także puste puszki, stare strzykawki, a nawet zużyty kondom, który Nicklin wziął do ręki i przez chwilę uganiał się z nim za Karen.

Dziś miejsce to wydawało się jeszcze bardziej opustoszałe niż zazwyczaj. Jak zawsze barłogi i ogólny nieład. Cała góra petów, parę starych gazet i gnijący zrolowany dywan, na którym kiedyś sypiali bezdomni.

Wielkie końskie muchy wzbijały się chmarą nad ich głowami, gdy Palmer zaczął ciskać kamieniami, by wytluc ostatnie odłamki szkła sterczące z framug. Nicklin zgasił papierosa i rozejrzał się dokoła, wypatrując czegoś, co mogłoby go zainspirować, Karen zaś spacerowała opodal, nucąc pod nosem najnowszą piosenkę Duran Duran; jej dźwięczny głos odbijał się echem od obskurnych ścian.

- Dalej. Rozpieprzmy tu wszystko w cholerę. - Nicklin kopnął pustą butelkę. Poszorowała po betonowej podłodze i roztrzaskała się oprzeciwną ścianę.

Palmer wydał radosny okrzyk.

- Moglibyśmy rozpalić ogień...

- A może wszyscy postawmy klocka - rzekła Karen i wyszczerzyła się do Nicklina. Wybuchnął śmiechem, a Palmer odwrócił się zapłoniony. Nie lubił, kiedy tak mówiła. Niekiedy zdarzało jej się załatwić potrzebę wśród wysokich traw i, szczerze mówiąc, czuł się wówczas nieswojo.

- To nudne - powiedział Nicklin. - Poza tym na lunch były jajka. Nawet gdybym chciał, nic by z tego nie wyszło. - Wyluskiwał z paczki kolejnego silk cuta. Karen wyciągnęła papierosa z kieszonki dżinsowej kurtki i podeszła do niego. Wyjęła papierosa z ust Nicklina, aby przypalić swojego.

Kiedy Palmer się odwrócił, Karen i Nicklina już nie było. Na chwilę się wystraszył, ale zaraz usłyszał ich rozmawiających o czymś na zewnątrz. Wyrzwał przez wybite okno w stronę przeciwnego nasypu. Był tam internat, w którym mieszkał Stuart, i widywał ludzi wysypujących tam śmieci, pozostawiających odpadki na zielonym trawiastym stoku. I wypróżniających się równie często jak Karen i Nicklin.

Mimo to wciąż kochał to miejsce. Wiedział, że wśród korzeni wielkiego dębu była lisia nora. U stóp tego samego drzewa znalazł kiedyś pisklę sójki, całe sine i popiskujące żałośnie, nawołujące matkę. Wiedział, gdzie można znaleźć największe jeżyny i jaki gatunek motyli przywabiały budleje rosnące praktycznie wszędzie, wiedział też, gdzie można znaleźć padalce i zaskronce kryjące się pod rdzewiejącymi arkuszami blachy falistej...

Zdziwił się, gdy usłyszał obok siebie czyjeś kroki i chrzęst szkła pękającego pod butami. Odwrócił się pospiesznie, by ujrzeć tuż obok siebie Nicklina uśmiechającego się, jakby w końcu wymyślił coś naprawdę wyjątkowego.

- Karen chce to z tobą zrobić - oznajmił rzeczowym tonem. Palmer nie odpowiedział. Nicklin zaciągnął się dymem i czekał, wzruszając ramionami. - Mam jej powiedzieć, że nic z tego, bo nie potrafisz sprostać temu zadaniu?

- Chce pójść na całość? - spytał Palmer piskliwym tonem, z trudem łapiąc powietrze.

- Tak powiedziała. Robiła to już z innymi, jest doświadczona pod każdym względem, dla niej to nic wielkiego. Pewnie ci też obciągnie...

- Przesunął dłonią po włosach. Na lato ostrzygł się na zapałkę.

- Co miałbym zrobić?

- Po prostu ją przeleć, stary.

Parsknięcie i śmiech. Głos Nicklina też był piskliwy, ruchy nerwowe. Pełne podniecenia...

Palmer odwrócił się, by na niego spojrzeć, dłonią dotykał krocza.

- No... też tego chcę. Ale czy ona chce, żebym wyszedł na zewnątrz, czy raczej...? No mów, Stu, jak ma być? - Nieudolny, wyszkolony uśmiech. Byli przyjaciółmi. Nie było się czego bać.

- Po prostu go wyjmij. Ona pewnie już ściągnęła majtki. Pójdę po nią. - Nicklin pstryknął niedopałka w kąt i wyszedł na zewnątrz.

Kilka sekund później Palmer usłyszał go, jak szepcze do Karen, z boku przed budynkiem. Wyteżył słuch, by wychwycić odgłos zdejmowanego ubrania, dźwięków, które w jego wyobraźni zawsze musiały poprzedzać seks, cichy zduszony jęk i urywany oddech.

Jedyny oddech, jaki usłyszał, był jego własnym; przyspieszony, rozpaczliwy, aseksualny, kiedy rozpiął pasek i sięgnął do rozporoka. Odwrócił się od wejścia i utkwiał wzrok w ścianie, próbując się uspokoić. Starał się nie myśleć o rzeczach, które ona z nim zrobi. Na brudnej szarej ścianie ktoś nieudolnie narysował członek. Spojrzał na swój o wiele mniej imponujący penis i zaczął rozmasowywać czerwone ślady na brzuchu pozostawione przez wpijający mu się w ciało pasek.

Usłyszał jakiś dźwięk u wejścia, za nim. Jej głos był w stanie zakończyć wszystko, zanim się na dobre zaczęło.

- Jesteś gotowy, Martin?

Ujął członek w dłoń, prawie nieświadomie. Zaczął pojękiwać z cicha i pieścić się, a po chwili obrócił się na pięcie, by na nią spojrzeć. Uśmiechnął się.

Karen i Nicklin stali u wejścia z otwartymi ustami, objęci, czekając na najlepszy moment, by wybuchnąć śmiechem. Karen nie wytrzymała, ale jej śmiech ucichł niemal zaraz po tym, jak wydobył się z jej ust. Odwróciła wzrok. Nicklin zawył przeciągle, klepiąc się po bokach, tak jak Palmer widywał to na filmach. Nicklin dostrzegł wyraz twarzy swojej ofiary i śmiejąc się, wycedził pogardliwie:

- Kurwa, Palmer, to był tylko żart. Ja żartowałem...

Karen znów spojrzała na niego.

- Jezu...

Nicklin z niesmakiem wskazał na krocze Palmera, a Palmer odruchowo zacisnął palce na wiotkim pomarszczonym penisie. Karen oparła się o framugę.

- Jezu, Martin...

- Aleś nią wstrząsnął - rzekł Nicklin. Karen zaczęła cichutko popłakiwać, a z głosu Nicklina zniknęła nuta rozbawienia. - Naprawdę nią wstrząsnąłeś, ty dumy matole. Nie znasz się na żartach, popaprańcu jeden...

Nie pozostało mu nic innego jak ucieczka. Powinien był skorzystać z tej możliwości tamtego dnia w parku i latem, rok wcześniej, i kilkanaście razy pomiędzy oboma tymi incydentami.

Biegł, nie zadając sobie trudu, by się ubrać, obiema rękami podciągał spodnie, gdy wypadł jak burza z rudery, mijając niskiego, czarnowłosego chłopaka rozrywającego zębami opakowanie batonika i stojącą obok szlochającą dziewczynkę w niebieskiej sukience.

Biegł w stronę zielonego trawiastego nasypu.

Biegł z pochyloną nisko głową w stronę budynku szkoły z internatem. Ocierając łzy, przedarł się przez połąć wysokich traw i z tupotem przemknął po arkuszu zardzewiałej blachy falistej.

Biegł, by znaleźć się jak najdalej od gniazda węży, z którego przed chwilą się wydostał.

5

- Jak to pracują razem?

To było pierwsze pytanie, jakie ubiegłego wieczoru Brigstocke zadał mu przez telefon i powtórzył teraz przed całą grupą. Zebrali się w większym z dwóch biur. Brigstocke, Thome, Holland i McEvoy. Sedno sprawy, która wcześniej zdawała się jedną z wielu podobnych, ale w ciągu jednej nocy okazała się wyjątkowa.

Odpowiedź Thome a brzmiała tak samo jak kilka godzin wcześniej. Nie miał pojęcia, o co w tym chodzi, ale liczył, że wspólnie wpadną na coś, dzięki czemu wysiłki setek funkcjonariuszy i pracowników cywilnych zajmujących się sprawą zostaną zwrócone we właściwym kierunku. Setek ludzi pracujących dzięki przemysłowi zbrodni...

- Wydaje się, że zabójcy oddzielnie wybierają ofiary. - Brigstocke wyglądał, jakby miał za sobą nieprzespaną noc. Thome też prawie nie zmrużył oka, ale nie był naciskany przez Jesmonda. Thome spojrzał na inspektora i stwierdził, że nie warto walczyć o awans. Nie potrzebował kazań takiego urzędnika jak Jesmond. Znał życie od podszewki i nie chciał, by ktoś mu tłumaczył, z której strony kromka posmarowana jest masłem.

Brigstocke wychylił się do przodu, splatając palce na blacie stołu, przed sobą, głos miał nieco ochryply, lecz zarazem ponaglący i przenikliwy.

- Dowody wskazują, że mają całkiem odmienne osobowości, różnią się zarówno pod względem wyglądu, jak i psychiki, ale musimy wiedzieć, jak... współdziałają, Czy atakują ofiary wspólnie i każdy z osobna zabija jedną z nich? A może jeden z nich morduje, a drugi stoi wtedy na czatach...

- To raczej mało prawdopodobne - rzekł Holland. Thome także tym razem zdumiał się, ile pewności siebie nabrał konstabl przez miniony rok.

Brigstocke pokiwał głową.

- Proszę dalej, Holland...

- Margie Knight nic nie wspominała o drugim mężczyźnie... ani nikim innym, kogo mogła widzieć w pobliżu ofiary, a i Charlie Gamer nie mówił, że tamtych było dwóch.

- Porozmawiaj jeszcze z Margie Knight - rzekł Brigstocke. Odnalazł spojrzenie Thome a.

- Zadzwoń do Enrightów. - Thome miał nadzieję, że nie będzie już musiał więcej z nimi rozmawiać. A przynajmniej dopóki nie będzie miał im do zakomunikowania pomyślnych wieści. Ale Holland ma rację, chłopak nic nie mówił o drugim mężczyźnie.

W zupełności wystarczył jeden, prawda Charlie?

- Myślę, że zapominamy tu o czynniku czasu. - McEvoy wydawała się równie zmęczona jak Brigstocke. Thome spojrzał na nią z ukosa i stwierdził, że wcale nie wygląda lepiej. - Mogli zabić Carol Gamer i Ruth Murray razem albo przynajmniej byli wtedy razem, kiedy została zamordowana, ale zgony w lipcu niemal nakładają się na siebie izabójstw tych dokonano w miejscach oddalonych od siebie o wiele kilometrów. Każdy z nich musiał działać sam.

- Zgadzam się z tym - rzekł Thome. Tego akurat był pewien.

- W porządku, zatem należy przypuszczać, że chociaż zabijali tego samego dnia, dokonali tego samodzielnie, ale wcześniej musieli starannie zaplanować te zbrodnie. Na miłość boską, musieli się spotkać, aby wszystko uzgodnić, ustalić daty...

Thome pokręcił głową.

- Wydaje mi się, że w tej sprawie wszelkie przypuszczenia są z gruntu niewskazane.

Całkiem możliwe, że mężczyźni, których szukali, nigdy się nie spotkali. Thome czytał o parze morderców w Stanach, którzy dokonywali zabójstw osobno, a kręciło ich późniejsze dyskusowanie na ten temat. Konfrontowali się telefonicznie i przez internet i w ten właśnie sposób omawiali dobór ofiar. Motywowali się wzajemnie i już po wszystkim wymieniali spostrzeżenia. Robili to samo, ale nigdy się nie spotkali.

Thome zadrżał, kiedy przypomniał sobie, że jeden z morderców tuż przed śmiercią, zanim zaaplikowano mu zabójczy zastrzyk, życzył powodzenia swemu partnerowi w zbrodni. Jeżeli prawdą jest, przynajmniej w kwestii finansowej, że kiedy w USA kichają, Wielka Brytania dostaje kataru, czy nie odnosi się to także do innych spraw?

McEvoy wyjęła i zapaliła papierosa.

- Wspomniał pan, że zabójcy różnią się pod względem psychiki. Czy nie byłoby wskazane sprowadzić eksperta od opracowania profilu seryjnych zabójców?

Brigstocke wskazał głową na papieros, a potem na okno. McEvoy westchnęła, wstała i podeszła do okna, podczas gdy Brigstocke odpowiedział na jej pytanie.

- Byłem już w Instytucie Kryminalistyki... - McEvoy otworzyła okno i skrzywiła się. Trzecie piętro, grudzień, powietrze było dość chłodne.

- Jezu... - Holland odwrócił się i skrzywił, patrząc na McEvoy Zaciągnęła się mocno, mruknięła „przepraszam” i wydmuchnęła dym za okno.

Brigstocke mówił dalej:

- Obaj eksperci od profilu seryjnych zabójców, których nam rekomendowano, są obecnie zajęci przy innych sprawach...

Thome, dygocąc, sięgnął po skórzaną kurtkę przewieszoną przez oparcie krzesła.

- Co cię zabije szybciej, bierne palenie czy zapalenie płuc? To jakiś absurd...

McEvoy raz jeszcze zaciągnęła się dymem, wyrzuciła niedopałek za okno i zamknęła je.

- Cieniasy - rzuciła drwiąco, wracając do stołu. Kiedy ponownie usiadła, odnalazła spojrzenie Brigstocke a i mówiła dalej, jak gdyby nigdy nic. - Powiada pan, obu ekspertów. Czyżby w tym kraju było ich tylko dwóch? W ogóle?

- Dwóch, których nam polecono. Tak. Właśnie tak.

- To jakiś absurd. - Brigstocke wzruszył ramionami. McEvoy pokręciła głową z niedowierzaniem. - Och... niechże pan nie przesadza, eksperci od seryjnych morderców to nie spirytyści. Parają się jedną z uznanych dziedzin nauki. Prawda?

Spojrzała na Thornea, szukając u niego wsparcia. Postawiła na niewłaściwego konia.

- Nie sądzę, Saro, aby to był dobry czas na dyskusje o wadach i zaletach ekspertyz specjalistycznych. A zresztą niezależnie od wszystkiego, jak słyszałaś, ci specjaliści są obecnie zajęci.

- Nie moglibyśmy znaleźć kogoś innego?

Holland uśmiechnął się do niej.

- Pójdę po książkę telefoniczną, dobrze?

Brigstocke położył kres tej dyskusji.

- Posłuchajcie, gdybyśmy sami znaleźli jakiegoś specjalistę, którego nie ma na liście ekspertów sądowych, i spieszylibyśmy sprawę, nazajutrz zdegradowano by nas do stójkowych. Nikt nie chce, by do tego doszło. Niepotrzebna nam zła prasa.

Thome podniósł wzrok znad leżącego przed nim notatnika, w którym niedbale gryzmolił.

Trzy pary oczu. Dwoje nakreślonych grubymi czarnymi krechami, duże oczy ociężkłych powiekach, lodowate. Jedna para jaśniejsza, ciemne oczy mniejsze, z długimi rzęsami...

- A skoro o prasie mowa - powiedział. - Co zdaniem Najwyższej Władzy jest nam potrzebne?

Thome domyślał się tego, ale chciał to usłyszeć od samego nadinspektora. Takich decyzji nie podejmowali ludzie jego pokroju. On musiał tylko chwytac ludzi, którzy przysparzali policji zlej prasy.

Brigstocke odpowiedzial dziwnie obco brzmiącym glOSEm. Zatracyl czastke siebie pomiedzy sala odpraw a gabinetem nadkomisarza. W rozmowie w cztery oczy z Thome em mOwyl to, co myslal, ale w obecnoSci nizszych szarz ton glOSu Brigstocke a pozostawal nieodgadniony.

- Rozmawialem juz z Jesmondem i na dzis po poludniu wyznaczono konferencje prasowa. Zakladam, ze to on zrelacjonuje prasie nasze dotychczasowe osiagniecia.

W odpowiedzi Hollanda nie bylo az takich niejasnoSci.

- To glupie. Uwazam, ze nie powinniemy ujawniac tego prasie. Fakt, ze wiemy, iz jest dwOch zabojcow, to nasz jedyny atut...

Thome owi po trosze ulzylo, ze Holland wciaz jest taki naiwny.

- No prosze, Holland. Brawo. Nadal myslisz jak rasowy policjant. Natomiast nadkomisarz Jesmond... - Brigstocke usmiechnal sie niechetynie - ma swoje obowiazki i zdaje sobie sprawe, ze dla opinii publicznej dwaj dzialajacy oddzielnie mordercy sa bardziej przerazajacy niz wspolpracujaca ze soba para...

Gdy tego sluchal, Thome poczul, ze ogarnia go stary, dobrze mu znany lek. Byl pewien, ze dwaj mezczyzni, ktorzy scigaja, okaza sie oniebo bardziej niebezpieczni niz cala banda pospolitych opryszkow imordercow razem wzietych.

Kiedy spotkanie dobieglo konca, Thorne, Brigstocke, McEvoy i Holland opuścili gabinet w milczeniu, kazde z nich na swOj sposob staralo sie uporac z waga i znaczeniem zadania, jakie mieli przed soba. Jezeli nawet nie znali odpowiedzi na wiele pytan, jedno nie ulegalo watpliwosci. Musieli dopasc tych mordercow jak najszybciej, zanim pojawia sie kolejne ciała i Phil Hendricks znOw bedzie mial pelne rece roboty. Bo teraz musialby sie zajmowac dwoma ofiarami na raz.

Jane Lovell, trzydziestodziewiecioletnia rozwodka, wykrwawila sie na smierc w cieply lipcowy wieczor, na pustej parceli przy Wood Green, N 22, w londyńskim Haringey. Wlascnie dlatego piec miesiecy pozniej, w pewne szczegolnie chlodne poniedzialkowe popoludnie, majac za soba dlugi weekend pelen spraw organizacyjnych, harmidru i calego tego szajsu, Thome znalazl sie w centrali Grupy do spraw Przestepstw Szczegolnych (Sektor Wschodni). Tutejsze zespolo mialy w swej pieczy terytorium dziesieciu dzielnic, w tym Haringey.

Thome, trzęsąc się z zimna w zadymionym pokoju w Edmonton, siedział naprzeciwko jednego z najbardziej zadufanych w sobie kretynów, jakich miał nieszczęście spotkać od dłuższego czasu.

- Twierdzi pan, że powinniśmy szukać zbieżności? Bóg jeden wie dlaczego. Szczerze mówiąc, nie dostrzegam większej zbieżności między tymi dwoma waszymi... jak się one nazywały?

- Carol Gamer i Ruth Murray.

Inspektor Derek Lickwood pokiwał głową i wydmuchnął ustami kłęb papierosowego dymu.

- Tak. To wszystko wydaje mi się mocno naciągane, ale to pańska sprawa.

Miał na sobie drogi, dobrze skrojony garnitur i odchylił się w brudnym plastikowym krześle, jakby to był obity skórą fotel. Włosy miał czarne, zaczesane do tyłu, twarz prawie przystojną. Zarówno podbródek, jak i nos były ciut przyduże, podobnie jak jabłko Adama, które unosiło się i opadało raptownie, kiedy mówił. Nie wiedzieć czemu, kierował swoje komentarze w przestrzeń nad głową Thome'a.

- Kiedy jednak jakaś sprawa mnie dotyczy, robię się nerwowy - ciągnął Lickwood. - Nie przepadam za ludźmi, którzy ponoć są moimi kolegami, a którzy wparowują tu, sugerując, że mój zespół, a co za tym idzie, także ja, moglibyśmy spisywać się lepiej. To mnie drażni.

Thome po pobieżnym tylko przejrzaniu akt Jane Lovell wiedział, że trudno byłoby komukolwiek spisać się gorzej od nich. Zrobiono tylko to, co konieczne, i nic poza tym. Wszystko zgodnie z procedurą, bez odrobiny włożonego serca. Dwa dni po śmierci Jane Lovell trop mogący doprowadzić do jej zabójcy był zimny jak ona sama.

Thome wiedział, że reakcja Lickwooda jest sztuczna, udawana. Ot typowa buńczuczna i gniewna obrona oficera, który obawia się, że zostaną ujawnione jego niekompetencja i niedociągnięcia. Thome miał wielką ochotę grzmotnąć Lickwooda w te zacięte usta i wiedział, że robiąc to, dałby z siebie wszystko. Wiedział jednak, że jeśli chce cokolwiek uzyskać, musi postępować zgodnie z zasadami dyplomacji. Jedni nazywają to dyplomacją, dla drugich to po prostu zwykłe mydlenie oczu.

- Jeżeli chodzi o Jane Lovell i Katie Choi, ofiarę z Forest Hill, najprawdopodobniej jedynym ogniwem łączącym jest...

- Właśnie. - Lickwood wychylił się do przodu i szturchnął teczkę leżącą na blacie przed Thome'em. - Przyjrzelśmy się zabójstwu Katie Choi, to oczywiste, ale ją dosłownie zarżnięto. Jane Lovell zmarła wskutek pojedynczego pchnięcia nożem w serce. Tej Choi w

ogóle nie dało się rozpoznać. Facet prawie urznął jej głowę. Skąd pomysł, że te zbrodnie są ze sobą powiązane?

Thome pokiwał głową. Związki. Kiedy „chore” znaczyło tyle co „spaczone”, przydzielano tę sprawę jemu.

- Z pozoru tych spraw... nic nie łączy. - Thome starannie dobierał słowa. - Jedyne ogniwo łączące, patrząc na tę sprawę z perspektywy, to fakt, że te kobiety zostały zabite przez dwóch mężczyzn, którzy prawdopodobnie się znali.

- Prawdopodobnie - prychnął Lickwood szyderczo.

- W Londynie nie dochodzi do wielu zbrodni, które możemy złożyć na karb zbiegu okoliczności. Dwie kobiety zaszytowano tego samego wieczoru. Cztery miesiące później dwie kobiety uduszono, obie w dniu śmierci przechodziły przez duże dworce. Myślę, że w miarę rozwoju swojej mozolnej działalności ci dwaj zawężają parametry działań. Zwiększają liczbę punktów zbieżnych...

Lickwood spojrział w przestrzeń nad głową Thome a.

- Proszę wybaczyć, ale nie nadążam.

Thome domyślał się, co tamten o nim sądził. Miał go za cwaniaka.

- Jeżeli to swego rodzaju gra, wydaje mi się, że próbują ją sobie utrudnić. - Thome nie mógł powstrzymać uśmiechu, gdy Lickwood skinął głową. Ten drobny gest mający świadczyć o jego bystrości i otwartości tylko potwierdził tępotę policjanta. W tym momencie Thome bardziej niż kiedykolwiek miał ochotę mu przywalić. Złamać skurwielowi nos. Wystarczyłoby nawet lekkie klepięcie...

- Od czego chce pan zacząć? - spytał Lickwood, znowu się ożywiając.

Thome na dobrą sprawę już zaczął. McEvoy i Holland ponownie przesłuchiwali nielicznych świadków, a zwłaszcza Michaela Murrella, który pracował w kinie w centrum handlowym Wood Green, gdzie Jane Lovell była tuż przed swoją śmiercią. Murrell opisał dokładnie mężczyznę, którego widział kręcącego się przed kinem; facet wyglądał, jakby na kogoś czekał. Po odnalezieniu większości osób będących tego wieczoru w kinie tego jednego wciąż nie udało im się odszukać. Stworzono portret pamięciowy, który naturalnie trafił do akt, ale Thome chciał sprawdzić, czy po pięciu miesiącach Michaelowi Murrellowi nie zaczęła szwankować pamięć. Chciał też się przekonać, co inspektor Derek Lickwood miał do powiedzenia na temat pewnego zeznania.

- Proszę opowiedzieć mi o Lyn Gibson...

Lickwood wydmuchnął dym przez nos w geście dramatycznego rozdrażnienia. Wyraźnie bawił się papierosem jak rekwizytem, ale tylko się w ten sposób pograżał. Był piekielnie tępy.

- Moim zdaniem to kompletna szajbuska. Chyba kręcił ją cały ten dramatyzm, a może ma słabość do policjantów. Przychodziła tu co dziesięć minut, nie dając nam spokoju i wypytując o postępy w sprawie.

- Była przyjaciółką Jane Lovell...

- Tak mówiła...

- Uważała, że Jane była nękana przez kogoś z pracy?-

- W jednej chwili była nękana, w następnej ona sama kogoś nękała. Gibson nie mogła się zdecydować, kim była jej koleżanka, prześladowczynią czy ofiarą, i co za tym idzie, nie miała pojęcia, co się właściwie wtedy działo. Najogólniej rzecz biorąc, uważała, że należałoby się przyjrzeć pewnemu facetowi, z którym pracowała Jane, ale nie wiedziała, o kogo chodzi. Jane nie wymieniła jego nazwiska i to kolejny powód, dla którego nie potraktowaliśmy tej sprawy całkiem serio.

- Nawet tego nie sprawdziliście? Nie porozmawialiście z ludźmi z jej pracy?

- Wszystko jest w aktach.

Thome doskonale znał ich zawartość. Przez większą część soboty iniedzieli przekopywał się przez raporty na temat Jane Lovell i Katie Choi. Kałuże zaschniętej krwi na jałowej ziemi. Rany kłute. Setki ran kłutych. Kolejny weekend z lekturą lekką, łatwą i przyjemną.

Przeczekał Lickwooda.

- Bez nazwiska to była strata czasu. Firma jest dość duża. Pytaliśmy tu i tam, sprawdzaliśmy to miejsce, wzięliśmy pod lupę parę osób, ale nie pytając wprost, czy ktoś z ich pracowników nie nękał czasem kobiety, która właśnie została zamordowana, nic nie mogliśmy zrobić.

Thomesowi trudno było zachować choćby pozory szacunku wobec rangi tego mężczyzny.

- A co z kanałami nieoficjalnymi? Przecież musiały krążyć jakieś plotki. Nie mogliście zająć się sprawą od tej strony?

Lickwood znów odchylił się do tyłu, tak mocno, że z ledwością utrzymywał równowagę, jeszcze trochę, a wyładowałby na tyłku.

- W tym właśnie sęk, stary. Przecież odnaleźliśmy jej ciało, czyż nie? Znaleźliśmy ją pokrojoną jak indyka o sto metrów od Wood Green High Road. Iw całym biurze nie plotkowano o niczym innym, jak właśnie o Jane Lovell...

Dave Holland rzadko chodził do kina. On i Sophie woleli spędzić wieczór, oglądając film z wypożyczalni kaset wideo, i jeżeli nawet czasami zastanawiał się, czy czegoś nie traci, jeden rzut oka na obskurne, wyłożone brudną, lepiącą się do podeszew butów wykładziną wnętrza Odeonu w Wood Green wystarczył, by przekonać go o wyższości Blockbuster Video nad salą kinową.

Michael Murrell był wysokim chudym Murzynem po trzydziestce, który zakasłał, by obwieścić swoje przybycie, strzepnął z rękawa marynarki nieistniejący pyłek i oschle oświadczył, że może poświęcić Hollandowi najwyżej pięć minut. Holland nie potrzebował aż tyle czasu, by zrozumieć, że posada pracownika obsługi kina to szczyt kariery, jaką miał przed sobą Murrell. Szorstkość rekompensował biegłością i nieporównywalną wiedzą na temat wyników sprzedaży popcornu. Mógł powiedzieć konstablowi, ile kubeków prażonej kukurydzy, zarówno na słodko, jak i na słono, sprzedano w ubiegłym miesiącu i czy za serowym nachos przepadali mężczyźni czy raczej kobiety. Holland nie był urzeczony osobowością tamtego, ale odetchnął z ulgą. Cokolwiek było powodem jego osobliwego oddania pracy, pan Murrell wydawał się wiarygodnym świadkiem. Twierdził, niekoniecznie bezpodstawnie, że wciąż pamiętał doskonale tamtego mężczyznę, który kręcił się pod kinem przed pięćmioma miesiącami.

- Pearl Harbour z Benem Afileckiem i Kate Beckinsale. Seans zaczął się dwadzieścia po ósmej, film o ósmej trzydziści pięć, skończył się dwadzieścia po dziesiątej. Mam dobrą pamięć, panie władzo, wciąż widzę jego twarz - rzekł z przekonaniem w głosie Murrell, patrząc na Hollanda zza grubych szkieł okularów - Widzi pan, utkwił mi w pamięci, bo nie tyle wydawał się szemrany czy podejrzany, ile raczej... śmiertelnie przerażony.

Sarah McEvoy paliła wprawdzie jak lokomotywa, ale nie mogła równać się z Lyn Gibson. Lyn pracowała dla małej firmy PR w Putney, w całym budynku obowiązywał absolutny zakaz palenia. Stały na parkingu, odmrażając sobie tyłki od dwudziestu minut, a wokół ich stóp zebrało się już sporo niedopalków.

Te, które należały do Lyn Gibson, łatwo było rozpoznać. Miały ślady czerwonej szminki. Było ich w sumie cztery. Tylko dlatego, że jej usta były zajęte, nie powiedziała jak dotąd wiele o śmierci swej przyjaciółki. Nadal był to dla niej trudny temat. McEvoy wiedziała, że nie należy jej naciskać. Pięć miesięcy w Grupie do spraw Przepięstw

Szczególnych to sporo. Wiele ciał. Dla przyjaciół i krewnych ofiar pięć miesięcy było jak krótka chwila.

- Jane nie była święta, ale trudno też powiedzieć o niej coś złego.

Lyn mówiła powoli, wypowiadając oderwane, niepowiązane ze sobą zdania, jakby szukała ukojenia w tym katalogu rzeczy prawdziwych, w gruntownej analizie charakteru swojej przyjaciółki. - Zawsze się śmiała. A w każdym razie ze mną. Choć wiem, że miewała też czasem chandrę i lubiła sobie popłakać...

Dopiero kiedy McEvoy wspomniała o pracy Jane Lovell, Lyn Gibson się ożywiła. A potem z przejściem zaczęła opowiadać o mężczyźnie, który, jak twierdziła jej przyjaciółka, nie dawał jej spokoju. Jane przyznała, że z nim flirtowała, może nawet trochę go podpuszczała, ale tylko dla żartu. Nigdy nie była nim naprawdę zainteresowana.

- Było w nim jednak coś, co ją niepokoiło. Nie potrafiła tego sprecyzować, a kiedy zaczynałam ją wypytywać, nabierała wody w usta, jakby ją to przerażało. Nigdy nie powiedziała mi, jak się nazywał ten gość. Ale powinna go pani odszukać. Wiem, że ten palant Lickwood ma mnie za wariatkę, ale ja znałam Jane. Rozumie pani...?

Na McEvoy zrobiło to wrażenie. Ta kobieta była wściekła, ale umiała nad sobą zapanować. Rozległ się gardłowy śmiech, kiedy Lyn Gibson włożyła do ust kolejnego papierosa, a gdy go zapaliła, McEvoy spostrzegła odbicie płomyka we łzach, które zbierały się w jej oczach.

- Mówiłam jej, żeby przenocowała u mnie. Ale ta kretyńska wolą własne łóżko. - Znów się zaśmiała i ten śmiech przerodził się w napad kaszlu. Zaciągnęła się dymem i przetrzała oczy wierzchem dłoni. - Powiem pani coś naprawdę głupiego. Ten film, na którym byliśmy tamtego wieczoru. To był straszny chłam. Kompletna bzdura. Po prostu szajs...

To zdumiewające, że coś tak prostego jak lampki choinkowe w Kentish Town mogło rozpaść serce i ducha Thome'a. Znajdowali się daleko od jaskrawo, udekorowanych Oxford Street czy Brent Cross, ot zwykłe sznury białych lampek rozciągnięte nad ulicą, ale po dwóch godzinach w towarzystwie Dereka Lickwooda widok ten zdecydowanie poprawił mu humor.

Thome lubił Boże Narodzenie. Nie był tak podekscytowany jak w dzieciństwie, ale przecież wszyscy tak to odczuwali. Był jedynakiem, a święta zawsze stanowiły dla niego szczególny okres. Teraz mógł pozwolić sobie na cynizm, kiedy świąteczne dekoracje zaczynały pojawiać się w sklepach tuż po Wielkanocy, i zastanawiać się, ile szło na to pieniędzy, ale zawsze miał nadzieję, że w święta sypnie śniegiem, a chór dzieci śpiewających kolędy wyciskał z jego oczu łzy.

Ten krótki moment przedświątecznej radości przyćmił nieco fakt, że po powrocie do domu Thorne znalazł w swojej skrzynce jedną i jak dotąd jedyną pocztówkę z życzeniami od kierownictwa restauracji Bengal Lancer z podziękowaniem za kolejny rok stołowania się u nich. Równie dobrze mógł im podziękować za kartkę z załączonym kalendarzem, zamawiając jakieś danie z dostawą do domu.

Podchodząc do stolika przy drzwiach, gdzie stał telefon, Thome zauważył mrugającą lampkę w automatycznej sekretarce. Wcisnął klawisz, a po kilku sekundach na dźwięk głosu ojca nacisnął przycisk „stop”. Thome wiedział, że nagrana wiadomość nie będzie mieć większego znaczenia, ot jeszcze jedna niekończąca się litania żalów, że nie pokwapił się zadzwonić. Thome sięgnął po słuchawkę.

Od śmierci matki, dwa i pół roku temu, relacje między Thomeem a Jimem Thome em polegały na absurdalnym, patologicznym wręcz zamięłowaniu ojca do kretyńskich zagadek i jeszcze głębszych żartów oraz ponurej akceptacji wszelkich win syna wynikającej z faktu, że dystans pomiędzy nimi wynosił ponad czterdzieści kilometrów dzielących północny Londyn i St Albans.

Wymuszony śmiech i natychmiastowe poczucie winy Potem zwykle opowiadany był żart.

- Tom, wiesz, dlaczego ET tak się kołysze, idąc?

- Mów, tato...

- Bo ma jedną nóżkę bardziej.

I znów to poczucie winy, tym razem wynikające z faktu, że jak co roku w rodzinie zastanawiano się, gdzie spędzi święta ojciec Thome a. Ostatnie dwa spędził z Thome em w Londynie, podobnie jak w poprzednich kilku latach, kiedy byli jeszcze we troje. Dni, kiedy było ich czworo i wymieniali prezenty - perfumy oraz skarpety, zajadali się zimnym indykiem i wyklócali o przemówienie królowej, a potem zasypiali przy Wielkiej ucieczce, wydawały się bardzo odległe. Dni przed udarami, wizytami w szpitalu i smutkiem, który zmieniał ludzi na zawsze.

Dni przed romansami.

Teraz byli już tylko ojciec i syn i wydawało się, jakby ojciec wymagał odrobiny umizgów niczym kobieta. Miał siostrę w Brighton, której imię przez cały rok nie było wymieniane, a potem w tajemniczy sposób pojawiała się w rozmowie, w tym samym mniej więcej czasie, kiedy w telewizji wyświetlano pierwsze świąteczne reklamy Woodwortha. Thome znał rutynowe zdanie: „Wiem, że masz masę zajęć, dajmy sobie spokój”, które co roku słyszał od ojca. To był dla nich swego rodzaju rytuał, który Thome przyjmował jako coś

oczywistego. Owszem, mógł pojechać do Eileen... może tak byłoby łatwiej dla wszystkich... nie chciał sprawiać nikomu kłopotów... obiecał opowiedzieć mu o swoich planach, kiedy tylko już coś zostanie ustalone...

Thome zdawał sobie sprawę, że jego stary miał już wszystko dokładnie zaplanowane.

Zanim kolejna porcja najlepszego w Kentish Town kaszmirskiego jedzenia została popita dwoma puszkami belgijskiego piwa, Thome przestał złościć się na ojca. Nadszedł czas, by skontaktować się z McEvoy i Hollandem.

Holland powiedział Thomeowi, że porównał opisy podane przez Margie Knight i Michaela Murrella i, choć były zbliżone, Murrell upierał się, że tamten facet nosił okulary.

- Dobra, teraz skonfrontujemy Knight i Murrella - rzucił Thome.

- Może dzięki temu uzyskamy coś konkretnego.

McEvoy potwierdziła, że przydałoby się sprawdzić wersję Lyn Gibson. W biurze, gdzie pracowała Jane Lovell, coś się działo i należało się temu przyjrzeć. Czy nie było możliwe, że przynajmniej jeden z zabójców zaczął od kogoś, kogo znał? Thome był tego samego zdania i choć według Lickwooda to była strata czasu, zamierzał się tym zająć. Postąpiłby tak, nie bacząc na opinię sierżant McEvoy, aby zrobić Lickwoodowi na złość. Jeżeli nie mógł mu dowalić, to przynajmniej go wkurzy.

Rozmawiając z McEvoy, Thome pozbierał z podłogi kartonowe pudełka z restauracji. Elvis, jego kotka, mruczając, ocierała się o jego nogi. Odziedziczył ją z jej kretyńskim imieniem rok temu w dość niezwykłych okolicznościach podczas sprawy „Kokon”. Elvis była dość nerwowa, ale nie wpływało to na jej apetyt.

Thome zabrał śmieci do kuchni. Nie mógł powiedzieć, że lubił to mieszkanie, ale przynajmniej starał się utrzymać w nim jaki taki porządek.

Wrzucił zaschnięte resztki kolacji do kosza, a w głębi duszy wyobraził sobie, jak jakaś kobieta chwali go za ład, jaki utrzymywał w mieszkaniu.

Sarah McEvoy powiedziała sierżantowi, że spotka się z nim jutro, i wyłączyła telefon. Uśmiechnęła się do Dave'a Hollanda, który niecałe dwie minuty temu powiedział i zrobił dokładnie to samo.

Ogłoszono ostatecznie zamówienia. Holland spojrzął na zegarek, a potem na McEvoy. Skinęła głową i sięgnęła po papierosa, podczas gdy on zabrał obie puste szklanki i zaczął się przepychać przez tłum w stronę baru.

Thome siedział, rozmyślając o minionym dniu, nie było tłumów, które mogłyby uniemożliwić mu wypicie piwa.

To był dzień pełen jęczących syren. Częściej niż zwykle zwracał uwagę na aż nazbyt znajomy dźwięk rozbrzmiewający co kilka minut, to zbliżając się, to oddalając od niego. Efekt Dopplera jednej ledwie usłyszanej syreny i zaraz rozlegała się następna. Może zdarzył się jakiś straszny wypadek. Katastrofa pociągu. Pożar na stacji metra. A może to po prostu kolejny dzień w mieście, które Thome jednakowo kochał i nienawidził.

Radiowozy i karetki jeżdżące na sygnale po ulicach miasta.

Odgłosy Londynu.

Thome przeniósł wzrok na ekran telewizora. Kalejdoskop rozdygotanych, chaotycznych obrazów nie był go w stanie zainteresować. Wpół do pierwszej w nocy, a w telewizji pokazywano jakąś nie całkiem ubraną kobietę nawołującą do nieznanym mężczyznom na ulicy. Thome nawet nie próbował zrozumieć, o co w tym wszystkim chodziło. Widział jedynie twarz, która wydawała mu się dziwnie znajoma. Było to zmęczone, poszarzałe oblicze widoczne na zakurczonym ekranie w chwilach, gdy na szczęście od czasu do czasu kalejdoskop obrazów zastępowała nieruchoma błogosławiona czerń.

Na dworze było zimno, zanosilo się na śnieg.

Thome siedział w mieszkaniu, gapiąc się na swoje odbicie w szkle. I zastanawiał się, co Charlie Gamer chciał dostać na Gwiazdkę.

1986

Nawet później, kiedy nadeszła zima, wołał pozostać na ulicy. Na wolnym powietrzu. Zdawał sobie sprawę, że nadejdą takie dni, naprawdę ciężkie dni, kiedy z zimna zaczną odmarzać mu jądra i będzie zmuszony spędzić noc w noclegowni. Słyszał opowieści paru starych przyków, skończonych durniów, w dodatku alkoholiczków, o tym, że bywały noce, kiedy materiał spodni przymarzał im do nóg i musieli zlać się w gacie, aby je rozmrozić. Może gdy zrobi się naprawdę zimno, wróci do przytuliska na miskę gorącej zupy i kazanie o miłości bożej. Ale dopóki nie spadnie śnieg, będzie sypiał pod chmurką. Surowe warunki mają swoje prawa, a on próbował się do nich dostosować.

I jak zawsze umiał znieść dużo bólu.

To miejsce było naprawdę niezwykle. Istny labirynt chodnika, korytarzy i tuneli. Małe betonowe sznurze gniazdo dla gnieźdzących się w nim ludzkich sznurów. Dopiero nocą kartonowe miasto na dobre budziło się do życia. Aby należycie docenić twarze - oczy gorejące szaleństwem, pękające wrzody, brudne pozlepiane brody - musiał się przyjrzeć im w blasku ognia płonącego w starej blaszanej beczce. Za dnia w tej okolicy rządili deskorolkowcy, ale z nastaniem zmroku wynosili się stąd wraz ze swoimi deskami i wracali do domu na kolację, a ich miejsce zajmowały ludzkie śmieci. Takie jak on.

Zjawił się tu niedawno. Z początku było mu dobrze w przytulisku i zwykle zarabiał dość, by starczyło mu na nocleg w Endell Street Spike w Covent Garden, on jednak nie znosił półśrodków. Na świeżym powietrzu czuł się najlepiej, a poza tym podobało mu się życie tuż poniżej South Bank i Royal Festival Hall oraz National Theatre, w mieście z kartonów, gdzie wszystko napędzane było mocnym piwem i rozpaczą.

Na razie musiało mu wystarczyć żebranie. Będzie mieć dość czasu, by się w tym wyspecjalizować, ale na razie parę funtów dziennie w zupełności mu wystarczało. Miał na gazetę i puszkę czegoś do picia i na batony które dawały mu energię.

Szczerze wierzył, że we wszystko, co się robi, trzeba włożyć całe serce, w przeciwnym razie mija się z celem. Jako żebrak sprawdzał się znakomicie. Szybko się przystosował. Nie stał jak zbity pies z wyciągniętą przed siebie ręką. Wkładał w to, co robił, sporo wysiłku. Owszem, był bystrzejszy od innych, no i miał zaledwie szesnaście lat, ale w tym, co robił, nie było żadnej wielkiej filozofii, prawda? Trzeba było po prostu przekonać klienta, że nie ma innego wyboru niż dać forszę. Nie należało przy tym zachowywać się agresywnie, to głupie i szkoda było niepotrzebnie marnować energię. Chodziło o to, by być naturalnym, a odrobina poczucia humoru też nie zaszkodziła. Skoro ja potrafię śmiać się ze swojego położenia, stary, to ty też możesz sięgnąć do kieszeni i wyłuskać z niej funciaka, aby mi go rzucić. Wielkie dzięki, psze pana.

A tych pieprzonych japiszonów było na to stać.

Teraz wiedział już, że odejście było w jego wypadku słuszną decyzją. Pół roku temu spakował manatki, zwijając z portmonetki matki pieniądze. Wtedy jeszcze nie miał pewności, ale czuł, że to nie jest miejsce dla niego.

Musiał odejść.

Wciąż myślał o Palmerze i Karen. Myślał o nich częściej niż o własnej matce. Raz przyśnił mu się ojciec, ale starał się o nim nie myśleć.

To było głupie. Tęsknił nie tyle za nimi, ile za tym, co wraz z nimi robił, i za odczuciami, jakie temu towarzyszyły. Palmer i Karen byli jak jego wiatrówka, noże albo kij do krykieta. Byli jak rzeczy, których używał.

Noc była ciepła. Położył się na wznak z głową na plecaku i spojrzał w górę poprzez kondygnacje schodów i przejść na coś, co błyskało i poruszało się na szczycie Hayward Gallery. Ktoś mu mówił, że kolory zmieniały się wraz z kierunkiem wiatru. Sztuka przez duże S, rjiówili. Jego zdaniem jeden wielki szajs...

Nad mostem Waterloo wisiał księżyc w pełni. Widział postacie przechodzące wolno przez most, popatrujące na lewo i prawo, podziwiające widoki i rzekę. Tandeciarze. To nie

stamtąd rozciągał się najcudowniejszy widok, nie stamtąd można było podziwiać najwspanialszą panoramę Londynu. Widać ją było z miejsca, w którym on teraz leżał, z poziomu ulicy zasłanej odchodami i pełnej kartonowych pudeł ze śpiącymi w nich pijakami i ćpunami. To miasto ożywiało się, w miarę jak spadało się coraz niżej, a on zaczynał się do niego dostosowywać.

Martin i Karen...

Wyobrażał ich sobie w tamtej poczerńiałej szopie przy torach, w parku, w centrum handlowym albo błakających się wśród cieni i zakamarków betonowych tuneli i wiaduktów, gdzie go poszukiwali, idąc jego tropem. Martin, z wielkimi rękami trzepoczącymi w dzikiej panice, potrzebował odrobiny ukojenia, potrzebował, by ktoś się nim zajął. Karen śmiała się z niego, drwiła z jego niezdumienia i obaw.

Nicklin zapadł w sen i śnił o tym, że pieprzy się z nimi obojgiem.

6

Baynham Smout było dużą firmą zajmującą się poradnictwem księgowym, a jej przeszklone wejście przy Shaftesbury Avenue sąsiadowało z wytwórniami filmowymi i domami wydawniczymi, o rzut kamieniem od Chinatown i Soho. Jeżeli księgowy, wydając ciężko zarobione pieniądze, chciał zjeść na lunch miseczkę zupy słodkokwaśnej i przeżyć parę chwil płatnej rozkoszy, to było idealne miejsce do pracy.

Thome siedział na olbrzymiej obitej czarnej skórą sofie, podziwiając stonowane, lecz stylowe obrazy wiszące na białych ścianach. Zerknął na Hollanda siedzącego w fotelu naprzeciw niego, przeglądającego czasopisma wzięte z przeszklonego stolika do kawy. Zastanawiał się, ile kosztował wystrój tego holu, zapewne więcej niż wszystkie meble w jego mieszkaniu. A może nawet więcej niż całe jego mieszkanie...

Pochwyił spojrzenie jednej z dwóch uroczych młodych recepcjonistek siedzących przy wielkim biurku z orzecha po drugiej stronie holu. Uśmiechnęła się.

- To nie potrwa długo - zapewniła.

Gdy jej słowa przebrzmiały echem odbitym od szkła i marmuru, jej koleżanka również uniosła wzrok i posłała mu uśmiech.

Thome pokiwał głową. Jedna z nich pracowała tam od niespełna pięciu miesięcy...

Zamknął oczy i ujrzał obraz, wspomnienie zdjęcia z jego stale powiększającej się galerii. Leżała na boku, z prawą ręką pod ciałem, a lewą uniesioną nad głową jak uczennica zgłaszająca się do odpowiedzi. Brakowało jej jednego pantofla na obcasie, leżał o kilka

metrów dalej, w pokrzywach, a na jej cienkiej letniej spódniczce lśniła rosa. Była żółtobiała niby stara kość, pogryziona, a potem porzucona przez olbrzymiego psa. Ubranie wisiało na niej jak strzępy skóry i tkanek, włosy przywodziły na myśl jasne pasma chrząstek. Krew z rany na piersi - jedyna wyraźna barwa - zaschła przez noc i miała kolor starego mięsa.

Thóme zerknął na dwie dziewczyny zajęte przy komputerach, kiedy nie odbierały dzwoniących niemal bez przerwy telefonów. Zastanawiał się, która z nich przyszła na miejsce Jane Lovell.

- Sean Bracher... bardzo przepraszam.

Thome uniósł wzrok, by zobaczyć elegancki garnitur, wyciągniętą dłoń i usta pełne śnieżnobiałych zębów. Holland już poderwał się z miejsca, a Thome po chwili uczynił to samo. Chwył swoją starą skórzaną kurtkę i ruszył, zamierzając pójść za Bracherem do jego gabinetu, lecz zastępca kierownika działu kadr w firmie Baynham Smout postanowił rozmówić się ze stróżami prawa tu, w holu. Usiadł w jednym z foteli, położył komórkę na stoliku do kawy i zawołał w stronę recepcji.

- Jo, przydałby się nam tu dzbanek z kawą...

Bracher był po trzydziestce, miał mocno przerzedzone włosy i, jak sądził Thome, stanowiło to dla niego poważny problem. Typowy chłopak z Essex, który odniósł sukces i który wciąż miał niespełnione ambicje. Umiał się dostosować i to właśnie udowodniał w rozmowie z Thome'em i Hollandem. Nie ma to jak szczerzy, otwarty facet, typowo kumpelska postawa, szerokie uśmiechy, poufały ton, drobne insynuacje. Po prostu swój chłop. Miał to opanowane do perfekcji.

Kawę podano błyskawicznie, a Bracher zaczął od krótkiego monologu.

- Mogę tylko powiedzieć panom to, co latem zeznałem waszemu koledze. Jesteśmy dużą firmą i choć wiem, co się tu dzieje na bieżąco, ani ja, ani nikt inny nie potrafiłby stwierdzić, czym zajmują się nasi pracownicy w wolnym czasie. Chcę przez to powiedzieć, że o ile mi wiadomo, Jane nie miała tu z nikim żadnych problemów. Ludzie mówią mi, jeżeli mają jakieś kłopoty. Jane i ja byliśmy dobrymi kolegami, gdyby sprawa była poważna, z pewnością poinformowałaby mnie o tym.

Holland odstawił swój kubek na stolik.

- Odnoszę wrażenie, że Jane była duszą i sercem tego miejsca. Ze lubiła się bawić.

Rozległo się głośne skrzypnięcie, gdy Bracher poruszył się w skórzanej fotelu.

- Myślę, że właśnie dlatego to, co się stało, tak bardzo wszystkich dotknęło. Właściwie robota tu bywa nudna i z uwagi na to, co się stało, niektóre osoby mogą być trochę nerwowe, gdyby ktoś próbował... ożywić atmosferę.

Thome zerknął na kuriera, który wszedł właśnie przez obrotowe drzwi, zdjął kask motocyklowy i ruszył w stronę recepcji.

- Ożywić atmosferę? - powtórzył Holland.

Bracher wychylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach i splatając palce.

- Siedemdziesiąt pięć procent, co najmniej siedemdziesiąt pięć procent osób spotyka swoich mężów, żony lub długoletnich partnerów w pracy. To znany fakt. Ale w ostatnim czasie, gdy próbujesz się umówić z dziewczyną, musisz być wyjątkowo ostrożny, rozumie pan? Wcześniej ludzie umawiali się po pracy i wychodzili razem, ot tak, by się zintegrować, teraz jednak życie towarzyskie zamiera. Ludzie prawie ze sobą nie rozmawiają, poza paroma minutami przy parzeniu kawy czy czymś podobnym. Spotkania przy automacie z wodą, chyba tak nazywają to w Stanach. Jane miała to gdzieś. Lubiła się śmiać, a jeżeli ludzie za tym nie przepadali, to trudno. Ich strata. Rozumie pan?

Thome patrzył na kuriera, który wyciągnął paczkę z torby przewieszanej przez ramię i podał ją jednej z recepcjonistek. Dziewczyna zaśmiała się, kiedy coś do niej powiedział...

- Czy komuś to mogło się nie podobać? - Holland zadał to pytanie w taki sposób, jakby sugerował, że czymkolwiek było to coś, nie można było tego nie lubić. Każdy, kto miał w tej kwestii odmienne zdanie, musiał być skończonym idiotą.

- Cóż, zawsze znajdzie się paru kretynów, prawda? Założę się, że w policji też macie paru takich, zgadza się? - Holland uśmiechnął się, ale nie był to szczery uśmiech. - Owszem, był taki jeden, co się nie znał na żartach, ale nikt z nas specjalnie się tym nie przejmował. Trzeba mieć trochę dystansu do siebie. Poczucie humoru też jeszcze nikomu nie zaszkodziło, prawda? Jak to mówią, dobry żart funta wart...

Thome przestał słuchać Brachera. Kurier i dziewczyna z recepcji nadal flirtowali. Jane Lovell mogła zostać zamordowana przez nieznanego, ale równie dobrze przez kogoś, kogo doskonale znała. Możliwe też, że jej morderca był kimś, kogo poznała przypadkiem i kogo widywała regularnie, choć nawet nie zdawała sobie z tego sprawy. Kurierem, pracownikiem w sklepie albo kimś, kogo spotykała co dzień w metrze.

Czyli innymi słowy w grę wchodziło z tysiąc podejrzanych...

- Jane uwielbiała być w centrum uwagi, rozumie pan. I lubiła żarty - ciągnął Bracher. - O ile mi wiadomo, flirtowała ze wszystkimi.

Thome po raz pierwszy przemówił wprost do niego, nie ukrywając sarkastycznego tonu głosu.

- Ale czy wiadomo panu, panie Bracher, aby miała z kimś romans?

Bracher poczerwieniał. Sięgnął po łyżeczkę do kawy i przez kilka sekund stukał nią w krawędź stolika.

- Posłuchaj pan, jestem tu, by dopilnować, żeby ludzie właściwie ze sobą współpracowali. To, kto z kim sypia, ani trochę mnie nie obchodzi. To nie moja sprawa.

- Nawet jeżeli to ktoś z pracy? Z tego samego biura? Jakoś trudno mi w to uwierzyć.

Zadzwoniła komórka Brachera. Odebrał z wyraźną ulgą. Gdy zaczął mamrotać z cicha, uniósł brwi, spoglądając na Thome a, przeprasząc w ten sposób za nagłe przerwanie rozmowy. Thome zerknął na Hollanda. Pora iść.

Bracher wzruszył ramionami i wstał.

- Przykro mi, ale jeżeli to wszystko...

Gdy się pożegnali, wkładając kurtki i płaszcze, Thome owi przeszło przez myśl, że Bracher poprosił kolegę, aby zadzwonił do niego po dziesięciu minutach i dał mu tym samym wymówkę do zakończenia rozmowy. Kiedy Thome i Holland opuścili budynek firmy przez obrotowe drzwi, inspektorowi przyszło na myśl coś jeszcze. Pytanie. Czy wyrobił w sobie wyostrzony jak brzytwa instynkt, czy może był po prostu cynicznym sukinsynem?

- I co pan o nim sądzi? - spytał Holland.

Szli wzdłuż Shaftesbury Avenue w kierunku Cambridge Circus przy Gerrard Street, gdzie dokonywano właśnie przeglądu i regulacji tłumika w fordzie mondeo Thome a. Dzień był pogodny, lecz mroźny. Szaliki i okulary przeciwsłoneczne...

- Myślę, że sypiał z Jane Lovell, a przynajmniej miał z nią kiedyś romans.

Holland skinął głową.

- Warto by się temu przyjrzeć, prawda?

Thome skrzywił się. Był cynicznym sukinsynem, ale instynkt mówił mu, że Bracher, choć arogancki i nieprzyjemny, nie miał nic poważniejszego na sumieniu. Zastanawiał się, z iloma takimi jak on będzie miał jeszcze do czynienia, zanim ta sprawa wreszcie się zakończy.

Po powrocie do Becke House Thome minął McEvoy rozmawiającą z kimś przez telefon w pokoju służbowym. Pomachała do niego, dając znak, że chce z nim pomówić. Skinął głową i wszedł do swego gabinetu. Usiadł przy biurku, przełożył kartkę kalendarza na wtorek 11 grudnia i przez chwilę wpatrywał się w psychodeliczny wygaszczacz ekranu zainstalowany przez Hollanda. Jaskrawe kolory falowały i zlewały się ze sobą, tworząc istną mozaikę barw, patrzył na nie tak długo, aż rozbolały go oczy i kształty zaczęły się rozmazywać. Powiedziano mu, że wygaszczacz ma zapobiegać wypalaniu ekranu. Thome zastanawiał się, czy wymyśla coś podobnego dla gliniarzy.

Wstał, sięgnął po krzesło i zabrał je ze sobą.

Jeszcze się nie wypalił...

Nie przepadał za swoim gabinetem, ale salę odpraw darzył nieomal nienawiścią. Miał po temu powody. W tym pokoju były same ostre kanty i panował wieczny zaduch. Długie brudne okno, światło przesączające się między żaluzjami, jedno skrzydło okna było od niepamiętnych czasów uszkodzone i leżało na parapecie wśród setek ciał od dawna martwych much. Około tuzina biurek. Ostre kanty tylko czekające, by zahaczyć o czyjeś udo albo rozciąć wierzch czyjejs dłoni. Zwłaszcza o jeden Thorne zahaczał kilka razy w tygodniu, choć usilnie starał się tego uniknąć. Sala był koszmarem feng shui. Nic jednak nie mógł na to poradzić. Nie dysponował ciężarówką, która mogłaby wywieźć wszystkie te graty. Dla niego zaś, pomijając złodziei i paserów, nie istniała inna metoda przeprowadzenia generalnego przemeblowania. Powłókł krzesło przez salę, szerokim tukiem omijając kant niebezpiecznego biurka. Usadził się pod samą ścianą i patrzył.

Jane Lovell. Katie Choi. Ruth Murray. Carol Gamer. Fotografie przypięte do starej korkowej tablicy.

Nazwiska w komputerze i na nalepkach na stołkach w kostnicy...

Strzałki i kreski namazane grubym flamastrem na zmywalnej tablicy. Linie łączące ziarniste podobizny czterech ofiar z datami, godzinami i mapami. Poniżej w nierównych kolumnach kolejne nazwiska. Margie Knight. Michael Murrell. Lyn Gibson.

Charlie Gamer...

Świadkowie. Przyjaciele. Rodzina. Postacie na obrzeżach diagramu śledztwa. Thome spojrzął na tablicę. Kilka wieczorów temu siedział tu i rozmyślał o setkach, tysiącach tych, których życie zależało od śmierci innych. Teraz zastanawiał się nad bardziej niechętnymi uczestnikami tej szarady. Nad tymi, którzy wcale nie chcieli odegrać roli w tym procesie - procesie, który kończył się wpisaniem ich nazwisk w tabelę na zmywalnej tablicy.

Nad setkami istnień dotkniętych przez jedną tylko śmierć.

Jane Lovell. Katie Choi. Ruth Murray. Carol Gamer. Cztery śmierci. Dwóch obłąkanych zabójców. Thome patrzył na nazwiska i zdjęcia na ścianie przed sobą i poczuł, że wszystko zaczyna mu się wymykać. Trop stygł coraz bardziej. Brnęli w ślepą uliczkę.

Thome odwrócił się, kiedy usłyszał za sobą jakiś hałas, i zobaczył Brigstocke a idącego w jego kierunku. Za inspektorem szedł mężczyzna, którego Thome widział na konferencji prasowej przed kilkoma dniami. Nie pamiętał nazwiska...

- Tom, to Steve Norman, nasz nowy rzecznik prasowy.

No tak, Norman. Skromnie ubrany, ale wzbudzający szacunek, kiedy witał zebranych przedstawicieli mediów w sali konferencyjnej Scotland Yardu i kilkoma żartami rozładował

atmosferę, przygotowując grunt dla Trevora Jesmonda. Oczywiście nic nie mogło rozluźnić atmosfery śledztwa ani odwrócić uwagi kamer od obranego przez nie celu. Najwyraźniej ten człowiek umiał dostosowywać się do sytuacji.

Thome wstał. Norman żwawo postąpił naprzód i wyciągnął rękę. Był niewysokim mężczyzną, żylastym i energicznym. Czarne włosy miał lśniące od żelu, zaczesane do tyłu, ciemne oczy wpatrywały się w Thome'a, kiedy uścisnął mu dłoń.

- Miło mi cię poznać, Tom.

W pokoju było około czterdziestu osób, śledczych, mundurowych i pracowników służb cywilnych. Gwar, hałas dzwoniących telefonów i pracujących drukarek był jednak całkiem znośny. Z bliżej nieokreślonych przyczyn Thome miał wrażenie, że w pomieszczeniu zapadła cisza, a spojrzenia wszystkich skupiły się na nim.

Brigstocke wskazał na drugi koniec pokoju.

- Wejźmy do gabinetu. Tu nie sposób usłyszeć własnych myśli...

Thome mszył pierwszy. Brigstocke i Norman szli kilka kroków za nim i Thome, choć bardzo się starał, nie usłyszał, o czym rozmawiali. Gdy obejrzał się przez ramię, nadział się udem na ostry kant podstępnego biurka.

- Kurwa!

Ból był dojmujący. Thome kopnął w nogę biurka. Siedząca przy nim kobieta aż wybałuszyła oczy ze zdziwienia i rozłożyła szeroko ręce, by sterta papierów nie posypała się na podłogę.

Kiedy Thome dotarł do drzwi swego gabinetu, wciąż rozcierając udo, Holland, który właśnie wrócił z kolegą, pochwycił jego spojrzenie. Konstabl uniósł brwi w pytającym geście. Nieznaczne wzruszenie ramion miało być dla niego odpowiedzią. Wiesz tyle co ja, stary...

Po wejściu do środka Thome usiadł w fotelu i trochę się zdziwił, że Brigstocke wciąż stoi, a Norman nonszalancko opiera się o biurko. Obaj na niego patrzyli.

- To oczywiste, że media nie odpuszczą, dopóki nie uzyskamy konkretnych rezultatów - rzekł Brigstocke tonem zarezerwowanym dla wyższych rangą funkcjonariuszy. - Tak więc ważne jest, abyśmy informowali Steve'a o wszystkim na bieżąco. - Thome odetchnął z ulgą, gdy uświadomił sobie, że Brigstocke nie do końca tańczył, jak mu zagrali.

Norman uśmiechnął się promiennie. Thome widział go uśmiechającego się w ten sposób, kiedy przedstawiał Jesmonda podczas konferencji prasowej.

- Russell już wprowadził mnie w sprawę. Chciałem tylko przedstawić się jak należy i z góry przeprosić, że w którymś momencie mogę stać się dla pana utrapieniem.

Thome, który nie wątpił w to ani przez chwilę, odpowiedział mocno wymuszonym uśmiechem:

- Na pewno jakoś sobie poradzę.

Norman pokiwał głową, odstąpił od biurka i podszedł do okna.

- Jeżeli jakiś dziennikarz mówi, że coś zostanie tylko między nami, radzę mu zwykle, aby zamknął jadaczkę, ale tak między nami, Thome... - Brigstocke zaśmiał się, Thome również. - Czy jest coś, oczym powinienem wiedzieć?

- Nie sposób tego stwierdzić - odrzekł Thorne. - Nie wiem, co pan wie, a czego nie. - Norman nie odwrócił się od okna, toteż Thome nie mógł zobaczyć wyrazu jego twarzy, ale reakcja Brigstocke a była oczywista. Thome wiedział, że musi postępować według reguł. - Dopilnujemy, aby w razie jakiegokolwiek przełomu pan dowiedział się o tym pierwszy. Mamy kilka tropów...

Norman odwrócił się od okna i spojrzał na Thome a.

- Nie liczę na to, że będę pierwszą osobą, która zostanie poinformowana o przełomie w śledztwie, ale prasa może być niekiedy użyteczna. W przeciwnym razie potrafi być mściwa...

Thorne nie starał się wymyślić jakiejś ciętej riposty, ponieważ wiedział, że tamten ma rację. Znał wielu policjantów zniszczonych przez media. Jeżeli nie chciał, by zjedzono go żywcem, musiał tolerować ludzi pokroju Normana.

- Dziennikarze stają się coraz bardziej niecierpliwi - rzekł Norman. - Mamy przełom, to nie ulega wątpliwości, ale musimy teraz pójść za ciosem.

- W ogóle nie powinniśmy byli dopuścić, aby ta sprawa przedostała się do opinii publicznej. Fakt, że zabójcy pracują w tandemie...

Norman porzucił przyjacielski ton.

- To nie zależało ode mnie, inspektorze, i dobrze pan o tym wie. Moim zadaniem było i jest wprowadzić w czyn decyzje podejmowane na wyższych szczeblach i kontrolować ich wpływ na relacje między policją a mediami. - Spojrzał na Brigstocke a, przekrzywiając głowę.

Czy wyraziłem się jasno?

Brigstocke postąpił kilka kroków w stronę Thome a i położył dłonie na oparciu krzesła.

- Czy spotkanie z Bracherem coś dało?

Thome nie miał ochoty na rozmowę o przebiegu śledztwa w obecności Normana, ale zdawał sobie sprawę, że Brigstocke szukał czegoś, czegokolwiek, czym mógłby podzielić się z prasą.

- Nie bardzo. - Odwrócił się, by spojrzeć na Normana. - Ale już niedługo powinniśmy mieć dokładny portret pamięciowy mężczyzny, który, jak sądzimy, zabił Jane Lovell i Ruth Murray Normana bardzo to ucieszyło.

- Świetnie... po prostu świetnie. Doskonale. Dopilnuję, by to zostało należycie wyeksponowane. Pierwsze strony we wszystkich dziennikach w całym kraju, wszystkie programy informacyjne, wiadomości...

Rozległo się pukanie i do pokoju zajrzała Sarah McEvoy.

- Przepraszam... przyjdę później...

Norman uniósł dłonie.

- Już prawie skończyłem, Russell... - Ruszył w stronę uchylonych drzwi.

Brigstocke gestem zaprosił McEvoy do środka.

- Wejź, Saro.

McEvoy przestąpiła próg i odsunęła się, by przepuścić Normana.

Thome zauważył, że tamten otaksował ją wzrokiem od stóp do głów, zanim wyszedł.

- Analiza próbki DNA byłaby dla nas jak manna z nieba, ale nawet zwykły odcisk też nam wystarczy. Jeżeli go dorwiemy, kiedy go dorwiemy, na pewno zostanie skazany. A kontakty z mediami mogą nam pomóc w schwytaniu go, Tom.

Brigstocke pokiwał głową, patrząc na Thome'a.

- Odprowadzę cię, Steve...

Norman powiedział coś do McEvoy, a Brigstocke zwrócił się do nich obojga, po czym on i Norman wyszli z gabinetu. Thome pozostał na miejscu i odprowadził ich wzrokiem, myślami zaś błądził gdzieś daleko. Obrócił się razem z fotelem i wyrżał przez okno. Miał przed sobą przepiękną panoramę industrialną rozciągającą się po drugiej stronie A5. Nazwy w rodzaju Królestwo Wykładzin, Świat Obuwia i Imperium Skóry. Wielkie magazyny w stylu amerykańskim. Wszystko stawało się coraz bardziej amerykańskie.

Zabójstwa również.

Thome patrzył na małe kanciaste autka mijające wielkie pudełkowe magazyny. Z okien po drugiej stronie budynku miał widok na plac parad przy college'u i od czasu do czasu widywał ćwiczących tam rekrutów.

Tak czy owak, widok był przygnębiający.

- Wyglądał ciekawie...

Thome odwrócił się. McEvoy przycupnęła na brzegu biurka, czekając, aż inspektor opowie jej o wszystkim. On jednak nie zamierzał mówić jej więcej, niż była w stanie wyczytać z jego wyrazu twarzy.

- Nie bardzo.

McEvoy nie dała się spławić.

- Wyglądał na cwanego gościa. - Thome milczał. Spróbowała jeszcze raz. - Szczególne wrażenie wywarł na mnie, kiedy tak subtelnie zaczął gapić się na moje cycki.

Thome zaśmiał się.

- Nie powiedziałbym, aby zrobił to subtelnie...

- To pojęcie względne, słowo daję. Będziemy mieć z nim problem?

- Nie sądzę, jeżeli tylko pozwolimy, aby pan Norman myślał, że utrzymuje w ryzach ataki zmasowanych hord przedstawicieli prasy. Obiecałem mu, że już wkrótce dostanie od nas ten portret pamięciowy. Musimy tu ściągnąć Murrella i Knight...

McEvoy odsunęła się od biurka. Thome zauważył, że na moment odwróciła wzrok. To nie wróżyło nic dobrego.

- O co chodzi?

- Właśnie w tej sprawie przychodzę. - McEvoy starała się zachować rzeczowy ton. - Nie możemy znaleźć Margie Knight.

- Nie możecie jej znaleźć? - wykrzyknął Thome. Wiedział, że za drzwiami wszyscy odwrócili głowy w stronę gabinetu.

- Chyba po rozmowie z nami wpadła w panikę. A może wyjechała na święta...

Thome wstał i zaczął się przechadzać po gabinecie w tę i z powrotem. - Niech to szlag, Saro. Trzeba było od razu ją tu przywieźć, mielibyśmy już ten portret pamięciowy.

- To prostytutka. Nie przepada za policją, bo próbujemy ją aresztować albo zmusić do zaprzestania procederu, dzięki któremu zarabia na życie. Pana zdaniem powinniśmy ją byli przywieźć tu siłą i przywiązać do krzesła?

McEvoy reagowała agresją na gniew zrodzony z frustracji Thome a, ale inspektor wiedział, że miała rację. Musieli liczyć na współpracę. Pamięć bywa zawodna. Nie można na niej polegać. Ostatnią rzecz, jakiej mógłby sobie życzyć, to zmuszenie świadka do składania zeznań.

- Czy nie moglibyśmy uzyskać na razie rysopisu od Murrella? - spytała McEvoy. - Albo dajmy prasie parę wersji. Na przykład w okularach i bez...

- Nie. - Thorne aż za dobrze wiedział, co znaczą różne portrety pamięciowe. Tylko skomplikowaliby w ten sposób całą sprawę. A Thome popełnił już w ten sposób kilka

poważnych błędów. Niedokładności, drobne różnice były nie do uniknięcia, ale ograniczenie ich do minimum mogło ocalić komuś życie. To było takie proste. Potwornie proste.

- Rysopis Murrella jest sprzed pięciu miesięcy. Margie Knight przyjrzała się temu skurwielowi dwa tygodnie temu. - Podszedł do biurka i zatrzymał się naprzeciw McEvoy. - Chcę zobaczyć twarz, którą zapamiętała. Porównamy to z rysopisem od Murrella i zobaczymy, jak naprawdę wygląda ten typ. - Pokiwała głową. Podszedł do fotela i usiadł. - To co robimy?

- Parę osób z obyczajówki jest mi winnych przysługę. Będą miały okazję spłacić dług. Poza tym wszyscy mundurowi mają jej rysopis. Znajdziemy ją.

Thome spojrział na McEvoy. Jej wyraz twarzy pozostawał nieodgadniony, ale inspektor, patrząc na nią, wiedział, że niezależnie, czy pani sierżant odnajdzie Margie Knight, czy nie, przeszuka od piwnic aż po dach wszystkie salony masażu, szemrane sauny i burdele w tym mieście, aby dopiąć swego. Odchylił się wygodnie w fotelu i siląc się na udawane rozdrażnienie, wycedził:

- To do roboty...

Wątpliwości ogarnęły go wraz z podmuchem powietrza, kiedy McEvoy, wychodząc, z trzaskiem zamknęła za sobą drzwi. W jej obecności, kiedy panował nad gniewem, był niemal pewny swego. Zupełnie jakby doskonale wiedział, co robi. Od śmierci Ruth Murray i Carol Gamer minęły dwa tygodnie, a oni już cofali się w czasie. Poszukiwali tropów pochodzących od dwóch zabójców sprzed blisko pół roku.

Thome wiedział, że przez resztę dnia będzie działał rutynowo, usiłując stłumić w sobie dwie przerażające myśli. Pierwsza to przypuszczenie, a może raczej pewność, że na wyższy poziom może pchnąć śledztwo jedynie odkrycie kolejnych ciał. Druga to nie tyle myśl, ile raczej przeczucie, jak wirus albo infekcja rozwijająca się w jego wnętrzu, czekająca, by się ujawnić, niepoohamowana, uporczywa i odporna na wszelkie próby leczenia.

Przeczucie, że nie będą musieli czekać długo.

Karen, dziś do naszego biura przyszła policja. Było ich dwóch, polują w parach. Jak ci, których ścigają...

Tylko węszyli. To nie było aż tak dramatyczne. Nie było wyważania drzwi ani snajperów na sąsiednich budynkach. Trudno powiedzieć, ile wiedzą. Zastanawiałem się nad tym, odkąd sobie poszli, ale na samą myśl tylko rozboleła mnie głowa. Nie przyszliby, gdyby nie odkryli związku pomiędzy Jane i tą drugą, no wiesz... Ruth... tą przy stacji. Muszą o tym wiedzieć. Ale ile wiedzą o innych?

Onim? Sam się w tym gubię...

Przez cały czas, kiedy tu byli, wiedziałem, że mogłem zakończyć wszystko jednym słowem. Tak łatwo byłoby paść przed nimi na kolana i wyznać wszystko. Wiem, to kompletna fantazja. Gdybym tak bardzo nie bał się policji, to wszystko w ogóle by się nie stało, prawda? I dlatego jak zawsze postanowiłem wyznać wszystko tobie, Karen. Muszę powiedzieć, że twoja twarz, którą widzę w myślach, jest pełna ciepła i wyrozumiałości. Oraz miłości. Opuściłem się w pracy i ludzie zwracają na to uwagę. Raz nawet dostałem ostrzeżenie. Nie sądzę, aby mieli mnie wylać, jeżeli jednak chcę liczyć na awans w firmie, muszę wziąć się w garść. Ale jak mogę się na cokolwiek skupić, Karen? Jak mogę myśleć o cokolwiek, skoro głowę mam zaprzątniętą czymś innym? Dziwię się, że w ogóle jestem w stanie oddychać. Albo jeść, chodzić czy choćby samemu się ubrać.

Jedyne, co widzę, to otwarte usta, czerwone oczy i ślinę na zębach.

Jedyne, co słyszę, to stłumione jęki i szum krwi wylewającej się z otworów.

Jedyne, co czuję, to martwe ciało pod palcami.

To nie jest najgorsze, Karen. Jest coś o wiele gorszego. Sądzę, że z czasem te sensoryczne wspomnienia popełnionych czynów mogłyby odejść w zapomnienie, ale sęk w tym, że nie mam aż tyle czasu. Dwa tygodnie, zaledwie dwa tygodnie minęły, odkąd wciągnąłem tę dziewczynę do ciemnego zaułka i zacisnąłem swoje niezdarne wielkie dłonie na jej szyi. Upłynęły zaledwie dwa tygodnie, Karen. Czternaście dni. Tylko tyle. Ledwie zdążyłem trochę odsapnąć, a już otrzymałem zestaw... instrukcji.

Już wkrótce będę musiał znowu to zrobić.

Tylko wężyli. To nie było aż tak dramatyczne. Nie było wyważania drzwi ani snajperów na sąsiednich budynkach. Trudno powiedzieć, ile wiedzą. Zastanawiałem się nad tym, odkąd sobie poszli, ale na samą myśl tylko rozboleła mnie głowa. Nie przyszliby, gdyby nie odkryli związku pomiędzy faną i tą drugą, no wiesz... Ruth... tą przy stacji. Muszą o tym wiedzieć. Ale ile wiedzą o innych?

Onim? Sam się w tym gubię...

Przez cały czas, kiedy tu byli, wiedziałem, że mogłem zakończyć wszystko jednym słowem. Tak łatwo byłoby paść przed nimi na kolana i wyznać wszystko. Wiem, to kompletna fantazja. Gdybym tak bardzo nie bał się policji, to wszystko w ogóle by się nie stało, prawda? I dlatego jak zawsze postanowiłem wyznać wszystko tobie, Karen. Muszę powiedzieć, że twoja twarz, którą widzę w myślach, jest pełna ciepła i wyrozumiałości. Oraz miłości. Opuściłem się w pracy i ludzie zwracają na to uwagę. Raz nawet dostałem ostrzeżenie. Nie sądzę, aby mieli mnie wylać, jeżeli jednak chcę liczyć na awans w firmie, muszę wziąć się w garść. Ale jak mogę się na cokolwiek skupić, Karen? Jak mogę myśleć

o czymkolwiek, skoro głowę mam zaprzątniętą czymś innym? Dziwię się, że w ogóle jestem w stanie oddychać. Albo jeść, chodzić czy choćby samemu się ubrać.

Jedyne, co widzę, to otwarte usta, czerwone oczy i ślinę na zębach.

Jedyne, co słyszę, to stłumione jęki i szum krwi wylewającej się z otworów.

Jedyne, co czuję, to martwe ciało pod palcami.

To nie jest najgorsze, Karen. Jest coś o wiele gorszego. Sądzę, że z czasem te sensoryczne wspomnienia popełnionych czynów mogłyby odejść w zapomnienie, ale sęk w tym, że nie mam aż tyle czasu. Dwa tygodnie, zaledwie dwa tygodnie minęły, odkąd wciągnąłem tę dziewczynę do ciemnego zaułka i zacisnąłem swoje niezdarne wielkie dłonie na jej szyi. Upłynęły zaledwie dwa tygodnie, Karen. Czternaście dni. Tylko tyle. Ledwie zdążyłem trochę odsapnąć, a już otrzymałem zestaw... instrukcji.

Już wkrótce będę musiał znowu to zrobić.

1989

Zanim doszedł, wiedział, że to już ostatni raz.

Spuścił wzrok na głowę mężczyzny, który przed nim klęczał, dostrzegł łysinę i przetluszczone włosy z drobinkami łupieżu, a potem podjął decyzję. Właściwie w każdej chwili mógł z tym skończyć. Przez ostatnie trzy lata zebrał dość pieniędzy. Mógł ruszyć dalej.

Zebrał raczej krótko, ale nawet wtedy robił to jak należy. Do wszystkiego podchodził profesjonalnie. Z tym było podobnie. Nie robił tego, by zdobyć szmal na prochy jak inni chłopcy trudniący się tym samym co on. Nie marnował pieniędzy na wódkę czy hazard. Wydawał niezbędne minimum na mieszkanie, wyżywienie, a resztę skrzętnie odkładał.

Zarobił sporo forsy w brudnych hotelowych pokojach i przyczepach kempingowych. Pracował ciężiej i częściej od innych. Był w stanie znieść sporo bólu i miał wysoki próg odporności na rzeczy obrzydliwe. To było proste. Pół tuzina klientów dziennie, niekiedy nawet dziesięciu, płatne zawsze gotówką. Siedem dni w tygodniu, świątek, piątek i niedziela. Jego klienci wiedzieli, że zawsze jest dla nich dostępny.

Był jak sklep całodobowy.

Zarobił więcej, niż potrzebował, i wyszukiwał teraz ludzi, którzy mogliby pomóc mu z papierkową robotą. Nadszedł czas, aby jego wysiłki zaczęły przynosić zyski. To, co zamierzał, było w pełni przemyślane. Musiał to zrobić, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo, żeby nie mogli go znaleźć, ale także dlatego, że czuł się znudzony. Zbyt długo był tą samą osobą. Po dziewiętnastu latach potrzebował zmiany.

Nadszedł czas, aby odmienić siebie.

Wyjął członek z ust starucha i zaczął pojękiwać teatralnie. Stary sapnął i otworzył usta. Miał żółty język, ostre siekacze, a jego czysta ładna koszula przylepiła mu się do pleców od potu.

Doszedł i przez parę chwil było to coś więcej niż żalospazm i wytrysk na żądanie kolejnego z jego klientów. Nagle jęk, który zrodził się w jego gardle, stał się długi, donośny i przeszywający do głębi.

Ejakulował...

Wyrwał z siebie wszystko, co pozostało ze Stuarta Nicklina. Odrzucił to precz. Pozbywał się siebie...

Odczucie trwało jeszcze długo po wytrysku. Wciąż jeszcze pojękiwał, kiedy zaczął okładać pięściami głowę starucha klęczącego na podłodze. Zadawał kolejne ciosy, splotował i kopał z całej siły, z wysiłku aż się spocił, wąskie strużki spłynęły mu pomiędzy nagie łopatki. Zamknął oczy i wciąż uderzał na oślep, wyobrażając sobie siebie odtworzonego, odmienionego, gdzieś daleko stąd, z dala od tego miejsca i od tego, kim jest. To było pocieszające. O tym zawsze marzył. Ujrzał siebie otoczonego przez ludzi, którzy go lubili i mu ufali. Ujrzał siebie na odpowiedzialnym stanowisku. Mającego władzę nad życiem innych ludzi.

Stary przestał krzyczeć.

Otworzył oczy i spojrzał w dół na żalospasną postać w nylonowej koszuli. Facet leżał z podkulonymi nogami, wypluwał poślizki zęby i krew. Kopnął go raz jeszcze dla pewności i zaczął zbierać swoje rzeczy.

Wciąż miał przed sobą długą drogę, zanim jego wizja się ziści. Robota papierkowa była względnie prosta, ale musiał się odpowiednio przygotować. Nie dostanie wszystkiego na tacy, nic za darmo, musiał na to solidnie zapracować. A on da z siebie wszystko, ponieważ nigdy niczego bardziej nie pragnął.

Włożył koszulę i zatrzasnął za sobą drzwi małej obskurnej kawalerki. Zbiegł po schodach i z uśmiechem wyszedł na rozjaśnioną słońcem ulicę. To były jego pierwsze kroki ku nowemu życiu.

Biorąc pod uwagę wszystko, co się wydarzyło, na ironię zakrawał fakt, że była tylko jedna rzecz, którą tak naprawdę od zawsze chciał zrobić.

7

Thome obudził się ze snu wypełnionego kaskadami krwi. Ledwie słyszał swój głos poprzez szum tętniczej krwi, kiedy krzyczał do mężczyzny ze skalpelem. Próbował zatrzymać

czerwoną ciecz chlustającą na twarz młodej kobiety na szpitalnym łóżku, ale nie mogła odwrócić głowy i małe ciemnoczerwone krople powoli przesłaniały jej różowe oblicze.

Usiadł i czekał, aż sen pryśnie, i tak też się stało, pozostawały tylko wspomnienia, co było jeszcze gorsze.

Dzwonił telefon. Thome, sięgając po słuchawkę, spojrzął na zegar. Kilka minut po północy. Sobota. Spał niespełna godzinę.

- Tom Thome...

- To ja, Russell. Nie śpisz? A może chcesz zaparzyć kawę i oddzwonisz do mnie?

Ton głosu Brigstocke a sprawił, że Thome natychmiast się rozbudził.

- Wszystko gra, mów.

- Nasz przyjaciel z branży hotelowej powrócił.

Thome domyślał się, że tak będzie. Spodziewał się trupów. I nie pomylił się.

- Para w średnim wieku, w Olympia Grand, sądząc po wyglądzie ciał, nie żyją od wczoraj wieczór... - Brigstocke przerwał i odrząknął. Thome zawsze z ulgą przyjmował fakt, że jego koledzy wahali się, mówiąc o czyjejś gwałtownej śmierci. Czuł wtedy ulgę i zdziwienie. - On ich torturował, Tom. Są ślady...

- Kto się tym zajmie, Russell?

Kolejna pauza, choć z innego powodu.

- Miałem nadzieję, że ty.

Thome usiadł, zwiesił nogi z łóżka.

- Chyba nie podoba mi się, do czego zmierza ta rozmowa, sir.

- Nie wyciągaj pochopnych wniosków, Tom. Nie dzieje się nic złego, a to była od początku nasza sprawa i nie chcę, by zajmowali się nią obcy. Zespół numer dwa już tam jest, ale chciałbym, abyś też tam pojechał i się przyjrzał. Może wpadniesz na jakiś trop. Hendricks jest już w drodze. Pomóż im.

- A co ze sprawą Gamer? -1 wtedy zrozumiał. Sam to powiedział. Zginęły cztery kobiety, ale dla niego to była sprawa Gamer. Wszystkie morderstwa zebrane w jednym, gdzie małemu chłopcu odebrano coś więcej niż tylko matkę. W tej sprawie zawsze będzie chodziło o to dziecko, tak jak w sprawie sprzed roku chodziło o sparaliżowaną kobietę na szpitalnym łóżku. Kobietę, o której śnił.

- To już prawie trzy tygodnie, Tom...

- Siedemnaście dni.

- Posłuchaj, zgodziłem się, abyś marnował czas na poszukiwanie Margie Knight, i nie zezwoliłem na udostępnienie rysopisu pamięciowego, ale zabiliśmy w ślepią uliczkę.

- Sir...

- Popierałem każdą twoją decyzję w tej sprawie...

- Bo były właściwe...

- Jesmond zaczyna świrować, rozumiesz? Nie zamierzam zamieść tej sprawy pod dywan, więc nie masz się czego bać, ale jakikolwiek postęp pomógłby nam w obecnej chwili zażegnać nadciągającą burzę.

Thome wstał z łóżka i przejrzał się w lustrze przy szafie, gdy przechodził przez pokój. Nie wyglądał na zadowolonego. Oczywiście wiedział, że Brigstocke ma rację, ale to niczego nie zmieniło.

- Czy jemu się wydaje, że my tu siedzimy i zbijamy baki?

- Rano we wszystkich gazetach zaczną trąbić o morderstwie w hotelu.

- Co? Jak...?

- Ciała znalazła pokojówka, która przyszła zmienić pościel. Zanim wezwała nas, skontaktowała się z prasą.

- Jezu. Norman musi być po uszy...

- Nie on jeden. Ta para to byli Holendrzy z Amsterdamu. Turyści, Tom.

Thome chrząknął sarkastycznie.

- No tak, rozumiem...

- Twoje zdanie akurat najmniej mnie obchodzi, inspektorze. - Zmiana w tonie głosu Brigstocke a była nagła i zaskakująca. Thome zaczął mieć wyrzuty sumienia. Nadinspektor znajdował się pod silnym naciskiem. - Może czeka nas przełom w śledztwie, więc czekając na to samo w wypadku drugiego dochodzenia, chciałbym, abys osobiście się tym zajął, i radzę ci, żebyś się postarał, jasne? Jedź tam i się rozejrzyj.

Ronald Van Der Vlugt przeżył pięćdziesiąt osiem lat, dopóki pewnego wieczoru nie otworzył w pewnym londyńskim hotelu drzwi nieznanemu. Teraz leżał nagi w wannie, na której dnie czerwona od krwi woda obmywała jego martwe ciało, skrępowane jak rozmrożony indyk.

- Co powiesz o tych ranach, Phil?

Hendricks klęczał przy wannie, mierząc każdą ranę i mamrocząc coś do małego dyktafonu. Stęknął i podrapał się po głowie przez materiał żółtego czepka kąpielowego.

- Sądząc po wyglądzie, zadano je nożem Stanleya. Bardzo ostrym, oprostym kłindze. Na ciele tego nieszczęśnika są dziesiątki ran. Na twarzy, na torsie, na genitaliach. W drugim przypadku tak samo. - Skinął w stronę sypialni, gdzie na łóżku leżała pani Van Der Vlugt, wpatrując się w sufit; jej sztywne ciało było tak pocięte, że wyglądało jak befsztyk tatarski.

- Raczej wątpliwe, aby dokonał tej masakry już po ich śmierci, prawda? - spytał Thome. Nieboszczykom to nie pomoże, ale odrobina pocieszenia dla krewnych ofiar byłaby mile widziana. Thome wlepił wzrok w rany cięte na piegopatym brzuchu, kałużę flaków i rozbryznęte strzępy mózgu. Nie wiedział, czy Van Der Vlugtowie mieli dzieci lub wnuki...

Hendricks pokręcił głową.

- Za dużo krwi, stary. Chlastał ich przez jakiś czas, a potem roztrzaskał im potylice. I po wszystkim. - Ponownie włączył dyktafon i wrócił do pracy.

Thome odwrócił się i wszedł do sypialni, wymieniając skinienie głowy z technikami, którzy pełzali w tę i z powrotem po pokoju, przyklepiając taśmę do dywanu, posypując powierzchnie proszkiem daktyloskopijnym, zbierając próbki włókien i włosów... pracowali w ciszy przerywanej tylko trzaskaniem stawów kolanowych, szelestem torebek na materiały dowodowe i białych plastikowych kombinezonów roboczych.

Thome stanął w nogach łóżka i spojrzał na Sonję Van Der Vlugt. Uznał, że była młodsza od męża. Po pięćdziesiątce, okrągła twarz. Srebrne włosy upięte gładko w kok, zadbana figura. I ślady tortur.

Thome nie miał żadnych dowodów na poparcie swej teorii, ale był święcie przekonany, że sprawca zmusił swoje ofiary, by patrzyły, jak kolejno zadawał im ból i cierpienie; zduszone okrzyki spod prowizorycznych knebli i próby zerwania więzów podniecały go równie mocno jak świst stali rozcinającej skórę i widok płynącej krwi.

Niewielki sejf w dolnej części szafy został otwarty, być może zabrano z niego biżuterię, zegarki i gotówkę, ale nie chodziło tu o kradzież.

Już nie.

Idąc przez hol w kierunku dyrektora, Thome zdumiał się, jak bardzo przypominał mu ten w Baynham Smout. Zabójca musiał być pod wrażeniem tych marmurów i skóry. Przepych podniecał go i inspirował. Jeżeli już miał kraść, to przynajmniej wybierał ludzi, których stać było na to, co w życiu najlepsze.

Thome zapukał do drzwi gabinetu, zastanawiając się, czy zabójcą powodowała zazdrość. Odrzucił tę teorię. Nie, nie chodziło o kradzież...

Inspektor Colin Maxwell z zespołu nr 2 GPS (Sektor Zachodni) miał długie, wąskie, uniesione w kącikach usta, które sprawiały wrażenie, jakby stale się uśmiechał jak delfin. Jego koledzy skwitowaliby to porównanie ironicznym śmiechem, a fakt, że Maxwell był z natury ponurakiem, czyniło go zabawniejszym.

- Tom. - Uścisnęli sobie dłonie. Maxwell odwrócił się do niskiego pulchnego mężczyzny stojącego przy biurku. - Panie Felgate, to detektyw inspektor Thome. - Felgate

wyprostował się, a Thome podszedł, by uścisnąć mu dłoń. Dopiero wtedy zauważył kobietę siedzącą na krześle przy drzwiach. - A to Mary Rendle. To ona znalazła ciała.

Na dźwięk swego nazwiska kobieta uniosła głowę i spojrzała na Thome'a. Była po czterdziestce, miała krótkie czarne włosy i bliznę na podbródku. To Thome pierwszy odwrócił wzrok.

- Jak pan sądzi, ile jeszcze potrwa, zanim ciała zostaną usunięte?

- Pytanie Felgate'a zabrzmiało rzeczowo, jakby w hotelowych pokojach co dzień znajdowano nieboszczyków.

- Pracujemy najszybciej jak to możliwe - odrzekł Maxwell.

- A więc... - Thome czekał, aż Felgate spojrzał na niego. - Van Der Vlugtowie złożyli zamówienie u obsługi hotelowej. O której to było?

Felgate otworzył usta i spojrzał na Maxwella. Thome starał się nadać głosowi ton zniecierpliwienia.

- No więc?

- Już to omówiliśmy z panem Felgate'em - rzekł Maxwell. - Później podam ci wszystkie niezbędne informacje.

Jak na kogoś, kto przynajmniej teoretycznie został tu przysłany, by pomóc w dochodzeniu, Thome nie czuł się szczególnie mile widziany.

Doskonale znał to uczucie.

Odwrócił się, by spojrzeć na Mary Rendle.

- Proszę mi opowiedzieć o tym, jak pani znalazła ciała. - Zauważył, że spojrzała na Maxwella, i postąpił krok w jej stronę. - Zapewne już to pani omówiła z inspektorem Maxwellem. - Kolejny krok. - Ale teraz ja chcę to usłyszeć.

- O siódmej przyszedłam, by zmienić pościel. - Miała szorstki, ochrypy głos palaczki. - Nikt nie odpowiadał, więc użyłam służbowego klucza. Jej oczy rozbliły się. - To całkiem normalna procedura.

- Nikt nie twierdzi inaczej.

- No i to tyle. Ona leżała na łóżku, a on w wannie. Nie wiem, co jeszcze mogłabym powiedzieć.

- Choćby to, czemu nie wezwała pani natychmiast policji.

Thome miał wrażenie, że lekko się uśmiechnęła, jakby spodziewała się tego pytania. I miała już na nie gotową, dobrze wyuczoną odpowiedź.

- Oboje byli martwi, to nie ulegało wątpliwości. Co to za różnica? Gdyby żyli, wezwałabym pogotowie, ale oni umarli, a ja usiadłam i przemyślałam sobie wszystko jak należy...

Thome a zamurowało.

- Usiadła pani, aby wszystko przemyśleć?

Łypnęła na niego.

- Płacą mi trzy funty sześćdziesiąt na godzinę za wymianę brudnych ręczników i sprzątanie toalet. Nie musiałam zastanawiać się nad tym zbyt długo.

Thome i Maxwell przeszli w milczeniu przez hol.

Thome był zrezygnowany wobec brutalnej śmierci. Większość jego kolegów w pewnym sensie się na nią uodporniła. Opinia publiczna reagowała podobnie i po raz trzeci lub czwarty, odkąd wstał z łóżka, Thome zastanowił się, jakby to było, gdyby rzucił wszystko w cholerę i zajął się prowadzeniem pubu, pracą w sklepie albo beczynnym siedzeniem na tyłku, dopóki zatroskani sąsiedzi nie zaczęliby się dobijać do jego drzwi.

Zatrzymali się przy windzie. Maxwell zapalił papierosa i pokręcił głową. - To jest, kurwa, niewiarygodne.

Thome wzruszył ramionami. Miał nadzieję, że prasa potraktuje Mary Rendle tak, jak na to zasłużyła. A zasłużyła sobie na solidne baty. Spojrzenie, jakie posłał jej Felgate, zanim Thome i Maxwell opuścili gabinet, dało im jasno do zrozumienia, że nie będzie tam już długo zmieniać brudnych ręczników.

Maxwell wcisnął przycisk przywołujący windę. Zamierzał wrócić na miejsce zbrodni.

- Posłuchaj, dostaniesz wolną rękę, kiedy dorwiemy tego skurwiela, dobra?

Thome spojrział na uśmiechnięte delfinie oblicze tamtego, nie umiając go rozszyfrować. Propozycja wydawała się szczerą.

- Dzięki, Colin. Gdybyś czegoś potrzebował, daj znać...

- Nadinspektor dał nam pełny dostęp do akt, ale to wy odwaliliście większość roboty, więc coś się wam za to należy.

- Zajmiecie się najpierw personelem?

Pół roku wcześniej, zanim zabójca się przyczaił, uznali, że musiał mieć kontakty z osobą z wewnątrz. Sądzi, że informacji dostarczył mu ktoś, kto był zatrudniony w każdym z tych hoteli. Nie wiedzieli, jak nawiązywał kontakty, ale musiał mieć dokładne informacje. Orientował się, którzy goście przebywają akurat w pokojach, którzy korzystają z usług obsługi, gdzie szukać kamer...

Ten jeden z jego kontaktów stał się współnikiem zbrodni.

- Tak, chyba tak - przyznał Maxwell, lekko mrużąc powieki. Nie lubił, gdy ktoś mówił mu, co ma robić. Podobnie jak nie cierpiał protekcyjności, tak zawołowanej, jak i otwartej.

Zjawiała się winda, Maxwell wszedł do kabiny.

- To na razie...

Thome zrobił krok do przodu, przytrzymując dłonią zamykające się drzwi.

- Posłuchaj, czy ktoś sprawdził, czy w tę sprawę nie są zamieszane narkotyki? Tak dla pewności. Tortury, holenderski łącznik...?

Maxwell oparł się plecami o lustrzaną ścianę kabiny.

- Ronald Van Der Vlugt był handlarzem rzadkich starych książek. Przyjechał tu na wystawę białych kruków i manuskryptów w Olympii. Mogę się założyć, że jedyne prochy, jakie brał, to tabletki na przeczyszczenie albo pigułki nasenne. Albo może viagra...

Thome zaśmiał się, nieco wbrew sobie. Cofnął się o krok i zaczął, aż się drzwi zamkną.

Maxwell wyraźnie się uśmiechał. Tym razem to on zachował się protekcyjnie.

- Zadziwiasz mnie, Thome. Chwytasz się brzytwy...

Thome spiorunował go wzrokiem do momentu, aż drzwi zaczęły się zamykać.

- Jak zawsze, stary. Jak zawsze.

- Mamie wyglądasz - rzuciła McEvoy.

Thome wypił łyk kawy.

- Ty też nie lepiej, ale ja przez całą noc oglądałem martwych Holendrów. Jaką ty masz wymówkę?

Było kilka minut po dziewiątej rano, a Thome pozostawał od ośmiu godzin na nogach. Za kwadrans piąta wrócił do swego mieszkania, ale nie mógł zasnąć, toteż pojechał do pracy. Jazda pustymi ulicami w ten sobotni poranek była najprzyjemniejszą rzeczą, jaka go spotkała tego dnia. Thome zastanawiał się, czy pozostanie tak już do wieczora, gdy wreszcie położy się do łóżka. Teraz był kompletnie wyczerpany i w fatalnym nastroju. I nie tylko on.

- To, jak wyglądam, nie powinno pana obchodzić, inspektorze.

- Co takiego? - Thome był tak skonany, że nawet się nie rozzłościł.

- Nieważne. - McEvoy patrzyła na niego przez kilka sekund zimnym wyzywającym spojrzeniem, aż w końcu obróciła się na pięcie i wyszła z gabinetu.

- Jezu... - Thome wziął głęboki oddech. Wysunął szufladę biurka, spojrział tępych wzrokiem na zszywacz i gwałtownie zasunął szufladę.

Sięgnął po gazetę leżącą na biurku, opadł na oparcie fotela i po raz trzeci, odkąd zjawiał się w biurze, przeczytał artykuł „Zabójstwo turystów”. Treść była przewidywalna, pełna sugestii na temat niewysłownych koszmarów kryjących się za drzwiami pokoju 313 i sugerująca, że w mieście żaden turysta nie może już czuć się bezpiecznie. Parę pikantnych krwistych szczegółów i spora doza słusznego gniewu.

Litery zaczęły tańczyć Thomeowi przed oczami, zmrużył więc powieki. Mogło upłynąć kilka minut, a może nawet godzina, zanim otrząsnął się z odrętwienia na dźwięk głosu Hollanda.

- Panie inspektorze...

Thome nie otworzył oczu.

- Jeżeli masz dla mnie świeżą kawę, Holland, możesz liczyć na rychły awans.

- To coś lepszego niż kawa.

Thome usiadł prosto, gdy Holland opadł na krzesło naprzeciw niego. Thome spojrział na konstabla i stwierdził, że nie tylko on miał za sobą ciężką noc.

- Pojawiła się Margie Knight.

Takiego właśnie zastrzyku adrenaliny potrzebował Thome.

- Gdzie?

- Mundurowy zdybał ją wczorajszej nocy. Obsługiwała klienta w zaparkowanym aucie przy Caledonian Road.

Na to właśnie liczył Thome, może więc od tej pory śledztwo ruszy pełną parą. Potrzebowali tylko odrobiny szczęścia. Ot i samo życie. Londyn nocą. Pracująca dziewczyna, klient, który chciał sobie ulżyć, iczujny stróż prawa. Czasami śledztwo było rozwiązywane dzięki drobniejszym zbiegom okoliczności.

- Świetnie, ściągnij tutaj ją i Murrella. Chcę, żeby portret pamięciowy tego typu pojawił się na ulicach możliwie jak najszybciej. Ruszmy tę sprawę, Dave. - Holland skinął głową i wstał. - Co dziś ugryzło McEvoy? Jest jakaś nie w sosie.

Holland zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił.

- Słucham?

- Ktoś nielicho ją wkurzył. Zazartowałem, że mamie wygląda, a ona omal nie rzuciła mi się do gardła.

- Taa - mruknął Holland, odwracając wzrok i w zamyśleniu kręcąc głową. - Chyba jest trochę nadwrażliwa i przeczulona na swoim punkcie. Może ma...

Thome uciszył go, unosząc dłoń.

- Zważywszy na to, w jakim jest nastroju, jeżeli zasugerujesz, że ma to związek z jej kobiecą comiesięczną przypadłością, śmiem twierdzić, że zabije cię na miejscu. - Thome starał się bagatelizować tę sprawę, ale podejrzewał, że jest poważniejsza, niż się zdawało. Jego uwaga była rzucona z głupia frant, ale McEvoy faktycznie wyglądała na nieźle sponiewieraną.

- Spróbuję się dowiedzieć, o co chodzi - rzekł Holland, jakby Thome poprosił go o przeprowadzenie sekcji zwłok.

- A u ciebie wszystko gra, Dave?

Zapadła długa chwila ciszy, a słowa, jakie w końcu wyszły z ust Hollanda, były ciche i zniekształcone, jakby wypowiedział je z wielkim trudem.

- Drobne kłopoty w domu...

Thome zastanawiał się nad tym wcześniej, ale dopiero teraz po raz pierwszy Holland dał jasno do zrozumienia, że sprawy między nim a Sophie nie układają się najlepiej. Opór, z jakim się do tego przyznał, uświadomił Thomeowi, że nie jest to właściwy moment, aby drążyć ten temat. Cokolwiek było na rzeczy, miał nadzieję, że szybko się z tym uporają. Thome do tej pory spotkał Sophie tylko raz; wydawała się dość miła.

Thome spojrział na zegar. Już prawie dziesiąta. Brigstocke lada moment wróci ze spotkania z Jesmondem i zapewne też nie będzie w najlepszym humorze. Thome spróbuje go udobruchać dobrą wiadomością o cudownym odnalezieniu Margie Knight.

Rozładuje trochę napięcie.

McEvoy... Holland... Brigstocke. Thome wstał, wyszedł z gabinetu i pomaszerował w stronę automatu z kawą, przepełniony nadzieją, że może nie będzie pierwszym, który sfiksuje.

Duddridge zawsze czekał, aż klient się oddali, zanim przeliczył gotówkę. Uważał, że tak nakazywała uprzejmość. Poza tym świadomość, że nikt nigdy nie próbował go orznać, sprawiła, iż nie martwił się o zapłatę. Zawsze delikatnie dawał klientom do zrozumienia, że gdyby otrzymana należność różniła się od wcześniej ustalonej, odnajdzie ich. I na ich przykładzie zademonstruje, jak działa jego towar.

Banknoty: same dwudziestki. Przeliczył je, nawet na nie nie patrząc. Rozejrzał się po wnętrzu pubu, do którego zaczęły się schodzić tłumy kibiców futbolu na ostatnią sobotnią transmisję meczu przed przerwą świąteczną. Ogoleni na zapałkę, w koszulkach ulubionych drużyn i adidasach będą się tłoczyć przed wielkim telewizorem, chlać na umór i oglądać retransmisje kolejnych spotkań na kanale Sky, wydając na browar dwa razy więcej pieniędzy, niż kosztowałyby ich zamontowanie odbiornika satelitarnego w ich domach.

Tak jak się tego spodziewał, nie brakowało ani pensa. Duddrige postanowił to oblać. Bądź co bądź zrobił dobry interes. Dostał cynk od znajomego, że klient gotowy jest nawet przepłacić, aby tylko dostać to, oco mu chodziło.

Przysunął się do baru i zamówił jacka danielsa z colą.

Od lat sprzedawał towar różnym klientom, ale ten był wyjątkowo dziwny. Po pierwsze, gość nie wiedział, o co mu właściwie chodzi. Wszystko miał zapisane na kartce, zapewne przez faceta, który przysłał go do Duddrige a. Powiedział, że musi zadbać o własne bezpieczeństwo, wszyscy tak mówili. Ze niby próbują radzić sobie w niebezpiecznych czasach, w jakich przyszło im żyć, ale potrzebują tego jak najszybciej i nie chcą zawracać sobie głowy zezwoleniami i całym tym szajsem. No jasne, a prochy kupowali, bo chcieli zobaczyć, jak to jest, kiedy się weźmie, albo pisali o tym książkę.

Sęk w tym, że w wypadku tego faceta Duddridge był mu gotów uwierzyć. Ten wielki pojeb wyglądał na śmiertelnie przerażonego. Większość jego klientów była lekko podenerwowana, ale nie kupowali przecież płatków śniadaniowych. Facet, który wręczył mu plik dwudziestek, z którego Duddridge zapłacił właśnie za drinka, wyglądał, jakby miał lada chwila się sfajdać.

Może faktycznie potrzebował czegoś dla ochrony. Ten dziwoląg nie wyglądał, jakby mógł albo chciał kogokolwiek skrzywdzić. Duddridge zawsze był ostrożniejszy niż zwykle, gdy miał do czynienia z takimi ludźmi. Nigdy nie wiadomo, co może cię przez nich spotkać. Towar, który im żenił, był nie do wytropienia - na tym opierał w głównej mierze swą reputację - ale nie sposób przewidzieć, co zrobią ludzie, którzy go kupili. Nie ma jak proste układy - to był dla niego chleb z masłem.

Postrzegał siebie jako człowieka, który sprzedawał zawodowcom narzędzia ich fachu. Prosta robota - czysty zysk.

Ale nie mógł ręczyć za szajbusów.

Duddridge poczuł wibrowanie komórki. Kolejny klient. Dopił drinka i zaczął się przeciskać przez tłum w stronę wyjścia. Wyobraził sobie swojego ostatniego klienta, który kilka minut temu robił dokładnie to samo, przedzierając się niezdarnie między stolikami, rozlewając przy tym czyjeś piwo i jedną ręką sięgając do klamki u drzwi, drugą zaś ściskając mocno nabyty właśnie przedmiot.

Od amatorów zawsze mógł wyciągnąć więcej forsy, ale nie lubił robić z nimi interesów. Nigdy nie masz pewności, z kim handlujesz. To zazwyczaj ci nierzucający się w oczy, z pozoru zabawni klienci później szokują i bulwersują swoich sąsiadów. To ich widuje się później w wiadomościach po tym, jak z obłędem w oczach urządzili sobie polowanie na

Bogu ducha winnych ludzi na boisku szkolnym albo otworzyli ogień z uzi do klientów McDonalda.

To mu coś przypomniało. Uzi. Będzie musiał skontaktować się z jednym facetem w Stanach i zapytać, czy nie udałoby mu się załatwić choć kilka takich rozpylaczy 1999.

Zamknął za sobą drzwi, zdjął marynarkę, ciężko usiadł za biurkiem. Z głębi korytarza dochodziły podniesione głosy, rozlegało się trzaskanie drzwiami. Musiało być tu ze dwadzieścia parę stopni, klimatyzacja w budynku pracowała pełną parą, całe to miejsce cuchnęło potem i napiętymi do granic możliwości nerwami. Wyrzał przez okno, w pełni wyciszony i rozluźniony Miał swoje sposoby na radzenie sobie ze stresem.

Sięgnął do kieszeni marynarki, wyjął portfel i wyluskał z niego małe, sfatygowane zdjęcie wielkości fotografii paszportowej. Przedstawiało dwóch chłopców strojących miny w kabinie fotograficznej pewnego upalnego dnia, dawno temu. Dwóch chłopców wygłupiających się i dokazujących u Woolwortha piętnaście lat temu.

Bardzo się zmienił i prawie w niczym nie przypominał już mniejszego z chłopców na zdjęciu. Podobieństwo zostało zachowane jedynie w oczach. Znalazł się w całkiem innym świecie. To zdjęcie pochodziło z innego życia.

Dobiegał trzydziestki i zważywszy, że start miał dość trudny, cholernie dużo osiągnął. Każdy by to przyznał. Życie było cudowne, on wciąż miał dobrą passę, a Caroline okazała się idealną żoną. Była pod każdym względem odpowiednią, wprost wymarzoną towarzyszką życia. Spotkali się przed siedmioma laty podczas treningu i z miejsca między nimi zaiskrzyło. Bawiły ich te same rzeczy, mieli podobne zainteresowania i przez pięć lat, które minęły, odkąd się pobrali, praktycznie nie doszło między nimi do żadnej kłótni.

Tak, dobrze było dzielić życie z Caroline. Dzielił z nią większość życia.

Nie miała do niego pretensji o to, że wracał późno, że spędzał całe dni poza domem, a niekiedy nie przejawiał ochoty do igraszek w sypialni. Może już pogodziła się z myślą, że miał romans. Jeżeli nawet, nie był to przecież koniec świata.

Naturalnie szukał mocnych wrażeń, jak zawsze zresztą, ale nigdy nie zdołał odnaleźć tego w przelotnych związkach i czułych objęciach tej czy innej młodej cichodajki. Potrzebował nakręcenia, zastrzyku energii, odlotu jak na haju. Pragnął czegoś o wiele głębszego i trwalszego niż to, co oferował mu zwyczajny skok w bok.

Nie chciał uczestniczyć w niczym, co wymagało zgody obu stron.

Zawsze udawało mu się zdobyć to, czego pragnął, i tym razem nie było inaczej. To stawało się dla niego wręcz banalnie proste. Był ostrożny, podróżował daleko i do różnych

oddalonych od siebie miejsc, nigdy nie odwiedzając dwukrotnie tego samego i nie ryzykując bez potrzeby. Teraz, szczerze mówiąc, zaczął się trochę nudzić.

Zastanawiał się, czy nie było to zjawisko cykliczne. Czyż dokładnie dziesięć lat temu nie zaczął się nudzić tym, kim był. Wtedy też podjął decyzję, aby zacząć od początku, odmienić wszystko, stać się kimś innym. Teraz był zadowolony z tego, kim był, kim się stał, lecz to, co robił dla przyjemności, sprawiało mu coraz mniejszą frajdę. Emocje słabły, doznania stawały się coraz bardziej rozczarowujące, nie mógł się z tym pogodzić. Musiał coś z tym zrobić, musiał to zmienić.

Był zadowolony z tego, kim się stał...

Rozległo się pukanie do drzwi i do środka zajrzał kolega z pobludłą, spoconą twarzą, by przypomnieć mu, że jest potrzebny gdzie indziej.

Zdjął marynarkę z oparcia fotela i włożył ją.

Zabrał z biurka portfel i wsunął do środka zdjęcie.

Przez chwilę patrzył na karty kredytowe ze swoim nazwiskiem. Nie z prawdziwym nazwiskiem, rzecz jasna, lecz tym, pod którym był znany od z górą dziesięciu lat. Jego prawdziwe nazwisko należało do kogoś, kogo widział po raz ostatni w mieszkaniu w Soho dawno temu. Gdyby teraz na ulicy ktoś go zawołał, zwracając się do niego dawnym imieniem i nazwiskiem, wiedziałby, że to ktoś, kto w ogóle go nie znał. Ktoś, z kim chodził do szkoły...

Spojrzał na zegarek. Był spóźniony na zebranie. Myślami to wybiegał w przyszłość, to powracał do przeszłości. Wspominał, wyobrażał sobie...

Chwilę później, maszerując zwawo korytarzem, ponownie sięgnął po portfel. Uśmiechnął się, znów wyjął zdjęcie i spojrzał na dwie młode twarze.

Piętnaście lat to doprawdy szmat czasu.

8

Data: 16 grudnia Cel: kobieta Wiek: 20-30 lat

Miejsce wyboru: pub, klub, winiarnia itp.

Metoda: broń palna (najlepiej bez tłumika)

Niedziela. Pierwszy od dwóch tygodni wolny dzień Thome a.

Lunch z ojcem wydawał mu się niezłym pomysłem. To sposób na zapomnienie o dręczących problemach i zabicie czasu. Teraz, gdy jechał M1, żałował, że zadał sobie tyle trudu. Pomijając całą resztę, umierał z głodu. To właśnie ojciec zawsze zajmował się u nich w domu gotowaniem. Kiedyś jego dania były pyszne, ale entuzjazm, serce, jakie w to wkładał, i

cała reszta, zaczęły tracić na sile i w efekcie potrawy stały się niestrawne, podobnie jak stare żarty, które wciąż mu serwował, i mało śmieszne gierki słowne.

Kiedy Thome grzebał widelcem w kawałku przypalonego kurczaka otoczonego niedogotowanymi warzywami, ojciec głądził bez końca o wszystkim i o niczym. Wypytywał o nazwy najlepiej sprzedających się proszków do prania, i chichocząc, opowiadał kawały z brodą. Prawie przez cały czas nie zamykały mu się usta, z wyjątkiem kilku chwil, kiedy w trakcie jakiejś opowieści o niczym jego oczy wypełniały się łzami, a wówczas wstawał od stołu i wychodził z kuchni, zamykając za sobą drzwi.

Thome mógł tam tylko siedzieć i nienawidzić samego siebie za to, że pomyślał, iż poczułby się szczęśliwy, będąc na miejscu zbrodni. Temat świąt został podjęty dopiero wtedy, kiedy Thorne miał już wyjść, a nawet wówczas potraktowano go w typowy dla nich, wymijający sposób.

- To jak, tato... przyjedziesz?

- Już teraz musisz to wiedzieć? Niby dlaczego? Przecież nie musimy podpisywać listy obecności, prawda?

- To już za tydzień...

- Za dziesięć dni.

- Po prostu chcę wiedzieć, na czym stoję.

- No... nie wiem... może dobrze byłoby wymyślić coś innego.

- To zależy od ciebie, ale...

- Może spędzę święta u Eileen...

- Dobrze. Pytałeś ją?

- Podaj nazwiska ostatnich sześciorga premierów...

- Tato...

- Blair, Major, Thatcher.

- Pytałeś już Eileen?

- To było proste. Na razie. Callaghan...

Zaczęło się robić ciemno, Thome włączył więc światła w samochodzie. Ford mondeo sunął powoli po wewnętrznym pasie. Jazda do domu go uspokoiła, odprężała, nigdzie się nie spieszył.

Wybrał Radio 5 Live. Druga połowa meczu Ipswich kontra Leicester. W sumie nic wielkiego, ale głos komentatora pochłoniął go bez reszty, kiedy samochód jechał po pustej szosie w kierunku północnego Londynu. Opuszczał na wpół wiejski krajobraz i powracał do znajomego, szpetnego, lecz kojącego miejskiego pejzażu Brent Cross, Swiss Cottage i

Camden. Oddalał się od życia pewnego starszego mężczyzny, które powoli, lecz nieubłaganie przemijało, i powracał do myśli o czterech młodych kobietach, którym nigdy już nie będzie dane żyć. Zmierzał ku nowym możliwościom... Zostawił za sobą późne popołudnie, kierując się w stronę zmierzchu.

Odsunęli się od siebie i leżeli spoceni i wyczerpani, oboje zastanawiając się, co mogą teraz powiedzieć sobie nawzajem miłego. To mogłoby im pomóc. Hollandowi coś przyszło na myśl, ale Sophie już się odwróciła, aby zasnąć. Seks był przyjemny, wręcz cudowny, jak zawsze po kłótni. Przez większość dnia się sprzeczali, a potem pieprzyli się jak króliki, próbując udawać, że nie było między nimi żadnych sporów.

Sprzeczką pojawiała się jak grom z jasnego nieba. Niedziela była nudna, spokojna aż do bólu i w końcu pojawiło się znużenie, potem rozdrażnienie, a następnie gniew. Naturalnie gniew zawsze był obecny w zamkniętym na głucho pomieszczeniu jak smród, który, kiedy już się rozejdzie, dotrze wszędzie. Ściagał ich po całym mieszkaniu, gdy uganiali się jedno za drugim od pokoju do pokoju, klnąc, krzycząc i tłukąc pięściami w ściany. Wciąż tu był, nawet teraz, dwie godziny później, gdy płakali, obejmowali się nawzajem i wreszcie zaczęli się całować. Ich usta wpiły się żarłocznie jedno w drugie, choć jeszcze niedawno wypływały z nich gorzkie słowa i niewybredne obelgi. Były też słowa pojawiające się częściej od innych. „Praca”, „roboty”, „utrzymanie”, „frajer”, „egoistka”, „suka”, „dzieci”, „wybór”, „Thome”...

Oddech Sophie stał się równy, głębszy, Holland wiedział, że zasnęła, ale on sam nie mógł zmrużyć oka. Zbyt wiele myśli kołatało mu się w głowie.

Zastanawiał się, jak wielkie spustoszenie czyniły im obojgu te cotygodniowe sesje i czy kłótnie skończyłyby się, gdyby wydali wszystkie pieniądze i przeprowadzili się do nowego mieszkania.

Zastanawiał się, czemu Sophie wciąż go pociągała, bo przecież już jej nie kochał. I jeżeli Sophie nadal go pociągała, czemu, gdy się kochali, myślał o Sarze McEvoy?

Jacqui przygotowała obiad dla siedmiu osób i nie doczekała się za to podziękowania. Pieczeń wołowa z dodatkami dla jej męża, matki i siostry z rodziną. Jak zawsze, kiedy skończyła, sama nie była głodna. Patrząc na swoje odbicie w lustrze przy toalecie, po raz drugi zmieniła zdanie co do odcienia szminki; kupi coś na mieście. Może zje coś później z dziewczynami. Jeżeli w ogóle dotrze na spotkanie...

Nie spodziewała się, że ktokolwiek pomoże jej przy zmywaniu, choć byłoby to miłe. Jej siostra jak zawsze siedziała na tłustym tyłku, nie kiwnąwszy nawet palcem, i kiedy Jacqui w końcu posprzątała bałagan, jaki upiorne dzieciaki jej siostry zrobiły w salonie, była już spóźniona. Nie po raz pierwszy.

Dobrze, że spotkania odbywały się co dwa tygodnie. Co drugą niedzielę wieczorem ona i jej koleżanki zbierały się, by po uzalać się na fatalną sytuację w swoich rodzinach, i wracały do domów po dziesiątej. Próbowala zasugerować, że może co drugą niedzielę jej siostra mogłaby gościć wszystkich w swoim domu. Propozycja została odrzucona i na tym wszystko się zakończyło...

Mim stała w samych majtkach z żelazkiem w jednej i pilotem w drugiej ręce. Zatrzymała się na chwilę, gdy na ekranie pojawił się The Antiques Roadshow. Pomyślała, że jej matka pewnie teraz to ogląda, o ile wciąż nie złości się po ich niedawnej kłótni albo nie błąka po domu, by wyżyć się na swym Bogu ducha winnym mężu. Mim kontynuowała przerzucanie kanałów, aż w końcu zdecydowała się na dokument o rekinach i wróciła do prasowania dżinsów. Spodziewała się tej kłótni, odkąd skończył się semestr, a ona nie wskoczyła radośnie do pierwszego pociągu, który zawiózłby ją do domu. Miriam, jak możesz spędzać czas w tym parszywym akademiku zamiast w przytulnym domu z rodzicami...?

Próbowala zapewnić matkę, że wróci do domu na święta, ale kiedy pojawiły się łyzy, było już po herbacie. Nie żeby nie chciała wrócić do domu, tyle że parę osób z jej roku postanowiło jeszcze trochę zostać i codzienne wypady do pubu w ich towarzystwie to był naprawdę niezły ubaw.

Wciągnęła dżinsy i zaczęła grzebać w szafie w poszukiwaniu jakiejś bluzki. W pubie miał się odbyć turniej zagadek z nagrodami i chciała dotrzeć tam jak najwcześniej, aby znaleźć się w zespole z tym nowym pierwszorocznym o zielonych oczach i z kolczykiem w nosie...

Jacqui była gotowa i czekała w progu na męża, który odwiózł jej matkę do domu. Wychylił się w bok i otworzył drzwiczki od strony pasażera, gdy podbiegła po ścieżce ku niemu. Zawsze tak robili. To był ich swoisty rytuał. Zatrzasnęła drzwiczki, położyła torebkę na udach i samochód ruszył, rozpoczynając kolejną pozbawioną słów dziesięciminutową podróż na stację metra.

Mim wyłączyła telewizor, zanim jeszcze zaczął się God Squad. W niedzielny wieczór naprawdę nie było nic lepszego do roboty niż wypad do pubu. Niech to szlag, przecież ciężko harowała, czemu więc miałaby sobie tego odmawiać? Zamknęła drzwi, zbiegła po schodach i wyszła na zewnątrz. Było chłodno. Usłyszała odgłos silnika i zobaczyła wyjeżdżający z za rogu autobus. Klnąc jak szewc, zaczęła biec. Gdyby jej matka usłyszała tę wiązanekę, ani chybi zemdlałaby na miejscu.

Jacqui i Mim mieszkały o kilka kilometrów od siebie. Nie znały się nawzajem. I nigdy się nie spotkają. Ale w końcu połączą się ze sobą jako dwa nazwiska, jako ostatnia para

nazwisk umieszczonych jedno nad drugim drukowanymi literami na białej zmywalnej plastikowej tablicy.

Dwa nazwiska.

Jedno z nich należące do nieżyjącej kobiety.

Hendricks zadzwonił, kiedy Thome karmił kota. Ten, słysząc jego głos, od razu zorientował się, że nie on jeden miał fatalną niedzielę. Niezawodny w kuchni niejaki Brendan okazał się zawodny pod każdym innym względem.

- Gdzie zrobisz sobie kolejny kolczyk, Phil? Choć lepiej nie, wolę nie wiedzieć...

Hendricks zaśmiał się, ale Thome wyczuł jego przygnębienie.

- Nigdy w życiu stary... Nie wiem... Nigdy nie byłem stały w uczuciach ani... bezgranicznie oddany, ale... tym razem naprawdę się starałem, Tom, uwierzyłbyś?

- Uświadom sobie, że nie rozmawiasz o tym z właściwą osobą, ale powiem ci, że może za bardzo się starasz. Może dlatego ci nie wychodzi.

Hendricks westchnął, milczał przez chwilę, po czym rzekł:

- Dobrze wiem, dlaczego mi nie wychodzi. Krojenie nieboszczyków, wyjmowanie mózgów, serc, płuc...

Thome zrozumiał. Rozmawiali już o tym wcześniej kilka razy.

- Jasne, kolejny nie akceptuje tego, czym się zajmujesz?

- Nie powiedział tego wprost, ale to oczywiste. To zawsze jest trudne, ale od tego roku mam wrażenie, jakbym mówił ludziom, że jestem terrorystą, mordercą czy kimś takim...

Z początkiem roku skandal związany z pobieraniem organów od zmarłych dzieci sprawił, że na sprawy związane z przeszczepami organów padł mroczny cień, a wszystkich bez wyjątku patologów wzięto pod lupę. Histeria ucichła, ale nic już nie mogło zatrzeć tego, co się stało. Liczba przeszczepów drastycznie spadła. Zmniejszyła się też liczba dawców organów. Patologom trudno było zawierać nowe znajomości.

- Gdy mówię ludziom, co robię, zapada cisza, rozumiesz?

Thome zdawał sobie z tego sprawę. Hendricks zaczął bredzić trzy po trzy i Thome zorientował się, że tamten palił trawkę. Nigdy nie rozmawiali o maryśce, ale Thome często czuł od niego charakterystyczną woń. Teraz też wyczuwał, że tamten był pod jej wpływem, gdy Hendricks szeptał:

- Zastanawiam się, czy to, co robię... jakoś się na mnie odciska. Rozumiesz, o co mi chodzi?

- Phil...

- Nie mówię o smrodzie, umiem się go pozbyć, myślę raczej o cieniu albo niewidzialnym piętnie. Albo o śladach, które widać tylko w świetle lampy ultrafioletowej... czy luminalu... kiedy wszystkie te drobinki na ubraniu i ciele, łupież i cała reszta... świeci na biało. Może tak to właśnie jest. A na moim ciele widać małe drobineczki śmierci...

Thome usmażył jajecznicę i zjadł przy stole w kuchni. Myślał o ojcu. Czemu, w miarę jak się od niego oddalał, czuł się coraz bardziej spięty? Może też powinien od czasu do czasu wypalić skręta. To rozjaśnia umysł. Na pewno dobrze by mu zrobiło. Jan też czasami wypalała jointa. Nigdy w jego obecności, ale gdyby nawet, nie miałby nic przeciw temu. Nie był zagorzałym przeciwnikiem trawki, którą wielu starało się ukazać jako źródło wszelkiego zła, ale po prostu w tym nie gustował. Wolał inne używki, na które wydawał zarobione pieniądze. Na przykład piwo i wino...

Nagle wyobraził sobie Jan i tego wykładowcę, z którym się pieprzyła za jego plecami, chichoczących i obściskujących się, gdy przy łóżku paliły się kadzidelka. Otworzył butelkę innej używki i pomaszerował z nią do salonu.

Po nieudanych próbach znalezienia ciekawego programu Thome wyłączył telewizor i zastanawiał się przez chwilę nad tym, co usłyszał od Hendricksa. Przypomniał sobie różne rzeczy i wybiegł myślą w przyszłość. Myślał o nieboszczykach, uduszonych i zasztyletowanych. A także o parze kartonowych trumien w ładowni samolotu lecącego do Amsterdamu...

Czy ci, co mieli do czynienia ze śmiercią, kiedykolwiek się od niej uwolnią?

Wstał i podszedł do wieży stereo. Przesunął palcem po rzędzie kompaktów i już miał wyjąć zestaw płyt Johnnycgo Casha, ale - zmienił zdanie. Kupił go przed rokiem, zestaw trzech płyt, każda zawierająca składankę na jeden konkretny temat: Bóg, Miłość i Zbrodnia. Choć lubił Johnny ego Casha, jednej z płyt do dziś nie przesłuchał.

Później, leżąc w łóżku, przy zgaszonym świetle i z włączonym radiem, wciąż wspominał monolog Hendricksa. Był to narkotyczny bełkot. Paranoja podszyta chęcią poużalania się nad sobą. Frazesy mające udawać filozoficzne rozważania.

Ale to mu się właśnie podobało.

Minął prawie rok, odkąd był z kimś ostatni raz. I nie zapowiadało się na kolejny romans. Czy on też dźwigał na swoich barkach jakieś brzemie? Brzemie śmierci, widoczne tylko dla niektórych? Wyobraził sobie swoją kurtkę leżącą na oparciu krzesła w ciemnościach. Zamknął oczy i zobaczył drobiny lśniące w blasku księżyca wsączającym się przez kuchenne okno... Małe drobinki błyszczące przy kołnierzu i na ramionach kurtki. Jak złośliwe brylanciki.

Karen, nie mogłem tego zrobić.

Chciałbym ci powiedzieć, że to dlatego, iż się sprzeciwiłem. Że zebrałem się w sobie i powiedziałem wprost, iż tego nie zrobię. Chciałbym powiedzieć ci, że byłem silny i postanowiłem z tym skończyć.

Prawda jest taka, że spróbowałem, ale mi się nie udało. Dzięki Bogu nie udało mi się. Może w dużej mierze sam tego chciałem, pragnąłem tej porażki i w końcu tak właśnie się stało. A może wybrałem niewłaściwą kobietę. Albo raczej tę właściwą.

Siedziałem w pubie i obserwowałem ją, chciałem uciec i zostać równocześnie, liczyłem jej kolejne drinki, słuchałem, jak się śmiała, i czułem ciężar przedmiotu, który miałem w kieszeni. Sam sączyłem mineralną, nuciłem pod nosem i chciałem, aby jak najszybciej było po wszystkim.

Było już późno, kiedy wyszła; zostały dosłownie do zamknięcia pubu i powiem ci, Karen, że było w tym coś przeraźliwie doskonałego. Mogły pójść w tym samym kierunku, wspólnie wracać do domu, a ja musiałbym znaleźć inny klub i wybrać kogoś innego, ale ona poszła dalej sama, a mnie nie pozostało nic, jak tylko pójść za nią. Nieczęsto używam przekleństw, Karen, ale kiedy wyjąłem pistolet, byłem kurewsko przerażony. Zwieszał się z mojej dłoni jak martwe zwierzę, a jej usta rozchyliły się szeroko, stałem więc i patrzyłem na jej usta i słuchałem przez chwilę, jak krzyczy. Nie wiem, jak długo tam stałem, ale zamiast zrobić to szybko, zamiast strzelić, zamiast uczynić, co do mnie należało... po prostu patrzyłem, jak się na mnie rzuciła, i pochyliłem głowę, gdy zaczęła okładać mnie pięściami. Cofnąłem się i zobaczyłem, że schyla się, by coś podnieść. Zaraz potem znów się na mnie rzuciła i wtedy poczułem naprawdę silny ból i choć wiem, że to zabrzmiało głupio, niemal się roześmiałem, bo nagle uświadomiłem sobie, że krzyk, który słyszę, dobywał się z moich ust.

Patrzyłem, jak biegnie w stronę oświetlonej części ulicy, krzycząc na całe gardło, i ocierałem krew, która zalewała mi oczy.

Potem schowałem pistolet do kieszeni i odszedłem.

To się musi skończyć, Karen. I to już, teraz. Chciałbym być na tyle odważny, aby pójść do ciebie, ale wiesz, że nie jestem dość dzielny. Myślę, że trucizna w moim wnętrzu wypaliła resztki odwagi, jakie mogłem kiedykolwiek mieć.

Muszę się postarać i odnaleźć jej w sobie jeszcze choć odrobinę.

Jeden telefon do kochających rodziców kilka tygodni temu, to wszystko, co było konieczne. Nie zdziwił się, że się nie przeprowadzili. Zapewne nigdy tego nie zrobią. Dobry

bajer doprawiony szczyptą uroku osobistego i po kilku minutach miał adresy - domowy, do pracy, numery telefonów i wszystko, czego mógł potrzebować.

Stanął przed piwiarnią i zajrzał przez szybę do środka. Modny wystrój z niedużymi odsłoniętymi rurami, wygodnymi skórzanymi sofami od frontu i stolikami ukrytymi w głębi lokalu. Nie mógł go dostrzec. Widział go wchodzącego samotnie do środka, ale może spotkał tam kogoś i teraz jedli wspólnie posiłek...

Jego lunch zaczął się topić. Włożył resztę batonika do ust, wsunął zmięte opakowanie do kieszeni spodni i wszedł do środka. Barman uniósł wzrok i uśmiechnął się, ale Nicklin pokręcił głową, kierując się w głąb lokalu, gdzie za rogiem znajdowały się zaciszne stoliki.

Nieprzyjemne drżenie w żołądku nie było bynajmniej zdenerwowaniem. Nie odczuwał strachu, a w każdym razie nie w tradycyjnym tego słowa znaczeniu. Jak zawsze zresztą. Odkąd pamiętał, robił rzeczy, których inni nie zrobiliby z wielu powodów lub nie odważyliby się zrobić, nie dlatego, że był odważny, lecz dlatego, że nie znał lęku. Wiedział, że to właśnie jest zasadnicza różnica.

Teraz natomiast odczuwał podniecenie. Pojawiła się perspektywa czegoś nowego i intensywniejszego niż wszystko, czego dotąd doświadczył. Poza tym w pewnym sensie miał podjąć to, co przerwał dawno temu. Coś starego, coś nowego...

Dotarł w głąb sali, spojrzął w lewo i natychmiast go zauważył. Siedział przy stoliku z dwoma innymi mężczyznami bez podbródków, w samych koszulach, żłopiającymi wino i gawędzącymi w najlepsze; musieli być urzędnikami, w każdym razie to żałośni tandeciarze, skonstatował.

Ruszył w ich stronę.

Gdy dzieliło go od niego parę metrów, Palmer uniósł wzrok, spostrzegł go i powrócił do rozmowy. Rzecz jasna nie rozpoznał go. Nicklin był pewien, że tak się stanie. Byłby zawiedziony, gdyby został zdemaskowany. Zabrakłoby temu odpowiedniej dawki dramatyzmu.

Stanął. Konwersacja zamarła. Postąpił jeszcze krok do przodu, jego uda dotknęły krawędzi stolika, kieliszki z winem zachwiały się.

- Słucham pana? - Jeden z kumpli Palmera, mocno podenerwowany, starał się zgrywać twardziela.

Zignorował go, zatrzymując wzrok na Palmerze, i czekał, aż tamten odnajdzie jego spojrzenie. Kiedy to nastąpiło, iskierka rozpoznania rozpalila prawdziwą ognistą burzę i reakcja była taka, jaką sobie wymarzył przez ostatnie tygodnie.

- Martin? Dobrze się czujesz, stary? - Drugi z jego zatroskanych kolegów odsunął krzesło i odwrócił się.

Palmerowi oczy wychodziły z orbit... opadła mu szczeka. Skórę miał białą jak papier.

Nicklin pokiwał głową i wyszczerzył zęby.

- Cześć, Mart. Jest super, co nie?

Palmer był kompletnie otepiały, jego twarz zmieniła się w woskową maskę. Ślina spływająca z kącika rozchylonych ust skapywała na nieskazitelnie biały obrus. Palmer osłupiał i skamieniały z przerażenia wpatrywał się w upiора ze swej przeszłości.

9

Upłynęły prawie trzy tygodnie, odkąd Charlie Gamer widział śmierć swojej matki. Dwa tygodnie od oficjalnego rozpoczęcia śledztwa. Osiem dni przed świętami.

W biurze pełno było czekających ludzi...

Thome patrzył, jak poruszają się wokół niego, w większości ze spuszczoneymi głowami, wymieniając uśmiechy rezygnacji. Nosili teczki z aktami, odbierali telefony, mocniej, niż to było konieczne, stukali w klawiaturę. Sfrustrowani, znudzeni, niektórzy wściekli z siebie tylko znanych przyczyn, inni wymęczeni przez weekend, ale wszyscy do pewnego stopnia mieli świadomość, że wykonują tylko mechanicznie zapamiętane czynności.

Dziś na pierwszych stronach większości gazet pojawił się portret pamięciowy podejrzanego w sprawie zabójstw Jane Lovell i Ruth Murray sporządzony na podstawie opisu Margie Knight i Michaela Murrella. Thome nie czekał jednak, aż rozdzwonią się telefony. Nie czekał na informacje od potencjalnych świadków, gotowych zeznać, że osoba z portretu to ich przyjaciel, krewny albo mąż koleżanki z pracy lub, jeszcze lepiej, sąsiad zza ściany.

Thome czekał na ciała.

Odkąd stało się jasne, że poszukują dwóch morderców, w całym mieście wzięto pod lupę wszystkie napady na kobiety. Dokonano gruntownego przesiewu. Szukano morderstwa, usiłowania morderstwa, może również napaści... i czekano, aż pojawi się drugi taki przypadek, mroczne lustrzane odbicie. Szukano dwóch pasujących do siebie połówek. Thomeowi skojarzyło się to z grą w Czarnego Piotrusia, tyle że w krwawej wersji.

Mam dwa przypadki zasztyletowania i dwa uduszenia... a co ty masz?

Dzięki Bogu to nie był zbyt uciążliwy niedzielny wieczór. Zgłoszeń było wiele, ale większość z nich odrzucono jako niepasujące do profilu. Spośród spraw, które znalazły się w kręgu zainteresowań, żadna nie wzbudzała gwałtowniejszych emocji. Jedna kobieta zaatakowała drugą butelką przed pubem w Canning Town. Ofiara zadżgana nożem w

Willesden, przypuszczalnie sprzeczka rodzinna. Ktoś groził kobiecie bronią w Clapham, zapewne nieudana napaść lub usiłowanie gwałtu...

Portret pamięciowy pokazano też w wiadomościach i na rezultaty nie trzeba było długo czekać. Rozdzwoniły się telefony. Do południa zebrano całą listę nazwisk. Żadne z nich nie pojawiło się więcej niż raz.

Brigstocke usiłował trzymać swoich ludzi w ryzach i zachować zimną krew. Thome szukał dla siebie zajęcia. Wszyscy krążyli w kółko. Przy piwku i soku pomidorowym do lunchu Holland dość nieudolnie starał się wyrazić frustrację, którą wszyscy odczuwali.

- To jak seks bez orgazmu...

Thome wydał policzki. Analogia była... nader ciekawa.

- A więc wiecie, jak to jest - zaśmiała się McEvoy. Thome również. Holland zapłonął się i wypił łyk soku pomidorowego.

- Oczywiście generalizowałam, Dave - dodała McEvoy. - Jestem pewna, że Sophie nie ma powodu się skarżyć.

Holland milczał.

- Przepraszam. Czy powiedziałam coś...? - Przeniosła wzrok z Thome a na Hollanda i z powrotem. - Co jest, nie wysławiam się jak dama? - rzuciła z przekąsem.

Thome uśmiechnął się.

- Cóż, przynajmniej jesteś w lepszym nastroju niż w sobotę. Udany weekend?

Teraz McEvoy się zaczerwieniła.

- Tak. Przepraszam za ten wybuch. Wstałam lewą nogą. Weekend był... świetny. Wręcz wspaniały. Dzięki.

Zanim cisza stała się nieprzyjemna, Thome dostrzegł Brigstocke a w drzwiach pubu, przepatrującego tłum i szukającego ich. Thome pomachał do niego, a nadinspektor podszedł do ich stolika. Thome po wyrazie jego twarzy zorientował się, że ma im coś do zakomunikowania.

Pytanie brzmiało, czy wieści były złe, czy naprawdę paskudne...

- Dziesięć minut temu dostaliśmy faks. Rysopis mężczyzny, który groził kobiecie bronią przy stacji metra Clapham ubiegłego wieczoru...

Ramiona Thomea się uniosły Drgnął instynktownie. Poczł świerzbienie. A więc wieści wcale nie były złe...

McEvoy domyśliła się, do czego zmierza Brigstocke.

- A zatem nie chodziło o napaść czy gwałt?

- Raczej o usiłowanie morderstwa - wtrącił półgłosem Thome.

Brigstocke skinął głową.

- Wygląda to na robotę naszego gagatka. Wysoki, mocno zbudowany, jasne włosy, okulary W dodatku krwawił jak wieprz. Kobieta, której zagroził bronią, nieźle mu dołożyła pantoflem na wysokim obcasie.

McEvoy upiła łyk piwa.

- Ekstra!

- Kiedy możemy z nią pomówić? - spytał Holland.

- Próbuję to zaaranżować. Rodzina się nią opiekuje... wciąż jest tym wszystkim wstrząśnięta. - Brigstocke przysunął się bliżej, aby usiąść. Thome odsunął się, by zrobić mu miejsce. - Miejmy nadzieję, że jeszcze dziś wieczorem... - Brigstocke westchnął i pozwolił sobie na pierwszy od wielu dni uśmiech, jaki Thome widział na jego ustach.

Thome wstał i sięgnął po kurtkę. Jeżeli facet ze spluwą był jednym z tych, których szukali, to, dzięki Bogu, jeden z zabójców zawiódł. Thome był pewien, że ten drugi zrobił swoje...

Cel: zbierać pary

Thome nie chciał, by uśmiech zniknął z twarzy Brigstocke a, ale nie zawahał się powiedzieć tego, co myśli. W jego głowie to brzmiało jak wrzask. Z jego ust jednak wypłynął zaledwie cichy szept.

- Gdzieś jest martwa zastrzelona kobieta. Chcę ją odnaleźć.

Londyn był miastem duchów, przy czym były wśród nich bardziej i mniej martwe od innych.

Thome wiedział, że choć pod tym względem nie różnił się od miast takich jak Paryż, Nowy Jork czy Sydney, instynktownie czuł, że Londyn jest miastem ekstremalnym. Zapewne wszystko sprowadzało się do historii tego miejsca. A konkretnie jego mrocznej historii, w przeciwieństwie do parków, pałaców i królewskich rezydencji, które wzbudzały zachwyt i podziw turystów ze Stanów i Japonii. Sekretna historia miasta, gdzie osamotnieni, niechciani i bezdomni krążyli po ulicach, napotykać upiory przeszłości. Miasto, gdzie cienie brudnych i trawionych zarazą, wieszanych za kradzież bochenka chleba albo zabijanych za szylinga stapały się z tymi, którzy dziś poszukiwali posiłku, kilku pensów czy posłania na noc.

Miasto, gdzie umarli mogli pozostawać długo zagubieni.

Thome, odkąd tylko zaczął karierę w policji, wiedział, że Londyn potrafi ukrywać ciała, ale ta umiejętność wciąż wprawiała go w konsternację. Ci, którzy zmarli spokojnie w swych domach, mogli przez wiele tygodni, a nawet miesiące rozkładać się w nich,

przyciągając stada szcurów' i roje much, aż w końcu któryś z sąsiadów o nieco bardziej czułym powonieniu zdołał odkryć prawdę.

Ci, którzy zginęli gwałtowną śmiercią i których zabójcy nie chcieli, by ciała zostały odnalezione, mogli spoczywać z dala od ludzkich oczu o wiele dłużej. Pogrzebani, spaleni, zamurowani, rozczłonkowani, zalani betonem lub wrzuceni z obciążeniem do Tamizy, niejednokrotnie pozostawali tam dopóki ci, co ich szukali, sami nie stali się wspomnieniem. Dopóki umarli nie stawali się nazwiskami na jednej ze stron pożółkłych akt albo na teczce w kartotece stomatologicznej.

Oczywiście takie rzeczy zdarzały się również w małych miasteczkach i wioskach, gdzie nadal stanowiły nie lada wydarzenie, jednak zdaniem Thome a Londyn zasmakował w anonimowej śmierci. Niektórzy utrzymywali, że to właśnie w ich dzielnicy istnieje prawdziwa mała społeczność, przyjazna, pełna ciepła i mocnych rodzinnych więzi... jednak Thome pojmował to w ten sposób, że w takich miejscach kioskarski zwracał się do ciebie po imieniu, a barman wiedział, w czym gustujesz, i bez pytania napełniał dla ciebie szkło. Mimo tak szczytnych deklaracji wciąż zdarzało się, że ludzie tracili kontakt z przyjaciółmi mieszkającymi zaledwie parę ulic dalej, a reakcją wielu londyńczyków na zgwałcenie kobiety w wagonie metra, którym właśnie jechali, było uniesienie czytanej gazety powyżej poziomu twarzy.

Przygnębiające refleksje na temat miasta, w którym Thome się urodził, mieszkał i pracował, spotęgował prosty i zgoła niewzbudzający jego zdumienia fakt, że pod koniec dnia wciąż nie odnaleźli ciała, które przecież musiało się gdzieś znajdować. Przejrzeli raporty o osobach zaginionych, ale nie natrafili na nic ciekawego. Ofiary nie zgłoszono jeszcze jako zaginionej. Mogło być po temu wiele różnych przyczyn.

Teraz, gdy on i Holland jechali w kierunku Wandsworth, by przesłuchać kobietę, która przeżyła usiłowanie zabójstwa poprzedniego wieczoru, Thome starał się nie myśleć o drugiej kobiecie, która nie miała tyle szczęścia. Jej ciało, gdziekolwiek spoczywało, mogło zapewnić im nowe ślady, które teraz z każdą chwilą znikwały, w miarę jak zwłoki zmieniały swój kształt i konsystencję, nabrzmiewając od wypełniających je gazów.

Miasto odda ciało, gdy będzie na to gotowe.

Tymczasem Thome miał całą listę rzeczy, którymi należało się przejmować.

Najwięcej troski przysparzał mu fakt, że zabójstwa stawały się coraz częstsze. Od śmierci Carol Gamer i Ruth Murray minęło dziewiętnaście dni. A wcześniej cztery miesiące od śmierci Jane Lovell i Katie Choi. Skrócenie okresu pomiędzy zabójstwami było przewidywalnym wzorcem, ale nie wróżyło nic dobrego. Chyba że, ma się rozumieć,

między oboma tymi podwójnymi zabójstwami wydarzyły się jeszcze inne, o których dotąd nie wiedzieli... Thome czym prędzej odegnął od siebie tę posępną myśl, przestając na niemniej niepokojącej, że w wypadku zabójców żądza mordu dopiero się w nich rozwijała.

Zabójcy...

Kolejne poważne zmartwienie Thome'a. Dwaj zabójcy, choć jeden z nich był dla niego postacią czysto hipotetyczną. Cieniem. Zmierzali na spotkanie z kobietą, która stanęła twarzą w twarz z jednym z nich. Tym samym, którego widzieli Margie Knight i Michael Murrell. Tym, którego portret pamięciowy prezentowano w gazetach i wiadomościach. Czy to on był tym nieostrożnym? Tym niepohamowanym? A może po prostu jego partner umiał lepiej zacierać ślady i mordować, pozostając przy tym niewidzialny?

Zabójca, którego puste, ozdobione okularami oblicze spoglądało dziś z setek tysięcy listów gończych, dał im jedyny trop, jakim teraz podążali, to on mordował szybko i sprawnie, zadając jedno pchnięcie nożem w serce albo zaciskając dłonie na tętnicach szyjnych... to on był płaczącym zabójcą. Nie był tym szalonym rzeźnikiem mordującym jak opętany i znikającym w ciemnościach cały skąpany we krwi. To nie on wycisnął życie z Carol Gamer, tłukąc jej potylicą o podłogę, podczas gdy jej synek patrzył na śmierć matki.

To nie ten...

Thome chciał dopaść zabójcę, którego podobizna widniała na rozwieszonych w całym mieście listach gończych. Ale jeszcze bardziej chciał dopaść jego partnera.

Sean Bracher spojrzął na zegarek. Stał przy barze, czekając, aż beuzyteczny palant po drugiej stronie poda mu zamówionego drinka.

Spóźniła się.

Nie martwił się, że nie przyjdzie, drażniło go tylko, że będzie musiał specjalnie pójść po drinka dla niej, kiedy wreszcie zechce się łaskawie pojawić. Bez słowa zapłacił za piwo, nabrał garść orzeszków z miski przy barze i wrócił do stolika.

Nie zamierzał iść z nią dziś do łóżka. Nie odmówiłby, gdyby wyszło inaczej, ale uznał, że Jo, choć flirtowała, będzie w tej kwestii grać na zwłokę. Jane też kazała mu czekać, aczkolwiek tylko jedną noc, ale było warto. To będzie tylko przelotny związek, nie pozostawił jej co do tego złudzeń, jednak przystała na to. Nie chciał się z nikim wiązać, a już na pewno nie z recepcjonistką, ale dzięki temu dni robocze czy wyjazdy służbowe wydawały się o niebo ciekawsze. Ta dziewczyna była nielicho rąbnięta...

Włożył garść orzeszków do ust i rozejrzał się dokoła. Pub zaczął się zapełniać szczęśliwcami, którzy roboczy poniedziałek mieli już za sobą, spragnionymi szybkiego drinka przed uciążliwą jazdą do domu pociągiem lub autobusem. Na sąsiednim stoliku ktoś zostawił

egzemplarz „Standarda”. Sięgnął po gazetę i leniwie zaczął czytać artykuły z działu sportowego.

Tak, to był miły pub. Wypiją parę drinków, a potem pojedą na kolację do włoskiej knajpki czy jakoś tak. Wybiorą dania bez czosnku. Tak samo zrobił z Jane na ich pierwszej randce pół roku temu.

Jo była atrakcyjniejsza niż Jane, ale nie tak zabawna. Brakowało mu jej niewybrednych żarcików i typowo rozrywkowej natury. Podpuścił ją, aby zaczęła flirtować z tym dziwakiem z działu zagranicznego. To był dopiero ubaw po pachy. Frajer połknął haczyk razem ze szałwikiem i żyłką. Cały się czerwienił i zaczął się jąkać. Omal szlag go nie trafił, gdy zrozumiał, że padł ofiarą żartu. Ale co tam, nawet w pracy trzeba się czasem pośmiać...

Spojrzał ponownie na zegarek. Zerknął na wyświetlacz komórki. Czemu te kobiety zawsze się spóźniają? Wydawała się zadowolona, gdy zaproponował jej spotkanie. Wysłał krótkiego SMSa. Gdzie jesteś? Pewnie wciąż w pracy, w łazience, gdzie się szykowała do wyjścia. Może jednak po namyśle spróbuje ją uwieść. Najlepiej u niej w domu, nie zamierzał zostawać na noc, zrobi swoje i do zobaczenia...

Uśmiechnął się, wyobrażając sobie siebie i ją w łóżku; przez cały czas wertował „Standarda”.

I kiedy ujrzał to, co widniało na pierwszej stronie, omal nie udławił się orzeszkami.

Młody student wysiadł z autobusu przy Kingsland High Street. Do jej mieszkania miał tylko dwie minuty marszu po Dalston Road.

Wieczór był zaskakująco łagodny. Zdjął kurtkę i przerzucił ją przez ramię. Szedł szybko, zaglądając przez szyby wystawowe sklepów płytowych i greckich kafejek, przypominając sobie, jak patrzyła na niego ubiegłego wieczoru.

Często się uśmiechała, unosiła brwi i koniuszkiem języka dotykała górnych zębów. Śmiała się tak, że klienci pubu odwracali wzrok, by na nią spojrzeć. Wszyscy byli trochę zmęczeni po wypiciu pierwszej nagrody uzyskanej za zwycięstwo drużynowe w konkursie. Potem stali oboje na przystanku przy Highbury Comer, rozmawiając, przepuścili cztery autobusy, aż w końcu wrócili do domu pieszo, ona poszła w stronę Dalston, a on w przeciwnym kierunku, do Tufnell Park, gdzie wynajmował małe zawilgocone mieszkanko.

Umówili się dziś na wspólny lunch w Pizza Express. Trochę za długo spał i w efekcie musiał się pospieszyć, aby się nie spóźnić; dotarł na miejsce spocony i zdyszany. Czekał ponad godzinę.

Umówili się luźno, bez zobowiązań - wypił sporo guinnessa - ale spodziewał się, że ona jednak przyjdzie. Nie miała telefonu stacjonarnego, toteż po południu kilka razy

próbował dodzwonić się do niej na komórkę, zostawiając jej wiadomości. Już miał znów wykonać telefon, lecz postanowił, że ją odwiedzi. To zaledwie dziesięć minut drogi, autobus podjeżdżał praktycznie pod jej dom. Był pewien, że ona ucieszy się na jego widok. Oboje wypili sporo guinnessa, ale był pewien, że będzie zadowolona z jego wizyty.

To były brudnobiałe drzwi pomiędzy sklepem obuwniczym a agencją turystyczną oferującą okazyjne wyjazdy Trzy przyciski dzwonka, pod tym u samej góry jej nazwisko.

Nacisnął dzwonek.

Włożył kurtkę; powiedziała mu wczoraj, że fajnie w niej wygląda. Spojrzał na okna powyżej. Z okna na pierwszym piętrze ląpał na niego jakiś staruszek. Może powinni już teraz pójść na pizzę, w Islington było sporo pizzerii. A może tylko tam posiedzą, zapalą, a zamówią coś później. Tak czy owak miło będzie znów ją zobaczyć.

Ponownie nacisnął dzwonek...

- Nie pozwólcie Bracherowi odejść. Zatrzymajcie go tam...

Thome i Holland kierowali się na południe, w stronę Blackfriars Bridge, kiedy zadzwoniła komórka Thome a i po chwili inspektor dowiedział się, że Sean Bracher dał ostro popalić funkcjonariuszom przy Charing Cross, wykrzykując, że jest na sto dziesięć procent pewien, iż mężczyzna z portretu pamięciowego to ktoś, z kim pracował, ktoś z firmy Baynham Smout...

Thome omal nie wyrwał Hollandowi kierownicy z rąk. Kobieta z Wandsworth, Jacqueline Kaye, mogła poczekać do jutra. Teraz musieli pomówić z kim innym. To było ważniejsze. Już tam byli... Jezu, Lickwood też, ten skurwiel był tam przez cały czas...

Thome rozmawiał z inspektorem z Charing Cross, a równocześnie starał się instruować konstabla, jak mają jechać.

- Jak brzmi jego nazwisko? - Thome usłyszał je i pokiwał głową, po czym zaczął wymachiwać Hollandowi ręką przed nosem. - Skręć w prawo, pojedziemy skrótem przez Lincoln's Inn Fields.

Holland gniewnie wyrznął otwartą dłońią w kierownicę i zrobił, co mu kazano, zerkając jednym okiem na Thome a, obserwując jego reakcję i rozpaczliwie domagając się szczegółów.

- Czy Bracher mówił o tym komuś? Mam na myśli kogoś z jego firmy? Dobrze...

Thome rzucił Hollandowi kolejne wskazówki, mamrocząc jednocześnie do telefonu, odebrał spojrzenie konstabla i pokiwał głową. To mógł być przełom.

Gdy nieoznakowany rover z rykiem przemknął przez Strand, Thome zaczął krzyczeć do telefonu, jakby gubił sygnał.

- Będziemy za dziesięć minut... tak... za dziesięć... - Przerwał połączenie i odwrócił się do Hollanda. - Sean Bracher...

Zadzwoił telefon Hollanda.

- Kurwa... - Holland sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki po komórkę.

- Założę się, że to do mnie - rzekł Thome. - Słyszałem w swojej komórce sygnał połączenia oczekującego...

- O piątką? - spytał Holland, wyciągając komórkę.

Thome skinął głową. Holland odebrał.

- Halo? Tak, już daję... - Przekazał mu aparat. - McEvoy.

Bogatszy o pięć funtów, uśmiechnięty Thome wziął od niego telefon. Sarah McEvoy była zdyszana. Musiała bardzo się spieszyć, aby do nich zadzwonić.

- Mamy mężczyznę pasującego do naszego portretu pamięciowego, to niejaki Martin Palmer... - Uśmiech zastygł na twarzy Thome'a. To samo nazwisko usłyszał zaledwie przed chwilą; podał je Bracher.

- Palmer niecałe pół godziny temu wparował na posterunek West Hampstead, rzucił na biurko pistolet i przyznał się do dwóch zabójstw.

- Dobra, już jedziemy.

Holland skrzywił się niepewny, dokąd mają teraz jechać. Thome wskazał na północ. Jedź dalej.

- Drobny problem - rzuciła McEvoy. - W West Hampstead nie ma aresztu.

- Kurwa. - Thome zastanawiał się intensywnie. - Dobra, najbliższy jest w Kentish Town. Ściągnij kogoś i przewieźcie go tam.

- Zadzwoń do nich i zaraz się tym zajmę.

- Świetnie. Spotkamy się z tobą za kwadrans.

McEvoy już tam była, kiedy Thome i Holland dotarli na miejsce. Stali we trójkę przed pokojem zatrzymań, gdzie zamknięto Martina Palmera. McEvoy wprowadziła ich w szczegóły. Spokojnym krokiem Palmer wszedł na posterunek i oddał się w ręce policji, mniej więcej w tym samym czasie, kiedy Bracher wparował na komendę przy Charing Cross, wykrzykując jego nazwisko. Palmerowi nie odczytano formułki. Zjawił się tu z własnej woli.

Holland usiadł na jednym z zielonych plastikowych krzeseł przyśrubowanych rzędem wzdłuż ściany.

- On też widział portrety pamięciowe, musiał je widzieć. Wiedział, że ktoś go rozpozna. Pomyślał, że oszczędzi wszystkim fatygi.

- McEvoy spojrzała na niego i skinęła głową.

Thome popatrzył na drzwi. - Może...

- Myślisz, że wyda swego kumpla? - Thome odwrócił się i przeniósł wzrok na McEvoy. Wiedziała, o czym myślał, zadając to pytanie, czuła narastające w nim napięcie, gdy spoglądał na odrapane szare drzwi, wyobrażając sobie mężczyznę za nimi.

Wyda swego kumpla...

To pytanie Thome zadawał sobie, odkąd po raz drugi usłyszał nazwisko Palmera. Chryste, to mogło być takie proste. Może mieli szansę, jeżeli przycisną go szybko i zdecydowanie.

- Czy Brigstocke przyjedzie? - spytał Holland.

McEvoy zaczęła krążyć po korytarzu, uśmiechając się uprzejmie do mundurowych pełniących służbę w dyżurce.

- Jest już w drodze.

- Mamy na niego poczekać?

- Pewnie tak - mruknął Thome i otworzył drzwi.

Kilka sekund, których potrzebował, by podejść do magnetofonu w pokoju, wystarczyło mu, żeby się rozejrzeć. Mundurowy w rogu pomieszczenia drgnął nerwowo, kiedy usłyszał trzaśnięcie drzwiami. Chłód. Palmer siedział przy poobijanym metalowym stole z pochyloną głową. Miał niezdarnie założony na czubku głowy opatrunek, zaschnięta krew przybrała ciemnobrązowy kolor.

Thome wziął dwie czyste kasety i zaczął rozrywać folię, ani na chwilę nie odrywając wzroku od postaci przy stole.

Palmer był potężnym mężczyzną, to nie ulegało wątpliwości, mimo obwisłych ramion i przygarbionej sylwetki. Jasne przetłuszczone włosy i okulary w metalowych oprawkach. Murrell i Knight świetnie się spisali. Portret pamięciowy był wyjątkowo udany.

- Jestem detektyw inspektor Thome i nie mam nastroju do owijania w bawełnę, rozumiemy się?

Palmer milczał. Nawet się nie poruszył.

Thome włożył kasety do magnetofonu, nacisnął czerwony klawisz i czekał. Kiedy szum ustał i zaczęło się nagrywanie, wygłosił przesłuchiwanemu niezbędną formułkę. Zrobił to szybko, jakby chciał już mieć tę formalność za sobą. Powiedział Palmerowi, że może w każdej chwili odejść, nie jest zatrzymany i przysługuje mu prawo do adwokata. Powiedział to, bo musiał, bez namysłu czy zastanowienia. Wahanie przyszło, kiedy spojrzał na mundurowego opodal, by wymienić jego nazwisko do nagrania dla celów proceduralnych. Konstabl wytrzeszczył oczy i podał swoje nazwisko niepewnym tonem.

Thome stanął naprzeciw Palmera, opierając dłonie o metalowy blat stołu. Spojrzał na tamtego przenikliwym wzrokiem. Miał świadomość obecności konstabla Stephena Legge a w pokoju; policjant nerwowo przestępował z nogi na nogę. Świetnie, pomyślał Thome, skoro ty się mnie boisz, to i ten żaloszny skurwiel na pewno też musi robić w gacie...

Palmer nie uniósł wzroku.

- Porozmawiajmy o tych dwóch morderstwach, do których tak dzielnie się przyznałeś. To dwa morderstwa z czterech, o ile się nie mylimy, prawda? W sumie były cztery. Jest jeszcze drugi zabójca, zgadza się?

Nic. Thome odczekał pół minuty. I nachylił się w stronę Palmera.

- Powinniśmy chyba jednak podwyższyć liczbę morderstw do pięciu. Ubiegłej nocy dałeś ciała albo spękałeś, nie wiem jeszcze, jak to było, ale jestem bardziej niż pewien, że on nie skrewił. - Powoli powtórzył pytanie. - Jest jeszcze jeden zabójca, zgadza się?

Palmer pokiwał głową. Pociągnął nosem. Był bliski łez.

- Kim on jest? - zapytał Thome jak gdyby nigdy nic. Jakby pytał o godzinę. Podaj mi tylko jego nazwisko...

Thome obszedł stół i stanął za plecami Palmera. To był ograny chwyt, ale często się sprawdzał. Pochylił się nad tamtym na tyle, by poczuć woń jego potu i zobaczyć pierwszą łzę skapującą na zbrązowiały od fajek blat stołu.

- Gdzieś tam... jest ciało kobiety. Na razie uważamy ją tylko za zaginioną. Nie jestem pewien, czy w ogóle zgłoszono już jej zaginięcie, ale ktoś na pewno zwróci uwagę, że zniknęła. Gdzieś tam są ludzie, którzy czują, że coś się stało. Czują, że wydarzyło się coś złego isą bliscy paniki. Niepokój w ich sercach przerodzi się w zatroskanie, a ono z kolei w panikę. To tak jak z bólem albo nagłym skurczem, kiedy zapiera nam dech. To doznanie płynie z samego wnętrza. I wszyscy ci ludzie, przyjaciele, krewni tej kobiety, zaczną w końcu odczuwać to samo, jakby coś się w ich wnętrzach zamykało. Jakby coś przestawało funkcjonować. To doznanie będzie na tyle nieprzyjemne, że w końcu...

Głowa Palmera opadła do przodu tak, że dotknął policzkiem blatu stołu. Wciąż płakał, łzy rozlewały się w kałużę wokół jego twarzy, ale nadal milczał.

Głos Thome a stał się cichszy, spokojniejszy.

- Ale to jeszcze nic. To w sumie nic strasznego. Dopiero kiedy okazuje się, że zaginiona żona, matka lub córka staje się czyjąś nieżyjącą żoną, matką lub córką, pojawia się prawdziwie dojmujący ból. Zaczyna się od informacji w wiadomościach; to jak uderzenie obuchem w łeb. Te ciosy nie ustają. Trzeba zidentyfikować ciało. Czekać, gdy jest ono oglądane, oszacowywane i krojone. Trzeba zająć się przygotowaniem pogrzebu, pozamykać

wszystkie niedokończone sprawy, posortować rzeczy. Zapakować ubranie dla organizacji charytatywnej. A przedtem opatulić się w którąś z tych rzeczy, zanurzyć w nich twarz...

- A jeszcze później musisz dalej żyć, podczas gdy ból wciąż ci towarzyszy, dręczy duszę i gryzie ciało. Jest jak palenie w żołądku albo świerzbiący strup. Gniew i poczucie winy. To coś więcej niż fizyczne cierpienie, Martin.

- Rankiem wcale nie czujesz się lepiej, ani następnego dnia, ani tydzień później, ani nawet po miesiącu. Dźwigasz to brzemień aż do grobu...

Wszystko i wszyscy zamarli. W chłodnym pokoju zapanowała grobowa cisza. I nagle rozległ się cichy szept.

- Jak on się nazywa?

Thome aż drgnął mimowolnie, kiedy Palmer ze zdumiewającą szybkością uniósł wzrok i spojrzał na niego. Oczy za szklami okularów miał zaczerwienione i przepełnione desperacją. Głos zdawał się dochodzić z bardzo daleka.

- Nie wiem.

Thome z rykiem odsunął się od stołu i energicznym krokiem ruszył w stronę drzwi. Chciał dwóch rzeczy. Po pierwsze, zrobić z twarzy Palmera marmoladę, a po drugie, aby Palmer myślał, że naprawdę zamierza to zrobić.

- Miałeś swoją szansę, popaprańcu...

- Nie, błagam. - W głosie tamtego pojawił się strach i bezradność. Thome zatrzymał się przy drzwiach i odwrócił. - Pan nie rozumie. Chodziliśmy razem do szkoły...

Thome wzruszył ramionami i uniósł dłonie w geście oczekiwania.

- I co z tego?

Palmer powoli odwrócił wzrok. Znów gapił się tępo w wilgotny blat stołu. I we własne niewyraźne odbicie na porysowanym brudnym metalu.

- No... nie wiem, kim on jest teraz. Ale wiem, kim był.

CZEŚĆ DRUGA

DLA DZIECI

10

Nadkomisarz Trevor Jesmond uśmiechnął się, jakby wysysał cytrynę.

- Przekonajmy się, że dobrze to zrozumiałem. W areszcie w Kentish Town mamy podwójnego zabójcę, a wy sugerujecie, żebyśmy nie tylko utajnili fakt, że go złapaliśmy, ale również przekazali do gazet informację o morderstwach, których nie było? Żebyśmy je... wymyślili?

- Jesmond uniósł brew. Spojrzał na siedzących naprzeciw niego Russella Brigstocke'a i Steve'a Normana.

Czwarty mężczyzna w pokoju potarł tajemniczą białą łątkę na rękawie czarnej skórzanej kurtki.

- Krótko mówiąc... tak.

Thome także patrzył na Brigstocke'a i Normana, usiłując określić ich reakcje i zastanawiając się, z jakimi przeciwnościami przyjdzie mu się zmierzyć. Uznał, że Brigstocke zachowuje pokerową twarz, jego reakcje pozostawały nieodgadnione. Norman natomiast wyglądał na znudzonego.

Thome znów się odezwał, myśląc: pokonywałem gorsze przeszkody.

- Nie złapaliśmy go.

Jesmond spojrzał na niego.

- Słucham?

- Nie złapaliśmy Palmera. Sam zgłosił się na komendę.

Brigstocke wychylił się do przodu.

- Tom, dzielenie włosa na czworo nie jest...

- To zasadnicza różnica.

Nadinspektor znów odchylił się do tyłu, tym razem ten gest był aż nadto czytelny. Nie bądź taki chojrak, Tom. Nie przegap swojej szansy. Ten cały plan wydaje się nieźle popaprany...

Minęły dwa dni, odkąd Palmer wszedł chwiejnym krokiem na posterunek ze zranioną głową, pistoletem i kilkoma mrocznymi sekretami, które postanowił wyjawić. Pomysł zakiełkował w umyśle Thome'a, kiedy Palmer po raz pierwszy się do niego odezwał.

Nie wiem, kim on jest...

Nabierał kształtów jak śnieżna kula staczająca się po stoku, aż stała się ogromna, masywna i niemożliwa do zignorowania.

Palmer był jak śniący, który choć przeżywa koszmar, nie chce się obudzić, gdyż lęka się konfrontacji z bolesną rzeczywistością. Opowiedział Thome'owi wszystko, co wiedział. O przeszłości, wiadomościach, zgrozie i... o Boże... ekscytacji. Wyjawiał wszystko, co zrobił. Z użyciem noża i rąk, oplakując każdy z tych czynów łzami, które musiał wycierać, aby móc dobrze przyjrzeć się twarzom mordowanych osób. Teraz niczego tak nie pragnął, jak zostać ukarany za swoje czyny. Znaleźć się w bezpieczniejszym miejscu. Zniknąć ze świata.

Thome jednak chciał czegoś więcej i gdy tylko sprecyzował swój plan, zaproponował Palmerowi wyjście proste i zdumiewające, by jego przebudzenie nie było aż tak traumatyczne. Aby koszmar wreszcie się skończył...

Palmer przystał na jego propozycję.

Teraz siedział, podczas gdy Thome czekał na akceptację swego nieortodoksyjnego posunięcia, które w najgorszym razie położy kres karierom kilku osób.

Jesmond wyprostował się w fotelu i przysunął bliżej biurka.

- Szczerze mówiąc, nie do końca mnie to przekonuje.

Wcale mnie to nie dziwi, pomyślał Thome. Nie musisz nic mówić. Masz to wypisane na twarzy. Odmalowane czerwonymi żyłkami na nosie i policzkach...

Jesmond mówił dalej:

- Palmer to wielokrotny zabójca, gdyby szukać sensacji, można by nawet nazwać go seryjnym mordercą...

Norman pokiwał głową.

- Czemu nie. Przecież tego chce prasa.

- Racja. Możemy go im dać. Mamy niniejszym szansę, aby uniknąć zbędnych nacisków, a równocześnie osiągnąć pożądane wyniki i jeżeli o mnie chodzi, uważam, że powinniśmy to zrobić.

Thome starał się wypowiedzieć te słowa z pełnym przekonaniem.

- Jeżeli ogłosimy, że mamy Palmera, ucieknie nam znacznie groźniejszy zabójca.

Jesmond przesunął palcem po wąskich wargach i spojrzał na notatki leżące przed nimi na stole.

- Stuart Anthony Nicklin. Tak się kiedyś nazywał.

Z naciskiem na „kiedyś”...

Thome pokiwał głową.

- Zgadza się.

- „Znacznie groźniejszy” to trochę przesadzone określenie, nieprawdaż?
„Paskudniejszy” to na pewno, ale on i Palmer zabili po dwa razy, więc...

- O tylu zabójstwach wiemy, sir.

Brigstocke pokiwał głową.

- Muszę zgodzić się z inspektorem Thomeem, sir. Z tych dwóch to Nicklin wydaje się groźniejszy. I na pewno jest brutalniejszy.

W samą porę, wielkie dzięki za wsparcie, pomyślał Thome.

- To Nicklin zaaranżował te zabójstwa. Bez niego nie byłoby więcej takich morderstw. Skończyłyby się. Bez Palmera... sądzę, że facet po prostu się przyczai.

Zapadła cisza. Thome spojrzał na Brigstocke a, lecz nadinspektor gapił się w blat stołu. Thome popatrzył w okno. Niebo miało barwę śniętej ryby. Zaczęło mżyć.

Norman odezwał się niepewnie.

- Naprawdę... Może do tego dojść? Ten Nicklin zniknie?

Thome starał się mówić krótko i rzeczowo, aby Norman za bardzo się nie spieszył i nie poczuł ogłupiały.

- Nie zniknie na zawsze. Odczeka jakiś czas, a gdy poczuje się bezpieczny, znów zacznie robić swoje. Tyle że inaczej. A może przeniesie się i zacznie zabijać w jakimś innym miejscu.

Norman pokiwał głową, ale w jego spojrzeniu Thome dostrzegł coś, co uświadomiło mu, że nie postarał się dostatecznie mocno. Norman czuł się ogłupiały...

Brigstocke zdjął okulary i potarł grzbiet nosa. Thome przypomniał sobie, że ten sam gest powtórzył przed wybicciem przednich zębów pedofilowi.

- Nie jestem pewien, czy redakcje na to pójda, Tom. Świadome drukowanie artykułów o zmyślonych zbrodniach może później przysporzyć im kłopotów. Utrata czytelników itp. Będą tańczyć, jak im zagramy, tylko dopóki nie wpłynie to na ich sprzedaż i ani chwili dłużej.

- Nicklin musi myśleć, że Palmer wciąż dla niego morduje. Czy nie możemy zmusić gazet, aby drukowały to, co im każemy?

Jesmond spojrzał na Normana.

- Steve?

Norman przeniósł wzrok na Thome a. I kto teraz zadaje głupie pytania?

- Nadinspektor Brigstocke ma niewątpliwie rację. Musimy zrównoważyć sytuację. Niech odniosą wrażenie, że robią coś dobrego dla dobra ogółu, a w zamian proponujemy im już po wszystkim temat na wyłączność. Jeżeli schwytamy Nicklina.

Thome skinął głową. To wydawało się takie odległe.

Norman jeszcze nie skończył.

- Rzecz jasna pojawią się jeszcze inne... poważniejsze problemy. Na pewno będą... przecieki... z przebiegu śledztwa, że nie wspomnę odziwnych, dość niezwykłych dziennikarzach z obsesyjnym pragnieniem dociekania i wyjawiania prawdy. - Uśmiechnął się do Thome a ze smutkiem i wzruszył ramionami.

- Może nie jestem zbyt bystry - ciągnął Jesmond, błyskając ostrymi siekaczami - ale wciąż nie pojmuję, czemu nie mielibyśmy napisać w gazetach prawdy. O nieudanym ataku na panią Kaye, ma się rozumieć.

Norman, gdy tamten jeszcze mówił, zaczął kręcić głową i trwało to przez chwilę.

- No jasne. Tandem zabójców znowu uderza. Jeden z nich daje plamę.

- Lub coś w tym rodzaju - przyznał Jesmond. - Czy artykuł o porażce nie wystraszyłby Nicklina? Może spróbowałby skontaktować się z Palmerem?

Spojrzenia wszystkich skierowały się na Thome a. Szczerze wątpił, aby coś takiego zdołało wystraszyć Nicklina, ale chociaż w rozumowaniu Jesmonda był pewien sens, nie zamierzał złożyć broni.

- Jestem przekonany, że najgorsze, co mogłoby się wydarzyć, to załamanie dotychczasowego schematu działania.

Jesmond też był uparty. Uparty i drażliwy.

- Może on już o tym wie. Może widział, jak Palmer sfuszerował. Może widział, że tamten nie zdołał zabić Jaqueline Kaye. Co wtedy?

- Oczywiście nie możemy całkowicie tego wykluczyć, dopóki nie pojawi się zaginione ciało i nie określimy czasu zgonu, ale zabójstwa Lovell i Choi wskazały nam, że nie stanowi to elementu wzorca. Myślę, że Nicklin robi swoje, a potem ekscytuje się wiadomościami o zabójstwach Palmera, podanymi w prasie i telewizji.

Jesmond wolno pokręcił głową.

- Musimy mieć inne opcje. Bardziej konwencjonalne tory prowadzenia śledztwa. Na początek mamy rysopis, który zapewni nam Palmer.

- Ma pan rację - rzekł Thome z zamyśleniem. Tak, a kto o to zadbał? - Niestety rysopis podany przez Palmera na podstawie jedyne go spotkania w piwiarni nie jest zbyt dokładny. Palmer postrzega tego mężczyznę tak, jak go zapamiętał, a nie tak, jak wygląda on

teraz. - Thome pomyślał o wyrazie zakłopotania na twarzy Palmera, gdy próbował raczej bezskutecznie przypomnieć sobie, jak wyglądał chłopiec, którego znał przed laty, a który podszedł do jego stolika podczas lunchu i sprawił, że jego mały świecący w jednej chwili stanął na głowie. - Palmer potrafi opisać piętnastoletniego chłopaka tak, jakby go widział wczoraj, ale nie umie sporządzić dla nas dokładnego wizerunku mężczyzny, który wszedł do piwiarni pół roku temu. Mamy wzrost, wagę w przybliżeniu, ubiór i barwy, ale brak nam twarzy. Pokazaliśmy mu nagranie z kamery przemysłowej w Euston, lecz nie zdołał wypatrzeć na nich Nicklina.

- Albo nie chciał - mruknął Jesmond. - Nie mamy pewności, że wbrew temu, co mówi, chce, aby jego kumpel został schwytany.

Thome pokręcił głową.

- Jestem o tym przekonany, sir.

Ale mimo to...

Palmer ewidentnie coś ukrywał. Zdawał się w pełni współpracować, odpowiadał na wszystkie pytania, ale Thome czuł, że tamten nie chce odwiedzić niektórych sekretnych miejsc ani odtworzyć pewnych odrzuconych przez siebie obrazów.

Thome zamierzał grzebać dalej. O ile mu na to pozwolą...

- A co z e mailami? - Jesmond otworzył zieloną teczkę i zaczął wyciągać kopie wiadomości przesyłanych Palmerowi przez Nicklina. Technicy wydrukowali je, grzebiąc w pamięci domowego komputera Palmera.

- Są nie do wykrycia - rzucił dobitnie Thome. - Anonimowe serwery. Konta założone z użyciem skradzionych kart kredytowych. Był bardzo ostrożny.

Jesmond pospiesznie przeczytał emaile, a mięśnie jego szczęk zacisnęły się przy najbardziej przerażających, w których autor podawał Palmerowi instrukcje: daty, sposoby wyszukiwania ofiar i metody ich zabicia.

- Czy nie moglibyśmy monitorować jego poczty elektronicznej? - spytał Jesmond. - Sprawić, by emaile trafiały wprost do jednego z naszych komputerów?

Thome wychylił się do przodu.

- Oczywiście będziemy wyczekiwać na wszelkie próby nawiązania kontaktu przez Nicklina i wykorzystamy posiadany przez nas rysopis, ale uważam, że to nie wystarczy, sir. Musimy postawić wszystko na jedną kartę. Wszystko albo nic. - Wyłuskał jedną z kartek i podsunął w stronę Jesmonda. - Proszę się temu przyjrzeć, data na e mailu wskazuje, że wysłano go kilka tygodni przed pierwszym zabójstwem.

Jesmond wziął kartkę do ręki i zaczął czytać.

Otrzymane: (qmail 27003 z uż. pseud.); 28 czerwca 2001 11:35:29 -0000

Data: 28 czerwca 2001 11:35:29 -0000

Wiad.ID: <921065729.270008coolmail.co.uk>

Do: martpalmer@netmail.org.uk Temat: MYŚLAĆ O LECIE

Od: Stary Przyjaciel Martin. Jakież przemyślenia? Widzę, że się nad tym zastanawiasz. Czasami wpatrujesz się przestrzeń i wiem, że to sobie wyobrażasz. Niebawem ten obraz nabierze przejrzystości. Przypuszczam (jak zawsze, gdy chodzi o ciebie), że wciąż jesteś w temacie. Szczegóły podam ci w pełni itd. itp. Twoja twarz mówi mi, że pamiętasz te lata. Pomyśl o nadchodzących latach...

Jesmond uniósł wzrok i spojrzał na Thome a z beznamiętnym wyrazem twarzy. Głupiec albo zgrywa głupca, Thome nie potrafił tego stwierdzić.

- On go obserwuje, sir. Sam to stwierdził „Widzę, że...”. Jakby miał go na oku. To jasne, że go obserwuje.

- Raczej obserwował. W czasie przeszłym - wtrącił Jesmond.

- Myślę, że wciąż to robi. Lubi mieć nad wszystkim kontrolę. Norman chciał pokazać, że jeśli nawet jego pytanie było odrobinę głupawe, to z pewnością nie było dla niego typowe.

- Skoro go obserwuje, to o czym my mówimy? Sam powiedziałaś, że nie mamy pewności, że on nie widział, jak Palmer dał płamę z Jacqueline Kaye? Mógł również widzieć go, jak wchodził w poniedziałek na komendę. Jeśli już wie, że mamy Palmera, to, o co pan prosi, inspektorze, będzie tylko niepotrzebną i potencjalnie groźną stratą czasu. Nieprawdaż?

Pytanie było retoryczne. Tego właśnie najbardziej obawiał się Thome. Wiedział, że jego odpowiedź nie zabrzmi przekonująco, ale inną nie dysponował.

- Warto podjąć ryzyko. Dlatego musimy zrobić to szybko. Jesmond spojrzał na leżące przed nim papiery. Norman odłożył pióro.

Thome pomyślał o czymś jeszcze.

- Nie twierdę, że on obserwuje Palmera na okrągło. To niemożliwe. Wyraźnie zasugerował Palmerowi, że ma stałą pracę...

Jesmond zaczął zbierać notatki, jakby już podjął decyzję.

- Ryzyko, powiadasz. To właściwe określenie, Thome. Mamy wypuścić zabójcę, człowieka, który zamordował co najmniej dwie kobiety...

Thome aż westchnął sfrustrowany.

- Wcale tego nie zrobimy. Przecież powiedziałem...

- Jak wobec tego to nazwiesz?

- Będziemy go mieć... na oku. Nie chcemy spłoszyć Nicklina. Niech Palmer pozostanie... na widoku. Kiedy będzie po wszystkim, tak czy inaczej Palmer zniknie.

Thome przeniósł wzrok na Brigstocke a, na próżno oczekując od niego wsparcia. Wiedział, że nie może na nie liczyć. Brigstocke wciąż miał mu za złe, że dwa dni temu Thome podjął decyzję na własną rękę. Że przesłuchiwał Palmera, nie czekając na przybycie przełożonego.

Ojego gwałtownej reakcji mówili wszyscy znajdujący się w odległości kilometra od biura.

Znów do Jesmonda:

- Ci od przestępczości zorganizowanej robią takie rzeczy na okrągło, sir - rzekł Thome. - Kiedy chcą mieć swego człowieka wewnątrz organizacji. Świadka. Nie rozumiem, czemu nie mielibyśmy postąpić tak samo. Zwolnimy Palmera za kaucją do czasu postawienia mu zarzutów. To rutynowa procedura...

Jesmond był bliski utraty panowania nad sobą.

- Doskonale znam procedurę, Thorne, ale Palmer to nie pieprzony lichwiarz, zabił dwie kobiety, a zabójców raczej nie zwalniamy za kaucją.

Thome nie umiał nic na to powiedzieć, a Jesmond zaraz się rozluźnił. Przewaga była po jego stronie. Wyjął chustkę i włożył jeden z rozków do nosa, dłubiąc w nim i wykrzywiając się niemiłosiernie.

- A zatem przyjmijmy, że puścimy Palmera, ale będziemy go obserwować. I co dalej? Nicklin popełni głupi błąd? Jak dotąd tego nie zrobił. Mamy czekać, aż znowu zabije? - Thome milczał. Wiedział, że wszystko może sprowadzić się właśnie do tego. - Nie sądzę, aby pan to właściwie przemyślał, inspektorze.

- Z całym szacunkiem... - Podniesiony ton. O szacunku nie ma raczej mowy.

Brigstocke nachylił się w jego stronę.

- Posłuchaj, Tom...

Thome zmmżył oczy i trochę za szybko otworzył usta.

- Myślę, Russell, że płot, na którym ugrzązłeś, za mocno wbija ci się w tyłek.

Jesmond uniósł rękę, ale Thome mówił dalej. Przez cały czas patrzył na przełożonych, bo wiedział, że ma tylko jedną szansę i musi ją właściwie wykorzystać.

- Owszem, Palmer to morderca, pieprzony pojeb, a kiedy będzie po wszystkim, niezależnie co postanowimy, trafi za kratki na resztę życia. On chce trafić do więzienia, nie próbuje kombinować ani nic, nie chce się układać. - Przerwał, wziął głębszy oddech i mówił dalej.

- A jednak uważam, że jeśli to dochodzenie zostanie poprowadzone według moich sugestii, nie będzie stanowił dla nikogo zagrożenia...

Jesmond był gotowy się wtrącić. Thome nie pozwolił mu na to.

- Myślę, że mamy jedyną szansę, aby dopaść Nicklina, i jeśli z niej nie skorzystamy, prędzej czy później tego pożałujemy. Teraz, gdy mamy zabójcę w areszcie, wszyscy będą nas chwalić, możemy też liczyć na awanse i w ogóle. Później posypią się głowy. - Spojrzał na Jesmonda. Czemu tak się tym przejmujesz? Do tej pory już cię tu na pewno nie będzie. Wytyczył granicę, wspominając o przyjęciu pełnej odpowiedzialności, ale coś w małych szurzących oczkach Jesmonda powiedziało Thome owi, że tak właśnie powinno być, że to konieczne, a dalszy przebieg kariery, nad którą z ledwością panował, mógł zostać w jednej chwili zniweczony jedną błędną decyzją. Coś jeszcze powiedziało mu, że to kwestia czysto akademicka. Nigdy na to nie przystaną...

Thome wstał.

- Powiedziałem, co miałem do powiedzenia, sir.

Jesmond spojrział na swoich kolegów i ułożył równo przed sobą plik papierów.

- Dziękuję, inspektorze. Jest rzeczą oczywistą, że ta sprawa wymaga przedyskutowania i to nie tylko przez nas. Jestem już umówiony na rozmowę ze swoimi przełożonymi, a kto wie, może trzeba będzie omówić ją z kimś z jeszcze wyższego szczebla. Zobaczymy...

Zobaczymy... Thome siedział w sąsiednim gabinecie, walcząc z dziecięcym pragnieniem przyłożenia ucha do ściany i przeklinając spaczony gen, który kazał mu robić... takie rzeczy. Sprawiał, że nie potrafił czekać cierpliwie na rozwój wydarzeń.

Nie przepadał za opowieściami o porażkach. Znał ich całe mnóstwo i potrafił opowiadać godzinami, ale kiedy historie dobiegały końca, uśmiechał się smętnie, cierpliwie znosił poklepywanie po plecach, po czym zamykał się w sobie, aby w milczeniu przeżywać na nowo gorzkie klęski. Sukces nie zaprzętał go na długo, natomiast porażki rozpamiętywał bez końca i dźwigał je niczym niewidzialne brzemię.

Bądź co bądź był Anglikiem.

To nie tych, których schwytał, zapamiętywał Thome. A w każdym razie nie na zawsze. To nie ich musiał w końcu zobaczyć w pokoju przesłuchań albo przez wizjer w areszcie czy na sali sądowej. Nie ich.

Nie Palmerów.

Thome zapomniał twarze tuzina skazanych w ciągu ostatnich lat morderców, ale nadal wyraźnie widział tych zabójców, którzy dla niego nigdy nie mieli oblicza. Uczyniłby

wszystko, co trzeba, aby Stuart Anthony Nicklin nigdy nie zajął miejsca w jego osobliwej galerii.

Niesubordynowany, uparty i piekielnie zajadły, tak go często określano. I faktycznie był taki. Bez wątplenia. Ale on niekoniecznie nadawał tym słowom pejoratywne znaczenie.

Tak łatwo byłoby się ugiąć i przyjmować to, co podawano mu na tacy. Tak łatwo byłoby spojrzeć na zdjęcie Martina Palmera na pierwszej stronie i ponapawać się tym faktem przez dzień lub dwa. Tak łatwo byłoby pozować do zdjęcia z rodzinami ofiar, uścisnąć im dłonie i spojrzeć w ich pełne wdzięczności oczy, a potem odwrócić się na pięcie i wrócić do swoich obowiązków, zając się czymś innym, rozpocząć następne polowanie.

Tak łatwo byłoby spocząć na laurach, spijać śmietankę i cieszyć się blaskiem sławy.

Ale tak trudno zapomnieć chłopca z plastikowym młotkiem w ręce.

Czy potrafisz zapomnieć, jak on wyglądał, Charlie? Oby...

Holland i McEvoy przechodzili przez salę odpraw w stronę otwartych drzwi jego gabinetu. Patrzył, jak się zbliżają, to zdawało się trwać całe wieki, i zastanowił się nad wyrazem ich twarzy, pełnych napięcia, spochmumiałych; dostrzegł też kartkę papieru w dłoni Hollanda i mocno zaciśniętą w pięść rękę McEvoy. A już po chwili weszli do jego gabinetu, kartka znalazła się na jego biurku i spróbował równocześnie przeczytać jej treść i zorientować się, co mówiła do niego McEvoy.

- Dziś rano znaleziono ciało Miriam Vincent w jej mieszkaniu przy Laurel Street w Dalston. Nie żyła od kilku dni. Strzał w głowę. - Ton McEvoy był rzeczowy, spokojny, profesjonalny. Pozwoliła jednak, by na jej coraz bardziej poczerwieniałym obliczu odmalował się gniew.

- Była studentką na North London University. Miała dziewiętnaście lat... była jeszcze nastolatką...

Holland spojrzał na nią zaniepokojony tym nagłym wybuchem emocji.

Thome pozwolił, by gniew oczyścił jego umysł. Jeszcze przed chwilą otępiały i błądzący gdzieś myślami stał się nagle skupiony i skoncentrowany. Wiedział, co ma robić.

- Nie widziałem tego.

McEvoy przekrzywiła głowę. - Słucham?

- Nie mogliście mnie znaleźć. Jasne? - Oddał kartkę Hollandowi i wskazał na drzwi sąsiedniego gabinetu. - Pokażcie to im.

Holland zawahał się przez chwilę, a McEvoy wyrwała mu kartkę z ręki.

- Ja to zrobię... - Thome wyciągnął rękę. - Nie. Ty nie. Jesteś zbyt... wzburzona. Ja im w zupełności wystarczę.

McEvoy oddała mu kartkę, burknęła coś pod nosem i odwróciła się. Thome przekazał kartkę konstablowi, schwycił go za ramię i lekko ścisnął.

- Spokojnie...

Holland pokiwał głową i pospiesznie wyszedł. Nie oglądając się, podeszedł do drzwi sąsiedniego gabinetu, zapukał i wszedł, nie czekając na zaproszenie.

McEvoy wróciła do sali odpraw, a Thome obserwował ją przechadzającą się obok kolegów, pałającą gniewem wywołanym informacją o zabójstwie Miriam Vincent. Lubił jej gniew. Rozumiał go. Choć trochę się też martwił, bo ostatnio miała coraz większe trudności z opanowaniem go.

McEvoy i Holland jako jedyni, poza trójką zza ściany, wiedzieli, jaki zaproponował plan. Reszta osób pracujących przy śledztwie wciąż jeszcze cieszyła się z sukcesu, jakim było dla nich aresztowanie Palmera. W budynku częściej niż zwykle słychać było śmiech, a ci co się nie śmiali, leczyli kaca po zbyt hucznym świętowaniu ostatniego sukcesu. Wiedział, że jeżeli miało im się udać, musieli przestać świętować. Trzeba było jak najszybciej zatuszować tę sprawę, aby nikt się nie zorientował, że coś jest nie tak.

Dopiero teraz Thome uświadomił sobie, jak wielkim był głupcem. Był głupcem, licząc, że przełożeni zgodzą się na wypuszczenie Palmera, i jeszcze większym głupcem, że chciał, aby na to przystali. Poczul swoistą ulgę, było mu lekko, czuł się swobodnie, spodziewając się z ich strony uprzejmej, acz zdecydowanej odmowy.

Wiedział, że to, co zaplanował, i tak nie mogłoby się udać z wielu ważnych powodów, choćby nawet pory roku. Zastanawiał się, czy był coś winien kolegom, szansę, aby trochę odpuścili, wyluzowali, zacieśnili więzy rodzinne. Po sekundzie lub dwóch upomniał sam siebie, że byli inni, żywi i martwi, wobec których miał większy dług.

Ci, którzy krzywiliby się, gdyby Thome postawił na swoim, szeptali po kątach i ignorowali go w pubie po pracy, którzy nie poznali rodziców Carol Gamer. Nie poznali jej synka. Może powinien zaprosić to, co pozostało z tej rodziny, któregoś dnia na komendę i oprowadzić Charliego po posterunku, przedstawiając mu każdego glinę i cywilnego pracownika w tej cholernej instytucji.

Zastanawiał się, czy zanim to ją spotkało, Carol kupiła Charliemu prezent na Gwiazdkę. Czy rodzice Carol dadzą chłopcu prezenty i powiedzą, od kogo one są?

Thome usłyszał skrzypnięcie otwieranych drzwi i uniósł wzrok, by ujrzeć Brigstocke a wychodzącego z sąsiedniego gabinetu; przełożony poszukiwał go wzrokiem.

- Russell...

Brigstocke odwrócił się do niego, a kiedy ich spojrzenia się spotkały, Thome zrozumiał, że jego wcześniejsze komentarze, choć w pełni słuszne, lecz niepotrzebnie wypowiedziane na głos, nie zostały mu zapomniane ani wybaczone. Będą musieli porozmawiać.

I nagle Thome niczego bardziej nie pragnął. Chciał tej konfrontacji. Czekał tylko na sygnał od Brigstocke a, ale tak naprawdę chciał dostać szansę, aby zatrzymać Stuarta Nicklina, pozbyć się go i do diabła z karą, wkurzaniem ludzi czy świętowaniem niedokończonych spraw. Ba... ledwie rozpoczętych spraw...

Brigstocke zamknął oczy i pokiwał głową. W porządku.

Thome mrugnął prawie niedostrzegalnie na potwierdzenie, że zrozumiał, a potem na głos wycedził:

- Ożeż kurwa mać.

11

Człowiek, który kiedyś nazywał się Stuart Nicklin, nie przepadał za świątecznymi zakupami, aczkolwiek trzeba je było zrobić. Zaczął już w porze lunchu i był całkiem zadowolony z ich przebiegu. Nie zniósłby, gdyby przyszło mu się tym zająć w następny weekend, ostatni przed świętami, z tłumami ludzi błąkających się wkoło jak zombi. Wszyscy udawali, że są zadowoleni, wydając kupę forsy na nikomu niepotrzebny szajs i błyszczący papier. Jego żona oczywiście dałaby sobie radę, ale ona zawsze miała więcej rzeczy do kupienia. Dla rodziców, przyjaciół, kolegów z pracy. Swoimi kolegami nigdy się nie przejmował. Święta to czas, by choć na chwilę zapomnieć o pracy...

Zaniósł kawę do stolika przy oknie i położył torby obok krzesła na podłodze. Był pewien, że spodoba jej się naszyjnik i perfumy, ale sweter stanowił dość ryzykowne przedsięwzięcie. Wziął rachunek, zawsze będzie mogła go zwrócić. Zwykle rankiem dwudziestego siódmego stali w długiej kolejce do kasy w Marks Spencer, w punkcie zwrotu zakupionych towarów, wraz z tuzinami innych, wzburzonych, milczących, skonsternowanych osób.

Tę porę dnia lubił najbardziej. Zwykle w tym czasie wracał do swego pokoju, by przez pół godziny poślęczyć nad gazetami. Miał szansę przeczytać wszystkie artykuły, każdą wersję, rozszerzoną lub ubarwioną nowymi szczegółami. Oglądał też telewizję. Od pierwszego dnia swojej przygody był niewolnikiem telegazety, ale najbardziej lubił świeże informacje. Zwłaszcza gdy widział je na pierwszych stronach gazet. Przez resztę dnia zdawał się czuć je w koniuszkach palców. Zawsze kupował dwie gazety. Bulwarówkę i dziennik.

Potrzebował zarówno skrótowego, jak i rozszerzonego opisu wydarzeń, chłodnego podejścia i taniej sensacji.

Od czterech dni czekał na najnowsze informacje. Artykuły pojawiały się prędzej czy później, sąsiadując w dzienniku z rzetelną analizą polityczną, w bulwarówce zaś z ociekającym krwią kawałem dziennikarskiego mięcha. Uwielbiał to wszystko. Oczekiwanie, podobnie jak sam czyn, stawało się nie do wytrzymania z uwagi na towarzyszące mu napięcie, ogarniające go w miarę upływu kolejnych dni, nieprzynoszących spodziewanych nowin.

Teraz oczekiwanie dobiegło końca. To był ten dzień i już chciał wiedzieć, co napisali tym razem. To mogło być wyjątkowo ciekawe.

Upił łyk znacznie przeplaconego cappuccino i sięgnął do fioletowej torby WH. Smitha po dwie gazety. Dziś wybrał „Independent” i „Mirror”. Starsza kobieta siedząca naprzeciw odgryzła kawałek pasztecika i uśmiechnęła się. Rozłożył „Independent” i też się uśmiechnął...

Był tam. Artykuł, na który czekał...

Spojrzał na zegarek. Miał jeszcze co najmniej kwadrans. Piętnaście błogich minut, aby się wyłączyć, sączyć kawę i napawać się treścią artykułu o dwóch brutalnych zabójstwach. O jednym z nich, rzecz jasna, wiedział wszystko z pierwszej ręki. Było zapisane w jego pamięci, tak wyraziste i świeże, że wciąż czuł woń wymiocin tej dziewczyny Kwaśną alkoholową woń. Zwymiotowała, gdy w nią wycelował. Otworzyła usta, jakby chciała krzyknąć, a zamiast tego puściła pawia. Musiał cofnąć się o krok, by nie obrzygała mu butów, a potem zrobić duży krok, by nie wdepnąć w kałużę i przytknąć lufę broni do jej głowy.

To drugie zabójstwo, Palmera... cóż, ci dumie zwyczajnie je wymyślili. Szczegóły były nieźle dobrane, przekonujące, ale wszystko okazało się w sumie stratą czasu. Palmerem, jak zawsze, powodował strach. Bał się Nicklina do tego stopnia, że zdecydował się odebrać komuś życie, ale jeszcze bardziej bał się, że mógłby zawieść. Tylko fuszerka mogła skłonić Palmera do zgłoszenia się na policję. Kiedy Nicklin zastrzelił swoją ofiarę w jej mieszkaniu, przez cały następny dzień obserwował Palmera. Widział go wychodzącego jak lunatyk z mieszkania i podążył za nim aż na posterunek. Patrzył, jak tamten zatacza się i chwieje na nogach, na pierwszy rzut oka widać było, że poniósł porażkę, fakt ten zdawał się potwierdzać zakrwawiony opatrunek na jego głowie.

A więc tamci nie chcieli, aby wiedział, że mają Palmera. Za późno. Pytanie brzmiało, jak powinien na to zareagować...

Zastanowi się nad tym później, przy pracy. Teraz zostało mu już tylko dziesięć minut na dokończenie lektury o dwóch morderstwach.

Jednym prawdziwym i drugim sfingowanym...

Zastanawiał się, o którym będzie mu się przyjemniej czytało...

Thome patrzył, jak cały świat wiruje wokół niego w szaleńczym niepoahamowanym pędzie codziennych spraw. Widział ludzi uganiających się jak w ukropie, kupujących prezenty których wcale nie chcieli nikomu dać, i dźwigających torby z produktami, których nie zjedzą. A jednak nie mogli się powstrzymać. Wpadli jak śliwki w kompot. Pokój, chłam i tandeta ludziom dobrej woli.

Widział ludzi śmiejących się jak głupi do sera.

Widział też malkontentów wściekłych na całym świat.

Widział wstrząśniętych rodziców przygotowujących pogrzeb córki.

Przez cały ten czas, przez ostatnie dni przed świętami Tom Thome pracował i funkcjonował w swoim tempie. I powoli, acz nader skutecznie, wkurzał w ten sposób wszystkich, którzy go znali.

Dla większości gliniarzy „nadgodziny” były magicznym słowem pojawiającym się równie rzadko jak „wyrok skazujący.

Zwłaszcza przed Bożym Narodzeniem.

Z nadejściem świąt gliniarze robili się nerwowi. Obłudni, sentymentalni, pełni świętego oburzenia. Jezu... (oczywiście nie wymieniali Jego imienia w kontekście religijnym)... czyż nie zasługiwali na odrobinę wolnego, by spędzić ten czas w gronie rodzinnym, po tym jak przez pozostałe pięćdziesiąt jeden tygodni w roku babrali się w najgorszym bagnie? Dla Thome a to i tak była dyskusja czysto akademicka. Nie przysługiwały mu premie za nadgodziny. Inspektorzy i wyższe szarże dostawali po prostu parę tysięcy ekstra w ramach swego stałego wynagrodzenia; mieli wyższe pensje i to wszystko. Dopiero przy sprawach takich jak ta wychodziło na jaw, komu i do jakiego stopnia żyło się lepiej. Thome, któremu też przykręcano śrubę, nie winił innych, że czuli się zmęczeni, potrzebowali odpoczynku od tego wszystkiego, ale jedna rzecz skłaniała go do jeszcze większego wysiłku...

Zabójcy nie uznawali świąt.

Podobnie było z samobójstwami, ale nie tylko te doniesienia blokowały w święta policyjne linie alarmowe. W tym terminie ogólnie wzrastała liczba przestępstw i zabójstwa nie stanowiły tu wyjątku. Bilans tragicznych domowych incydentów z udziałem alkoholu rósł w zastraszającym tempie, a ofiary i ich rodziny domagały się radykalnych kroków ze strony stróżów prawa. Nikogo nie obchodziło, że z północy przyjechali rodzice, że wynajęłaś właśnie domek w Cotswolds ani że to pierwsza Gwiazdka twojego dziecka.

Zwłaszcza jeśli ich dziecku nie dane było jej doczekać...

Oczywiście łatwo się tak myśli, jeśli to ty z własnej woli rezygnujesz ze świąt. Żadnych skrupulatnie realizowanych z kartką w ręku punktów planu. Żadnych nadgodzin. To sprawiało, że większość funkcjonariuszy pracujących nad tą sprawą miało dokładnie odmienne zdanie niż Tom Thome. Choćby Brickstocke. Albo McEvoy. A może nawet Holland. Ich zdaniem to właśnie jemu zawdzięczali, że przyjdzie im spędzać święta, opiekując się podwójnym mordercą.

Palmer wróci do pracy dopiero po Nowym Roku, ale Sean Bracher został już poinformowany i nie będzie im sprawiał problemów. Absencja Palmera przed świętami zostanie wyjaśniona nagłą chorobą i jego podobieństwo do osoby poszukiwanej także zostanie wyjaśnione. Palmer zgłosił się na komendę, gdzie po krótkim przesłuchaniu wykluczono go z grona podejrzanych. Koniec pieśni. Bracher zajmie się rozpowszechnieniem tej informacji, jak również ułatwieniem startu nowemu pracownikowi Baynham Smout, który będzie pomagał Martinowi Palmerowi w wypełnianiu jego obowiązków. Pewna wyjątkowo nieszczęśliwa pani konstabl, przydzielona z GPS (Sektor Południowy), przez całe święta będzie przyuczać się do zawodu, ślęcząc nad Podstawami księgowości dla opornych...

Jeżeli chodzi o sprawy domowe Palmera, z ich nadzorem nie powinno być większych problemów. Mieszkał na drugim piętrze kamienicy z lat 50. w West Hampstead. Było tam jedno wejście. Będzie śledzony zarówno w drodze do, jak i z pracy, przed domem na stałe czuwać będzie zespół inwigilacyjny, a w mieszkaniu przez cały czas będzie przebywać co najmniej jeden policjant po cywilnemu, choć nigdy nie pojawi się on, towarzysząc Palmerowi podczas wejścia lub wyjścia z budynku. Zresztą, jak mówił sam Palmer, rzadko wychodził i nigdy nikogo do siebie nie zapraszał, wyjścia i powroty nie powinny więc stanowić najmniejszego problemu. Thome upierał się, aby zachowanie Palmera było możliwie jak najbardziej normalne i do pewnego stopnia ta kwestia musiała być rozgrywana na wycucie. Gdyby ktoś zaprosił go na drinka (co, jak twierdził, zdarzało się, choć nieczęsto), zadecydują na bieżąco, czy powinien odmówić, czy przyjąć zaproszenie. W pracy podczas lunchu miał mu towarzyszyć policjant po cywilnemu z zespołem wsparcia, na wypadek gdyby zaczęło się to robić podejrzane. Właściwie jedynym odstępstwem od reguły był telefon od Palmera do jego rodziców z informacją, że nie będzie mógł przyjechać do domu na święta. I chyba ten fakt szczególnie spędzał Palmerowi sen z powiek.

Thome chciał, aby wszystko było dopięte na ostatni guzik. Żadnych obsuw. Człowiek, którego ściagał, był sprytny. Thome nie wątpił, że tamten przynajmniej przez pewien czas

będzie obserwował Palmera. Naturalnie mógł już zobaczyć dostatecznie dużo, by domyślić się, że Palmer został zatrzymany; kwestia szczęścia.

Ale Thome powiedział Jesmondowi, że powinni podjąć to ryzyko.

Niestety to nie jedyne ryzyko, na jakie się narażali...

Norman spostrzegł to natychmiast. Zwykle on sam był odpowiedzialny za kontakt z mediami, ale zespół nie przyjął zbyt przychylnie wykładu Thome a na temat konieczności zachowania ścisłej tajemnicy w tej sprawie. Chciał, aby to Brigstocke czynił honory, nadinspektor jednak nie zamierzał wyświadczyć Thomeowi przysługi. W efekcie wszystko skupiło się na nim, atmosfera po przemowie tylko się pogorszyła, ale Thome uważał, że to, co zrobił, było konieczne. Poza tym do tej pory wkurzał jedynie przełożonych. Teraz przechlapał sobie praktycznie u wszystkich. Przynajmniej to jakaś nowość...

Thome chciał, aby cała ta sprawa została załatwiona jak należy. Aby nic więcej nie przeciekło do opinii publicznej, chyba że źródłem informacji nie byłby Martin Palmer. Mogli wykorzystać podany przez Palmera rysopis Nicklina i powiedzieć, że otrzymali go od innego, bezstronnego świadka, wszystkie natomiast tropy śledztwa wywodzące się od Palmera należało sprawdzić i potwierdzić z największą ostrożnością i dyskrecją.

Thome umiał radzić sobie z krzywymi spojrzeniami oraz bardziej lub mniej zawołowanymi docinkami, ale jedyną chwilę zwątpienia przeżył podczas konferencji prasowej, niecałe czterdzieści osiem godzin po odnalezieniu ciała Miriam Vincent.

Najtrudniej było znieść kłamstwa wypowiedziane w blasku fleszy, w obecności pograżonej w smutku matki Miriam Vincent. Ktoś, być może Steve Norman, zasugerował, aby wynająć aktorów do odegrania ról rodziców fikcyjnej ofiary Palmera. Thome ucieszył się, że postawił na swoim i nie dopuścił do przeforsowania tego pomysłu. I tak mieli pod górkę...

Norman sprowadził sporą świtę złożoną z Jesmonda, Brigstockea, młodej policjantki pełniącej funkcję łączniczki z rodzinami ofiar oraz pani Vincent. Po wstępnej przemowie Jesmonda Norman przedstawił Rosemary Vincent. Była po pięćdziesiątce, wysoka, ciut niezgrabna, z twarzą, która zapewne jeszcze dwa dni temu była otwarta i szczerą, teraz jednak zmieniła się w zwierciadło dotąd obcych jej emocji.

Ucisk w dołku, świerzbiący strup. Gniew i poczucie winy...

Mówiła z przejęciem o swojej córce, ściskając w dłoniach zdjęcie Miriam, i łamiącym się głosem wspominała ich ostatnią rozmowę, a raczej sprzeczkę związaną z tym, że dziewczyna nie zamierzała przyjechać do domu. Thome stał pod ścianą, za dziennikarzami, z dala od kamer, nie mogąc oderwać wzroku od tej kobiety. Setki razy widział ludzi w

podobnej sytuacji, ale rzadko miał okazję oglądać ich tak krótko po tragicznym zdarzeniu. Odmalowywało się ono w każdym nerwowym uśmiechu, drzeniu warg i kompulsywnym odgarnianiu niesfornych kosmyków włosów. Skrzywił się, kiedy mówiła o smutku, jaki musieli odczuwać inni rodzice. Wstyd schwyił go za gardło niczym zimna niewidzialna dłoń, kiedy usłyszał, że łączyła się z nimi w bólu i wspierała z całego serca; ból był tak silny, tak dojmujący, że nie byli w stanie tu przybyć...

Thome obiecał sobie, że cokolwiek się wydarzy, kiedy już będzie po wszystkim, odwiedzi Rosemary Vincent, powie jej prawdę i wyjaśni, dlaczego zrobił to, co zrobił.

Tej nocy oglądał fragmenty konferencji prasowej na kilku kolejnych różnych kanałach i za każdym razem czuł w gardle nieprzyjemny ucisk.

Już miał położyć się do łóżka, kiedy zadzwonił telefon.

- Tak?

- Tom? To ty?

- Kto mówi?

- Eileen, złotko. Siostra twego taty.

- Ach...

- Przepraszam cię, wiem, że jest dość późno, ale oglądałam film. Czekałam, aż się skończy.

- Nic nie szkodzi... - Thome miał właśnie odnieść niedopitą butelkę wina i bmdny kieliszek do kuchni, gdy usłyszał telefon. Teraz usiadł na kanapie, przytrzymując butelkę kolanami, i ponownie wyciągnął korek.

- Co u ciebie, kochanie? - Mówiła, jakby był chory albo ciut upośledzony.

Thome już miał napełnić kieliszek, gdy uświadomił sobie, że nie jest w nastroju do rozmów. Wiedział, o co jej chodzi, i nie zamierzał czekać, aż zechce przejść do sedna sprawy. Chryste, kiedy widział tę kobietę po raz ostatni? Zapewne jeszcze przed odejściem Jan. Na pogrzebie nie pamiętał już czyim. Może któregoś z rodziców męża Eileen...

- Posłuchaj, ciociu Eileen...

- Przykro mi, że między tobą i twoją żoną się nie ułożyło...

Thome nałóż sobie wina, gawędząc na niezobowiązujące tematy iczekając, aż przejdzie do rzeczy i powie to, o co jej chodziło. Prosił ojca, aby do niej nie dzwonił; głupi stary przyk. Miał dość tej żenady. Zaczął ją ponaglać, podjudzać, czekał, aż powie mu, że bardzo żałuje, ale nie może, naprawdę nie może przyjąć Jima do siebie na święta. Jej dom będzie pełen gości i nie miałyby gdzie go ulokować, może gdyby uprzedził ją wcześniej...

Wypchaj się, pomyślał Thome. Damy sobie radę we dwóch...

- Przedyskutowaliśmy to i postanowiliśmy, że w tym roku twój tato przyjedzie do nas na Boże Narodzenie.

Dłoń Thome a z kieliszkiem zawisła w pół drogi od kolan do ust. Wiedział, że się nie przesłyszał, ale nie wiedział, co ma powiedzieć.

- Słucham? Ale przecież...

- Jeżeli wsadzisz go do pociągu, wyjdziemy po niego na stację.

Thome poczuł, że się czerwieni.

- Posłuchaj, może lepiej pomówię o tym z tatą...

- Nic się nie martw, zorganizowaliśmy już wszystko, kochanie.

- Ale przecież będzie u was tyle osób. Nie macie wolnego pokoju.

- Damy sobie radę. Chętnie go ugościmy i śmiem twierdzić, że ty dzięki temu będziesz mógł trochę odetchnąć.

Po kolejnych pięciu minutach tej słownej przepychanki Thome usłyszał na linii sygnał połączenia oczekującego i delikatnie o tym wspomniał. Ciocia Eileen zrozumiała aluzję, oznajmiła, że pora jest późna, powinna się już położyć, ale dodała, że z nim też chętnie by się zobaczyła, toteż gdyby tylko znalazł kiedyś wolną chwilę...

Thome opowiedział Philowi Hendricksowi o wszystkim, zanim sam miał szansę zastanowić się, co właściwie o tym sądzi. Zaproszenie Hendricksa zapewne nie było przemyślane, a Thome nie wiedział, czy przyjął je z głupoty, czy może z desperacji, niemniej dwa dni później był właśnie tutaj...

Wigilia. Odgrywanie roli przyzwoitki. Siedzenie w pubie i niesłuchanie, co działo się dookoła.

- Tom? Na miłość boską...

Thome poczuł, jakby z ogromną prędkością wyłaniał się z bardzo długiego tunelu. Jego oczom ukazały się wirujące barwy - złoto, srebro, czerwień. Tanie dekoracje, błyskające w świetle, zwieszające się z imitacji drewnianych krokwi. Zamrugał.

- Przepraszam, Phil. Teraz ja stawiam kolejkę?

Hendricks spojrzał na niego.

- Hej! Brendan tu jest, właśnie poszedł po browar. Nie słyszałeś ani słowa z tego, co mówiłem, prawda?

Thome dopił piwo.

- Ależ tak.

- I co? Jak myślisz?

Thome wydał policzki, zastanawiając się przez moment. Zaczął przypominać sobie fragmenty tej jednostronnej rozmowy. Brendan i Phil znów byli parą. Tak, właśnie tak. Hendricks zastanawiał się, czy przyjęcie z powrotem Faceta - Który - Wcale - Nie Okazał Się - Takim - Łajdakiem - Za - Jakiego - Go - Uważał, było dobrym pomysłem.

- Fatalnym pomysłem - rzekł Thome - było z twojej strony nakłonienie mnie, abym spał u ciebie na sofie jak zapasowy wacek na weselu.

Hendricks westchnął.

- Już to przerabialiśmy. To nic wielkiego.

Thome rozejrzył się dokoła. W pubie był tłok. W całym tym gwarze trudno się rozmawiało. Słysząc też było kolędy Głośną świąteczną muzykę. Slade, Wizzard, Mud. Całkiem przewidywalny, kojący dobór utworów Spojrzył w stronę, gdzie Brendan właśnie płacił za drinki.

- Pytałeś go o zdanie?

- Jemu to wszystko jedno. Nie jestem głupi, wiem, że wrócił tylko dlatego, że nie mógł znieść atmosfery w domu. Jego rodzice nie wiedzą, że jest gejem, a nie miał dokąd pójść...

- Akurat w tej kwestii wszyscy jedziemy na jednym wózku.

- Zakończmy ten temat, dobra? Zostajesz. Wolę mieć w domu na święta ciebie niż jakiegoś starego bezdomnego z przytuliska.

Thome uśmiechnął się.

- Hrabiowski nosek nie znosi brzydkich zapachów?

Hendricks odpowiedział natychmiastową ripostą.

- Nie wątpię, że z pomocą wody i mydła doprowadzisz się jakoś do porządku.

Wciąż jeszcze się śmiali, kiedy zjawił się Brendan z piwem, ale gdy tylko postawił je na stole, Thome poderwał się z miejsca i włożył kurtkę.

- Posłuchajcie, nie chcę wam przeszkadzać...

Brendan uniósł szklankę z piwem dla Thome a. Miał już trochę w czubie i chciał coś powiedzieć, ale Hendricks powstrzymał go, kładąc mu dłoń na ramieniu. Wiedział, że kłótnia nie miała sensu.

- Zobaczmy się później, tak?

Thome milczał. Wyszedł zza stołu i położył dłoń na ramieniu Brendana.

- Przepraszam za piwo...

- Jutro wspólny lunch, może być? - rzucił Hendricks.

Thome pokiwał głową, ale wiedział, że jego przyjaciel zrozumiał, iż był to tylko kurtuazyjny gest. Zdjął dłoń z ramienia Brendana i pożegnał się z Philem.

- Baw się dobrze, stary.

Hendricks wstał, podał mu rękę i dość niezdarnie uścisnął Thome a.

- Ty też. A teraz spływaj...

Thomeowi nie trzeba było tego dwa razy powtarzać.

12

Konstabl otworzył drzwi, a Thome pokazał mu swoje pozwolenie. Jeżeli pulchny rumiany funkcjonariusz, zaledwie o dwa centymetry wyższy od wymaganego minimum wzrostu, poczuł w oddechu Thome a woń piwa, nie dał tego po sobie poznać. Jego oblicze było tępe i pozbawione wyrazu tak jak u dwóch mapetów w samochodzie służbowym na zewnątrz.

Przyjazd rodziców... Domek... Pierwsza Gwiazdka dziecka...

- To nie potrwa długo - rzucił przez ramię Thome, spoglądając na krzesło w holu. Funkcjonariusz wyszedł tam i usiadł, mamrocząc coś ponuro pod nosem. Thome zamknął za sobą frontowe drzwi. A więc tamten chyba jednak poczuł woń piwa. Nieważne.

Thome zauważył egzemplarz „Sun” leżący na stoliku przy drzwiach. Otworzył drzwi i podał gazetę konstablowi, który wziął ją z cichym stęknieniem. Wal się, pomyślał Thome, ponownie zamykając drzwi. Odwrócił się i wszedł do salonu. Palmer wyłonił się z kuchni z kubkiem gorącej herbaty. Najwyraźniej nie słyszał pukania i drgnął nieznacznie na widok Thorne a.

Patrzyli na siebie przez kilka sekund. W końcu Palmer przemówił głębokim, nieco nosowym głosem.

- Czy coś...?

Thome pokręcił głową.

Palmer uniósł w dłoni kubek, para na sekundę lub dwie zamglila szkła jego okularów.

- Napije się pan?

Thome nie odpowiedział i podszedł do miejsca, gdzie przy oknie stał komputer. Był podłączony do serwera przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Gdyby Nicklin próbował nawiązać kontakt, wiedzieliby o tym natychmiast.

Thome spojrział na wygaszacz ekranu - przepływały po nim rzędy różnobarwnych zegarów brzęczących, cykających i wybijających godziny. Wychylił się do przodu i poruszył

myszka, a zegary zniknęły. Odsunął fotel od biurka, odwrócił go, ustawił przodem w stronę pokoju i usiadł.

Nie zdjął kurtki.

- Co robisz? Surfujesz po internecie? Siedzisz na czacie? Grasz w scrabble?

Palmer sztywno usiadł na sofie. Kubek z herbatą trzymał oburącz przy piersi.

- Tak, buszuję w sieci. Czasami.

- I...?

- Będąc na okrągło pod nadzorem policji, raczej trudno by mi było odwiedzić strony porno, co nie?

- Ale gdybyś był sam? - rzucił pośpiesznie Thome.

Palmer spojrzał w głąb kubka.

- Rozumiem. Co mogłoby zainteresować takiego degenerata jak ja? Cóż, prawdopodobnie szukałbym czegoś wyjątkowo perwersyjnego. No wie pan, zboczonego. - Uniósł wzrok i spojrzał na Thome'a. Nieznacznie odchylił głowę i zmarszczył nos, żeby nie spadły mu okulary. - Może zwłoki. Zdjęcia z autopsji, można je znaleźć, jeżeli się wie, gdzie szukać. - Mówił coraz szybciej i donośniej, jego głos stał się szorstki, oddech urywany i świszczący; wydawał się podniecony albo w każdym razie dobrze to udawał. - Może nawet wyszukałbym parę nagrań wideo z dźwiękiem... zarejestrowanymi odgłosami pracującej piły do kości. Zna pan to, zagrożenie i sekcja, typowa mieszanka dla żałosnego, cierpiącego na zaburzenia seksualne...

- Przestań.

Palmer zamilkł. Thome upomniał się w myślach. Nie powinien był tego zaczynać. W najlepszym razie trąciło to lubieżnością. W najgorszym zahaczało o tanią psychologię rodem z bulwarówek. Spojrzał na Palmera, który ścisnął w rękach kubek i patrzył przed siebie. Thome nie potrafił rozszyfrować wyrazu jego twarzy. Smutek? Nie, rozczarowanie.

Znów włączył się wygaszacz ekranu, a w narastającej ciszy dało się słyszeć odległe elektroniczne tykanie.

- Może jutro stąd wyjdę - rzekł nagle Palmer. Odwrócił się, by spojrzeć na Thome'a, wychylając się lekko do przodu, na jego twarzy malowało się ożywienie i żarliwość. - Tylko na spacer, żeby odetchnąć świeżym powietrzem. W czterech ścianach zaczyna mi coraz bardziej odwalać.

Thome parsknął. Palmer zaczął z zamyśleniem kiwać głową, choć wyglądało to dość komicznie.

- Wiem, powinienem się zacząć przyzwyczajać. Kiedy to wszystko się skończy, nie będę miał wiele swobody. Właściwie...

Podniósł się energicznie. Odruchowo. Thome zrobił to samo. Palmer spojrział na niego z niepokojem.

- W kuchni mam parę puszek piwa. - Zrobił krok naprzód i nagle się zatrzymał. - Chce pan? Przyniosę.

Thome bez namysłu pokiwał głową, a Palmer wszedł do kuchni.

- To chyba porter. Może być?

Thome nie odpowiedział, ale ponownie usiadł w fotelu. Rozejrzył się po pokoju. Wszystko wyglądało normalnie. Wystrój był prosty, meble nowoczesne i funkcjonalne. Gdy Thome wszedł tu po raz pierwszy, stwierdził, że to mieszkanie coś mu przypomina, i po kilku minutach wzdrynął się mimowolnie, kiedy stwierdził, że to miejsce wygląda jak jego kawalerka. Może było tu kilka książek i roślin więcej, brakowało zaś rodzinnych fotografii i pamiątek. Drobnych dowodów życia przeżywanego z wielkim entuzjazmem. Brakowało tu domowego ciepła.

Przez otwarte drzwi do kuchni Thome zauważył krzątającego się Palmera, usłyszał, jak wyjmuje z kredensu szklanki i je opłukuje. Był wielkim, postawnym mężczyzną, a jednak, mimo swoich gabarytów, poruszał się z wyraźną gracją. Jak na swój wzrost i wagę miał małe dłonie i stopy i mogło się wydawać, że go nie utrzymają, że lada chwila się przewróci, runie do przodu na twarz, robiąc z niej marmoladę.

Takich obserwacji dokonał Thome już na samym początku, kiedy przez wiele godzin dyskutowali o tym wszystkim. Przygotowywali historię. A potem nadeszły dni układania planów i ich stopniowej konsekwentnej realizacji; dla Palmera ostatni powiew wolności w nadziei, że Nicklin zechce się z nim skontaktować. Tyle godzin spędzonych w dusznym pokoju przesłuchań, a mimo to nigdy tak naprawdę ze sobą nie rozmawiali.

Thome pomyślał o tym właśnie teraz, w mieszkaniu Palmera, bez cienia żalu - nie zamierzał poznawać tego człowieka, po prostu ten fakt wydał mu się ciekawy sam w sobie - zważywszy na to, gdzie się znajdowali.

Poza tym wciąż dręczyło go niepokojące odczucie, że Palmer coś ukrywał. Coś przed nim zataił...

Palmer wrócił z dwiema szklankami piwa i dziwnie dumną miną, jakby prezentował przed nim ucięte głowy pokonanych wrogów.

Thome przyjął podaną mu szklankę i postawił na podłodze przy fotelu. Palmer stanął przy oknie i wyglądał na zewnątrz, kiwając głową. Uśmiechnął się.

- Właściwie to szczęściarz ze mnie. Wszędzie gliniarze, jeden nawet czuwa przy wejściu, dzięki temu mam pewność, że nie będą mnie nachodzić uciążliwi kołędnicy.

Thome spojrział na niego. Palmer miał na sobie szare workowate spodnie od dresu, niebieskie kapcie a la mokasyny i pomarańczową bluzę z kapturem. Ubiór wyglądał na tani, ze sztucznego włókna. Nie po raz pierwszy Thome zaczął się zastanawiać, na co Palmer wydawał wszystkie pieniądze. Miał intratną posiadłość, ale marne auto i nic w jego mieszkaniu nie świadczyło o skłonnościach do ekstrawagancji.

- Na co wydajesz zarobiony szmal?

Palmer podszedł i usiadł na sofie. Spojrział na Thome a spod półprzymkniętych powiek, jakby chciał wychwycić wszystkie zawarte w tym pytaniu niuanse.

Thome powtórzył je.

- Na co wydajesz zarobiony szmal?

Palmer pokręcił głową, wzruszył ramionami.

- Oszczędzam.

- Na wakacje?

- Po prostu oszczędzam. Trzymam je na koncie w banku. Kiedyś wysyłałem pieniądze do domu, ale rodzice nie chcieli ich przyjmować, więc teraz po prostu kupuję im różne rzeczy. Parę miesięcy temu sprawiłem im nowy bojler. - Znów pokiwał głową raz po raz. Wyglądało, jakby zgadzał się sam ze sobą albo próbował coś potwierdzić.

Thome pomyślał o ich pierwszym spotkaniu, kiedy mówił, a potem wręcz krzyczał o chorobie zwanej żalobą, a Palmer po raz pierwszy wspomniął o Nicklinie. Później zabrano go, by założyć mu na głowie kilkanaście szwów - Jacqui Kaye swoim pantoflem całkiem nieźle go urządziła - a kiedy wrócił, kontynuowali - już z większą swobodą - temat Nicklina - spotkanie w piwiarni, propozycje i instrukcje dotyczące zabójstw. Weześniej, podczas tej rozmowy, kiedy opowiadał o tym, jak poznał Nicklina, Palmer wymienił pewne imię. Imię dziewczyny Powtórzył je dwa, może trzy razy. Ona, a w każdym razie to imię, pojawiła się tylko na moment jak ciało wydobywane z rzeki, coś, co widać tuż pod powierzchnią wody przez ułamek sekundy, zanim ponownie nie zanurzy się w głębinie. Teraz to imię na powrót zagościło w myślach Thome a.

- Opowiedz mi o Karen.

Palmer napił się piwa. Upił łyk i przez chwilę trzymał piwo w ustach, zanim je przełknął.

- Karen nie żyje. - Znów pokiwał głową.

Thome czekał.

- Wsiadła do auta i umarła. W słoneczny dzień wsiadła do niebieskiego vauxhalla cavaliera - mówili o tym w wiadomościach, powinien pan bez trudu dotrzeć do tego nagrania. I to wszystko. Miała czternaście lat. - Trzema potężnymi łykami dopił piwo, odstawił niemal pustą szklankę na podłogę i spojrzał na Thome a. - Niebieski vauxhall cavalier. Prowadzony przez mordercę. Takiego jak ja.

Tylko w jeden sposób Thome mógł wypełnić ciszę, jaka wówczas zapadła. Wypowiadał te słowa na głos po wielokroć, w różnych sytuacjach. Czuł wówczas ten sam kwaśny smak straty i tęsknoty zdającej się unosić w powietrzu i przylepiającej się do języka.

- Przykro mi.

Powiedział to szczerze. I naraz inne odczucie, równie silne i niepoahamowane, owładnęło nim bez reszty i poczuł, że powinien sprecyzować swoją wypowiedź. Zweryfikować to, co powiedział.

- Nie współczuję tobie, tylko jej rodzinie. Za to, co się z nią stało. Nie myśl, że jest mi żal ciebie, Palmer.

I cisza, powolne ruchy głową, a tykanie i popiskiwanie roju zegarów na ekranie stało się nagle głośniejsze, wypełniając przestrzeń pomiędzy nimi.

Thome drgnął lekko na dźwięk tego elektronicznego chóru i odwrócił się, by spojrzeć na ekran. Zerknął na zegarek. Północ. Boże Narodzenie. Kiedy obejrzał się przez ramię, Palmer podszedł właśnie do sofy. Uśmiechnął się do niego nieśmiało, ze szklanką w dłoni; na dnie została resztką piwa.

- Wesołych świąt, detektywie inspektorze Thome.

Thome podniósł się gwałtownie; zrobiło mu się niedobrze. Przemógł się w sobie i po chwili podszedł do drzwi, przełykając ślinę i powstrzymując mdłości podchodzące mu do gardła. Otworzył frontowe drzwi. Funkcjonariusz na zewnątrz odłożył gazetę i wstał. Thome zatrzymał się na chwilę w progu, czując lekkie zawroty głowy, choć nawet nie skosztował piwa. Za nim rozległo się skrzypnięcie sofy i Thome zorientował się, że Palmer wstał.

- Po co pan przyszedł? - spytał Palmer.

Thome gestem zaprosił funkcjonariusza do środka. Wychylił się do przodu, by zaczerpnąć parę łyków powietrza, zanim ostatecznie wyszedł na korytarz.

- Diabli wiedzą po co...

Palmer przytknął twarz do szyby. Thome wyszedł przez dwuskrzydłowe drzwi i stanął na trawniku, oddychając głęboko.

Upił jeden łyk piwa ze szklanki Thome a, potem drugi. Kiedy opróżniał szklankę, jego jabłko Adama unosiło się i opadało raptownie. Palmer zmrużył powieki, by powstrzymać łzy zbierające mu się w kąciakach oczu.

Kiedy je otworzył i ponownie spojrzął w dół, Thome a już nie było. Zawsze był beksą, nawet zanim jeszcze spotkał Nicklina. Płakał i czerwienił się - odkąd pamiętał, nigdy nie umiał nad tym zapanować. Przypomniawszy sobie Stuarta tańczącego koło niego na boisku, z ustami umazanymi czekoladą, wołającego śpiewnym głosem: Pomidor, pomidor...

A on, cofając się do ściany, czuł narastający w swoim wnętrzu żar i gorąco napływające do coraz bardziej rumianych policzków...

Przypomniawszy sobie głos starszego już Stuarta, sprzed pół roku, w czasie lunchu w piwiarni; kiedy koledzy z pracy już sobie poszli, a Stuart odezwał się do niego i wszystko zaczęło się od nowa. Głos był teraz głębszy, dojrzalszy, ale wciąż pełen rozbawienia, wesołości, która sprawiała, że pragnął być blisko niego, choć to rozbawienie skrywało w sobie lodowaty chłód.

- Myślałeś kiedyś o Karen? Wiesz, Mart, nigdy im nie powiedziałem. Nie wszystko, znaczy się. Nie było takiej potrzeby, co nie? To, co się stało, to nie twoja wina. To, że odjechała z tym gościem, nie miało nic wspólnego z całą resztą. Z tobą. - Przerwał i wychylił się do przodu, na jego twarzy pojawił się wyraz z troskania. - Sądysz, że to była twoja wina? Jasne, że nie. Owszem, była zdenerwowana, ale to o niczym nie świadczy, prawda? Zastanawiam się, co pomyśleliby ludzie, gdyby znali prawdę? Gdyby wiedzieli wszystko? Sądysz, że obwinialiby ciebie? Wiesz, jak to jest w tych czasach, wszyscy tylko gadają o seksie i ochronie dzieci. Ludzie są zaszczuwani...

Palmer starał się nie okazać nawet odrobiny przerażenia, kiedy Nicklin skończył mówić, ale zdawał sobie sprawę, że nie wyszło mu to najlepiej.

- Nie twierdzę, że kiedykolwiek komuś o tym powiem, Martin, ale sam wiesz, niektórzy ludzie mają nieźle namieszane w głowie...

Sally z Glasgow: Robimy to wyłącznie dla dzieci, prawda?

Arthur z Newcastle: Czemu nie miałyby wchodzić w grę względy komercyjne? Dla większości tych dzieciaków ważniejsze niż Dzieciątko Jezus są przedświąteczne zakupy...

Bridget ze Slough: Jak we współczesnym świecie możemy cokolwiek świętować? Ludzie umierają z głodu. Szerzy się narkomania. Ludzie żyją na ulicach. A co z rodzicami tych dwóch nieszczęsnych kobiet zastrzelonych przed paroma tygodniami? Jakie będą u nich święta?

Mężczyzna, który nazywał się kiedyś Stuart Nicklin, przykleił małą złotą kokardkę do ostatniej paczki, nachylił się i podkreślił radio. To zaczynało mu się podobać. Bridget, ogarnięta słusznym gniewem, miała sporo racji, to naprawdę nie mogły być miłe święta. Nawet jeżeli jedna z tych tak zwanych nieszczęsnych kobiet została wymyślona.

Bob, gospodarz programu, zgodził się z rozmówczynią. W zupełności. Podziękował za telefon, ale teraz na wejście na antenę czekał już Alan z Leeds pragnący poskarżyć się na rosnące ceny usług pocztowych...

Wyłączył radio, wstał i rozmasował nogi odrętwiałe od siedzenia w kucki przez ostatnie pół godziny, kiedy uparcie pracował z użyciem nożyczek i taśmy klejącej. To stało się już swoistą tradycją - Caroline kładła się wcześniej do łóżka, a on siedział do późna w nocy, pakując prezenty.

Jeszcze parę godzin i zacznie się prawdziwy młyn. Jutro zjadą się goście: rodzice Caroline, jej siostra i trójka jej dzieci uganiających się w tę i z powrotem jak diablęta.

Może w przyszłym roku o tej porze będą mieli własne. Rzecz jasna jeżeli nie da się temu zapobiec; robił, co w jego mocy, aby unikać tego tematu, ale Caroline wciąż suszyła mu o to głowę. Nie teraz. Jeszcze nie. Miał sporo rzeczy do zrobienia, zanim zdecyduje się na ten krok. Kiedy patrzył na siebie z punktu widzenia osoby postronnej, kiedy widział siebie oczyma duszy, stał sztywno wyprostowany nad ciałem, czuł płynącą w żyłach krew, a światło załamywało się na nim jak chmury rozcinane skrzydłami wielkiego odrzutowca. On też szedł przebojem przez życie, przedzierał się przez nie, rozpruwał je, był zdolny do wszystkiego. Był jak żywe srebro. Nie da się tak... ograniczyć. Nie będzie zachowywał się jak pajac, popychając przed sobą wózek z dzieckiem, i nosił ubrań z plamami po mleku. Nie da się tak stłamsić. To nie w jego stylu.

Przyniósł prezenty dla żony i ułożył pod choinką. Wyprostował się, wychylił do przodu i przez chwilę kontemplował swoje zniekształcone odbicie w dużej srebrnej bombce. Widok samego siebie bez brody wciąż był dla niego szokiem. Trochę się martwił, czy ją zgolić, ale jego niepokój okazał się nieuzasadniony. Całkiem odmienna fryzura, wypełnione policzki i nos zoperowany wiele lat temu za zaoszczędzone pieniądze sprawiły, że wyglądał inaczej, niż można by się spodziewać po tym, jaki był przed szesnastoma laty.

Mimo to może jednak powinien był zachować brodę. Portrety pamięciowe, jakie widział w gazetach i telewizji, były tak nieprecyzyjne i niepodobne do niego, że aż go to bawiło. Czuł w tym wszystkim rękę Palmera. Może to hormony, endorfina, czy jak się nazywa to świństwo stymulowane przez strach - czy to adrenalina? - popieprzyła mu obwody pamięci.

A może tak właśnie działali dyktatorzy. Wszyscy, od Robespierre a po PolPotą wykorzystywali strach, aby zapewnić sobie bezpieczeństwo. Dopilnuj, aby twoi wrogowie, a nawet twoi przyjaciele bali się ciebie do tego stopnia, że zapomną o strasznych rzeczach, które robisz. Pytanie brzmiało: czy to działało też w drugą stronę?

Czy kiedy przestawali się bać, przypominali sobie wszystko?

Ukląkł przy wtyczce, wyłączył lampki i jeszcze przez chwilę chłonał zapach choinki, rozmyślając o Palmerze.

Wyobrażał go sobie teraz przerażonego i osamotnionego. Jakiś glina o tępej kanciastej twarzy pilnował go, łypał spode łba i wyobrażał sobie w duchu, jak mógłby go skrzywdzić, a równocześnie wyświadczyć wszystkim przysługę. Wyobrażał sobie szeroką, miękką jak poduszka twarz Palmera, jego przepełnione smutkiem wybałuszone oczy. Widział go wpatrującego się w noc, myślącego o Karen i czekającego na ocalenie. Przygryzającego dolną wargę i czerwieniącego się jak dziewczyna.

Co chciałbyś dostać pod choinkę, Martin?

Moją głowę na tacy? Moje nazwisko w rejestrze zatrzymanych, abyś mógł trafić za kratki z nieco mniejszymi niż dotąd wyrzutami sumienia?

Wybacz, Mart...

Przez chwilę rozważał wysłanie mu wiadomości na poprawę humoru.

Bożonarodzeniowe e maile były bardzo popularne. Coś prostego na specjalną okazję. Zdjęcie rudzika siedzącego na stylisku łopaty do odgarniania śniegu, przy śnieżnej zaspie i krótki tekst.

Myślę o tobie...

Pomysł był kuszący, ale wiedział, że dramatyzuje. Co prawda nie mogliby dotrzeć do niego przez jednego emaila, jednak niezależnie od wszystkiego pora nie była chyba odpowiednia. Niech najpierw miną święta, niech sytuacja trochę się ustabilizuje. Potem podejmie decyzję, co robić dalej.

Jeżeli decyzja nie zostanie podjęta za niego.

Zaczęło padać.

Thome zatrzymał czarną taksówkę przy Abbey Road. Znajdował się o rzut kamieniem od zebry, przejścia osławionego przez Beatlesów przed ponad trzydziestu laty, kiedy McCartney szedł boso i nie całkiem w równym rytmie z innymi.

Otworzył drzwiczki.

- Do Kentish Town...

Kierowca nawet na niego nie spojrział.

- Potrójna stawka, stary. Może być?

Thome uśmiechnął się na widok srebrnej wstęgi owiniętej wokół anteny taksówki. Może był to romantyczny gest. Pokiwał głową i wszedł do auta.

- Taa, nieważne...

Z radia płynęły dźwięki I Wish It Could Be Christmas Everyday. Thome uwielbiał tę piosenkę, zawsze kiedy ją słyszał, miał ochotę pójść do sklepu po ozdoby świąteczne i advocata, ale po raz pierwszy w życiu chciał mieć już święta za sobą. Święta i Nowy Rok za jednym zamachem. Chciał, nie, całym sercem pragnął pozbyć się tego brzemienia...

Myślał o Charliem Gamerze.

Czy chłopiec leżał teraz w łóżku i czuwał, nad słuchując odgłosów kopyt reniferów na dachu? A może nie mógł zasnąć przez cały ubiegły miesiąc i leżąc teraz w łóżku, słyszał krzyki matki?

Taksówka przemknęła przez Swiss Cottage, sunąc wzdłuż wilgotnych opustoszałych ulic w stronę Chalk Farm. Taksówkarz coś do niego mówił, zerkając znacząco przez ramię, ale Thome go nie słuchał.

Chłopiec nazwiskiem Stuart Anthony Nicklin...

Thome chciał, żeby dwa tygodnie minęły jak z bicza trzasnął nie z uwagi na to, jak przyjdzie spędzić te dni ani przez wzgląd na ojca czy Charliego Gamera. Chciał przyspieszyć czas, aby sprawa ruszyła z miejsca.

Istniała pewna szansa, że w okresie świątecznym nastąpi przełom w śledztwie, lecz on szczerze w to wątpił. Był natomiast pewien, że ze strony Jesmonda i Brigstocke a pojawią się coraz większe naciski. Góra zacznie domagać się wymiernych rezultatów. Bo niby co zamierzał osiągnąć, zmuszając ludzi do pracy w nadgodzinach? Kto za to wszystko zapłaci?

Taksówka z piskiem opon zatrzymała się na światłach. Gromada podpitych birbantów przeszła przez ulicę przed nimi, wymachując rękami i śpiewając na cały głos. Taksówkarz odmachął im, mamrocząc pod nosem.

- Palanty.

Taksówka z głośnym rykiem ruszyła spod świateł i wjechała do Camden. Thome rozsiadł się wygodnie na siedzeniu i zamknął oczy. Dwa tygodnie odgórniego sekowania pomogłoby mu przynajmniej zabić czas. A on chciał zabić czas. Permanentnie.

Zamierzał dalej robić swoje, ale nie mógł, skoro inni w tym czasie świętowali. A niektórzy ludzie świętowali dłużej od innych...

Thome uznał, że aby ruszyć ze śledztwem, musi się cofnąć w czasie.

Zamierzał powrócić tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

Taksówka przemknęła przez Swiss Cottage, sunąc wzdłuż wilgotnych opustoszałych ulic w stronę Chalk Farm. Taksówkarz coś do niego mówił, zerkając znacząco przez ramię, ale Thome go nie słuchał.

Chłopiec nazwiskiem Stuart Anthony Nicklin...

Thome chciał, żeby dwa tygodnie minęły jak z bicza trzasnął nie z uwagi na to, jak przyjdzie spędzić te dni ani przez wzgląd na ojca czy Charliego Gamera. Chciał przyspieszyć czas, aby sprawa ruszyła z miejsca.

Istniała pewna szansa, że w okresie świątecznym nastąpi przełom w śledztwie, lecz on szczerze w to wątpił. Był natomiast pewien, że ze strony Jesmonda i Brigstocke a pojawią się coraz większe naciski. Góra zacznie domagać się wymiernych rezultatów. Bo niby co zamierzał osiągnąć, zmuszając ludzi do pracy w nadgodzinach? Kto za to wszystko zapłaci?

Taksówka z piskiem opon zatrzymała się na światłach. Gromada podpitych birbantów przeszła przez ulicę przed nimi, wymachując rękami i śpiewając na cały głos. Taksówkarz odmachał im, mamrocząc pod nosem.

- Palanty.

Taksówka z głośnym rykiem ruszyła spod świateł i wjechała do Camden. Thome rozsiadł się wygodnie na siedzeniu i zamknął oczy. Dwa tygodnie odgórnego sekowania pomogłoby mu przynajmniej zabić czas. A on chciał zabić czas. Permanentnie.

Zamierzał dalej robić swoje, ale nie mógł, skoro inni w tym czasie świętowali. A niektórzy ludzie świętowali dłużej od innych...

Thome uznał, że aby mszyć ze śledztwem, musi się cofnąć w czasie.

Zamierzał powrócić tam, gdzie to wszystko się zaczęło.

CZEŚĆ TRZECIA

ODWRÓCONA TWARZ

13

Szkoła znajdowała się w cichej, gęsto zadrzewionej części Harrow, kilometr od znacznie słynniejszej szkoły z własnym kinoteatrem, fermą i polem golfowym, której chlubnymi uczniami byli Byron, Nehru i Churchill. Kiedy wóz sunął wolno wzdłuż podjazdu w kierunku głównego budynku, Thomeowi przyszło na myśl, że w odróżnieniu od tamtej szkoły dla chłopców imienia króla Edwarda IV zostanie okryta niesławą przez dwóch swoich byłych uczniów.

Pierwszy tydzień 2002 roku. Śledztwo potrzebowało solidnego kopniaka w tyłek.

Dwa tygodnie po Bożym Narodzeniu stało się to, czego Thome tak bardzo się obawiał: postępy były nikłe, za to mnóstwo zgryzot. Przez święta wydarzyło się dużo niedobrych rzeczy. Wprawdzie impas w śledztwie w każdym innym okresie bardziej rzucałby się w oczy, ale w związku z żądaniem przydzielenia więcej funkcjonariuszy nie uszedł uwagi tych z góry Brigstocke, którego przełożeni też mocno naciskali, z lubością wyżywał się na swoich podwładnych.

- Cierpliwość się kończy, Tom.

- Tobie czy im?

- To jedno i to samo.

- Fakt. Rozumiem. Kiedy tylko w szkołach znów zaczną się zajęcia, zamierzam...

- Co? Chcesz sprawdzić szkolne akta Nicklina? Sprawdzić, czy miał już wcześniej kłopoty z prawem?

- Masz lepszy pomysł?

- Od pomysłów jesteś ty, Tom. My po prostu czekamy na jego kolejny ruch...

- Wciąż narzekasz, że to ty nadstawiasz za wszystko tyłek? Mam już dość przeproszania cię.

- Ale ja nie mam dość wysłuchiwanie od ciebie przeprosin, jasne?

Uczniowie zeszli na bok, by przepuścić auto, kiedy Thome wolno wjechał na parking przy końcu podjazdu. Chłopcy prezentowali się dobrze w szarych spodniach i niebieskich koszulkach z herbem placówki. Jeżeli ta szkoła cierpiała na kompleks niższości, to nie dawała tego po sobie poznać.

Holland wysiadł z samochodu i aż wytrzeszczył oczy.

- Całkiem inna niż moja szkoła...

Moja też, pomyślał Thome. Wyobraził sobie niskiego krępego chłopca wyskakującego z autobusu, w workowatych spodniach, wiatrówce i z plecakiem w dłoni. Thome widział go wspinającego się na wzgórze, śpiewającego Blockbuster i Mama WeerAll Crazeenow, mającego na nogach traperki zamiast sandałów, ale tych kilka centymetrów, jakie dawały mu grube protektory, było mu potrzebnych. Uśmiechnął się, gdy chłopiec wszedł na boisko i zaczął rozmawiać z kolegą. Pomysły na weekend, przekleństwa, rozmowy o muzyce i wynikach sobotnich rozgrywek.

Rozległ się szkolny dzwonek i Thome wraz z Hollandem skierował się do wyjścia, minął ponownie chłopca, który zniknął w oddali. Trzynastoletni Tom Thome zarzucił sobie na ramię brudnozielony plecak. Na płótnie dostrzec można było naszywki z nazwami zespołów i futbolistów - Slade i Martina Chiversa, a plecak zdawał się pękać od przyborów do gier, kanapek i starych podręczników obłożonych w kawałek tapety...

Sekretarka wyglądała tak jak wszystkie inne, które Thome miał okazję zapamiętać lub jak je sobie wyobraził. Może gdzieś je hodowali, ucząc, jak mają zaplatać włosy w kok, patrzeć spod w półprzymkniętych powiek, a potem wypuszczali w świat, zaopatrzone w okulary o grubych szklach, nasadzone na czubek ostrego nosa, tweedowy kostium i coś niewygodnego, wciskającego się głęboko w zadek.

- Pan Marsden niedługo przyjdzie. Wie, że panowie tu są.

Thome uśmiechnął się do niej.

- Bardzo dziękuję.

On i Holland usiedli na brązowych plastikowych krzesłach przed gabinetem dyrektora. Naprzeciw nich siedział wyraźnie przerażony dwunastoletni chłopiec. Thome pochwycił jego spojrzenie, ale chłopak odwrócił wzrok.

- Powracają wspomnienia - mruknął Holland.

- O czym? O siedzeniu pod gabinetem dyra? Nie sądziłem, że zdarzało ci się pakować w jakieś kłopoty, Holland.

- Bywały gorsze chwile.

- Daj spokój, syn policjanta?

Holland zaśmiał się cicho, ale nagle o czymś sobie przypomniał i śmiech natychmiast ucichł. Thome pomyślał o swoim ojcu. Tmdno mu było przypomnieć go sobie w roli ojca nastolatka. Niestety wyglądało na to, że Jim Thome będzie już zawsze kojarzył mu się tylko z niepokojem, obowiązkami i dziwnymi rozmowami.

- Wesołych świąt, tato. Czy Eileen dba o ciebie?
- Rozgotowała brukselkę...
- Aha. Podoba ci się wideo? Nie wiedziałem, co innego mógłbym ci dać.
- Podaj imiona wszystkich reniferów...
- Może później coś sobie na nim obejrzysz.
- Jest ich dziewięć. Dziewięć reniferów...
- Tato...
- No dalej. Podpowiem ci jednego: Rudolf, to było proste. Dasher, Vixen, Comet...

Thome zamknął oczy i próbował przypomnieć sobie ojca z czasów swego dzieciństwa. Przywołał w pamięci woń środków czyszczących, smak grysiku, skrzypienie płóciennych butów z gumową podeszwą na podłodze sali gimnastycznej, ale nie był w stanie odnaleźć wspomnienia ojca w młodości.

Otworzył oczy, by stwierdzić, że dzieciak patrzy wprost na niego, ale zaraz znów odwrócił wzrok.

Thome już nie widział strachu w oczach dzieci. A przynajmniej tych, z którymi miał okazję rozmawiać. Może dobrze to ukrywały albo już nie czuły lęku. Dostrzegął natomiast arogancję i pogardę, niekiedy nawet coś jakby cień żalu, ale nie pamiętał, kiedy ostatni raz wzbudził w jakimś dzieciaku przerażenie.

Thome spojrzął na zegar nad drzwiami sekretariatu, po czym zerknął na chłopca.

- Dopiero dziewiąta, synu. Jak to możliwe, że już napytałeś sobie biedy?

Chłopiec spojrzął na niego, otwierając usta, lecz Thome nie uzyskał odpowiedzi na swoje pytanie. Drzwi nagle się otworzyły i z pokoju wyszedł wysoki mężczyzna z gęstą szopą siwych włosów.

- Jestem Brian Marsden. Zapraszam.

Thome i Holland skorzystali z zaproszenia.

Następne dziesięć minut należało do najdziwniejszych w całej tej sprawie. Marsden wiedział, po co przyjechali, wiedział o Palmerze i Nicklinie, a jednak traktował Thomea i Hollanda bardziej jak zatroskanych rodziców niż policjantów prowadzących dochodzenie w sprawie morderstwa. Dał im egzemplarze broszur reklamowych opisujących ze szczegółami liczne osiągnięcia tej placówki na niwie sportowej, a nawet spis stołowego menu. Zanim zdążyli go powstrzymać, zaczął się rozwodzić nad barwną historią szkoły. Do końca lat 80. była to zwykła podstawówka, później jednak zaczęła otrzymywać rozmaite dotacje. To potwierdziło kilka rzeczy, które Thome już wiedział: Palmer i Nicklin zostali przyjęci do tej

placówki w nagrodę; Nicklin, pomimo iż był wychowywany w niepełnej rodzinie, zdał egzaminy do najlepszej szkoły w swojej okolicy. Był bardzo bystrym chłopcem.

Thome już to wiedział...

Pukanie do drzwi przerwało monolog Marsdena. Wstał, gdy do gabinetu wszedł inny nauczyciel. Ten był niski, pełen wahania, a zdaniem Thomea wydawał się trochę zakłopotany obecnością tutaj. Marsden podszedł do drzwi, aby ich odprowadzić.

- Andrew Cookson to nasz główny wykładowca języka i literatury angielskiej. Oprowadzi panów i odpowie na pytania. Może zanim opuścicie naszą szkołę, jeszcze tu na chwilę wpadniecie, panowie...

-

Cookson wyprowadził Thome a i Hollanda na korytarz. Czuł tu było woń środka do czyszczenia podłóg i kwaśnego potu.

- Właściwie - mruknął Holland - nie ma potrzeby nas oprowadzać.

Cookson wolno pokiwał głową. Wyglądał na lekko zmieszanego.

Thome był innego zdania. - W sumie czemu nie...

Holland spojrzał na niego jak na wariata, ale Thome tylko wzruszył ramionami. Uznał, że bliższe zapoznanie się z tą placówką nie zawadzi, i chciał się tu trochę rozejrzeć.

- Proszę za mną - rzekł Cookson. - Pokażę panom hol główny, zrobimy szybki obchód po budynku, a potem poznam was z Bowlesem. - Wyciągnął obie ręce przed siebie. Może być?

Thome pokiwał głową, a Cookson się uśmiechnął. Thome od razu zorientował się, że ten nauczyciel jest szczególnie lubiany. Uśmiech miał szeroki i zaraźliwy. Thome nie przeoczył też łobuzerskich iskerek w ciemnych oczach tamtego i uznał, że choć Cookson jest już po trzydziestce, wciąż dysponuje dziecięcym wigorem i żywiołowością. Zwiedzanie szkoły przypadło Thomeowi do gustu. Żartobliwe komentarze Cooksona szczerze go bawiły, podobnie jak wyraz znudzenia na twarzy Hollanda.

- Myślę, że pański podwładny nie ma miłych wspomnień związanych ze szkołą - rzekł z uśmiechem Cookson. - A pan?

Thome pokręcił głową.

- Może pan wierzyć lub nie, ale naprawdę uwielbiałem chodzić do szkoły.

- Ja też - przyznał Cookson. - I nadal to lubię...

Szkoła imienia króla Edwarda IV była wzorowana na szkołach prywatnych, co zapewne wydaje się nieuniknione, zważywszy na bliskość o wiele szacowniejszej placówki.

Imitacja była bardzo dobra - począwszy od kortów i internatu, a skończywszy na biretach i togach, które, jak stwierdził z ulgą Cookson, noszono tylko przy wyjątkowych okazjach.

Szkolne uroczystości, rozdanie nagród, grupowe zdjęcia...

- Te na pewno panów zainteresują...

Cała ściana w holu głównym obwieszona była oprawionymi w ramki fotografiami, niektóre z nich pochodziły aż z lat 40. Były ich dziesiątki, ciągnące się w równoległych rzędach. Cookson podprowadził Thomea i Hollanda do zdjęć z końca lat 70. i początku lat 80.

- O, to te. Lata osiemdziesiąt dwa, trzy i cztery.

Każde z tych zdjęć miało metr długości; widać na nim było wszystkich uczniów tej placówki w danym roku, klęczących, siedzących lub stojących na krzesłach, uchwyconych w obiektywie przesuwanego wolno aparatu. Thome przypomniał sobie własne zdjęcia szkolne i chłopca nazwiskiem Fox, który czekał, aż aparat zacznie przesuwać się wzdłuż rzędu upozowanych uczniów, i podbiegał z jednego końca grupy na drugi, by na ostatecznym zdjęciu widać go było w dwóch ujęciach. Za każdym razem był za to zawieszany w prawach ucznia, ale i tak zawsze powtarzał ten numer...

Thome spojrział na pierwsze zdjęcie. Niemal natychmiast wypatrzył Palmera. Był o głowę wyższy od otaczających go chłopców, miał te same włosy i te same okulary z grubymi szklami. Popatrzył na listę nazwisk poniżej i w końcu odnalazł Nicklina. Chłopiec poruszył się, kiedy robiono zdjęcie, i twarz była rozmazana, ale sprawiał wrażenie, jakby się uśmiechał. Na zdjęciu z roku '83 Palmer i Nicklin stali razem. Palmer patrzył na obiektyw bez wyrazu. Głowa Nicklina była lekko pochylona, ale oczy spoglądały w górę, ciemne, buńczucznie wyzywające.

Thome nachylił się do zdjęcia.

- Witaj, Stuart...

Po chwili Thome podszedł do fotografii z '84, nieomal przytykając nos do szkła. Nicklin znów był odwrócony, szeptał coś do Palmera, który stał obok niego sztywno, z dziwnym uśmiechem na twarzy.

Thome przeszedł dalej, do zdjęcia z '85, ale rzecz jasna nie było tam Palmera ani Nicklina. Cofnął się, popatrzył raz jeszcze na rozmazane rysy i odwróconą twarz. Wiedział, że to niemożliwe, ale coś mu podpowiadało, że już wtedy, przed siedemnastoma laty, Nicklin celowo próbował się ukryć. Jako trzynastolatek w jakiś sposób przewidział, że nadejdzie dzień, kiedy ktoś taki jak Thome będzie patrzył na zdjęcie i na niego.

Będzie go szukał.

Cookson odwrócił się do Hollanda.

- Może to głupie pytanie, ale... widzicie go panowie po raz pierwszy, tak? - Holland skinął głową. - A nie mogliście wydobyć fotografii od jego rodziny?

To nie było głupie pytanie.

Rodzinę Nicklina odnaleziono bardzo szybko. Żyła tylko jego matka, prawie siedemdziesięcioletnia staruszka, w domu opieki. Holland zadzwonił do niej. Staruszka miała głos drżący, ale wyrazisty. Holland przedstawił się i wyjaśnił, że chce jej zadać kilka pytań w związku z jej synem, co wiąże się z pewnym śledztwem. Odpowiadała monosylabami. Czy go widziała? Nie. Czy ma z nim jakiś kontakt? Nie. Holland nie wątpił, że mówiła prawdę, ale dziwiło go, że nie interesowała się tym, co jej syn mógł robić i gdzie był przez ostatnich piętnaście lat. O nic nie zapytała.

Jej odpowiedź na ostatnie pytanie Hollanda, rzucona jakby po namyśle, była najdziwniejsza. Wręcz przerażająca. Zapytał, czy mogłaby pożyczyć im kilka jego fotografii, najlepiej jak najpóźniejszych, naturalnie odzyska je, gdy dochodzenie dobiegnie końca...

- To niemożliwe - odrzekła.

Pani Nicklin ze spokojem wyjaśniła, że nie ma żadnych zdjęć swego syna Stuarta. Ani jednego. Dziwne, ale to przecież nie koniec świata. Poza tym Thome nie był pewien, czy w świetle tego, o czym mówił Palmer, zdjęcie sprzed piętnastu lat mogło im jakoś pomóc.

Holland zapytał nauczyciela, gdzie jest najbliższa toaleta, i oddalił się.

Cookson miał na sobie marynarkę z moleskinu, koszulę na guziki imokasyny. Zdaniem Thome a wyglądał jak typowy wykładowca. Skrzyp podeszew drogich amerykańskich mokasynów ślizgających się po polerowanej posadzce odbił się echem, gdy nauczyciel poprowadził go na piętro i w głąb długiego prostego korytarza. Cookson nie przypominał ociężałych sadystów w sztruksowych marynarkach albo dresach, których tak dobrze zapamiętał Thome.

Cookson zaglądał przez szybę do każdej mijanej klasy. Szukali Kena Bowlesa, nauczyciela matematyki i jedyne go członka personelu, który pracował tu na początku lat 80., w czasach Palmera i Nicklina.

Thome zastanawiał się, czemu było tu tak niewielu nauczycieli z tego okresu. Przecież upłynęło raptem piętnaście lat.

- Kiedyś nauczyciele zahaczali się w jednym miejscu na dłużej - rzekł Cookson - ale to już przeszłość. Łatwo o... stagnację, a w grę zawsze wchodzi pieniądze. To dobra szkoła. Jeśli spędzisz tu kilka lat, jest szansa, że zyskasz podwójną stawkę w sektorze prywatnym. Co kilka lat następuje tu wymiana kadr...

Thome szedł teraz pierwszy. Zajrzał do następnej klasy i zobaczył starszego pana z gęstą szopą siwych włosów, siedzącego przy biurku i wyglądającego przez okno.

- A pan jak się na to zapatruje?

- Kusilo mnie to... ale wciąż tu jestem. W tym roku minie siedem lat, odkąd tu pracuję, a już uważają mnie za starego pryka. - Cookson zajrzał do klasy. - No to... jesteśmy...

Zapukał i otworzył drzwi przed Thomeem.

- Może zobaczymy się później...

Sarah McEvoy wypila kolejny łyk z butelki, którą postawiła na biurku. Wypila już kilka, ale woda nie mogła, podobnie jak papierosy, zabić suchości w ustach czy nieprzyjemnego posmaku w gardle.

Wciąż miała wyrzuty sumienia, że przed pięcioma minutami wylądowała się na konstablu. Wyżyła się na nim tak jak inni na niej. Przyszła późno, w kiepskim nastroju i polajanki Brigstocke a nie poprawiły jej humoru. Zły nastrój rozchodził się wśród prowadzących to śledztwo jak wims, podczas gdy facet, który był tego wszystkiego przyczyną, pojechał do jakiejś szkoły, by uganiać się za duchami.

Powinni cieszyć się jak dzieci, odkąd Palmer wpadł w ich ręce, ale to było dla Toma Thome a zbyt proste. Zupełnie jakby miał awersję do podnoszenia morale zespołu. Jakby każda upływająca minuta, nieprzybliżająca ich do schwytania zabójcy, była ich winą. Jakby chciał widzieć zawstydzenie na twarzach wszystkich funkcjonariuszy, a w ich szafkach Włosienice. A tymczasem on sam pozwalał mordercy grasować na swobodzie i oddychać tym samym powietrzem co inni ludzie.

Zamknęła oczy, próbowała się trochę uspokoić. Wiedziała, że Thome robił to, co uważał za słuszne. Od świąt była coraz bardziej podenerwowana. Kilka długich, bardzo długich dni w domu rodziców w Mili Hill. jakby w ogóle obchodziła ją Chanuka, z bratem półgłówkiem i jego nudną rodziną. Rozpaczliwie próbowała się wyrwać, chciała być wśród obcych.

Odnalazła ich w okolicy Nowego Roku. Twarze rozświetlone bielą albo błyskającymi czerwonymi i zielonymi światłami były uspokajająco obce, a noce stawały się coraz dłuższe, coraz głośniejsze i równocześnie fantastyczne, choć poranki i pójście do pracy następnego dnia były dla niej nie lada wyzwaniem.

W dodatku Thome i Brigstocke jej nie lubili. Obaj komentowali jej ubiór i wygląd, a przecież nie robiliby tego, gdyby nie miała cycków.

Sięgnęła po butelkę i odkręciła nakrętkę. Zadzwoiła jej komórka.

- McEvoy.

- Mówi Holland...

Napiła się wody, czekając, aż Holland powie, o co mu chodzi, lecz na próżno. W słuchawce panowała cisza. Przelknęła wodę i otarła usta rękawem bluzki.

- Co jest?

Kolejne kilka sekund szumów.

- Nic pilnego. Sprawdzalem tylko bazę.

Sprawdzał bazę?

- Z jakiego policyjnego serialu to zapożyczyłeś?

- Słucham?

- Zapomnij. To był sarkazm. Gdzie Thome?

- Próbuje odnaleźć dawnego nauczyciela Nicklina...

Gdy McEvoy słuchała, obok jej biurka przeszedł konstabl, na którego wcześniej nakrzyczała. McEvoy uśmiechnęła się przepaszająco. Konstabl nie zareagował.

- Masz tam jakieś dziwne echo.

- Jestem w toalecie - wyjaśnił Holland. - Miło wiedzieć, że bogate dzieciaki też leją na podłogę.

- Nie są aż tak zamożne, prawda?

- Nie widziałem, aby grały w futbol na boisku.

- Pewnie grają w biszkopta.

- W co?

McEvoy zaśmiała się.

- Wyjaśnię ci później.

- Jest jedna rzecz, której z pewnością im brakuje - ciągnął Holland. - Jako że to szkoła dla chłopców...

- To...?

- Nie mogą wpaść z głośnym krzykiem do toalety dla dziewcząt, a to taka frajda.

McEvoy przypomniała sobie, że coś takiego działo się także w jej szkole. Nagle przywołała w pamięci siebie jako dwunastolatkę kręcącą z niesmakiem głową i nasłuchującą głośnych ryków i pohukiwań tuzina buzujących testosteronem nastoletnich chłopców. Uśmiechnęła się pod nosem. Ten telefon poprawił jej humor.

- Czemu to robiliście? Nigdy nie potrafiłam tego pojąć.

- To chyba uwarunkowane genetycznie. Oznaczanie terytorium czy jakoś tak...

McEvoy uniosła wzrok. Po drugiej stronie sali odpraw ujrzała Brigstockea rozmawiającego ze Steve'em Normanem. Brigstocke spojrział na nią, a potem na Normana.

Podstępny mały skunks. Zastanawiała się, czy usłyszeli jej śmiech. Upiła kolejny łyk wody, ale w ustach wciąż miała pustynię.

- I jak, macie coś ciekawego?

- Nie bardzo, a jak tam u was?

- Wciąż nic. Cholerny Derek Lickwood znów zadzwonił, pytając o postępy w śledztwie. Uważa, że coś przed nim ukrywamy, i grozi, że narobi nam niezłego smrodu. Czemu miałabym iść z nim na układ?

- Bo na ciebie wypadło. Lovell to była jego sprawa, więc musimy z nim współpracować. Szef uważa, że dasz sobie z tym radę lepiej niż on...

McEvoy westchnęła.

- A co z Palmerem?

- W pracy. - Nie powiedziała nic więcej, ale głos miała zduszony. To, co niewypowiedziane, było wyraźnie wyczuwalne. Siedzi w pracy, zlicza rachunki, pije kawę, a powinien siedzieć pod kamienną ścianą celi, wsłuchując się w zgrzyt kluczy w zamkach, z kolanami podciągniętymi pod brodę i dudniącym sercem, bez paska i sznurówek.

Nigdy nie skrytykowałyby Thome a przed Hollandem. Poza tym czuła, że ostatnio jej sądy nie były tak trafne jak kiedyś. Jej rozumowanie stało się dość... ekstremalne...

- Aha - mruknął Holland. - Masz ochotę później na piwo?

Przeniosła wzrok na Brigstocke a. On i Norman prowadzili ożywioną rozmowę.

- Nigdy dotąd nie przyjmowałam propozycji od faceta w toalecie. - Nieomal usłyszała, jak Holland się zaczerwienił. - Żartowałam, Holland.

- Jasne...

Dorzuciła konspiracyjnym szeptem:

- Miałam wiele propozycji od facetów w toalecie, ale im chodziło zwykle o coś innego.

Holland nie zaśmiał się.

McEvoy wydeła policzki i głośno westchnęła. Sięgnęła po butelkę wody. Była pusta.

- Posłuchaj, Dave...

- Chodziło mi tylko o... wyjście na piwo. Nic więcej.

Starła się, by jej ton nie był zbyt opryskliwy, ale nie zdołała się pohamować.

- Wiem - burknęła.

- Jeżeli byli w mojej klasie, to ze względu na szczególny talent do matematyki, ale nie przypominam sobie, aby któryś z nich wyróżniał się na tym polu.

Thome cierpliwie pokiwał głową. Ken Bowles zdawał się niewiele pamiętać. Wprawdzie nauczanie to stresujący zawód, ale Bowles nie mógł być tak stary, na jakiego wyglądał. Miał brudnobiałe włosy i szarą zniszczoną cerę. Oczy za szklami okularów w druczianych oprawkach były wodniste, zęby miał mocno przebarwione; głośno nimi szczykał, kiedy mówił, a czasem nawet wtedy, kiedy nie mówił nic.

- Pamięta pan, że Palmer i Nicklin trzymali się razem? - spytał Thome.

Bowles odsunął się od krawędzi biurka z głośnym stęknieniem i podszedł do okna. Krawat miał przekrzywiony, a przy kroczu ślady kredy.

- Niewiele na ich temat pamiętam. Chyba za nimi nie przepadałem, ale to nic niezwykłego. Matematyka to zajęcie trudne i wymagające. Ten wyższy... Palmer? - Thome pokiwał głową. - Jego kolega stale go dekoncentrował. Tam siedzieli. - Wskazał na drugi koniec klasy.

- Przez cały czas wymieniali liściki i śmiali się. Palmer sumiennie odrabiał pracę domową, ale w klasie... zachowywał się skandalicznie.

- Nie mógł ich pan rozdzielić? Przesadzić Palmera do przodu?

Bowles wzruszył ramionami i wyjrzał przez okno.

- Nie uczyłem ich długo. Może tak by się stało, ale przecież obaj zostali wydalen z naszej placówki. - Uniósł rękę i palcem wskazującym potarł brudną plamkę na szybie. - Ten starszy chłopiec, nie pamiętam, jak się nazywał. Złapali go przy bramie, zaciągnęli do parku...

Thome znał tę historię. Opowiedział mu ją Palmer. Jego oczy wypełniły się łzami, przez cały czas kiwał głową ze smutkiem i obficie się pocił, przeżywając na nowo to zdarzenie. Każdy szczegół był zapisany w jego przeżartej wstydem pamięci. Wielkie stopy w znoszonych trampkach zdawały się wrosnąć w ziemię. Grube paluchy zaciskały się powoli wokół rękojeści pistoletu wiatrówki.

Thome wiedział, że właśnie w tej chwili wszystko się zmieniło. Od tej pory reszta była już nieuchronna. Pomyślał o tym, co mu powiedział Bowles. Jeszcze kilka miesięcy, a Palmer i Nicklin poszliby każdy w swoją stronę, wybierając własne ścieżki, wpływ Nicklina na młodszego chłopaka nie byłby aż tak silny. Czy mogli rozejść się każdy w swoją stronę? Czy kilka miesięcy mogło ocalić życie pięciu kobiet?

Co najmniej pięciu kobiet...

Rozległo się pukanie do drzwi i do klasy wszedł Holland. Thome skinął głową w jego stronę.

- To detektyw konstabl Holland...

Bowles teatralnie spojrział w jego stronę, udając, że jest wstrząśnięty.

- Wygląda jak cholerny szóstoklasista.

Holland skwitował ten mamy żart uśmiechem.

- Czy sprawdzał pan, co robili po wydaleniu ze szkoły? - zapytał Thome.

Nauczyciel z ożywieniem pokręcił głową.

- Ani trochę za nimi nie tęskniłem. Nicklin sprawiał tylko same kłopoty, a Palmer był wielkim, niezgrabnym mięśniakiem. Przypuszczam, że to nie jego wina. Chłopcy w jego wieku bywają niezdarni, trudno im się przystosować. Jak plastelina, którą należy dopiero ukształtować. Myślę, że Palmer został ukształtowany przez niewłaściwą osobę.

Thome skinął na Hollanda. Pora iść.

- Dziękujemy, panie Bowles. - Thome wręczył mu wizytówkę, którą tamten przyjął, nawet na nią nie patrząc. - Gdyby coś jeszcze przyszło panu do głowy...

- Kiedy byłem młodszy, nauczyłem się żonglować - oznajmił Bowles. - Robiłem pokazy na lekcjach. Zwykle ostatniego dnia zajęć. Dla klasy Palmera i Nicklina też to zrobiłem. Pięć piłek, sześć, jeżeli miałem dobry dzień. Albo balansowanie krzesłem. - Wskazał na masywne drewniane krzesło stojące na podwyższeniu... - Jednym z takich jak to, na podbródku. Wiecie, panowie, że Marsden jest młodszy ode mnie?

Thome chciał już stąd wyjść.

- Słucham?

- Dyrektor. Ściągnęli go skądś parę lat temu. Jestem od niego dziesięć lat starszy. - Rozłożył szeroko ręce, jakby to, o czym mówił, było dla wszystkich oczywiste. - Prawdę mówiąc, z przyjemnością stąd odejdę. Dziś nie jestem w stanie żonglować nawet trzema piłkami...

Holland otworzył drzwi, a Thome z ulgą ruszył w ich stronę.

- Czas na nas...

Bowles pokiwał głową i spytał półgłosem:

- Co zrobił Nicklin?

- Obawiam się, że nie możemy...

- Oczywiście, że nie, przepraszam, że spytałem. Wiecie, panowie, nie myślałem o tych chłopakach od lat, dopóki nie powiedziano mi, że chcecie ze mną o nich pomówić. Uczyłem setki chłopców. Szczerze mówiąc, większości z nich nie pamiętam. Czasami pamiętam pracę, ale nie twarze. Od kiedy znów usłyszałem te dwa nazwiska, sporo o tych chłopakach myślałem. Zwłaszcza o Nicklinie. Kiedy pan o nim mówi, inspektorze, ma pan dziwny wyraz twarzy, wie pan o tym?

Thome wiedział, że zaprzeczanie temu miało się z celem. Jego oblicze nigdy nic nie ukrywało. Zawsze tak było. Ani pogardy, jaką żywił dla niektórych ludzi, ani litości wobec innych. Zmarszczki na jego twarzy podkreślały szczery wyraz zgrozy, odrazy i gniewu jak u marnego aktora teatralnego. Jego oblicze szybko pochmurniało, częściej niż uśmiech widniał na nim posępny grymas. Choć uśmiech był rzadszy, miał bez wątpienia potężniejszą moc.

Jedno i drugie nieraz napytało mu biedy.

Bowles odprowadził ich do drzwi.

- Przypuszczam, że teraz częściej będę myślał o Stuarcie Nicklinie. - Wodniste oczy lustrowały twarz Thome'a. - Chłopak zmienił pistolet wiatrówkę na coś bardziej zabójczego?

Thome pomyślał o Rosemary Vincent, wspomnienie kłótni przez telefon, zdjęcie obracane w dłoniach podczas konferencji prasowej. Otwór w głowie ich ukochanej córeczki.

Przez oblicze Thome'a przemknął cień, gdy odpowiedział na pytanie nauczyciela.

- Tak. Znalazł sobie coś nowego.

Myślał o czymś, co wydarzyło się dawno temu.

Wiele lat temu, kiedy był jeszcze Stuartem Nicklinem i zdobywał fundusze, zaspokajając smutnych starszych mężczyzn oraz zagubionych młodszych, nauczył się reagować w odpowiedni sposób na daną sytuację. Inna męska dziwka, żaloszny mały kutas, starszy i brzydszy od niego, podkradł mu paru klientów. Nie tych stałych, oni byli wobec niego lojalni, tylko tych przypadkowych. Skurwiel obniżał stawki, tu dycha, tam dwie, za parę funtów więcej będzie bez gumy, po prostu chciał trochę dorobić, zanim straci resztki swej urody. To zrozumiałe, ale cholernie wkurzające.

Był wściekły. Chciał zrobić coś, by ukarać tego podstępnego cichodajka, tę męską zdzirę, ale wiedział, że najrozsądniej byłoby to zignorować. Po prostu trzeba odpuścić, iść dalej. Klienci zawsze się znajdują, a lepiej nie ryzykować kłopotów z glinami. Nie ma sensu rzucać sobie kłód pod nogi. To byłoby głupie.

Myślał także o tym, co działo się teraz.

Bali się, że zniknie. Ze śmiertelnie przerażony po zgarnięciu partnera weźmie tyłek w troki i zwieje, gdzie pieprz rośnie. Jeżeli tego się obawiali, to znaczy, że tak właśnie powinien zrobić. To była właściwa reakcja. Nie chcieli, by zniknął i pojawił się gdzieś, kiedyś, by zacząć wszystko od nowa. I tak właśnie powinien zrobić. To było proste i logiczne. Kwestia przetrwania.

To byłoby niewątpliwie trudne. Uwielbiał robić to, co robił. Był w tym bardzo dobry i to też uwielbiał. Nie pamiętał, żeby coś dawało mu takiego kopa jak to, nawet bez obecności Palmera. Gdyby musiał skończyć z tym, co robił, nieźle by go to przytępiło. Zmiana byłaby

jak odcięcie dopływu tlenu. Rezygnacja z tego byłaby jak zapadnięcie w długi sen. To nie byłoby na zawsze, może nawet nie musiałoby trwać zbyt długo, ale i tak byłoby to cholernie trudne. A jednak to wydawało się sensowne. Powinien tak właśnie postąpić, będzie więc musiał spróbować.

Spróbuje przestać.

Wiele lat temu, kiedy był jeszcze Stuartem Nicklinem i postanowił nie robić nic głupiego, zadzwonił do paru osób i zwabił podstępnie cichodajka do pustego mieszkania przy Glasshouse Street, z którego czasem korzystał. Był luty, spory mróz. Przez małe okienko widział tłumy w szalikach i grubych paltach krążące po Piccadilly Circus. Widział sople zwisające z Luku Erosa i szron na schodach prowadzących do posągu, skrzący się w blasku wielobarwnych neonów powyżej.

Kiedy zjawił się chłopak, Nicklin pobił go do nieprzytomności cegłą. Włożył mu rurę do ust i wlał do gardła galon płynu do rozmrażania. W pewnym sensie postąpił odpowiednio do sytuacji. Noc była wszak bardzo zimna.

Myślał.

Spróbuje się powstrzymać...

Thome też myślał o czymś, co wydarzyło się dawno temu...

O chłopcu, którego ostatni raz widział idącego do szkoły z zawadiacką fryzurą i który choć nie urósł zbyt, ale nabrał sporej masy.

To było trzy lata później. Dwadzieścia pięć lat temu.

Drugi dzień świąt '76. Remis dwa do dwóch z Arsenalem u siebie na ośnieżonym boisku. Wynik do przyjęcia w sezonie, który już wtedy nie zapowiadał się najlepiej.

Jego ojciec został z kolegami na parę browarków, a on musiał sam wracać do domu. Maszerował po Seven Sisters Road, rozmoknięta breja chlupała mu pod butami i wlewała się do środka. Niebieskobiały szalik nosił tyleż dla ochrony przed chłodem, co dla zademonstrowania, jakiej drużynie kibicował.

Z daleka wyglądali na dorosłych, ale gdy podszedł bliżej, zorientował się, że są zaledwie o rok, dwa lata starsi od niego. I potężniejsi. Mieli zielone kurtki harringtonki i czerwonobiałe szaliki. Otarł się o jednego ramieniem, doszło do wymiany spojrzeń. Wzruszył lekko ramionami i uśmiechnął się.

Dwóch na jednego. Nieźle, co nie?

Kilka minut później usłyszał za sobą tupot kroków i zanim zdążył zareagować, pierwszy z nich rzucił się na niego z tyłu, chwytając za szyję i powalając twarzą do dołu na oblodzony chodnik.

Samochody przejeżdżały obok, oświetlając trzy sylwetki, ale żaden nie zwolnił.

Podźwignął się na kolana i zarobił kilka ciosów w twarz. Odbił parę uderzeń, poczuł, że coś chrupnęło mu w dłoni i równocześnie coś długiego i ciężkiego wyrznęło go między łopatki. Płakał i spróbował ułożyć się na ziemi, podkulając kolana do piersi. Nie potrafił już rozróżnić między jękiem bólu a tępyimi odgłosami pięści uderzających w jego bark i kość policzkową.

Nagle usłyszał głos i ujrzał nad sobą cień ramienia. Najpostawniejszy fan Arsenalu przestąpił nad nim, klnąc głośno, a on mógł wyciągnąć się na plecach. Przetoczył się, jęcząc, i zaczął pełznąć, a gdy się odwrócił, zauważył, że tamci zaatakowali starszego mężczyznę w samej koszuli. Jeden z nich trzymał go za włosy, a drugi z byka grzmotnął mężczyznę w twarz. Ten mężczyzna był Grekiem, może Cypryjczykiem. Trudno stwierdzić, było tyle krwi. Może był sklepikarzem, który usłyszał hałas i wyszedł, by zainterweniować. Krzyczał i kłął, gdy dwóch osiłków powaliło go do rynsztoka i wzięło na fleki.

Wtedy Tom Thome też zaczął krzyczeć, aby ktoś się zjawił. Wzywał pomocy, gdy pierwsze kopniaki trafiły tamtego w krocze i brzuch. Krzyczał głośniejsze niż katowany opodal mężczyzna. Wołał o pomoc i uciekał stamtąd, jak mógł najszybciej...

Kręcił się teraz po pokoju, gasząc światła i szykując się do snu. Uśmiechał się, wspominając, jak jego ojciec krzyczał z trybun: „Sędzia kalosz! Kup se, kurwa, okulary!”.

Zastanawiał się, co stało się z mężczyzną, który próbował mu pomóc i sam przez to oberwał. Zapewne nie popełni więcej tego błędu. Wciąż dręczyło go poczucie winy, że tam nie wrócił. Przez wiele następnych dni przeglądał gazety, ale nie natrafił na choćby wzmiankę o tym zdarzeniu. Mężczyzna zapewne nie ucierpiał za bardzo, ale chłopiec nie mógł zapomnieć wyrazu bólu i wściekłości na jego twarzy. Thome widział go nawet dziś, po upływie dwudziestu pięciu lat, inadał słyszał to wilgotne mlaśnięcie, kiedy tamten ciężko wylądował w rynsztoku.

Thome zamknął drzwi sypialni, usiadł na brzegu łóżka i zaczął rozwiązywać sznurowadła. Był gliną od dwudziestu lat i wciąż nie mógł pojąć, czemu go zaatakowali.

Przecież tylko się do nich uśmiechnął.

14

Thome pomyślał: a więc to jest starość.

Wielki fotel przed telewizorem, ze sraczkowatym siedzeniem obłożonym w plastik i całą masą alarmowych guzików przywołujących. Uchwyty przy wannie i przesiąknięte

moczem majtki w umywalce oraz kobieta, która ma cię gdzieś i zagląda do ciebie dwa razy dziennie, aby sprawdzić, czy jeszcze żyjesz.

- Cukru, pani Nicklin? - McEvoy wyjrzała przez drzwi do kuchni.

Annie Nicklin pokręciła beznamiętnie głową, a Thome powtórzył ten gest do McEvoy nieco bardziej zdecydowanie. Choć mówiła niewiele, ta kobieta ze szponiastymi dłońmi splecionymi na zielonym kocu, na udach, nadal miała bystry umysł, ale ciało odmawiało jej posłuszeństwa. Artretyzm, cukrzyca, dusznica... Kierowniczka ośrodka, kobieta o surowej twarzy, imieniem Margaret, z lubością wymieniała całą listę rozmaitych dolegliwości i chorób, gdy wprowadziła ich do pokoju Annie, i wyjaśniła, że raczej wiele się od niej nie dowiedzą. Nikomu się to nie udało.

McEvoy mimo wszystko przyniosła herbatę i gdy rozdała kubki, Thome wciąż zastanawiał się nad pytaniem, które nurtowało go, odkąd przekroczył próg. Co by wolał? Mieć sprawny umysł i wątłe, nic niewarte ciało? A może ciało w wyśmienitej formie, ale za to uszkodzony, wadliwy mózg? Nikt nie miał w tej kwestii większego wyboru, a jednak Thome przez chwilę się nad tym zastanawiał. Rozwagał opcje. Wyglądało na to, że stan jego ojca się pogarszał, ale jeśli chodzi o Thome a, wolałby raczej, gdyby przyszło co do czego, żeby równocześnie podupadał tak na ciele, jak i na umyśle. Dzięki temu, siedząc we własnych odchodach, byłby błogo nieświadomy tego, co się z nim dzieje...

Upił łyk herbaty i pomyślał o spotkaniu z Kenem Bowlesem dzień wcześniej. Oto człowiek, który potrafił przewidzieć ból i samotność.

Wziął biszkopta i pomyślał o Enrightach. Zupełnie jakby nie wystarczyły codzienne udręki starości.

Znów rozmyślał o Charliem Gamerze, chłopcu, który stał się dla niego ponadczasowy. Miał przed sobą całe życie, a zarazem było już ono poza nim. Jego matkę zabił syn tej staruszki siedzącej w sraczkowatym fotelu zabezpieczonym plastikiem i siorbiącej herbatę.

Thome spojrział na Annie Nicklin. Gdy patrzyła na syna Stuarta, kiedy był w wieku Charliego, co w nim widziała? Czy dostrzegała jego przyszłość? Czy domyślała się, na kogo wyrośnie?

- Może być, Annie? - spytała McEvoy.

Pani Nicklin znów skinęła głową, siorbnęła kolejny łyk herbaty i wciąż wgapiła się w ciemny ekran zgaszonego telewizora.

Thome podźwignął się z miękkiej, pozbawionej sprężyn sofy i wychylił się do przodu.

- Chcielibyśmy zadać pani kilka pytań na temat Stuarta.

Nic. Tylkosiorbanie. I niekończące się dźwięki wykręcającej i zawracającej gdzieś opodal ciężarówki. W którymś z mieszkań zawył pies.

Thome przeniósł wzrok na McEvoy. Zrobiłaś pierwszy krok, teraz pociągnij delikatnie.

McEvoy ku swemu rozdrażnieniu dziś rano wygrała swoją szansę, rzucając monetą. Thome nie potrafił określić, czy lepszy kontakt ze starszą zdoła nawiązać Holland ze swym chłopięcym urokiem, czy obdarzona zdolnością empatii młodsza kobieta? Rzut monetą sprawił, że McEvoy znalazła się w aucie w drodze do Stanmore, z Thome'em za kierownicą, a ponieważ w samochodzie nie działało ogrzewanie, nawet nie starała się ukrywać, że fatalnie się czuje i że jest w parszywy nastroju...

- Nie uśmiecha mi się zbytnio wyciąganie informacji od słodkiej staruszki, której syn jest, tak się składa, psychopata. Nie musisz znać na pamięć mnóstwa podręczników, aby się domyślić, że mogła mieć z tym coś wspólnego.

Thome nie przeczytał ani jednego podręcznika i miał już tego dość.

- To znaczy? Czy zamykała go w piwnicy? Malowała mu usta szminką i zmuszała do wkładania sukienek? Musimy pomówić z tą kobietą, a ja, szczerze mówiąc, nie mam zbytniej ochoty na debatę o wyższości natury nad wpojonymi reakcjami lub na odwrót.

McEvoy najwyraźniej było obojętne, co o tym sądził.

- To, co nam wpojono, zawsze wygrywa. Zawsze.

Thorne zatrzymał wóz na światłach i zaciągnął hamulec ręczny.

- Załóżmy, że masz rację. Nie masz, ale załóżmy hipotetycznie...

- McEvoy milczała, wyglądając przez szybę. - A co z ojcem Nicklina? Może był nieszczęsnego małego Stuarta metalowym wieszakiem czy choćby pasem? - Palmer powiedział mu, że ojciec Nicklina odszedł z domu, kiedy tamten był jeszcze maleńki. Nikt nie wiedział inikogo nie obchodziło, czy żył, a jeżeli tak, gdzie był i czym się zajmował.

Przez kilka chwil McEvoy zastanawiała się lub może udawała, że się zastanawia nad tym, co powiedział Thome.

- Nie. Matki i synowie. Ojcowie i córki...

Thome nacisnął na klakson, kiedy biała furgonetka ruszyła spod świateł, zajeżdżając mu drogę.

- Nie znasz mojego ojca... prawda? - McEvoy nie zaśmiała się, więc Thome przestał się z nią patyczkować. - Posłuchaj, jeżeli ta kobieta może powiedzieć coś, co nam pomoże, chcę to usłyszeć, jasne? Jesteś policjantką, nie psychiatrą amatorem, więc wejdź tam i rób, co do ciebie należy...

Odkąd dotarli na miejsce, wszystko, co zrobiła McEvoy, wydawało się grubymi niemiędzy. Żadnej subtelności, za to mnóstwo bezpośredniego podejścia.

- Może moglibyśmy zacząć od tego, jak Stuart opuścił dom, Annie.

Stamszka odrząknęła. Jej piersią jeszcze przez kilka chwil wstrząsał suchy kaszel. Wreszcie się odezwała.

- Na tym to się zaczyna i kończy. On odszedł. I kropka.

To była jej najdłuższa jak dotąd wypowiedź. Thome spojrzał na McEvoy. Dalej...

- I nigdy więcej pani o nim nie słyszała?

Annie Nicklin podniosła pusty kubek, spojrzała na niego i odstawiła.

-

- Dostałam raz list z Londynu.

- Wciąż go pani ma?

Odwrociła głowę powoli, by na nich popatrzeć, i uśmiechnęła się, choć wyraźnie cierpiała.

- Nigdy go nie otworzyłam.

- Nie chciała pani wiedzieć, co się z nim dzieje? - wtrącił Thome.

Nie był pewien, czy zignorowała jego, czy pytanie. W każdym razie nie odpowiedziała.

McEvoy mówiła dalej.

- Odszedł we wrześniu osiemdziesiątego piątego, zgadza się? - Staruszka skinęła głową. - Tak po prostu? Z dnia na dzień?

- Nie byłam tym... szczególnie zaskoczona.

Ani się zbytnio nie przejęłam, dodał za nią w myślach Thome.

- To było mniej więcej miesiąc po zniknięciu Karen McMahon? - Pani Nicklin oblizła wargi i spojrzała przed siebie. McEvoy spróbowała raz jeszcze: - Stuart odszedł mniej więcej miesiąc po...?

Z cichym jękiem pani Nicklin sięgnęła po laskę opartą o jej fotel istekając z wysiłku, wskazała nią na butelkę z lekarstwami stojącą na telewizorze. Thome wstał i sięgnął po leki.

- Te? - Otworzył buteleczkę. - Ile? Tylko jedną? - Pani Nicklin skinęła głową, a Thome podał jej pigułkę. Na tacy zamontowanej przy fotelu stała szklanka z wodą. Staruszka popiła lekarstwo. Thome usiadł. Pigułka dla Annie, aby wydała ducha. Wciąż miała bystry umysł. Na tyle bystry, że wszystko rozumiała. Wiedziała, jaki moment będzie najodpowiedniejszy na przyjęcie leku, aby dzięki temu uniknąć odpowiedzi na kłopotliwe pytanie...

- Czy coś go dręczyło w związku z Karen? Czy dlatego odszedł?

- McEvoy usiłowała nawiązać kontakt wzrokowy. - Jak często przed odejściem spotykał się z Palmerem? - Gdzieś wciąż był pies, a Annie Nicklin skutecznie unikała odpowiedzi także na pytania McEvoy.

Thome podniósł się i stanął przed nią. Zaczęła mlaskać i spróbowała poruszyć głowę. Thome stał niewzruszenie pomiędzy staruszką a wyłączonym telewizorem. Z jego głosu zniknęła łagodność.

- Pani Nicklin, proszę mi opowiedzieć o Karen. - Z jej gardła dobył się cichy jęk i nic więcej. Thome nachylił się, jego cierpliwość właśnie się wyczerpała. - Proszę mi opowiedzieć o Karen McMahan.

Skojarzenie przyszło z chwilą, kiedy Palmer po raz pierwszy wymienił to nazwisko. Thome, rzecz jasna, je pamiętał - zaginiona dziewczynka, poszukiwania zakrojone na szeroką skalę, ale szczegóły pozostawały niejasne. Zrozumiał dlaczego, kiedy poznał datę. Lato 1985. Był wtedy pochłonięty sprawą „Johnnynego”. Francisa Johna Calverta, zabójcy gejów, który czuł, że policja depta mu po piętach. Do tego stopnia, że nie pozostało mu nic innego...

Koszmar młodego konstabla nazwiskiem Thome...

- Opowiedz mi o Karen.

Widział, jak blada, cienka niczym pajęczyna skóra wokół szczęk napręża się, kiedy zazgrzytała sztucznymi zębami. Prawie niedostrzegalnym ruchem szponiastych palców poprawiła koc na nogach.

- Opowiedz nam, to sobie pójdziemy - rzekła McEvoy.

- Wsiadła do samochodu - oznajmiła wolno, z emfazą, jakby tłumaczyła coś wyjątkowo skomplikowanego. Powtórzyła to, aby Thome dobrze ją zrozumiał. - Wsiadła do samochodu.

- Kiedy była ze Stuartem?

- Później. Trochę później. Rozstali się i kiedy była w pewnej odległości od niego, pojawił się ten samochód.

- Niebieski vauxhall cavalier...

Wlepiła wzrok w koc, zaciskając na nim palce.

- Pan już to wie.

Thome pokręcił głowę. Odwróciła wzrok.

- Stuart musiał być bardzo zdenerwowany. Widział, jak to się stało, prawda?

Odwróciła się od niego pospiesznie.

- Tak. Był bardzo roztrzęsiony. Cały czas płakał. Stuart widział wszystko. Widział, jak wsiadła do tego auta. Widział mężczyznę, który siedział za kierownicą. Powiedział policji, jak wyglądał ten człowiek, może pan to sprawdzić.

- Powiedział policji? A może pani, a potem pani przekazała to policji?

- Jedno i drugie. - Uciszyła go cmoknięciem i nerwowo zaczęła bębnić palcami pokrytej plamami wątrobowymi dłoni o podłokietnik fotela.

McEvoy podniosła się z miejsca i stanęła za fotelem Annie Nicklin.

- Czy ten mężczyzna, którego widział Stuart, złapał Karen? Czy wysiadł z samochodu? Czy wciągnął ją siłą do środka? - McEvoy mogła równie dobrze mówić do siebie. Spojrzała na Thome a ponad pochyloną siwą głowę Annie Nicklin. Wzmszyła ramionami. Wystarczy?

Pomimo tego, co Thome rzekł do McEvoy w samochodzie po drodze tutaj, miał ochotę zastraszyć tę kobietę, zmusić ją do mówienia. Tylko nieznacznie podniósł głos, ale gdy tylko się odezwał, Annie Nicklin uniosła głowę. Po raz pierwszy odnalazła jego spojrzenie i nie odwróciła wzroku.

- Czy Stuart wiedział, czemu tak się stało? Skoro ten mężczyzna nie wciągnął jej siłą, to czy Stuart wiedział, dlaczego Karen McMahon wsiadła do tego samochodu? Czy mówił ci o tym, Annie?

Thome poczuł na sobie jej wzrok. Zaraz jednak, jakby to sprawiało jej ból, opuściła głowę, kierując spojrzenie w podłogę; jedną ręką z całej siły ścisnęła koc, drugą sięgnęła po laskę. Dopiero po kilku sekundach Thome zorientował się, co się dzieje, spuścił wzrok. Stukanie końca laski o jego goleń było prawie niewyczuwalne. Dotyk obłożonego gumą drewna wydawał się delikatny, ale impuls, jaki w sobie zawierał ten gest, wcale taki nie był. Annie Nicklin szturchała go, próbując odepchnąć od siebie detektywa. Szturchała go i dźgała jak oszałała... W końcu, nie przerywając gorączkowej czynności wychudzonej, wymizerowanej ręki i sękaty laski, przemówiła. Głos miała wysoki i czysty, dziwnie dźwięczny, melodyjny i powtarzała nim bez końca te same słowa:

- Ona wsiadła do samochodu...

Jadąc swym fordem mondeo z powrotem do Hendon po Honeypot Lane, Thome wyobrażał sobie dziewczynkę w białej sukience - nie miał pojęcia, w co ubierała się Karen McMahon, ale to się stało latem - otwierającą drzwiczki niebieskiego auta, odgarniającą kosmyk włosów za ucho i wsiadającą do środka.

Na obrzeżach tego obrazu stał chłopiec nazwiskiem Stuart Nicklin, rozmazany, z opuszczoną głową, lecz czujnie rejestrujący ciemnymi oczami nawet najdrobniejsze

szczegóły. Niby go tam nie było, a jednak niczym duch lub odbitka z podwójnie naświetlonego negatywu pojawił się też duch mężczyzny nazwiskiem Martin Palmer, niemal dwadzieścia lat później, człowieka kompletnie zniszczonego i zdruzgotanego.

Z tym obrazem było coś nie tak...

- To jak, natura czy wpojone zasady? - spytała McEvoy, gdy dojeżdżali do Becke House.

Thome uśmiechnął się.

- Ja nic nie mówię.

- Tak jak ta staruszka...

Thome musiał się z nią zgodzić.

- Znałem wielu bandziorów, opryszków, gwałcicieli... nawet seryjnych morderców, którzy szybciej puszczały farbę. - McEvoy zaśmiała się, ale Thome był śmiertelnie poważny. - Jeżeli Nicklin odziedziczył choć część tej determinacji lub... sprytu... możemy mieć spore kłopoty.

- A co z rodzicami Palmera?

Thome pokręcił głową. To nie było konieczne, a poza tym i tak już wkrótce dowiedzą się, co się dzieje. Jeden telefon od Palmera dzień, dwa po tym, jak oddał się w ręce policji, wystarczył, by ustalić, jak Nicklin go namierzył. „Wiesz, dzwonił ten miły chłopiec, z którym chodziłeś do szkoły, pytał o ciebie... nie podał nazwiska... chyba chciał ci zrobić niespodziankę”. Nie, na nic mu się nie przydadzą. Kiedy do nich zadzwoni, to tylko po to, by przekazać im złą nowinę.

Zaciekawiło go, poniekąd mu ulżyło, że Annie Nicklin nie była zainteresowana informacjami o obecnym miejscu pobytu jej syna. Coś mu w tym nie pasowało. otak, pokazał się... Ale...

Przy Peel Centre podjechali do szlabanu, a Thome sięgnął po swoją legitymację. McEvoy uprzedziła go i pokazała odznakę. Kiedy szlaban się podniósł, Thome wprowadził wóz na parking.

- Masz plany na dzisiejszy wieczór? - spytał Thome.

McEvoy odwróciła się i wyjrzała przez szybę. Po drugiej stronie placu grupka rekrutów ćwiczyła z psami.

- Raczej nie. Chyba położę się wcześniej. A ty?

- Ja i pan Philip Hendricks mamy gorącą randkę ze Sky Sports i kolacją na wynos od Chińczyka.

- Brzmi kusząco...

- Tak, jeżeli nie masz nic przeciwko odgrywaniu roli rozjemcy cudzych związków, równocześnie próbując śledzić przebieg meczu. - Zrobił minę, by rozbawić McEvoy, ale w myślach czekał już na spotkanie z Hendricksem.

Chwila relaksu. Rozluźnienia, którego potrzebował...

Thome wprowadził wóz na miejsce obok volvo Brigstocke a i zgasił silnik. Spojrzał na ściany piaskowego koloru i obłożoną płatami oliwkową farbę trzypiętrowego potworka z lat 60., gdzie mieli szczęście pracować. Gdyby szefostwo miało odrobinę zdrowego rozsądku i chciało zapewnić stały nabór świeżych kadr, nakazałoby swoim specom od reklamy trzymanie się jak najdalej od Becke House.

- To fenomenalnie paskudny budynek - rzekła po chwili McEvoy. Thome pokiwał głową i pomyślał: A my tam siedzimy, próbując chwytać ludzi, którzy robią fenomenalnie paskudne rzeczy. McEvoy wcisnęła guzik, by odpiąć pas bezpieczeństwa. - Co planujesz na popołudnie?

Thome wziął głęboki oddech.

- Mam do załatwienia kilka telefonów, muszę się dowiedzieć, co wyjdzie drożej, naprawa ogrzewania czy wymiana auta.

- Najwyższy czas. Przez następne pół godziny spróbuję odzyskać krążenie w stopach...

- Thome zaśmiał się. - To jakiś absurd, czemu nie korzystasz ze służbowego auta?

Thome wzruszył ramionami.

- Nie wiem... bo jest brązowe.

McEvoy wydała się zbита z tropu odpowiedzią Thome a i tym, jak nagle, nie wiadomo czemu, sposepniał jak zakłopotany nastolatek.

- Więc weź jakiś inny...

- Lubię ten wóz - rzekł Thome. - Mam tu wszystkie swoje taśmy i w ogóle.

- No tak, jasne. Dolly Parton i Tammy Wynette.

Thome westchnął i otworzył drzwiczki.

- Zatlukę tego Hollanda. Albo nie, zmuszę, żeby posłuchał prawdziwej muzyki country i potem go zatlukę...

McEvoy wysiadła, naśladowując psa Bełkota z popularnej kreskówki.

- To nie jego wina. Nie mówił...

- Właściwie wisi mi to, puszczanie mu muzyki byłoby zwykłą stratą czasu. Po prostu go zatlukę... - Thome przekręcił kluczyk w zamku i spojrzał na McEvoy ponad dachem forda mondeo. - A kiedy ja zajmę się zabijaniem detektywa konstabla Hollanda, chcę, żebyś coś dla mnie zrobiła.

- Myślę, że dość już robię, trzymając z dala od ciebie Dereka Lickwooda. Wie, że go unikasz.

Thome uśmiechnął się.

- Bez obawy, to nie będzie takie tmdne. - McEvoy czekała. - Sięgnij po telefon i dowiedz się, kto prowadził śledztwo w sprawie Karen McMahon.

Alf ze StokeonTrent: Szubienica jest za dobra dla tych łajdaków. Chętnie sam pociągnąłbym za dźwignię...

Pokręcił głową i odgryzł kolejny kawałek batonika, myśląc przy tym: daj spokój, Alf, nie można mieć jednego i drugiego równocześnie. Mimo to wiedział, że brytyjska opinia publiczna chciała, by ich stracono. Jej zdaniem to było adekwatne rozwiązanie.

Gospodarz programu, zwykle odgrywający rolę adwokata diabła, zgodził się z Alfem i rozpoczął z nim ożywioną dyskusję o tym, kiedy i czy w ogóle społeczeństwo przejrzy na oczy i przywróci karę śmierci oraz czy powinno się wówczas pozostać przy szubienicy czy może pójść z duchem czasu i postawić na zabójczy zastrzyk.

Zamknął oczy wyłączając się z rozmowy.

Inni, tacy jak on...

Nie mógł powiedzieć, aby kiedykolwiek spotkał kogoś, kto byłby taki jak on. Raczej nie. Napotkał kilku, dla których szacunek wobec prawa stanowił luksus i którzy dawno utracili wszelkie zasady moralne. Znał wielu mężczyzn rozpaczliwie poszukujących celu dla siebie, ale nigdy nie zetknął się z kimś, kto tak jak on miałby wszystko szczegółowo zaplanowane od początku do końca. Tym się akurat nie przejął, ale też nie poczuł się przez to lepiej. Po prostu zaakceptował taki, a nie inny stan rzeczy. Nie był na tyle arogancki, by wierzyć, że jest jedyny w swoim rodzaju. Przyjął, że może nadejść dzień, kiedy na którejś z ulic albo może na dworcu spotka człowieka, w którego oku dostrzeże ten sam charakterystyczny błysk.

Tego błysku nigdy nie ujrzał w oku Martina Palmera. Najwyższy czas ponownie skontaktować się ze starym przyjacielem.

Wstał z fotela i podszedł do kupionego dzień wcześniej w Dixons za gotówkę laptopa leżącego na stole. Włączył go i zanim się zalogował, uruchomił komórkę na kartę, skradzioną w południowym Londynie, w drodze do domu. Zarówno komputera, jak i komórki pozbędzie się nazajutrz, jadąc do pracy.

Zawsze starał się zachować najdalej posuniętą ostrożność, zmieniać schemat działania. Otwieranie kolejnych darmowych kont emailowych było łatwe, a on zawsze starał się, by jego poczynania były nie do wyśledzenia. Początkowo korzystał z kafejek internetowych.

Wybierał te mniejsze, dawne bary przerobione na punkty usług ksero z rzędami prostych, topornych i Maców na zapleczu. Te miejsca były w pewnym sensie ukryte - wciśnięte pomiędzy salony masażu a biura prywatnych linii taksówkowych, nawet wielu londyńczyków nie miało pojęcia o ich istnieniu, nikt tam nie serwował cappuccino ani nie przejmował się, że wchodzisz na strony porno. Nie było tam też nadzoru kamer.

Później przeczucił się na laptopy, idealne do jego celów, pozostawała tylko kwestia podłączenia. Nie po raz pierwszy używał kradzionej komórki - miał pasera, u którego je potem upłynniał - ale w przeszłości korzystał też z usług telekomunikacji oferowanych przez tanie podrzędne hoteliki w samym środku Londynu. Logował się, robił swoje i zwijał żagle. Gdyby, co rzecz jasna mało prawdopodobne, ale gdyby kiedyś został namierzony, wątpliwe, aby ktokolwiek zdołał zapamiętać anonimowego biznesmena z niewielką skórzaną aktówką.

Podłączył komórkę i usiadł przed komputerem. Zastanawiał się, co napisać. Zawsze lubił dobierać słowa. To zabawne, nieomal przewidział, że do czegoś takiego dojdzie, że nie będzie miał ostatecznego wpływu na to, co zrobi i jakie podejmie decyzje. Teraz mógł jedynie reagować. Reakcja, adekwatna bądź nie, będzie jego jedyną odpowiedzią.

Zalogował się. Po kilku minutach otworzył nowe konto, wymyślił nazwisko i hasło. Lubiał przyjmować nowe tożsamości, niezależnie, czy miały przetrwać wiele lat, czy zaledwie parę godzin w cuchnącym wilgocią tandetnym hotelu. Lubiał nawet te, które trwały zaledwie kilka minut, czyli tyle, ile potrzebował, by przesłać parę słów z jednego końca miasta na drugi.

To będzie jedyna możliwa odpowiedź z jego strony...

Nie miał pewności, co Thome spodziewał się zyskać dzięki wizycie w szkole, ale pojawił się tam. Odgryzł kolejny kawałek batonika. Detektyw inspektor nie należał do ludzi, którego poczynania mogły być przewidywalne i łatwe do wytłumaczenia. No i dobrze.

Z nim było podobnie.

Z typową dla siebie pieczołowitością podał w e mailu wszystkie niezbędne informacje. Nie może być mowy o nieporozumieniu. W wypadku Palmera zawsze starał się być konkretny i precyzyjny. Martin tego wymagał.

Zrób to teraz. Zrób to, kiedy ci powiem.

Bardziej niejasne było, po co to w ogóle zrobił. Dlaczego wysłał te instrukcje Palmerowi? Dlaczego przekazywał mu polecenia, które nigdy nie zostaną wypełnione, jeśli nie liczyć dziennikarskiej mistyfikacji i artykułu o zbrodni, która nigdy się nie wydarzyła? Kiedy jednak prawdziwe morderstwo zostanie popełnione, a ciało odnalezione, przestaną się bawić w tę kretyńską mistyfikację.

Po co więc zadał sobie tyle trudu? Dlaczego grał w ich grę?

Palmer postanowił wyłamać się z układu, a przez swój postępek odebrał temu wszystkiemu... pikanterię. I coraz bardziej zaczynało go to nudzić. Nie czuł już dawnej ekscytacji. Może z czasem znów ją odzyska. Musiał ją odzyskać, grać w tę ich kretyńską grę, zobaczymy, dokąd doprowadzi ich wszystkich.

Ale nie był to jedyny powód.

Szczerze mówiąc, lubił swoją codzienną rutynę i tylko od jego decyzji zależeć będzie, kiedy zajdą naprawdę istotne zmiany. Zatem w pewnym sensie była to odmowa, całkowita odmowa zrzeczenia się kontroli, lecz z drugiej strony musiał przyznać, że trawiło go perwersyjne pragnienie, aby działać dalej, robić swoje... jak gdyby nigdy nic. Dzień jak co dzień, przynajmniej jeszcze przez jakiś czas. Zawsze żywił nieklamany podziw wobec typowo brytyjskich świrów, którzy powódź, pożar albo morową zarazę traktowali jak drobną niedogodność i nie chcieli się przystosować. Oni nigdy nie musieli przestawić domu, pójść do lekarza czy zrobić karczemnej awantury. Byli uparci i głupi. A zarazem odważni i szaleni. Jedno wiązało się oczywiście z drugim. Tylko w tym kraju ludzie potrafili wygrać miliony na loterii i pozostać na etacie w fabryce. Koniec końców ci idioci zawsze się przystosowywali i on również był do tego zdolny, ale tylko w ostateczności. Przecież nie chodziło o astrofizykę. Płyn z prądem albo idź na dno. Przystosuj się albo daj się złapać.

Na razie poczeka, zobaczy.

Usłyszał, jak na piętrze Caroline pokasłuje przez sen. Biedaczka miała za sobą parę ciężkich dni. Ostatnio kiepsko się czuła. Kiedy przejrzał e maila pod kątem błędów ortograficznych, upomniał się w duchu, aby nazajutrz kupić dla niej benylin.

Włożył ostatni kawałek batonika do ust i wysyłał wiadomość.

Odsunęli się od siebie i leżeli spoceni, wyczerpani.

Holland podparł się na łokciu i uwodzicielsko wyszeptał do ucha leżącej przy nim kobiety.

- No dalej, opowiedz mi o tej tajemniczej grze w biskopta.

McEvoy odzyskała oddech, przypominając sobie, jak zaledwie półtorej godziny temu przybyła do domu, by ujrzeć czekającego na progu Hollanda, z butelką wina w dłoni i jękającego się jak Hugh Grant dla ubogich.

Wpół do ósmej: niemrawa wymiana zdań podczas otwierania drzwi. Dwadzieścia po ósmej: otworzyli drugą butelkę, leżąc na podłodze jak studenci. Dziewiąta: oboje byli uśmiechnięci, nadzy i wilgotni.

Ostatnio stawała się coraz bardziej impulsywna.

- No dalej...

Czy się zaczerwieniła?

- To głupie, zapewne nawet nieprawdziwe, ot jeszcze jedna miejska legenda o grze rzekomo popularnej w szkołach prywatnych. - Odwróciła się na bok. Patrzył na nią, uśmiechając się, czekał, aż podejmie przerwany wątek. - No dobra, chodzi o to, że chłopaki stają w kręgu i zaczynają się onanizować.

- Onanizować?

- Właśnie. Pośrodku leży biskopt, wszyscy spuszczaają się na niego, a ten, który dojdzie ostatni, musi zjeść biskopta.

Zapadła cisza godna występu wielkiego komika, zanim Holland wydał z siebie jęk obrzydzenia.

- Wymyśliłaś to.

McEvoy zachichotała.

- Przysięgam...

- Ten, który dojdzie ostatni?

Wyraz zakłopotania na jej twarzy wzbudził w nim jeszcze większe rozbawienie.

- Mówiłam, że to głupie...

- A więc uczy się ich, jak dochodzić najszybciej?

- Wiem, wiem. To chyba tłumaczy, dlaczego wszyscy chłopcy ze szkół prywatnych, z którymi spałam, byli do niczego w łóżku.

Leżeli tam jeszcze przez minutę, nic nie mówiąc, śmiejąc się raz po raz i próbując odnaleźć sens w tym nowym, dość dziwnym wizerunku świata. McEvoy zastanawiała się, jak długo zamierzał zostać. Holland właśnie uznał, że powinien już pojechać do domu, i po raz pierwszy pomyślał o Sophie, odkąd McEvoy włożyła mu język do ust i wzięła do ręki jego członek, gdy nagle się odezwała.

- A ty?

- Co ja?

- Chodziłeś do prywatnej szkoły?

Holland lekko uniósł głowę.

- A co ci do tego?

McEvoy opłotła go jedną nogą i przesunęła dłonią po jego brzuchu.

- Spokojnie, Holland. Tylko żartowałam. Przecież pokazałeś, na co cię stać. - Uśmiechnęła się, po czym podźwignęła się, aby go dosiąść.

Holland ujął ją za ramiona i spojrzał jej głęboko w oczy.

- Jakich używają? - Spojrzała na niego z zakłopotaniem, wyjaśnił więc: - Chodzi mi o biszkopty. Maślane, z ziarnami zbóż, a może smakowe?

Wciąż jeszcze się śmiała, kiedy oboje szczytowali.

Thome nie pomylił się, mówiąc o swojej roli jako rozjemcy w związku. Już po dziesięciu minutach spotkania dowiedział się, że Brendan wcale nie zamierza zniknąć, kiedy tylko dostanie od Hendricksa prezent pod choinkę, ale zadomowił się u niego i zaczął nawet robić aluzje, że mógłby wprowadzić się na stałe.

W połowie meczu Thome wstał i wrzucił do kosza niemal puste pudełka po chińszczyźnie na wynos. Nigdy wiele nie zostawało, Elvis wylizywała talerze do czysta kilka chwil po tym, gdy odkładali widelce po skończonym posiłku.

Wrócił z dwiema puszkami schłodzonego piwa.

- A więc jesteś szczęśliwy, prawda? Cieszysz się, że Brendan zostaje? - Hendricks miał niepewną minę. Thome podał mu puszkę.

- Och, na miłość boską, Phil.

- To mnie zaskoczyło. Muszę się nad tym zastanowić...

- Niełatwo cię zadowolić, prawda?

Thome otworzył piwo i opadł na fotel. W studiu jakiś łysy facet, który zdobył trzy puchary w latach 70., próbował w ciekawy sposób zrelacjonować przebieg pierwszej połowy. Remisu do przerwy zerozero przy ulewnym deszczu kibice drużyn Aston Villa ani Leeds United nie mogli zaliczyć do porywających widowisk.

- A co on na to? No wiesz, Brendan...

- Nie jest fanem piłki nożnej, poza komentarzami w rodzaju, że Thierry Henry ma niezłe nogi.

Thome upił łyk, wlepiając wzrok w ekran telewizora.

- Nie, miałem na myśli jego zdanie na temat twoich wizyt u mnie.

Hendricks milczał przez chwilę, a Thome zastanawiał się, czy tak jak on myślał o tym, co zaszło między nimi przed rokiem.

To się stało w samym środku dochodzenia. Hendricks zdradził mu, że jest gejem, a przy okazji wygarnął mu od skończonych egoistów. Thome był zbity z tropu tym wyznaniem i zawstydzony oskarżeniem, ale wiedział, że Hendricks ma rację. Przyjaciel nadstawił za niego karku i słono za to zapłacił. A Thome a nie było, kiedy powinien stanąć po stronie przyjaciela. Wtedy, gdy liczba ofiar rosła nieomal z dnia na dzień, Thome nie był w stanie wesprzeć nawet samego siebie. To śmierć nieznajomych ponownie ich połączyła, tak jak stało się to za pierwszym razem.

- Chcesz wiedzieć, co Brendan myśli o tobie?

Thome wzruszył ramionami, wskazując puszką w stronę widocznej na ekranie powtórki jednego z zagrań w zwolnionym tempie.

- Spójrz, powinna być bramka, miał czysty strzał. Ale on nie trafiłby nawet w drzwi stodoły. Nie... tylko, no wiesz...

- Czemu zawsze jest tak, że na swój pokrętny sposób dopytujesz się, czy moi faceci lubią cię, czy nie?

- A więc jesteś szczęśliwy, prawda? Cieszysz się, że Brendan zostaje? - Hendricks miał niepewną minę. Thome podał mu puszkę.

- Och, na miłość boską, Phil.

- To mnie zaskoczyło. Muszę się nad tym zastanowić...

- Niełatwo cię zadowolić, prawda?

Thome otworzył piwo i opadł na fotel. W studiu jakiś łysy facet, który zdobył trzy puchary w latach 70., próbował w ciekawy sposób zrelacjonować przebieg pierwszej połowy. Remisu do przerwy zerozero przy ulewnym deszczu kibice drużyn Aston Villa ani Leeds United nie mogli zaliczyć do porywających widowisk.

- A co on na to? No wiesz, Brendan...

- Nie jest fanem piłki nożnej, poza komentarzami w rodzaju, że Thierry Henry ma niezłe nogi.

Thome upił łyk, wlepiając wzrok w ekran telewizora.

- Nie, miałem na myśli jego zdanie na temat twoich wizyt u mnie.

Hendricks milczał przez chwilę, a Thome zastanawiał się, czy tak jak on myślał o tym, co zaszło między nimi przed rokiem.

To się stało w samym środku dochodzenia. Hendricks zdradził mu, że jest gejem, a przy okazji wygarnął mu od skończonych egoistów. Thome był zbity z tropu tym wyznaniem i zawstydzony oskarżeniem, ale wiedział, że Hendricks ma rację. Przyjaciel nadstawił za niego karku i słono za to zapłacił. A Thome a nie było, kiedy powinien stanąć po stronie przyjaciela. Wtedy, gdy liczba ofiar rosła nieomal z dnia na dzień, Thome nie był w stanie wesprzeć nawet samego siebie. To śmierć nieznanym ponownie ich połączyła, tak jak stało się to za pierwszym razem.

- Chcesz wiedzieć, co Brendan myśli o tobie?

Thome wzruszył ramionami, wskazując puszką w stronę widocznej na ekranie powtórki jednego z zagrań w zwolnionym tempie.

- Spójrz, powinna być bramka, miał czysty strzał. Ale on nie trafiłby nawet w drzwi stodoły Nie... tylko, no wiesz...

- Czemu zawsze jest tak, że na swój pokrętny sposób dopytujesz się, czy moi faceci lubią cię, czy nie?

- Zalewasz.

- Nie zrozum mnie źle, zwykle robisz to subtelnie, ale zawsze rzucasz jakiś komentarz, drobną aluzję...

- Wydaje ci się, stary.

- Uważa, że jesteś trochę za masywny.

Thome udał rozdrażnienie, podnosząc głos i robiąc zbolałą minę, ale był naprawdę wkurzony i z trudem to maskował.

- Masywny? Co chciał przez to powiedzieć?

Hendricks zachichotał i sięgnął po pilota. Drużyny wychodziły na drugą połowę.

- Siedź cicho, opoju...

Oglądali mecz w milczeniu, dwudziestu dwóch wyraźnie znudzonych zawodników z fatalnymi fryzurami biegało niemrawo po deszczu. Hendricks pilotem wyłączył dźwięk.

- A jak tam u ciebie? Spędzasz dużo czasu w pozycji horyzontalnej?

- Chrzanić to. Włącz dźwięk...

- Nie zadzwoniłeś więcej do Anne Cobum, prawda?

Thome pokręcił głową i przypomniał sobie kobietę, z którą związał się rok temu.

- Czemu do niej nie zadzwonisz?

Thome często zadawał sobie to pytanie.

- Nic z tego, stary. To zbyt skomplikowane.

- Nic się nie martw, lepiej ci jest samemu. - Hendricks wykonał jednoznaczny gest ręką. - To... nie stwarza komplikacji.

- Owszem, ale z ręką ciężko się rozmawia.

Hendricks nieznacznie pogłośnił telewizor. Milczeli przez minutę lub dwie, podczas gdy zawodnicy na boisku wciąż ruszali się jak muchy w smole.

- Nie mówisz za dużo na temat śledztwa - zauważył Hendricks.

Thome nawet o tym nie wspomniał, ale w sumie wcale nie musiał. To było stale obecne, jak iskrzące synapsy, połączenia ożywające w jego mózgu i dające o sobie znać, choć starał się nie zwracać na nie uwagi.

Rodzice Katie Choi mieli chińską knajpkę w Forest Hill...

Program telewizyjny sponsorowany przez Vauxhall...

Czy Charlie Gamer teraz, kiedy mieszkał w Midlands, będzie dorastał, kibicując Aston Villi? A może kibicował londyńczykom? Czy Charlie był kibicem Arsenalu jak mężczyzna leżący na kanapie? Mężczyzna, który przeprowadził autopsję jego matki...

Thome zaczął się wiercić w fotelu, po czym spojrzał na Hendricksa.

- Nie ma o czym gadać.

Hendricks pokiwał głową.

- Tak, można tylko czekać...

- Taa, na wiele rzeczy. Na pieprzony łut szczęścia. Albo aż zabraknie im cierpliwości i zdegradują mnie do funkcjonariusza mundurowego. Czekam też na pojawienie się kolejnego ciała.

- Tylko niech tym razem będzie ciepłe, dobra?

Thome uniósł brwi i parsknął.

- Robimy, co w naszej mocy, Phil.

- Chcę, żeby była świeża, rozumiesz, o co mi chodzi?

Thome rozumiał. Ciepłe ciało, miejsce zbrodni pełne materiału dowodowego. Wszyscy tego chcieli.

Dał Hendricksowi znak kiwnięciem głowy i uniósł puszkę w milczącym salucie. Jego przyjaciel był kimś, z kim można się porównywać. Kimś, z kim Thome sam chętnie się porównywał. Hendricks często mówił powoli, cichym, zrównoważonym tonem, choć zdarzały mu się chwile wzburzenia i złe myśli, zawsze jednak towarzyszyły temu emocje czyste i szczerze, bo płynące z głębi jego serca.

- Myślisz, że on wciąż gdzieś tu jest? - Ton głosu był beznamiętny, jakby pytał, czy Thome widział strzeloną właśnie bramkę.

- O tak... jest tutaj - odparł Thorne. - Pytanie tylko, czy zechce się przed nami ujawnić.

Hendricks zastanawiał się nad tym przez chwilę.

- Myślę, że to raczej pewne. Facet, który tak jak on lubi dźgać i szlachtować...

Thome omal nie wylał na siebie piwa. Nawet w ustach Hendricksa te słowa brzmiały zbyt dosadnie.

- Dźgać i szlachtować? Niech to szlag, naprawdę dopuszczają cię do rodzin ofiar?

- Tylko gdy mają kłopoty z personelem.

- Pogośnij.

Drużyny rozpoczęły od środka pola. Dwaj mężczyźni w milczeniu gapili się w telewizor, starając się nie myśleć o ciepłych ciałach i zimnych stołach sekcyjnych.

Po dziesięciu minutach Thome znów odwrócił się do Hendricksa.

- Masywny, powiadasz?

Druga połowa, choć wydawało się to niemożliwe, była jeszcze mniej zajmująca niż pierwsza. Fakt ten w połączeniu z piwem i panującym w mieszkaniu ciepłem oraz ogólnym zmęczeniem towarzyszącym każdemu zaangażowanemu w śledztwo sprawił, że obaj usnęli tuż po jedenastej. I właśnie wtedy zadzwonił telefon.

Dzwonił Martin Palmer.

- Nadeszły kolejne instrukcje. On znów chce to zrobić.

Zupełnie jakby ktoś popieścił Thome a elektrycznym pastuchem.

- Kiedy?

- Jutro.

- Kurwa. - Spojrzał na Hendricksa, który poczłapał właśnie do kuchni, szepcząc bezgłośnie: kawa. Thome pokiwał głową.

- Jutro znów to zrobi. - Palmer wydawał się bliski łez. - Może go pan powstrzymać?

- Zamknij się, Palmer, dobra? Po prostu milcz. Cholera... - Thome usłyszał cichy sygnał na linii. To jego ludzie próbowali się z nim skontaktować. Monitorowali komputer Palmera i musieli zobaczyć otrzymany przez niego email.

- Palmer...

Sygnał na linii ucichł i w tej chwili rozległ się dźwięk telefonu stacjonarnego. Hendricks wyszedł z kuchni i podniósł słuchawkę. Thome mógł przerwać połączenie i pomówić z technikami, ale chciał to usłyszeć już teraz, zaraz, od człowieka, do którego wysłano pocztę elektroniczną.

- Palmer, co jest w tym liście? Co konkretnie zawiera?

Palmer zdusił w sobie szloch na dostatecznie długą chwilę, by odpowiedzieć na te pytania.

15

Data: 9 stycznia

Cel: mężczyzna (nie bądźmy zbyt przewidywalni)

Wiek: wedle uznania, masz tyle lat, na ile się czujesz

Miejsce wyboru: nieistotne

Miejsce realizacji: w domu lub mieszkaniu obiektu

Metoda: tępe narzędzie... w połączeniu z ostrym jak brzytwa umysłem

Niegdyś ten mężczyzna każdego dnia wykonywał pewne rutynowe czynności. Przechodził z pokoju do pokoju i z wielką pieczołowitością oraz precyzją przygotowywał się

do nadchodzącego dnia. Tam, gdzie kiedyś już od poprzedniego wieczoru czekała czysta, wyprasowana, śnieżnobiała koszula, leżała teraz sterta pomiętych i wątpliwej świeżości; zdarzało mu się nawet wkładać dwa dni z rzędu te same skarpetki.

Nastawił wodę, włączył radio, zaciał się przy goleniu, po czym stając przed ciężkim lustrem w dębowej ramie, prezencie ślubnym sprzed wielu lat, włożył pomiętą wełnianą kamizelkę. Postawił poobijaną pękatą aktówkę przy drzwiach frontowych, ukroił tosta i usiadł, by posłuchać choć przez chwilę programu Today w Radiu 4.

Pukanie do drzwi go zaskoczyło, ale nie zaniepokoiło. Spojrzał na zegarek. Na listonosza za wcześnie. Może to sąsiad albo facet od sprawdzania liczników. Odłożył tosta, wstał powoli od stołu w kuchni i podszedł do drzwi frontowych.

Zona zawsze drwiła sobie z jego zamiłowania do rutyny i tego, że nawet najmniejsze odstępstwo od ustalonych zasad wprawiało go w fatalny humor. Może kiedyś to była prawda, ale już nie. Teraz z radością przyjmował wszelkie niespodzianki. Witął je z otwartymi ramionami.

Pukanie powtórzyło się, tym razem głośniejsze, zanim jeszcze doszedł do drzwi.

- Chwileczkę.

Kiedy otworzył drzwi, mężczyzna ze skórzaną torbą sportową uśmiechnął się, chrząknął i rąbnął faceta w pomiętej białej koszuli prosto w twarz.

A potem podniósł leżącą u jego stóp skórzaną sportową torbę i przestąpił próg.

Mężczyzna na podłodze przyłożył dłoń do zgruchotanego nosa, ale krew sączyła się między palcami, skapując na koszulę i dywan. Krew była dziwna i ciepła. Wydawała się osobliwie gładka, gdy spływała po jego ogolonych policzkach. Płakał, co bardzo go rozdrażniło, i rozpaczliwie usiłował odzyskać jasność myślenia, aby móc sięgnąć po stłuczone okulary i zorientować się, skąd brał się ten dziwny szum. Hałas przypominał dudnienie, jakby pod podłogą przetaczał się skład metra. Hałas zagłuszył dźwięk otwierania sportowej torby.

Zziuuu...

Coś zaszeleściło, gdy przybyły wyjmował z torby jakiś przedmiot, a mężczyzna na podłodze uświadomił sobie nagle, że tajemniczy odgłos to dźwięk jego serca tłukącego się w piersi jak uwięzione zwierzę. Ucieszył się, że rozwikłał tę zagadkę.

Teraz czuł już tylko ból przeszywający twarz i dojmującą grozę.

Uniósł wzrok, jego ciałem targnął konwulsyjny spazm i wykrzyczał imię dziewczyny, gdy ujrzał opadający w dół długi ciemny kształt.

Zamknął oczy i uniósł dłonie, by osłonić głowę, na ułamek sekundy, zanim jego czaszka została roztrzaskana, potężne uderzenie zgruchotało mu wszystkie palce.

Mężczyzna z kijem do krykieta w dłoni musiał zrobić swoje szybko i to go drażniło. Dezorientowało. W jego wypadku patrzenie... i rozważanie zawsze stanowiły nieodłączne elementy wszystkiego, co robił. Po zabójstwie rzadko pamiętał szczegóły samego czynu. Kiedy to się działo, jego umysł błędził gdzieś daleko.

Dziś nie miał wiele czasu na rozrywkę.

Stęknął i ponownie zamachnął się kijem.

Mężczyzna na kolanach jakby podskoczył i wykrzyknął imię, które, o czym wiedział ten z kijem, należało do jego zmarłej żony, a odgłos kija trafiającego w ciało przywodził na myśl deptanie pojemnika z jajkami.

Mężczyzna, który kiedyś miał na imię Stuart, uniósł wilgotny, lepki kij. Podniósł drewniany oręż nad głowę i raz jeszcze zadał cios, wkładając w to całą siłę. Silny wstrząs przepłynął falą przez rękę do barku. Zamknął oczy, a kolory i kształty, które wypłynęły z czerni, były jak krew zalewająca ziemię albo roztrzaskane ciało żaby frunące w powietrzu, by z gracją zniknąć wśród zieleni traw...

Mężczyzna, który był, w zależności od sytuacji, Pierwszym Przyjacielem, Wspomnieniem Przeszłości albo Duchem Lata, uderzał raz po raz, bez końca, każdy cios wydawał się ostatni, lecz kolejne trafienia i towarzysząca im wibracja budziły w nim nowe pragnienia, wyzwały utajony głód i przydawały siłę jego ramionom, przepelniając umysł niezaspokojoną pasją...

W końcu po wielu minutach mężczyzna, który podpisywał większość ostatnich emaili jako Nocny Strażnik, znieruchomiał i spojrzał na odłamki kości, strzępy mózgu i krew tworzące nowe wzory na krzykliwie teraz czerwonym dywanie.

Potrzebował około pół minuty, by odzyskać oddech, po czym szybko wziął się do roboty Zdjął rękawiczki, wytarł kij i włożył z powrotem do torby, skąd wyjął już wcześniej świeże, czyste ubranie. Oddalił się od ciała, uważając, by nie wdepnąć w kałużę krwi. Nie chciał przez resztę dnia zostawiać za sobą śladów posoki.

Po niespełna dziesięciu minutach był już przebrany i gotowy do wyjścia; miał dość czasu, aby zdążyć do pracy. Kiedy zamknął za sobą frontowe drzwi, spojrzał na zegarek. I aż cmoknął zniesmaczony własną nieostrożnością.

Na tarczy zegarka widniały kropelki krwi.

Ktoś, nie był pewien kto, powiedział kiedyś coś, co wyjątkowo spodobało się Thomeowi. Nigdy nie zapomni tego stwierdzenia.

Pukaj głośno, życie jest głucho.

Starał się żyć w zgodzie z tą maksymą, ale niejednokrotnie zdarzały się sytuacje, kiedy osoby z jego otoczenia byłyby szczęśliwsze, gdyby tak bardzo nie hałasował. Chwile, kiedy nie chciały się dowiedzieć, co jest za drzwiami.

Zazwyczaj to sprawiało, że Tom Thome pukał mocniej i robił coraz więcej hałasu. Dziś nawet on nie był pewien, czy chce zobaczyć, jak drzwi się otwierają.

Dziś ktoś miał umrzeć gwałtowną śmiercią. Mężczyzna, który mógłby zapewne żyć, gdyby Thome nie zdecydował się na takie, a nie inne posunięcie. Na tym wszystko się opierało i nie była to przyjemna myśl towarzysząca mu, odkąd tylko otworzył oczy z samego rana.

Thome pognął do pracy jak szaleniec, ale jeśli nawet spodziewał się, że będzie mu tam... łatwiej, biorąc pod uwagę ludzi, wokół niego, cały zespół i chaos związany ze sprawą, okazało się, że się pomylił.

Miał wrażenie, że jego koledzy - i nie tylko oni - kioskarka, listonosz, nawet kierowcy, którym zajechał drogę przy North Circular, jadąc do pracy - wyczuwali dręczące go wyrzuty sumienia i wiedzieli, że przyznaje się do winy. Zupełnie jakby to było widoczne niczym mała plamka na gałce ocznej. Wszyscy dostrzegali tę przeraźliwą myśl i odbierając ją, dokładali własną:

Masz rację. To była/jest/będzie twoja wina...

Środa, 9 stycznia. Słotna, wietrzna, naprawdę paskudna środa, w taki dzień nie tylko dzieci się nudzą. Beznadziejny, przygnębiający, podły dzień. W taki dzień nic, tylko patrzeć na zegar, wściekać się i czekać na telefon.

Wymarzony dzień na rozmowy o nieprzyjemnych sprawach.

Thome, Brigstocke, Holland i McEvoy siedzący wokół stołu przy akompaniamencie deszczu tłukącego o szyby. Rozmawiający o sprawie.

- Tym razem mężczyzna. Czy to ważne?
- Jak nadmieniał w e mailu, chodziło o zmianę.
- Wygląda na to, jakby grał w jakąś grę.
- Z Palmerem czy z nami?
- Co, u licha, ma znaczyć ten podpis „Nocny Strażnik”?
- Coś jakby ochroniarz...
- Albo gracz w krykieta. Zawodnik, który wchodzi na boisko w końcowej fazie rozgrywki. Ktoś, kto jest zbędny.
- To brzmi trochę dziwnie. Czy uważa się za zbędnego?
- Wątpię...

- Zastanawiam się, na ile poważnie powinniśmy to potraktować.
- Wcale - odparł Thome - poza kwestią zabójstwa, ma się rozumieć.

Rozmawiają, bo tylko to mogą teraz zrobić. Wszyscy chcą dołożyć do dyskusji swoje trzy grosze.

Jesmond w rozmowie telefonicznej z Brigstockiem: „To przypuszczalnie nasza jedyna szansa, Russell. Dopilnuj, by jej nie zmarnować”.

Steve Norman, którego Thome coraz bardziej nie znosił z każdym kolejnym spotkaniem, przyszedł prosto z konferencji prasowej, jaka odbyła się o rzut kamieniem stąd, na posterunku Colindale.

- Cóż, Tom, z naszej strony wszystko poszło gładko. - Zaśmiał się głośno. - Cholerna prasa od lat wypuszcza rozmaite kaczki dziennikarskie, równie dobrze mogą raz zrobić coś z korzyścią dla nas. - Thome nawet się nie uśmiechnął, lecz Norman nie zwrócił na to uwagi. - Ale dla waszej wiadomości, wszyscy są gotowi i tylko czekają, jak się sprawa rozwinie...

Czekają.

W pewnym sensie oni wszyscy zawsze czekali: Thome, Brigstocke i cała reszta. Ci, którzy byli w najgorszym położeniu. Czekali na następny telefon, kolejną sprawę. Czekali na coś, co pomoże im zamknąć dochodzenie albo do reszty spieprzyć kariery. Czekali na otwarcie nie tych drzwi lub zatrzymanie przypadkowego auta z szalonym popaprańcem za kierownicą. Czekali na cios noża, świst kuli albo, jeżeli będą mieli szczęście, czekali, by przeczekać. Czekali, by doczekać emerytury.

Z tym że to czekanie było trochę inne. Okrutniejsze. Teraz dano im... konkretne informacje.

Wiedzieli, kiedy to się stanie. Znali płęć ofiary. Chryste, wiedzieli nawet, w jaki sposób miał zostać zabity wybrany mężczyzna. Pokazano im to, co tylko nieliczni mieli okazję ujrzeć, a mimo to nie mogli odwrócić biegu wydarzeń. Zupełnie jakby nie całkiem wszechwiedząca i wszechmocna siła wiązała im ręce, usuwając kluczowy element układanki. Wszechmocni i bezsilni zarazem.

Jak Bóg cierpiący na alzheimera.

Chodzi o konkretne określenie czasu i miejsca. Gdyby to wiedzieli, mogliby zacząć działać. Sprężyny napięte do granic wytrzymałości zostałyby zwolnione, a oni jak błyskawica wzięliby się do roboty, gnając tam, dokąd poprowadziłyby ich niezaspokojone, chore pragnienia tego mężczyzny, w nadziei, że ich wysiłki okażą się warte zachodu.

Thorne siedział przy biurku, zastanawiając się, czy cokolwiek było tego warte, i wspominając rozmowę sprzed zaledwie kilku godzin. Wyjrzał przez mokre od deszczu okno

na posępne szare niebo. A potem ujrzał w myślach oblicze Phila Hendricksa, w którego ciemnych oczach pojawiły się lśniące iskierki.

Tylko niech tym razem będzie ciepło, dobra?

W porze lunchu flotylla motorowerów dostarczyła całą górę pizzy. Thome i Brigstocke zjedli na spółkę dużą Superostrą Ucztę, ale nie pół na pół. Odpowiedź Brigstockea, kiedy wytknięto mu ten fakt, była całkiem przekonywająca i Thome nie zamierzał się z nim kłócić, mimo iż nadinspektor uśmiechał się przy tym od ucha do ucha.

- Jeżeli mam nastawiać tyłka, to musi być tłustszy, co nie? Nie jęcz już.

Thorne i tak nie miał apetytu.

Rozmowa, choć nie wymuszona ani kłopotliwa, jakoś się nie kleiła. Jak kiepski żart na pogrzebie, kiedy wszyscy zjawiają się za wcześnie i czekają na przybycie zwłok.

I dokładnie to właśnie robili.

- Jak tam dzieciaki?

Brigstocke wybałuszył oczy i jednym siorbnięciem pochłonął długie pasemko gorącej pikantnej mozzarelli. Miał czwórkę dzieci poniżej szóstego roku życia i często zdarzało się, że w południe zasypiał za swoim biurkiem. Często, ale nie podczas tej sprawy.

- Małe gnojki - mruknął Brigstocke. - Szczerze mówiąc, niezależnie od okoliczności cieszę się, że tu jestem.

Thorne wiedział, że tamten mówił szczerze. Rozumiał o co mu chodziło. Nieraz przychodził do pracy dokładnie z tego samego powodu, ale akurat w tym śledztwie uciekał raczej przed samym sobą.

- Wszyscy twierdzą, że z czasem jest coraz lepiej, ale ja nie widzę żadnej różnicy. Kiedy są na tyle duże, by samodzielnie robić sobie śniadanie i godzinami oglądać Cartoon NetWork, dzięki czemu możesz dłużej poleżeć w łóżku, zaczynają urywać się ze szkoły i zażywać narkotyki. Po prostu wtedy masz z nimi inne kłopoty niż dotychczas. Chcesz ostatni kawałek?

Thome pokręcił głową i patrzył, jak Brigstocke włożył sobie do ust cały kawałek pizzy. Mruknął z zadowoleniem, po czym zaczął rozglądać się dokoła, przebierając tłustymi palcami.

- Przyniosę papierowe ręczniki z toalety - powiedział Thome.

Podchodząc do drzwi, usłyszał, jak Holland i McEvoy śmieją się z czegoś w pokoju obok. Znieruchomiał i odwrócił się z dłonią na metalowej klamce. Rękę miał wilgotną od potu i tłuszczu.

- Wiem, że o to mi właśnie chodziło. Żeby go wykurzyć z nory.

- Wziął głęboki oddech. - Ale nadal czuję się parszywie.

Brigstocke przelknął ostatni kawałek pizzy i czystym kłykciem poprawił okulary.

- To oczywiste, zresztą nie tylko tobie jest z tym ciężko.

- Wiem, ale...

- Jestem jedynym nadinspektorem w tym pokoju, Tom. Nikt mi nie przystawiał pistoletu do głowy. Jesmond dał mi szansę, abym odmówił.

- Czemu sam tego nie zrobił?

Brigstocke wstał i wcisnął pudełko po pizzy do kosza na śmieci, zgniatając je butem rozmiar jedenaście.

- Bo się bał.

Thome otworzył drzwi.

- Skoro już wychodzę, to pójde przy okazji po kawę dla nas obu.

Przez cały dzień w pracy zastanawiał się, co może robić policja. Wyobrażał ich sobie na komendzie, w gabinetach albo w sali odpraw. Niektórzy wlepiali wzrok w dywan, czekając na nowe wiadomości. Inni krzatali się to tu, to tani, szukając sobie jakiegoś zajęcia. Ot kolejny dzień śledztwa.

Wyobrażał ich sobie w służbowych toaletach. Niezgrabne, opasłe sylwetki przy cuchnących pisuarach, z pochylonymi głowami i wyciągniętymi wackami. Byli też inni, mniej doświadczeni, siedzący w kabinach, opierający łokcie o kolana, z nogami ścierpłymi od zbyt długiego przesiadywania na sedesie. Wpatrzeni w popękane kafelki na posadzce, oddychający ciężko. Cierpiący na rozwolnienie. Czerwone podrażnione odbyty.

Mnóstwo marnych dowcipów dla rozluźnienia sytuacji. Drzwi do sracza zamykane i otwierane kopniakami, kiedy kolejni Stróże prawa przychodzili się odlać, rechotliwy pusty śmiech mający odegnać strach odbija się echem w cuchnącym pomieszczeniu.

Miejmy nadzieję, że faktycznie czuli strach...

Widział blade spuchnięte twarze mężczyzn i kobiet, którzy tak rozpaczliwie próbowali go schwytać. Oblicza funkcjonariuszy policji, tłustych i niezadowolonych, chudych i wysuszonych, miękkich jak gąbka albo twardych niczym gład. Widział ich wszystkich siedzących za biurkami, wyglądających przez okno albo rozmawiających przy otwartych oknach, gdzie wbrew zakazom dzielili się papierosami. Woń fajek nigdy nie była w stanie zabić do reszty kwaśnego odoru potu uwięzionego w materiale tanich koszul i pomiętych marynarek.

Wyobrażał to sobie przez cały dzień w pracy, zarówno będąc sam, jak i z kolegami, siedząc przy biurku, jak i przebywając w innych miejscach. Każda nowa myśl, każdy nowy

obraz przepełniały go radością. Nie potrafił jednak wyobrazić sobie Thome a. Twarz owszem, ale nie jej wyraz. Nie malujący się na niej grymas. Thome nie był z tych, co latają w tę i z powrotem jak bezgłowe kurczaki, ale nie należał też do osób biernie czekających na dalszy rozwój wydarzeń. Wiedział, że to właśnie Thome zareaguje najsilniej, kiedy zostanie odnalezione ciało. Kiedy zadzwoni telefon i posypią się skry.

Już niedługo.

Jemu dzień mijał błyskawicznie. Wątpił jednak, aby Tom Thome podzielał jego odczucia.

- O kurwa, ja pierdołę, o kurwa...

Wracając do swego gabinetu z dwoma kubkami gorącej kawy, Thome wpadł w zasadzkę zastawioną na niego przez nienawidzący go kant zabójczego biurka. Ból ponownego uderzenia w miejscu, gdzie widniał już sporych rozmiarów siniak, i oparzenie dłoni od kawy skumulowały się. Przez chwilę miał wrażenie, że puści pawia.

- Daj mi rolkę taśmy, do cholery.

Mundurowy wypełnił polecenie, a Thome zgarnął z biurka plik papierów i, krzywiąc się, ukląkł na oba kolana.

Brigstocke, słysząc ten stek przekleństw, wyłonił się z gabinetu, by ujrzyć, jak Thome pracowicie okleja plikiem papieru ostry kant wrednego biurka.

- Sam przyniosę sobie kawę, nie rób z tym sobie zachodu!

- Akurat!

Brigstocke zaśmiał się. Ta komedia najpewniej przyniesie sporo dobrego im wszystkim.

- Mam nadzieję, że upewniłeś się, że to nic ważnego...

- Że co?

Brigstocke wskazał na kant biurka.

- Te papiery. Nie chcielibyśmy, żeby za pół roku jakieś ważne śledztwo wzięło w łeb, bo ty przykleiłeś zeznanie kluczowego świadka taśmą do biurka w Hendon.

- Wisi mi to.

Znów śmiech, tym razem to Holland i McEvoy stojący w drzwiach mniejszego gabinetu. Thorne wstał i spojrział na nich ze złością. Roztarł bolącą nogę.

- Chryste, ale to boli...

Thome zdał sobie nagle sprawę, że jak na ironię ten ból był pierwszym doznaniem, jakiego doświadczył od wielu dni. Rozbudził go iuświadomił, gdzie się znajdował. Ćmiące pulsowanie otrzeźwiło go, pozwalając mu odzyskać zdolność koncentracji i skupienie. Z

niejasnych słów i rozmytych obrazów wyłoniło się pytanie. Coś dotąd nieuchwytnego znalazło się w jego zasięgu i spróbował się z tym zmierzyć.

Nagle Thome zaczął pukać, i to głośno.

- Postanowiliśmy nie zatrzymywać Palmera, pozostawiliśmy go na widoku, aby wzorzec nie uległ zmianie. Aby drugi zabójca wpadł w panikę i nie uciekł. Aby dalej działał jak dotychczas. A jednak on zmienił zasady. Dlaczego? - Zgrzytając zębami, Thome wrócił do gabinetu.

Brigstocke, Holland i McEvoy poszli za nim.

- Właściwie to niczego nie zmienił - wtrącił Brigstocke, zamykając za nimi drzwi. - To znaczy szczegóły stale się zmieniały z każdym kolejnym zabójstwem. Rodzaj broni, miejsce zabójstwa... miejsce wyboru ofiar...

Thome przeszedł na drugi koniec gabinetu. Oparł się o okno i spojrzał z przejęciem na pozostałą trójkę.

- Ale ofiarą zawsze była kobieta.

Holland wzruszył ramionami.

- Trzykrotnie tak. Czyli w sumie zawsze.

- Właśnie, Holland. Zawsze. - Mówił powoli, z emfazą, zamykając w kilku następnych zdaniach całą wiedzę, jaką dysponowali na temat ściganego przez nich mężczyzny. - On zabija kobiety. Zmusił Palmera do zabijania kobiet. Czemu więc nagle zdecydował się na mężczyznę?

McEvoy pociągnęła nosem, po czym odpowiedziała w podobny sposób jak poprzednio:

- Myślę, że on lubi zmiany, to go kręci. Stąd ten głupawy żarcik o przewidywalności zawarty w emailu...

- To druga sprawa. Ten żart w ogóle tu nie pasuje. Cały ten e mail wydaje się wymuszony. Ten człowiek niczego nie robi bez powodu. Chce, żebyśmy myśleli, że kieruje nim przypadek albo chwilowy kaprys, że jest mu obojętne, kogo wybiera na ofiarę. Nie chce, abyśmy się zorientowali, że być może po raz pierwszy ma konkretny plan. - Spojrzał im kolejno w oczy. - Myślę, że ma po temu powód, ponieważ właśnie dziś...

McEvoy jako pierwsza zrozumiała, co chciał powiedzieć.

- O kurwa!

Brigstocke i Holland spojrzeli na nią, usiłując dociec, o czym myślała. Byli wściekli, że sami na to nie wpadli.

- Spóźniliśmy się - rzekła McEvoy.

Thome pokiwał głową, odsunął się od okna i szybkim krokiem podszedł do swego biurka.

- Jest wściekły. Wie, że mamy Palmera.

Brigstocke zeszywniał.

- Co?

Thome zdjął kurtkę z oparcia fotela i ruszył w stronę drzwi. Ból w nodze minął.

- Pomyliłem się. On wie wszystko o Palmerze. Musimy natychmiast zabrać go z pracy i przewieźć do domu. Nicklin zamierza zabić dziś Martina Palmera...

Brigstocke sięgnął po telefon i zawołał w ślad za nim:

- Zaczekaj, Tom. Przecież mamy tam z pół tuzina naszych ludzi...

Thome, nie oglądając się za siebie, wyszedł z gabinetu.

- Ale mnie tam nie ma.

16

Zdaniem Thome a Palmer wyglądał na przerażonego, ale po chwili inspektor stwierdził, że tamten zawsze sprawiał takie wrażenie. Śmiech Palmera, kiedy Thome powiedział mu, co się dzieje i dlaczego zmuszono go, by wziął „wolne” na resztę dnia, wydawał się szczery.

Zdjął okulary o gmbych szklach, przetarł oczy i mrużąc lekko powieki, spojrzał na Thome a.

- Cokolwiek o nim można powiedzieć, inspektorze, to nadal mój przyjaciel. Jestem pewien, że wciąż się za niego uważa. Nie próbowałby mnie zabić...

Thome w milczeniu przestawił fotel pod okno.

To było przed paroma godzinami. Od tej pory siedzieli lub mijali się powoli, bez słowa, podczas gdy na zewnątrz zrobiło się ciemno. Thome od czasu do czasu rozmawiał przez radio z funkcjonariuszami w nieoznakowanych autach przed budynkiem i na jego tyłach oraz z policjantami pieszymi. Włącznie z Thomeem zespół liczył siedem osób. Mimo to nagłe trzaski z głośnika radia, przenikliwy dźwięk telefonu albo krzyk z sąsiedniego mieszkania wystarczały, by poczuł nieprzyjemny ucisk w dołku albo by serce w jego piersi zaczęło tłuc się jak oszalałe.

- Co pan o mnie myśli, panie Thome?

Palmer usiadł przed telewizorem. Thome ściszył dźwięk. Palmer wychylił się do przodu, zgasił telewizor i odwrócił się, by spojrzeć na Thome a, który siedział z zamkniętymi oczami na sofie. W jednej ręce trzymał komórkę, w drugiej krótkofalówkę.

Mówił, nie otwierając oczu.

- Nic... nic o tobie nie myślę.

- Przepraszam, nie całkiem rozumiem. Nic pan o mnie nie myśli czy w ogóle nie myśli pan o mnie? Trochę to pogmatwane. To jak z tym jest?

Dopiero teraz Thome otworzył oczy, a w jego głosie zabrzmiała nuta irytacji.

- Jedno i drugie. Po trochu. Włącz telewizor...

Palmer wstał i podszedł, by usiąść w fotelu naprzeciw Thome a. Kiedy to zrobił, Thome podniósł się, przeciągnął i ziewnął.

- Chyba dobrze mi zrobi jeszcze jedna kawa...

- Musiał pan widzieć wielu zabójców, inspektorze. - Głos Palmera był cichy niemal jak szept, ale jak zawsze brzmiał, jakby mówiący cierpiał na silną gripę - był nosowy, wymęczony, pomiędzy zdaniami z gardła mężczyzny wydobywał się przeciągły świst. - Przebywał pan w tych samych pomieszczeniach z wieloma ludźmi, którzy robili to samo co ja. Oddychał pan tym samym powietrzem co nieliczni, którzy mają na sumieniu rzeczy gorsze niż ja. Nie wiem, co pan uważa za gorsze... może przestępstwa wobec dzieci, sam niech pan sobie odpowie.

- Thome milczał, ale nagle zapomniał o kawie. Nigdzie się nie wybierał. - Czemu więc czuje się pan w mojej obecności taki skrępowany?

Thome postąpił krok w stronę Palmera, rozdrażnienie, jakie go ogarnęło, paradoksalnie pozwoliło mu się rozluźnić. Palmer cofnął się odrobinę w fotelu.

- Wiesz, że jestem tu, aby go schwytać. Nie żeby chronić ciebie Zdajesz sobie, kurwa, z tego sprawę, prawda? - Palmer pokiwał głową. Thome był wściekły, gorączkowo poszukiwał odpowiednich słów. - Źle się czuję z wielu powodów. Kiedy dokucza mi uszkodzone kolano, kiedy przełożeni próbują dobrać mi się do skóry, ba, nawet silny wiatr też sprawia, że nie czuję się swobodnie. Ty...

- Co? Przyprawiam pana o mdłości? Chciałby mnie pan skrzywdzić?

Thome odwrócił się i podszedł do okna. Zerknął na zegarek. Było po wpół do dziesiątej. Wyjrzał na zewnątrz, popatrzył na plac, na zielony wysoki żywopłot i cichą spokojną uliczkę za nimi. Widział stąd samochód stojący o sto metrów dalej i sylwetki siedzących w nim dwóch funkcjonariuszy. Wyobrażał sobie ich zmęczenie, irytację i jego gniew zaczął słabnąć jak brudna woda spływająca do kanału. Odczekał minutę lub dwie.

- Jestem pod wrażeniem, że czekałeś tak długo.

Palmer poprawił okulary i nieznacznie pokręcił głową.

- Ale na co?

- Żeby wygłosić ten monolog - „nie jestem taki jak on”.

- Ja wcale...

Thome wciąż patrzył na ulicę poniżej. Unosząc dłoń, uciszył Palmera.

- Jeżeli o to ci chodziło, mówię otwarcie, odpuść sobie. Nie obchodzi mnie to, a jeżeli chcesz wiedzieć, w moim odczuciu jesteś jeszcze gorszy niż ten drugi. - Odwrócił się, by zobaczyć, jak Palmer opuszcza głowę i przykłada dłoń do piersi. - Bo widzisz, Nicklin, ten, którego wciąż uważasz za przyjaciela, to szaleniec. Psychopata, socjopata, jak go zwał, tak go zwał. Nieważne. Nie wiem, czemu zabija. No, niezupełnie. Lubi to, mordowanie go kręci, tylko w ten sposób może wyrazić siebie, smętny mały kutas. A dodatkowego kopa czerpie z tego, że nakłania do tego samego ciebie. Dlatego też w twoim wypadku jest nieco łatwiej, prawda? Wiemy doskonale, dlaczego zabijasz.

Palmer uniósł głowę i zamrugał powoli za szklami okularów. Thome dostrzegł w jego oczach błaganie.

- Dobrze, ujmijmy to w czasie przeszłym, wiemy, dlaczego zabijałeś. Robiłeś to, bo ci kazał. Sprawa jasna i prosta. I właśnie dlatego uważam, że jesteś gorszy niż on. - Thome odwrócił się do okna. - On morduje kobiety na oczach dzieci, ale ty jesteś jeszcze gorszy.

Dopiero po kilku minutach Thome usłyszał skrzypnięcie fotela, kiedy Palmer wstał, a w chwilę później dostrzegł cień przesuwający się po podłodze u swoich stóp i wyczuł za sobą jego obecność.

- Bał się pan kiedyś, inspektorze Thome?

Na zewnątrz było zimno i pogodnie, ale kiedy tak wpatrywał się w noc, myśli naszły go wbrew jego woli.

Thome zobaczył nagle strugi deszczu; jechał z nadmierną szybkością ciemnymi mokrymi ulicami południowozachodniego Londynu, podążając za samochodem, którego tylne światła wyglądały jak ślepiec potwora...

Przemierzał korytarze domu pełnego szeptów, głosów tych, których życie właśnie w tym miejscu dobiegło końca.

Wspinał się na oślep na poddasze, wchodząc do pomieszczenia, które już wkrótce spłynie krwią. To, co ujrzał, kiedy jego wzrok przyzwyczaił się do jasnego światła, sprawiło, jakby niewidzialna dłoń napałała na jego pierś, zapierając mu dech jak cios pięścią w spłot słoneczny...

Teraz, rok później, noc była pogodna, lecz chłodna, i gdy wspomnienie minęło, Thome poczuł, że jego serce spowalnia rytm. Podczas gdy jego oddech się pogłębił, patrzył niewzruszenie, jak odbicie mężczyzny w szybie pochyla się i zabójca zbliża się do niego.

Palmer przemówił powoli, głębokim, nosowym, pozbawionym emocji głosem, prawie jak robot. Patrzył przed siebie, jakby mówił do swego zniekształconego odbicia w szkłe.

- Cokolwiek pan myśli, niezależnie jak złe to jest lub było, proszę sobie wyobrazić, że musi pan z tym żyć. Nie od czasu do czasu. Nie kiedy wypije pan o kilka kufli za dużo i wtedy to wspomnienie pojawia się znikąd. Nie w środku nocy, kiedy budzi się pan zlany zimnym potem i dziękuje Bogu, że pozwala o tym zapomnieć, ale przez cały czas, na okrągło.

- Mówię o życiu z czymś, co paraliżuje, co sprawia, że skóra staje się mokra i nieznana nawet dla siebie samego. O czymś, co sprawia, że wnętrzości zaplatają się w supły, krew zastyga w żyłach, o czymś, co odcina cię od wszystkiego i wszystkich, od każdej osoby z wyjątkiem tej jednej, która cię przeraża, tej, która czerpie moc z samego strachu i z którą jesteś związany niczym niewolnik.

- Musisz z tym żyć do chwili, kiedy - choć z całego serca nienawidzisz i lękasz się tego - staje się to dla siebie czymś nieodzownym, nierozdzielną częścią siebie. Pożądasz tego osobliwego ucisku w piersiach, tego kopa i uniesienia, jakie ci daje. Delikatnego muśnięcia, ulotnego, lecz zabójczego, przesuwającego się po całym twoim ciele od stóp do głów, od gałek ocznych aż do krocza...

- Boisz się wówczas żyć. Boisz się tego uczucia. Strach jest najgorszym doznaniem, a kiedy znika, stwierdzasz, że są jeszcze gorsze rzeczy.

- To nie wymówki ani usprawiedliwienie, choć mogą tak brzmieć. To nie takie proste, jak mogłoby się wydawać. To, co zrobiłem, nie było zwykłą... reakcją. Jakaś plugawa, brudna i zdesperowana częśćka mnie pragnęła odwrócić sytuację i sprawić, aby to inni bali się mnie. - Palmer pokręcił głową, jakby przekomarzał się ze swoim drugim ja, po tamtej stronie ciemnego zwierciadła szyby. - Nie. Nie uczyniłem tych okropnych rzeczy tylko dlatego, że się bałem. Nie wiem nawet, czy to jego się bałem, czy może raczej obawiałem się o niego, dla jego dobra. Bo widzi pan, on nie lękał się niczego. On nie lęka się niczego...

Thome nie chciał się odwrócić i spojrzeć na Palmera. Zamiast tego spojrział na odbicie w szybie: usta wykrzywione w podkówkę, łyzy widoczne wyraźnie pomimo słabego oświetlenia i brudnego szkła. W tym momencie, i Thome a zawsze będzie to zastanawiać, Palmer przywodził mu na myśl jednego z wielkich niedźwiedzi w jakiejś zapyziałej wschodnioeuropejskiej menażerii. Wielkie ociężałe zwierzę z usuniętymi pazurami, ponizane, tańczące w obroży i łańcuchach, podczas gdy tłum tępych widzów rzuca na arenę monety, a inni, oglądający relacje na ten temat w wiadomościach, wykładają większe pieniądze, aby położyć kres tak żenującym widowiskom.

Thome był równie zdumiony tonem własnego głosu, kiedy się w końcu odezwał. Pobrzmiewał w nim spokój. Był uspokajający, choć jeszcze przed chwilą przepelniało go wzburzenie. Mówił tyleż do Palmera, ile do samego siebie.

- Jeżeli gdzieś tam jest - wycedził Thome - powinien się bać.

Palmer wolno postąpił naprzód i oparł wielką dłoń o szybę, koniuszki jego palców zbieleły, gdy docisnął je do szkła. Thome spojrział w bok na Palmera wpatrującego się w mroki swej przeszłości: odległej, nie tak dawnej i tej pośredniej.

- On tam jest. Zawsze tam był.

Holland obudził się i ogarnięty paniką spojrział na zegarek.

- Kurwa...

Mówił sobie, że powinien wstać już półtorej godziny temu, ale tak łatwo było znów odpłynąć w sen. Teraz będzie się musiał nieźle tłumaczyć. Weźmie tylko prysznic i wyniesie się stąd.

Musiał wrócić do domu.

Kiedy otworzył drzwi łazienki i zobaczył, jak pochyła się nad umywalką, w pierwszej chwili sądził, że jest jej niedobrze. Podeszedł do niej, wyciągając rękę.

- Saro...

Odwrociła się, nad górną wargą dostrzegł wyraźne ślady białego proszku. Patrzyli na siebie przez dłuższą chwilę. Był nagi, miał gęsią skórę i otulał się ramionami. Ona miała na sobie biały szlafrok frotte, jej mokre włosy lśniły, a usta oscylowały pomiędzy dwoma całkiem różnymi grymasami. Wreszcie się uśmiechnęła.

- Chcesz trochę?

Holland parsknął oschle. Na jego twarzy pojawił się pytający grymas, ale z ust nie wypłynęło żadne pytanie. Objął się tylko mocniej ramionami, zgrzytnął zębami i wlepił wzrok w kafelki przy prysznicu i odłazącą tu i ówdzie fugę, zastanawiając się, co ma powiedzieć.

- Wygląda na to, że dorobię się sierżanta szybciej, niż sądziłem...

Uśmiech McEvoy zniknął, gdy odwróciła się od niego. Przejrzała się w lustrze, nachyliła się w stronę szkła i zamrugła. Jednym szybkim wystudiowanym ruchem wytarła biały ślad koki spod nosa i włożyła oprószone nią palce do ust. Oblizwała językiem dziąsła i odezwała się do swego odbicia, z trudem powstrzymując gniew.

- Daruj sobie, kurwa, wykłady Holland, dobra?

- Już sobie, kurwa, darowałem - odparł. - Chcę tylko wziąć prysznic i mnie nie ma...

Uśmiech powrócił, ale z nieco inną wymową.

- Tak, no jasne, leć do domu, wracaj do tej swojej, tylko wcześniej zmyj ze swego wacka mój zapach...

Holland sięgnął po ręcznik i owinał się nim w pasie.

- Taa, pewnie. Zmień temat. Wisi mi to. - Wszedł pod prysznic, odkręcił wodę i wsunął rękę pod kran, aby sprawdzić, kiedy woda będzie w sam raz. - W pracy też ćpasz?

McEvoy zaśmiała się i zakasłała równocześnie. Wypluła coś do umywalki.

- Ćpasz? Jezu, Holland, mówisz jak mój ojciec...

Woda stała się nagle prawdziwym ukropem. Holland błyskawicznie cofnął rękę. Miał ochotę jej przywalić. Chciał krzyknąć, a więc to zrobił.

- Dobra... ciągniesz krechy, walisz białą, wciągasz ścieżki, jedziesz na bazę, czy jak to się dziś mówi w pieprzonym narkomańskim żargonie! Gadaj!

- Widzę, że czytało się pilnie ulotki w pracy.

- Odpowiedz na pytanie.

- A jak myślisz? Sądzisz, że biorę w pracy narkotyki? Wydaje ci się, że nie potrafię wypełniać swoich obowiązków?

- Jeżeli bierzesz w pracy, to nie.

McEvoy przekrzywiła głowę, jakby zastanawiała się nad jego odpowiedzią. Stali tam przez kilka minut w kompletnym milczeniu, podczas gdy łazienka wypełniła się parą. Przesunęła dłonią po mokrych włosach i pociągnęła nosem.

- To jak, konstablu, co teraz będzie?

Holland nie odpowiedział. Poły jej szlafroka zaczęły się rozchyłać i na moment spuścił wzrok na jej piersi. Poczul, że mu staje. Natychmiast to zauważyła i uśmiechnęła się, całkiem rozchylając szlafrok.

- Cóż, ja wciąż mam na to ochotę i chyba ty również. Co prawda koka nie podkreca tak jak ecstasy, ale...

Zanim zdołał się pohamować, Holland podszedł do niej, zdarł z niej szlafrok i przewrócił ją na podłogę. To było o wiele bardziej zmysłowe i ekscytujące niż przed godziną, cudowniejsze niż kiedykolwiek. Echo ich głosów, jęków, krzyków i przekleństw odbijało się od kafelków. Szum wody spływającej do kabiny prysznicowej nie był w stanie zagłuszyć tego hałasu.

W łazience Martina Palmera Thome przejrzał się w lustrze. Rozważając opcje czy i kiedy, wrócił do pokoju.

Thome właściciel pubu. Nie byłby pierwszym, który zdecydował się na taki krok, czemu nie miałby zrobić tego wcześniej niż później? Trochę by przytył, może zapuściłby

brodę. Wczesne wstawanie, wymiana beczek, darmowa flaszka lub dwie dla miejscowych funkcjonariuszy. Kupa roboty...

Thome sklepikarz. W sumie czemu nie? Siwiejące włosy zaczesane do tyłu, księgowością zajmowałby się ktoś inny. Nie musiałby się przed nikim płaszczyć. Charaktery zrzęda z wierną klientelą.

Thome, lat czterdzieści jeden, kompletna porażka. Gliniarz, który nikogo nie był w stanie okpić.

Nachylił się do przodu i oparł czołem o chłodne szkło. Otwierając szeroko brązowe oczy, spojrzał na długie cienkie krwawe żyłki pełzające po białkach i żółtawe śpioszki w kącikach oczu i między rzęsami; zauważył też zmarszczki poniżej, skóra była pomarszczona jak u starca.

Jak u jego ojca.

Thome otworzył usta. Wydobył się z nich długi cichy jęk zagłuszony przez szum puszczanej do umywalki zimnej wody. Jego oddech na moment zamglił lustro. Cofnął się o krok, uniósł dłoń, by przetrzeć szkło, i spojrzał na twarz mężczyzny, który wyglądał na śmiertelnie zmęczonego. Był wyraźnie skonany. Zmęczony przebudzeniem i potrzebował paru chwil, aby dojść do siebie. Miał dość ciał w łazienkach i na stacjach, rozmów z zabójcami i konieczności upominania samego siebie, kim i czym oni byli.

Miał dość bycia samemu. I wiecznego rozdrażnienia. Miał serdecznie dość czekania.

Szum wody ucichł, przechodząc w odległy szmer i przez chwilę jego umysł był cudownie przejrzysty i pusty. To trwało tylko chwilę...

I nagle, ni stąd, ni zowąd: głośny plusk i bulgot wody w rurach, szok wywołany chłodem wody, którą opryskał sobie twarz i dłonie. Charlie Gamer wciąż tam był, uderzał go plastikowym młotkiem w stopę; Thome widział go, nawet kiedy zamknął oczy, a gdzieś w tle słychać było dźwięk telefonu...

Kiedy Thome wrócił do pokoju, Palmer trzymał w dłoni brzęczącą komórkę jak bystry psiak ściskający w pysku laskę dynamitu. Kiedy Thome po nią sięgnął, sygnał umilkł.

- Cholera...

Wziął od Palmera telefon i wybrał ostatni numer - nieodebrane połączenie. Nie znał tego numeru.

Głos, który usłyszał, był zdecydowany, rzeczowy. Męski. Głos funkcjonariusza policji.

- Tak?

- Mówi Tom Thome. Chyba pan...

- Ach, tak. Mówi detektyw sierżant Jay z komendy Harrow Station. Jestem właśnie na miejscu zbrodni i wiem, że pańscy ludzie już tu jadą, ale uznałem, że skontaktuję się z panem, ponieważ ofiara miała w kieszeni marynarki pańską wizytówkę.

W myślach Thome a zapanował popłoch.

- Zidentyfikowaliście ciało? - Spojrzał na Palmera, który splótł palce dłoni na karku i kręcił głową nerwowo; miał szklisty wzrok.

- Tak, to było proste - odrzekł Jay. - Ofiara miała portfel, wystarczyło do niego zajrzeć. Ktoś rozwalił temu nieszczęśnikowi łeb jak przejrzały arbuz. Facet był nauczycielem w tutejszej podstawówce.

Thome w jednej chwili zorientował się, co się stało. To było natychmiastowe przerażające doznanie. Zupełnie jak coś, co tu nie pasowało, a co runęło na ziemię, rozbryzgując się po niej, i było w nią brutalnie wdeptane. Jakby trumna zsunęła się z ramion niosących ją żałobników i roztrzaskała się o beton na ścieżce. I to bez żadnego powodu. Thome ujrzał uśmiechnięte oblicze nauczyciela angielskiego, który oprowadzał jego i Hollanda po szkole.

- Cookson... Andrew, o ile dobrze pamiętam...

- Co?

- Średni wzrost, ciemne włosy, po trzydziestce.

- Niestety. Ten facet jest znacznie starszy...

Na linii coś zatrzeszczało, ale Thome usłyszał jedynie mrożące krew w żyłach uderzenie trumny o ziemię przy wtórze rozzwierającego trzasku pękającego drewna. Zanim sierżant Jay zdążył wypowiedzieć na głos nazwisko denata, Thome zrozumiał, że Ken Bowles miał rację, obawiając się o swoją przyszłość.

Teraz on także zaczął się bać.

17

Tym razem Thomeowi nie pozwolono nawet uczestniczyć w spotkaniu.

W Londynie są dziesiątki pubów których przeszłości nie sposób byłoby określić mianem „chlubnej”. Miejsca, gdzie mocne drinki i akty przemocy są ze sobą nierozłącznie związane, często stanowiąc przełomowe chwile w historii.

„Ten Bells” w Spitalfields był nazywany kiedyś „Kubą Rozpruwaczem”. To właśnie w tej speluncie miał ongiś popijać niesławny wielokrotny morderca i tam też uprawiało swój proceder kilka z zamordowanych przez niego ofiar. To właśnie tu ponad sto lat po brutalnym

mordzie prostytutek, które zginęły w ciągu zaledwie trzech miesięcy, możesz nabyć książki o Kubie Rozpruwaczu, a także okazjonalne kubki i czapeczki baseballowe; co najbardziej osobliwe, kilka razy w tygodniu występują tam striptizerki.

„Blind Beggar” w Bethnal Green, gdzie - jeżeli wierzyć ludziom - co najmniej sto tysięcy wschodnich londyńczyków widziało, jak Ronnie Kray zastrzelił George’a Cornelia rzekomo za to, że tamten nazwał go „wielkim tłustym durniem”.

A także „Magdala Tavern” w Hampstead, gdzie Ruth Ellis wpakowała pięć kul w żalostnego kutasa mężczyzny, który powiedział jej, że ją kocha, a trzy miesiące potem jako ostatnia kobieta w Wielkiej Brytanii trafiła na szubienicę. To właśnie w „Magdala Tavern” w ten wczesny poniedziałkowy wieczór siedział Thome, sącząc piwo i oczekując na wyrok w swojej sprawie.

Mimo wszystko lubił ten pub, często tu zaglądał, tak jak dziś, po godzinie spaceru po Heath, kiedy zastanawiał się nad głupotą dorosłych mężczyzn zabijających wolny czas puszczaniem latawców. Piwo było dobre, właściciel całkiem uprzejmy, jedzenie znośne. Jednak to mroczna historia tak mocno przyciągała tu Thome a. Nie mógł się oprzeć, by nie włożyć palca w otwory po kulach widniejących na ścianie budynku na zewnątrz. Czuł się przez to w jakiś sposób związany z tym miejscem. Wystarczyło, żeby się odwrócił, i był pewien, że ją zobaczy.

Zawsze w czerni i bieli.

Tlenione włosy, blada upudrowana skóra mocno opinająca wydatne kości policzkowe, długie paznokcie drapiące kolbę ciężkiego smith and wessona. Dwadzieścia osiem lat i to by było na tyle. Palce wkładane do otworów po kulach - to typowe, historia zna takie przypadki i choć nie są to rany Chrystusa, kiedy wypijesz parę piw do obiadu...

Niedziela Wielkanocna, 10 kwietnia 1955. Chwila szaleństwa, krwawy osąd na ulicy w Hampstead: pierwszy krok na drodze na szubienicę w pokoju straceń więzienia Holloway. Czterdzieści siedem lat później, prawie pół wieku po egzekucji Ruth Ellis, dla tych, którzy mordowali dla przyjemności, nie zawsze nawet orzekano dożywocie. Zresztą dożywocie nie oznacza dziś tego co kiedyś.

Thome siedział i czekał na nadinspektora Russella Brigstocke a, zastanawiając się, jak mocno zacisną pętlę na jego szyi. Wpatrywał się w swoją szklankę i zastanawiał nad najistotniejszymi wydarzeniami ostatnich dni.

Postępowanie przed ogłoszeniem ostatecznego wyroku.

Czwartkowy ranek: widok strzępów mózgu nauczyciela na dywanie, Jesmond wchodzący z wielką pompą, jego twarz przepełniona wyrazem zgrozy i posępnej determinacji.

Uśmiech, który nadkomisarz zarezerwował specjalnie dla niego.

- Myślę, że najlepiej będzie, jak trochę sobie odpoczniesz przez następnych parę dni.

Najlepiej dla kogo?

Czwartek wieczorem: Hendricks zadzwonił z wynikami autopsji. Jak zawsze nic, co mogłoby okazać się użyteczne, ale przynajmniej ustalono pewne fakty. - W tym, co pozostało z czaszki Bowlesa, wbite były maleńkie drewniane drzazgi. Wierzbowe.

- Kij do krykieta...

- Tak. Nocny Strażnik. Ha, kurwa, ha...

Piątek po południu: ojciec.

- Och... nie spodziewałem się, że cię zastanę. Zamierzałem nagrać ci się na sekretarkę... Chodzi mi o pewne informacje. Wymień trzech największych zabójców w historii Wielkiej Brytanii, biorąc pod uwagę liczbę ofiar.

- Największych? Jezu, tato...

- To podchwytliwe pytanie, zamierzam utrzyć nosa paru ważniakom z organizacji byłych wojskowych. Zapytam ich o największych zabójców. Odpowiedzą zapewne Christie czy jakoś tak, a ja im na to, że największymi zabójcami w historii Anglii była plaga dżumy, ospy czy czegoś, co może mi podpowiesz. Rozumiesz?

- Taa...

- Ale potrzeba mi nazwisk. Zakładam, że na pierwszym miejscu będzie Shipman, racja?

Sobota rano: Holland z nowymi informacjami.

- Szczerze mówiąc, nikt nie wie, co się, u licha, dzieje. Pojawiło się parę nowych twarzy, ale wszyscy uganiają się jak w ukropie. W poniedziałek jest zebranie, no wiesz, nadkomisarz Jesmond...

- Taa, dzięki. Z McEvoy wszystko w porządku?

- A skąd mam, kurwa, wiedzieć?

Thome uniósł wzrok, by ujrzyć podchodzącego ku niemu Brigstocke a. Dopił piwo. Czemu Holland jest ostatnio taki nerwowy?

Brigstocke usiadł obok niego przy stoliku. Zalotny loczek wyglądał lepiej. Oddech przesycony był wonią ulubionych cygar.

- Wisisz mi drinka. A właściwie wiele drinków.

Powstrzymując się, by nie podskoczyć, unosząc obie ręce w geście triumfu, Thorne pokiwał głową, podszedł do baru i zamówił po dwa piwa dla nich obu. W połowie drugiego Brigstocke przekazał Thorne owi nowinę.

- Wciąż prowadzisz śledztwo. Jeszcze.
- Czemu odnoszę wrażenie, że to jedyne dobre wieści?
- To zależy, jak na to spojrzeć. Ludzie są bardzo wkurzeni.
- Zakładam, że masz na myśli rodzinę Kena Bowlesa?

Brigstocke zapalił zapalniczkę i przytknął do koniuszka jednego ze swych tanich cygar.

- Pominę to milczeniem, ale jak przyjacielowi radzę ci, żebyś ugryzł się czasem w język, Tom.

- Przepraszam, Russ - rzekł szczerze Thome. Wiedział, że Brigstocke nadstawiał dla niego karku. Postara się o tym pamiętać. - No to co dalej?

- Zliczanie strat. - Thome otworzył usta, przypomniał sobie dobrą radę i ponownie je zamknął. - Śledztwo się toczy - ciągnął powoli Brigstocke. - Z naciskiem na „toczy się”. Koniec z opieprzaniem się. Pracujemy na miejscach zbrodni, prowadzimy wywiady, zbieramy dowody Działamy zgodnie z procedurą.

- A co z Palmerem?

- Martin Palmer został dziś rano zatrzymany i oskarżony o zamordowanie Ruth Murray. Dziś po południu sprawa trafiła do sądu. Wszystko według procedury, Tom.

Thome nie mógł się z tym spierać. Nie miał argumentów. Nicklin zabił Bowlesa, traktując to jako ostrzeżenie. Musiało tak być. Wiedział, że Thome i Holland odwiedzili szkołę, a skierować ich tam mógł jedynie Palmer. Nie było sensu dłużej się oszukiwać.

A skoro o tym mowa...

- Czemu wysłał do Palmera tego e maila, skoro wiedział, że go mamy? - zwrócił się Thome do Brigstocke a.

To pytanie zadawali sobie również inni policjanci, a i on sam zastanawiał się nad tym przez ostatnich kilka dni. Odpowiedź, jaką otrzymał, była dość pretensjonalna. Każdy mógłby takiej udzielić.

- On gra w jakąś grę. Wodzi nas za nos.
- Raczej mnie. To ja byłem w tej szkole. To mnie musiał obserwować...

Brigstocke nachylił się, by strzepnąć popiół do dużej plastikowej popielniczki. Pokręcił głową.

- Sprytny z niego łajdak. Chce, abyśmy to robili, abyśmy zadawali te pytania.

Thome wzruszył ramionami, wziął swoje piwo i utkwiał w nim wzrok. Nie mógł wyzbyć się wrażenia, że zabijając Kena Bowlesa, kogoś, z kim rozmawiał Thome, Nicklin chciał przekazać mu wiadomość. Nie był pewien, czy podpowiadał mu to instynkt, czy może ego. Wcześniej mylił jedno z drugim.

Opróżnił szklankę i odstawił. Nie wiedział, czy chce zostać przy stoliku, żłowiąc piwo, aż przestanie odczuwać cokolwiek, czy wrócić do domu i zamknąć za sobą drzwi na wszystkie spusty.

- Przekazują Palmera prasie?

- To się jeszcze okaże. Jesmond i paru wyżej postawionych właśnie o tym debatuje z mediami. W pewnym sensie byłoby to niezłe posunięcie, no wiesz, zabójca za kratami. Pod Bailey zaczęłyby się zbierać grupy krewkich staruszków, by tłuc pięściami w furgonetki czekające przed gmachem sądu na rozpoczęcie procesu. Wszystkim nam to by się przydało po tym... - nie dokończył, ale Thome w myślach zrobił to za niego.

...jak przyczyniłem się do śmierci Kena Bowlesa.

- To trudne bez przyznania się, że daliśmy ciała.

Thome wtrącił.

- Dzięki, że powiedziałeś to w liczbie mnogiej.

- Nie obwiniaj się za Bowlesa, Tom.

- Dlaczego?

Brigstocke zamrugał i sięgnął po piwo. Nie odpowiedział. Thome zadał jedyne w tym momencie stosowne pytanie:

- Jeszcze po browarku?

Brigstocke dopił piwo i przełykając, pokręcił głową. Thome sięgnął po kurtkę. Chyba jednak czas do domu.

- Zdjęli cię z widelca z tego samego powodu, z którego się tam znalazłeś, i dobrze o tym wiesz - ciągnął Brigstocke. Thome pytająco uniósł brwi. - Ze strachu. Bali się pomyłki, tego, że popełnią błąd ispieprzą sprawę. Teraz boją się, że ktoś się zorientuje, że pokpili sprawę, a to jest dla nich o wiele gorsze.

Thome wstał i włożył kurtkę. Brigstocke wciąż siedział przy stoliku, z jego cygara prawie nic już nie zostało.

- Nie mają się czego obawiać. Biorę całą odpowiedzialność na siebie.

Brigstocke zgasił niedopałek cygara.

- O to się nie martw. To pewne.

Obaj wybuchnęli śmiechem, nieco głośniejszym i dłuższym, niż to było konieczne.

- Co sprawiło, że zdjęli mnie z widelca?

- Ty sam - odparł Brigstocke. - Ale jest tylko kwestią czasu, kiedy znów się tam znajdziesz...

- Egzekucja odroczone.

Brigstocke spojrział na niego, uśmiechając się i nie pojmując aluzji. Thome zastanawiał się, ile jeszcze musiałby wypić. Ile alkoholu potrzebował, by owinąć się w kołdrę i wpełznąć głęboko w mrok, by nie widzieć Kena Bowlesa z otwartymi czerwonymi od krwi oczami, dłońmi wczepionymi w dywan i kawałkami własnego mózgu pod paznokciami.

Ani Martina Palmera, masywnego i skulonego pod białą ścianą celi.

Kiedy pojawiły się reklamy - hałaśliwe, tanie i tandetne, zachwalające towarzystwa ubezpieczeniowe i fundusze emerytalne - wstał i poszedł, by zaparzyć herbatę. Program był dziś wyjątkowo mamy, a szkoda. Z większą niż zazwyczaj niecierpliwością oczekiwał na telefony słuchaczy.

W pracy miał wyjątkowo ciężki dzień. Istny kierat: mnóstwo roboty i jak zawsze to on odwaliał większą jej część. Miał obsesję na punkcie dokładności. Nie ufał nikomu. Nie liczył, że ktoś jest w stanie zrobić to czy tamto równie dobrze jak on, sam więc się do tego zabierał.

Właściwie był zadowolony z tego nawału pracy. Potrzebował czegoś, co zajęłoby jego umysł choćby na kilka dni. Próbował się dostosować, przywyknąć do nowej sytuacji.

Palmer odszedł; znów był sam.

I choć bardzo chciał nad wszystkim panować, kontrolować zachodzące dokoła zmiany, nie mógł się zbytnio wściekać na to, co się stało. Palmer i tak po ostatnim zabójstwie miał wypaść z obiegu - on tak postanowił. Tak samo jak postanowił zabić Bowlesa. W chwili, kiedy zaczynał grać w grę zaproponowaną przez Thome'a i nawet mu się to spodobało, został zmuszony do zmiany kierunku i teraz nie miał wyjścia, jak tylko żyć z reperkusjami tego posunięcia.

Znowu sam. Fakt, lubił to, ale będzie musiał wymyślić jakiś inny sposób, by wrócić do gry. Nie znosił marazmu i nudy. Bezruch, beczynność oznaczały tonięcie, a on za wszelką cenę chciał tego uniknąć. Musiał jak najszybciej znaleźć dla siebie coś nowego, światełko na horyzoncie. Odnalazł je z Palmerem, teraz jednak, kiedy tamten poszedł w odставку, musiał mieć jakieś inne źródło inspiracji. Czekał na wenę, rzucił się w wir pracy.

Praca, praca, praca, dom, rozmowa, kolacja z Caz, a potem godzina lub dwie przy radiu, z butelką wina i podnoszącymi na duchu komentarzami ludzi cierpiących na bezsenność, zawsze skorych do wygłaszania sądów i wymiany opinii mieszkańców tego kraju. Później może obudzi Caz i ją bzyknie. Włoży jej i dogodzi, zamykając oczy i

wspominając mózg Bowlesa rozpryskujący się na wszystkie strony jak przegotowany kleik, małą zgrabną dziurkę w głowie studentki albo może to, jak kobieta z dzieckiem zeszywniała, gdy dłonią zatkał jej usta.

Kiedy gotowała się woda, rozmyślał o Thomie.

Zastanawiał się, jak inspektor relaksował się po ciężkim dniu. Po kilku ciężkich dniach. Nie ma nic cięższego niż świeży nieboszczyk, czyż nie? Ciało kogoś, z kim ostatnio rozmawiał. Jak szybko człowiek taki jak Thome przejdzie nad tym do porządku dziennego, zwłaszcza że przecież było to... zbędne? Z kim rozmawiał o takich sprawach? Z rodziną? Z przyjaciółmi? Nagle uśmiechnął się szeroko, gdy po włączeniu radia usłyszał, że na linii jest akurat Thome.

- Jest z nami Tom z Londynu. Tom ma poważny problem. Jak ci możemy pomóc, Tom?

I nagle głos z charakterystycznym londyńskim akcentem. Trochę szorstki jak sam Thome. Głęboki, robiący wrażenie, kojący lub grzmiący, w zależności od nastroju lub wrażenia, jakie pragnął wyrzeć.

Dziś jednak głos był nieco wyższy, nerwowy, to mogła być podpucha...

- Cóż, Bob, to trochę krępujące...

- Po raz pierwszy dzwonisz do radia, Tom?

- Tak, przepraszam...

- Rozluźnij się, jesteś wśród przyjaciół.

- Zastanawiam się, czy któryś z waszych słuchaczy mógłby mi pomóc. Usiłuję schwytać wielokrotnego mordercę i nie idzie mi to najlepiej...

Wziął do ręki kubek z gorącą herbatą i poszedł z nim do pokoju, wciąż chichocząc pod nosem. W radiu powitano właśnie nowego słuchacza. To nie był Thome, ale wydawał się równie interesujący.

Leonard z Cheshire: Chodzi o faceta, którego zatłuczono w zeszłym tygodniu, tego nauczyciela? W wiadomościach mówili, że ci, co są odpowiedzialni za te morderstwa, działali w tandemie, było ich dwóch, ale moim zdaniem tego faceta zabił jakiś - przepraszam za wyrażenie - pojeb, który nie odrobił na czas pracy domowej. Biorąc pod uwagę to, co się teraz dzieje w szkołach, to całkiem prawdopodobne, czyż nie?

Zaśmiał się tak głośno, że musiał ująć kubek z herbatą obiema rękami.

Kiedy Thome zjawił się w pracy następnego dnia, ostatnią rzeczą, jakiej mógł się spodziewać, było starcie ze Steve'em Normanem. Rzecznik prasowy natomiast, który czekał na Thome a w jego biurze, był na to przygotowany.

- Sprawileś, że wszyscy wyszliśmy na durniów, Thome.

Thome przekrzywił głowę i podszedł do biurka, zastanawiając się, czy może być jeszcze gorzej.

Norman podążył za nim, stanął obok Thome a, podczas gdy ten, nie patrząc na niego, wziął z biurka plik raportów.

- Do tej pory udało ci się zrazić do siebie większość funkcjonariuszy, a teraz robisz to samo z pozostałymi.

Thome z plikiem papierów podszedł do okna i zaczął udawać, że je czyta. Nie był pewien, co oznaczała obecność Normana i czemu rzecznik był w tak paskudnym humorze, ale chciał, żeby tamten się stąd wyniósł, bo Thome nie ręczył za siebie i lada moment mógł wybić Normanowi kilka zębów albo złamać nos.

Odłożył papiery na parapet i odwrócił się do rzecznika, starając się ukryć gniew pod maską zmęczenia.

- Co cię gryzie, Norman?

- Nic. Chciałem tylko, abyś wiedział, ile nam przysporzyłeś kłopotów. Realizowaliśmy twoje pojebane plany, zamknęliśmy usta dziennikarzom, nawiązaliśmy kontakty z mediami...

- To musiało być trudne. Nie każdy jest w stanie wypić tyle darmowego wina...

Norman zaśmiał się z udawanym zakłopotaniem.

- Wybacz, nie pamiętasz, czyj to był pomysł? Nawiasem mówiąc, pomysł, który od początku większość z nas uważała za poroniony. - Thome wzruszył ramionami. Nie zapomniał tego. - Ale tym razem to my musimy nadstawiać za ciebie tyłki. Chciałeś, żeby w prasie ukazały się lipne historie, chciałeś, żebyśmy zmyślili dla ciebie zabójstwo, zrobiliśmy to. Pięknie. Jednak wszystko wzięło w łeb, bo to ty się pomyliłeś, i teraz musimy sprzątać cały ten bajzel.

- Wyjaśnijmy coś sobie - powiedział Thome, czując narastające rozdrażnienie. - Wściekasz się na mnie, bo po prostu musisz robić, co do ciebie należy.

- Janie...

Thome postąpił krok w jego stronę.

- Może łaskawie się przymkniesz i weźmiesz się wreszcie do roboty?

Norman nie zamierzał zrejterować. Uniósł palec i wymierzył w pierś Thome a.

- Właśnie się biorę, a ty powinienes być wdzięczny, że ktoś tu jest naprawdę dobry w tym, co robi. Może uda mi się dogadać z prasą. Liczę na to, że posprzątam ten bałagan i nie dopuścimy do tego, by nie zrobił się za duży smród. - Odwrócił się, podszedł do drzwi i

przystanął. - Kiedy mówię o bałaganie, nie mam na myśli ciebie. Ty już tkwisz po uszy w bagnie i wątpię, abyś zdołał się z niego wygrzebać...

Thome zaśmiał się i podszedł do fotela za biurkiem.

- Posłuchaj, Norman. Jestem zajęty, więc jeśli zamierzasz tylko tak stać i mówić rzeczy oczywiste...

Norman otworzył drzwi.

- Zobaczymy się później, Thome...

Thome ze spokojem, poprawiając rzeczy na biurku i układając pióra w rzędki, wycedził:

- A tak dla twojej wiadomości, jeśli jeszcze raz wycelujesz we mnie ten swój palec, to ci go złamię. Rozumiemy się?

Norman obrócił się na pięcie. Thome zauważył, że policzki tamtego poczerwieniały, ale z oczu zniknęły buńczuczne iskierki. Patrzyli na siebie nawzajem przez kilka niemiłosiernie długich sekund.

- Teoretycznie istnieje równość pomiędzy rangami funkcjonariuszy i personelu cywilnego policji. Wiedziałeś o tym, Thome? - Thome wiedział, ale nie odezwał się ani słowem. - To wynika raczej z kurtuazji, jednak większość osób to dostrzega. Rzecznik prasowy w mojej ekipie dorównuje rangą detektywowi inspektorowi, czyli komuś takiemu jak ty. Ja jestem w randze starszego rzecznika, więc o ile się nie mylę, a nie mylę się... równa się ona nadinspektorowi, czyli wyższej szarży, twemu bezpośredniemu przełożonemu. Słuchasz, co mówię, Thome?

Inspektor uniósł wzrok, na biurku miał idealny porządek, w oczach pustkę i chłód.

- Jak sam wspominałeś, to kwestia czysto teoretyczna. A teraz wypierdalaj.

Norman zrobił, co mu kazano, i niemal natychmiast jego miejsce zajęła znacznie przyjaźniej sza postać. Holland oparł się o framugę i patrzył, jak Norman znika w głębi sali odpraw.

- Popraw mi humor - rzekł Thome. - Powiedz, że dopadło go Biurko Zagłady i wyrwało mu w nodze wielką dziurę. Albo jeszcze lepiej, że urwało mu jedno jajo.

- Przykro mi, ale nic z tego. Poza tym oblepił pan ten kant papierami.

Thome skrzywił się. Zupełnie zapomniał, że to zrobił.

- O co poszło? - spytał Holland. - Słysząc was było aż za ścianą.

Thome wstał i podszedł do Hollanda.

- Wiem tyle, co i ty. Coś go ugryzło, ot i wszystko.

- Cóż, cokolwiek to było, pewnie się już tego nie dowiemy...

Obaj patrzyli, jak Norman rozmawia z Sarą McEvoy Uśmiechał się, żywo gestykulując. Ona także odpowiedziała uśmiechem i nachylając się ku niemu, na moment położyła dłoń na jego ramieniu. W tej samej chwili zerknęła w stronę Thome a i Hollanda. A zaraz potem wlepiała wzrok w podłogę.

Holland wszedł do gabinetu. Thome zrobił to samo.

- Aha, przepraszam, że byłem tego ranka taki opryskliwy, kiedy pan zadzwonił - rzekł Holland. - Pytał pan o McEvoy, co u niej czy jakoś tak, a ja niepotrzebnie się uniosłem. Zbyt krótko spałem...

Thome zastanawiał się, czy Holland powie coś na ten temat. Ta reakcja do niego nie pasowała. Wzruszył ramionami.

- Nie wiem, o czym mówisz.

Holland wziął parę głębokich oddechów. Jakby pozbył się czegoś, co bardzo mu ciążyło.

- A więc przynajmniej na razie Norman będzie robił, co należy?

- Na to wygląda - odparł Thome. - Choć w gruncie rzeczy nie mam pojęcia dlaczego. Najgorsze jest to, że nawet nie mogę się z nim kłócić. Bo facet ma zasadniczo rację.

Holland chciał coś powiedzieć, ale Thorne nie dał mu dojść do słowa.

- To mały pajac, nie zrozum mnie źle, ale wie, o czym mówi.

- Nie ma potrzeby traktować tej sprawy osobiście, zgadza się?

Thome usiadł.

- To mały człowieczek, rozumiesz? Tacy zawsze mają straszne kompleksy.

Holland spojrzał na niego, unosząc brwi, z trudem powstrzymując uśmiech. Na twarzy Thome a natomiast pojawił się sarkastyczny grymas.

- Jest mniejszy ode mnie, jasne? Wiesz, o co mi chodzi. A ja jestem przeciętnego wzrostu...

Holland uniósł ręce.

- Ja nic nie mówię. A o co chodzi z kompleksami?

Thome zamyślił się na chwilę i uśmiechnął szeroko, jakby wspomniał starego przyjaciela...

- Mam ich więcej, niż mogę zliczyć, Dave.

Holland zaśmiał się głośno i w tym momencie Thome byłby szczęśliwy, naprawdę anielsko szczęśliwy, gdyby mógł zamknąć oczy i słuchać tego dźwięku przez cały boży dzień. Z dziką rozkoszą zamknąłby drzwi do gabinetu na zasuwkę, nie zwracał uwagi na dobijanie się do nich kolegów czy przełożonych, tylko z lubością czekałby, aż za oknem zrobi się

ciemno. Aż nadejdzie noc i otuli go swym miękkim aksamitnym kokonem. Chciałby tak siedzieć w swoim gabinecie, pić herbatę i rozmawiać z Hollandem na niezobowiązujące tematy: o Sophie, jego dziewczynie, o ostatnich świętach i bezpodstawnych próbach Tottenhamu znalezienia dla siebie miejsca w Europie, o ostatnio obejrzanych filmach i uciążliwych skutkach korzystania z transportu miejskiego.

Nieważne o czym.

Wiedział jednak, że co kilka sekund jego głos byłby wyciszany, jakby ktoś nacisnął w jego głowie niewidzialny przycisk, i w to miejsce pojawiłby się inny dźwięk. Mało kto przeżył, usłyszawszy ten odgłos. Tępy wilgotny trzask kija uderzającego w czaszkę.

Raz po raz.

To przeze mnie zginął Ken Bowles.

Zadzwoił telefon. Thome leniwie, jakby od niechcienia sięgnął po słuchawkę. Nie powiedział ani słowa.

Po sekundzie, dwóch głos. Spięty, zniecierpliwiony, z akcentem z Midlands spytał:

- Pan Thome?

- Tak...

- Mówi Vic Perks. Próbował pan się ze mną skontaktować.

- Czyżby?

Perks warknął.

- No może nie pan bezpośrednio, ale któryś z pańskich podwładnych. Jestem nadinspektor Vic Perks. Obecnie na emeryturze. W osiemdziesiątym piątym roku prowadziłem śledztwo w sprawie Karen McMahan.

Thome sięgnął po notes i zaczął gorączkowo zapisywać...

W miarę jak notatek przybywało, a on i Perks umówili się na spotkanie, w umyśle Thome a zaczął się jawić pewien obraz. To trwało tylko przez moment. Wizja powróciła jednak jak skojarzenie przywołane wyglądem wyjątkowo dziwacznej chmury albo układu cieni.

Ujrzał nieznajomego podającego mu dłoń, aby wyciągnąć go z lodowatej mętnej wody dokładnie w chwili, gdy na dobre miał się w niej pogrążyć.

18

Spotkali się w pubie „Mariners’ Arms” na Isle of Dogs.

To było użytkowe miejsce. Grube nylonowe dywany, tarcza do rzutków, piwo. Środa, pora lunchu, prócz Thome a i Perksa było tam tylko dwoje ludzi i barman, student - sądząc po

tlenionych włosach i fatalnej cerze - który gapił się z przejęciem w wielki telewizor wiszący nad barem, i wymizerowany staruszek w wyświechtanym brązowym kapeluszu, siedzący w kącie z gazetą, półkufelkiem guinnessa i leżącym u jego stóp dziko wyglądającym owczarkiem alzackim.

Sącząc piwo i czekając na zakąskę z serem - w kuchni ktoś jednak musiał być, bo w końcu się pojawiła - rozmawiali o tym, jak tu dotarli. Pub to był pomysł Perksa. Nie chciał zbyt oddalać się od niewielkiego mieszkanka w Epping, dokąd przeprowadził się razem z żoną. Kiedy stary mężczyzna wspomniał, gdzie mieszka, Thome na moment uniósł wzrok znad szklanki z piwem, ale Perks zorientował się, o czym pomyślał. Ten zakątek świata miał swego rodzaju reputację.

- Zgadza się. Przeniosłem się w to samo miejsce, gdzie przez tyle lat ścigałem rozmaitych bandziorów. Od czasu do czasu spotykam niektórych z nich. Jak kupują gazetę w kiosku albo spacerują po parku w centrum. Mówimy sobie „dzień dobry”...

Thome miał rację co do akcentu z Midlands: obstawiał Birmingham lub może Coventry. Perks był wysokim mężczyzną. Twarz miał pociągłą, mocno pobrużdżoną, ale Thome domyślał się, że winę za to w równej mierze ponosił śmiech, jak i troski. Miał sześćdziesiąt kilka lat, krótko obcięte siwe włosy, starannie przystrzyżony wąsik, a pod kurtką nosił koszulę z krawatem.

Perks skończył jeść, serwetką wytarł okruchy z kącików ust i spojrzał Thomeowi prosto w oczy.

- Nie znalazł pan jej. Nie znalazł pan Karen, w przeciwnym razie już by pan to powiedział.

Thome jeszcze jadł. Przełknął pospiesznie.

- Rzeczywiście, nie znalazłem jej. Ale zamierzam znaleźć.

Perks wstał i rozejrzał się dokoła w poszukiwaniu drzwi do toalety.

Zanim odszedł od stolika, zerknął na Thome a.

- Ja również...

Później ruszyli na wschód wzdłuż rzeki. Mżawka była denerwująca bardziej niż cokolwiek innego - nie padało na tyle mocno, by rozłożyć parasol, ale siąpiło tak, że odmchowo przymykało się powieki i kulilo ramiona. Tamiza była tu szeroka. Szli w odległości kilku metrów od tanich budowli z lat 60., szpetnych i przygnębiających. Po drugiej stronie rzeki, na szczycie wzgórza znajdowały się obserwatorium Greenwich, Royal Naval College i „Cutty Sark”.

Szli powoli, Thome nawet wolniej niż zazwyczaj. Rzeka przepływała obok nich z głośnym czknięciem i młaśnięciami, oleista, metalicznie szara. Przed nimi w oddali wznosił się dziwaczny potworek Millennium Dome, absurdalny i nieuchronnie pokrywający się rdzą. Ponad milion tygodniowo, jak oszacowali, aby ta konstrukcja świeciła pustkami.

- Za te pieniądze co kilka miesięcy mógłby powstać porządny szpital - rzekł Perks. - Albo co kilka tygodni szkoła.

- Myśli pan, że ona żyła? - zapytał Thome. - Kiedy pan jej szukał?

Perks spojrział pod wiatr, ku rzece. Kiedy się w końcu odezwał, Thome musiał niezłe się natrudzić, aby go usłyszeć.

- Przez tydzień, może dwa, mieliśmy nadzieję. Ja może nawet dłużej niż inni. Ale podejrzewam, że to przez moją pracę. Takie było moje zadanie.

Thome zrobił jeszcze dwa kroki, zanim zorientował się, że Perks przystanął. Odwrócił się i podszedł do niego.

- Podobno gdzieś ją widziano... to prawda?

- Kilkakrotnie. Ale takich zgłoszeń jest zawsze mnóstwo. Ludzie starają się pomóc, a czasami mają po prostu złe zamiary. Tmdno powiedzieć, jak było w tym wypadku. Aczkolwiek jedno z tych zgłoszeń...

- Z Carlisle?

Perks skinął głową i otarł krople deszczu z twarzy wierzchem brązowej skórzanej rękawiczki.

- Konkretnie spod Carlisle. To było trzy dni po jej zaginięciu. Nie sposób było to zignorować. Ubiór pasował - nie puściliśmy tego do mediów ale opis był idealny. Włosy ubiór, samochód. Wszystko pasowało. - Perks powiedział coś jeszcze, ale jego słowa zagłuszyło skrzeczenie przelatującej w górze mewy i łoskot rotorów śmigłowca nieopodal. Thome uniósł wzrok i zobaczył, że potężny czerwony helikopter kieruje się w stronę lotniska miejskiego.

Perks minął go. Thome mszył za nim, nie mogąc pozbyć się natrętnej, ponurej myśli, ale nie chciał przeoczyć momentu, gdyby maszyna miała nagle stanąć w płomieniach i runąć do rzeki.

- To dlatego nie przeprowadziliście lokalnych poszukiwań? - spytał Thome.

- Szukaliśmy wszędzie...

- Przepraszam... chodzi mi o to, że... choć szukaliście ciała, nie szukaliście go w okolicy, gdzie zniknęła. W parku, przy linii kolejowej...

- Te zgłoszenia były jednym z powodów, ma się rozumieć. Przecież trudno sobie wyobrazić, aby ktoś, kto ją porwał i zabił, wrócił, by ukryć tu ciało. Choć w dzisiejszych czasach te bydlaki robią same nienormalne rzeczy...

Wzrok Perksa był niewzruszony, ale pomimo odrazy w głosie Thome odniósł wrażenie, że w jego oczach coś zgasło. Coś, co Thome dostrzegał w swoim odbiciu każdego ranka, stając przed lustrem w łazience. W dobry dzień nazwałby to pasją. W zły - paniką.

- Było jeszcze oświadczenie tego chłopaka - ciągnął Perks. - Tego, który widział, jak Karen wsiadła do tego auta.

- Stuarta Nicklina.

Perks lekko przymrużył powieki.

- Tak, Nicklina.

Przez kilka minut szli w milczeniu. Po drugiej stronie rzeki rozciągała się złożona panorama rozległej dzielnicy przemysłowej, zakładów wciąż funkcjonujących, jak i tych od dawna już nieczynnych. Stara elektrownia, przetwórnia zbóż, złomowisko, dokąd trafił i gdzie został przetopiony po katastrofie statek „Marchioness”, nabrzeża usłane stertami żwiru i agregatów, zardzewiałe żurawie sterczące dumnie ku niebu.

Niebo, brzeg, woda, budynki. Czerń, szarość i brąz...

- Proszę mi opowiedzieć o Nicklinie.

- To był dziwny dzieciak...

Thome skinął głową i pomyślał: Jezu...

- Nie zdaje pan sobie sprawy, jak wielki wpływ tego rodzaju rzeczy wywierają na dzieciaki, prawda? Był naprawdę wstrząśnięty. To, że widział, jak wsiadła do tego auta. Bo on domyślał się, że stanie się coś złego. Chyba wiedział, że powinien być coś zrobić, jakoś temu zapobiec. Nigdy tego nie powiedział, ale... wiedział. To, że widział, jak ją zabrano, wstrząsnęło nim do głębi. Byli ze sobą blisko, nie był jej chłopakiem ani nic takiego, ale mimo wszystko. Byli najlepszymi przyjaciółmi. Był jeszcze jeden chłopak, Martin Palmer. Kumplowali się we trójkę. Spotkali się wszyscy razem wcześniej tego dnia, ale potem coś się stało i Palmer wrócił do domu. Chyba się pokłócili.

- Wiadomo, o co poszło?

Perks spojrział na niego, mrużąc powieki i usiłując zmusić umysł do wytężonej pracy.

- Nie...

- Wiedział pan, że Nicklin został wcześniej wydalony ze szkoły? On i Palmer, razem?

Wyraz twarzy Perksa - zakłopotanie, rozpaczliwe pragnienie poznania prawdy - wzbudził w Thomie wyrzuty sumienia. Postępował wbrew swoim zasadom. Wkurzał eksplinę

i to bez żadnego konkretnego powodu. Powinien był jeszcze w pubie powiedzieć mu wszystko i wyjaśnić Perksowi, co chciał potwierdzić.

Thorne położył dłoń na ramieniu Perksa.

- Chciałem pomówić z panem o Stuarcie Nicklinie. O Palmerze również, ale... chodzi o Nicklina. Chciałem potwierdzić, że jego zeznanie stanowiło jedyny powód, dlaczego nie szukał pan Karen bliżej domu, do jakiego stopnia było to związane z tym, co panu powiedział...

Dalej już pójść nie mogli. Dotarli do Saunders Ness, końca nadrzecznego deptaka. Szpic albo, jak mówią niektórzy, nos lądu uformowany przez zakole rzeki okrążającej Isle of Dogs kierował się w stronę jej ujścia.

Perks oparł się o poręcz i spojrzał ku rzece.

- Jeszcze parę lat temu Tamiza była praktycznie martwa. Wiedział pan o tym? Nic nie mogło w niej przeżyć.

Thorne a wcale to nie zdziwiło. Do rzeki zrzucano najróżniejszy syf, a większość ludzi nic nie wiedziała albo się tym nie przejmowała. Dla przeciętnego londyńczyka Tamiza była tylko rzeką, którą musiał niekiedy przekroczyć. Perks spojrzał na niego, jakby czytał w jego myślach.

- Na szczęście paru ludzi, którym ta rzeka nie była obojętna, podjęło kilka ważkich decyzji. Teraz żyje w niej prawie sto różnych gatunków ryb i innych stworzeń - pstrągi, łososie, meduzy. Przy Dartford Crossing znaleźli nawet koniki morskie. Przywrócili tę rzekę do życia. Dobrze, że można to zrobić, prawda?

Thorne potakiwał bezgłośnie.

Perks uśmiechnął się i wskazał w stronę rzeki. Thorne powędrował wzrokiem wzdłuż brzegu i zobaczył to, co tamtego tak ucieszyło, mógł naocznie przekonać się, że historia o życiu po śmierci była jak najbardziej prawdziwa. Na tle czarnej wody odcinał się wyraźnie biały kształt - czapla stała w bezruchu na płyciźnie, wypatrując lunchu.

Thorne wziął głęboki oddech i zaczął:

- Stuart Nicklin zamordował co najmniej cztery osoby. On... zmanipulował Martina Palmera, zmuszając go do zabicia dwóch kolejnych. Przepraszam, jeśli to, co teraz mówię, sprawi panu przykrość. Mogę jedynie powiedzieć, że chcę go dopaść równie mocno, jak pan chciał schwytać człowieka, który rzekomo uprowadził Karen McMahon. Nicklin, jakkolwiek się teraz nazywa i kimkolwiek jest, to psychopata, który morduje, bo mu to sprawia przyjemność. - Odczekał kilka chwil, zanim powiedział to, co było najtrudniejsze. - W

związku z powyższym nie zdziwi się pan zapewne, gdy powiem, że moim zdaniem nie wyjawiał panu prawdy o tym, co stało się z Karen.

Thome przerwał i czekał. Nie sposób było stwierdzić, jak zareaguje Perks. Mówi się, że w większości wypadków, gdy ludzie dowiadują się, że to, co zrobili, było złe lub w najgorszym razie mylne, mają reakcję obronną. Thome przypomniał sobie gniew Lickwooda; to przewidywalna reakcja na oskarżenie o niekompetencję. Tym razem było inaczej, ale należało się liczyć ze zbliżoną reakcją.

Perks odwrócił się i spojrzał mu w oczy. Thome pomylił się, oczekując na gniewną reakcję. Ton był łagodny, wręcz pocieszający. Vic Perks wyraził w słowach myśli, które były mu tak znajome. Te słowa każdego dnia nawiedzały jego umysł: proste, konkretne słowa, które usłyszał przed wieloma laty, a które teraz zostały wypowiedziane z łatwością i bez wahania. Kiedy Perks mówił, Thome zorientował się, że pomylił się w czymś jeszcze. Pasja wcale nie zniknęła.

- Ona wsiadła do niebieskiego auta, psze pana. Cavaliera, tak się chyba nazywa. Niebieski z plamą rdzy przy przednim zderzaku i naklejką na tylnej szybie, i cyframi sześć i trzy na tablicy rejestracyjnej. Miała dziwny wyraz twarzy. Pamiętam, że zastanawiałem się, o czym myślała, ale nie wyglądała na przerażoną. Tuż przed tym, zanim wsiadła do auta, odniosłem wrażenie, że do mnie pomachała. Tak po prostu. A może odgarnęła kosmyk włosów za ucho. Często to robiła. Trudno powiedzieć, bo słońce świeciło mi w twarz...

Perks przerwał i przetarł dłońmi oczy. Próbował przypomnieć sobie coś jeszcze, a może wspominał wygląd chłopca, który wypowiedział te słowa. Thome nie miał pewności.

- On miał czternaście lat, Thome. Był od niej starszy o kilka tygodni. Karen właśnie skończyła czternaście lat. Siedemnastego lipca osiemdziesiątego piątego. - Powoli zamrugał dwa razy - W tym roku Karen skończyłaby trzydzieści jeden lat. - Thome pokiwał głową. Najwyraźniej tego rodzaju obliczenia Perks potrafiłby wykonywać w nocy o północy - On był jeszcze dzieckiem. Nie miałem powodu, by mu nie wierzyć.

- Wiem.

- Chryste, ludzie widzieli ten wóz. Tym cholernym kretynom wydawało się, że widzieli to auto, wydawało im się, że widzieli Karen...

Thome już miał wyciągnąć rękę i położyć na ramieniu tamtego, ale Perks odwrócił się i pokręcił głową. Oparł się o ścianę i wlepił wzrok w linię brzegową.

Był odpływ. Thome spojrzał na śmieci ujawnione przez obniżony poziom wód i tkwiące wśród mułu. Opony, dziesiątki opon, połamanych skrzynek i wszechobecne sklepowe wózki. Jak, u licha, się tu dostały? Nie wyobrażał sobie, aby ktokolwiek po załadowaniu

zakupów do bagażnika auta radośnie zrzucił wózek sklepowy z najbliższego mostu do rzeki. A jednak tu były i zapewne miały jakieś głębsze, symboliczne znaczenie, ale na razie dla Thome a były to tylko pogrążone w mule stare sklepowe wózki.

Typowy skarbiec nabrzeżnych osobliwości, choć Thorne często napotykał też znacznie bardziej egzotyczne eksponaty. Kilka sztucznych kończyn. Harleydavidson rocznik '68. Martwy biały bulterier, nabrzmiały i wyszczerzony, jakby nawet teraz chciał dobrać się komuś do tyłka.

No i, rzecz jasna, zdarzały się także zwłoki. Co pewien czas rzeka je oddawała. Składała je łagodnie na piaszczystym brzegu, wyrzucając je na podłoże ze splątanych wodorostów albo porzucając w mule. Większości nigdy nie zidentyfikowano, nigdy nie odebrano, pozostawały anonimowe jak sklepowe wózki. Wiele nadal czekało na odkrycie, pływając w górę i w dół rzeki, tuż pod powierzchnią. Ich powieki, paznokcie, płatki skóry stanowiły pożywkę dla łososi, pstrągów i koników morskich. Thome zastanawiał się, jak szybko i czy w ogóle zostanie oddane ciało Karen McMahan, by trafiło w jego ręce i by dzięki temu mógł poznać prawdę...

- Dwie rzeczy - powiedział nagle Perks. Thome odwrócił się do niego i czekał. - Wiem, że nie będę pierwszą ani nawet drugą osobą, którą pan powiadomi. Zapewne moje nazwisko nie znajdzie się w czołówce pańskiej listy. Ale proszę, aby skontaktował się pan ze mną tak szybko, jak to będzie możliwe, dobrze? Kiedy już pan ją znajdzie?

Thome pokiwał głową. Perks nie musiał go o to prosić.

- To było jedno. A drugie?

Perks odwrócił się do niego rozdygotany, wtykając końce szalika za poły kurtki.

- Chcę o tym powiadomić osobiście matkę Karen McMahan.

Holland stanął w drzwiach, blokując wyjście. McEvoy spróbowała go wyminąć. Zastąpił jej drogę.

Zaśmiała się ponuro.

- To nie jest śmieszne.

- Owszem, jest - rzekł Holland. - Jeżeli wejdiesz do gabinetu i ja tam będę, obróć się na pięcie i wyjdź. Jeśli przyjdę, a ty akurat tam będziesz, masz po prostu wstać i wyjść...

- Poproś nadinspektora, aby przydzielił ci inny gabinet.

- No jasne. I co miałbym powiedzieć?

- Cokolwiek zechcesz.

-...że nagle przestaliśmy się dogadywać? - Holland westchnął i postąpił naprzód, przez co McEvoy zmuszona była cofnąć się o dwa kroki. Zamknął drzwi.

- Nie wykonujemy naszych obowiązków jak należy, Saro.

McEvoy przymrużyła powieki i zniżyła głos.

- Znowu zaczynasz?

- Powiedziałem „my”, Saro. Oboje musimy to przerwać, zanim posuniemy się za daleko.

- Czy to groźba? Chcesz mnie podkablować, Holland?

Holland minął ją i osunął się na fotel.

- Jezus, Saro, chyba popadasz w paranoję.

- Czyżby? Powinieneś mnie zobaczyć, kiedy wciągnę parę kresek.

Łypnęła na niego, stając w bezruchu, ale tak naprawdę miała ochotę otworzyć drzwi i uciec jak najdalej stąd. Wbiec do jednej z toalet, otworzyć torebkę i niuchnąć sobie działkę...

Mogło się wydawać, że Holland dostrzegł to pragnienie w jej wyrazie twarzy.

- Już to dziś zrobiłaś? Żeby się trochę wyluzować?

McEvoy nie odpowiedziała, ale poczuła piekący ból za oczami.

- Gdzie trzymasz towar? Kiedy jesteś tutaj, ma się rozumieć. W swojej torebce, prawda? Masz ją tutaj? - Holland rozejrzał się dokoła. - Módl się, aby żaden ze specjalnie szkolonych psów nie zapuścił się aż tu...

Ostatnio płacz przychodził jej z coraz większą łatwością. Nieomal była w stanie płakać na zawołanie. Nawet teraz łzy zbierały się jej w kącikach oczu, otarła je wierzchem dłoni, ale to wystarczyło, by Holland stanął jak wryty.

- Saro...

- Nie!

Opuściła ręce wzdłuż boków i uniosła głowę. Na jej twarzy nie pozostał nawet najdrobniejszy ślad łagodności. Po łzach zawsze przychodził gniew i witała go z lubością. Dzięki niemu znajdowała się na bezpieczniejszym gruncie. Zwinięta pięść i ucisk w piersiach były przyjemniejsze niż słony smak w ustach.

- Posłuchaj, nie chcę twojej pomocy ani wsparcia. Nie życzę sobie, abyś mówił mi, co jest dla mnie dobre, w ogóle mam dość twoich rad. - Nikt nie stara się...

- Parę szybkich numerków i obłapianki na parkingu to nie powód, żebyś prawił mi morały. Poza tym nie słyszałam, abyś się skarżył na drugi dzień po tym, jak przeleciałeś mnie na podłodze w łazience. Kiedy stękałeś i wpychałeś mnie na sedes...

- Chcę tylko...

- Daj spokój. Nie robię tego w pracy.

Rozległo się pukanie i w tej samej chwili drzwi się otworzyły. Oboje odwrócili się w ich stronę. McEvoy instynktownie zrobiła krok w stronę drzwi. Ani ona, ani Holland nie wiedzieli, czy mężczyzna w garniturze, z włosami zaczesanymi do tyłu, który wszedł do gabinetu, usłyszał ich rozmowę, ale oboje myśleli o tym podczas wymiany zdań, jaka się potem wywiązała.

- Szukam McEvoy.

- To ja. Sierżant McEvoy. Nie umie pan pukać?

- Pukałem.

- Puka się, czeka na zaproszenie i dopiero wtedy się wchodzi. To takie proste, że aż boli.

- Kto ma na to czas? Jestem nadinspektor Derek Lickwood z GPS, Sektor Wschodni. - Rzucił płaszcz na fotel i wyciągnął rękę. - Przez telefon ma pani zupełnie inny głos.

Thome dotarł do Docklands Light Railway na Island Gardens, gdzie znajdowało się obserwatorium Greenwich i południk 0. To właśnie tu, pod rzeką biegł brukowany wiktoriański deptak łączący się z południowym brzegiem przy „Cutty Sark”.

Nie wiadomo kiedy pociąg sunął już przez serce Canary Wharf; Thome’owi widok ten zapierał dech jak panorama Tamizy. To była dziwaczna podróż. Zaledwie kilka minut jazdy dzieliło najstarsze dzielnice Londynu od całkiem nowych przedsięwzięć, które na zawsze zmieniły tutejszy krajobraz: od dziewiętnastowiecznego herbacianego klipra w suchym doku Greenwich po dwunastometrowy jacht w Limehouse Basin; od klasycznej elegancji Queen’s House po zgoła odmienne piękno nowego drapacza chmur, na wiele dni przed tym, jak stanie się najwyższym budynkiem w mieście; od stiuku i kafelków po stal i lustrzane szkło, w ciągu zaledwie kilku minut.

Kolejka DLR pełniła w tym mieście funkcję swoistego wehikułu czasu.

Teraz Thorne musiał zrobić skok o siedemnaście lat wstecz, do lata 1985.

Gorące lato. Live Aid, francuskie próby na poligonie atomowym, wrzenie w Brixton. Detektyw konstabl Tom Thome, młody żonkoś, stoi w dusznym pokoju przesłuchań z mężczyzną nazwiskiem Francis Calvert i już wkrótce wszystko się odmieni.

A ta dziewczyna, podczas gdy Thome starał się sprać woń krwi ze swoich ubrań, mogła wsiąść już do tego auta albo i nie. Dziewczyna, której zdjęcia na pierwszych stronach gazet stawały się coraz mniejsze, w miarę jak pojawiały się na nich inne, bardziej zajmujące artykuły. Dziewczyna, która niemal na pewno umarła samotna i przerażona owej ciepłej nocy, kiedy ludzie tańczyli na stadionie Wembley albo ciskali koktajlami Mołotowa na Electric Avenue lub siedzieli w domu jak Thome, próbując odciąć się od reszty świata.

Thome wyjrzał przez szybę. Mury, okna i niekończące się spłachetki pomalowanego sprayem metalu mijały go w pędzie, rozmyte i niewyraźne. Siedemnaście lat temu, kiedy zniknęła Karen McMahon, był gdzieś indziej. Może teraz oboje będą mogli pomóc sobie nawzajem.

Pociąg toczył się w stronę Bank i tam Thome się przesiądzie: wróci do Hendon na pokładzie linii Northern, a przed wyjazdem do południowowschodniego Londynu czekało go jeszcze kilka godzin w biurze.

Zamknął oczy i wyobraził sobie siebie przed dwudziestoma laty - zapewne siedział w jakimś pubie albo spacerował brzegiem rzeki z tą czy inną dziewczyną i miał ochotę podejść do siebie i powiedzieć, jak bardzo się pomylił, że dał ciała, że znów otwierają dochodzenie i że w końcu będzie miał okazję naprawić dawne błędy, pomyłki sprzed lat.

Wyobraził sobie siebie uśmiechającego się i mówiącego: jasna sprawa, stary, ale o której konkretnej sprawie mowa? O którą porażkę ci chodzi?

Ich lista jest kurewsko długa...

Później, zbliżając się do HMP Belmarsh, Thome rozmyślał jak zawsze omajsterkowaniu lub ogrodnictwie. Patrząc na ten gmach, mimowolnie przypomniał sobie inne budowlane potworki, które oglądał z okna swego gabinetu, jeżeli nie miał szczęścia i dzień był pogodny. Belmarsh wyglądało, jakby stworzono je, wzomjąc się na klasycznym amerykańskim zakładzie karnym: użyteczność i funkcjonalność w każdym względzie. Choć wielkie, stare, wiktoriańskie więzienia, jak Strangeways i Brixton, były bez wątpienia brudne i zatłoczone, Thome uważał, że miały nieco więcej... charakterem.

Oczywiście charakter nie miał tu nic do rzeczy.

Ta dziwna mieszanka starego i nowego Londynu była obecna nawet tutaj, zamykając się z obu stron wokół jadącego na południe Thome a, od moczarów Greenwich, poprzez Charlton, gdzie wznosiło się więzienie, gdzieś pomiędzy Woolwich i Thamesmead. Wzdłuż rzeki biegła prosta droga i choć krajobraz po obu stronach nie był malowniczy, z całą pewnością stanowił dość wyrazisty kontrast. Po prawej, z dala od drogi, ciągnęły się stare, wiktoriańskie baraki i budynki wojskowe. Ciemne i brudne stały na ziemi skażonej zapewne od setek lat przez ropę i smary do sprzętów wojskowych. Po lewej Thome miał kolejne parcele nowych osiedli mieszkaniowych. Była czwarta, ale niebo zaczęło już ciemnieć. Osiedla były z rodzaju tych reklamowanych przez faceta o kanciastej szczęce i z głębokim głosem, który w spocie reklamowym przylatuje na miejsce budowy helikopterem. Czerwone cegły i zielone dachy, które z pewnością zawałały się znacznie wcześniej niż ciemniejsze starsze budowle po przeciwnej stronie drogi.

No i było jeszcze samo więzienie. Poziom bezpieczeństwa był tu równie wysoki, jak w każdej innej tego typu placówce w kraju. To tu siedzieli między innymi Jeffrey Archer, Ronnie Biggs i osoby oskarżone o przynależność do organizacji terrorystycznych. Nikt stąd nigdy nie uciekł. Niska, szara, posępna bryła, nad którą górowały nowo powstające osiedla mieszkaniowe. Thome nie był pewien, kto miał gorszy widok: nieszczęśliwe rodziny w nowych blokach z czerwonej cegły czy może więźniowie...

Minęło nieco ponad pół godziny, odkąd Thome po raz pierwszy okazał swoją legitymację policyjną w punkcie rejestracji gości do chwili, kiedy zasiadł w pokoju odwiedzin kategorii A, czekając na spotkanie z Martinem Palmerem.

To była długa i złożona procedura. Z poczekalni dla gości, gdzie Thome musiał zostawić wszystkie swoje rzeczy osobiste w schowku, trafił do głównego budynku, tam ponownie sprawdzono jego upoważnienie i przybito mu na wierzchu dłoni ultrafioletową pieczętkę. Stamtąd przeszedł na dziedziniec, gdzie skontrolowano jego przepustkę, potem dalej, przez bramkę do wykrywania metalu, labirynt ze szkła, wrota śluz powietrznych - jedne zamykały się, a dopiero po chwili otwierały się następne. Później było jeszcze oczekiwanie na furgonetkę, która przewoziła gości do oddzielnego bloku kategorii A. Kiedy tam dotarł, nastąpiła kolejna kontrola dokumentów, potem czekała go jeszcze jedna bramka rentgenowska i cała masa posępnych spojrzeń i mrukliwych komentarzy. W końcu Thome został wprowadzony do niedużego prostokątnego pokoju wizyt.

I znów oczekiwanie, którego długość zależała tym razem od dobrego humoru strażników więziennych. Zawsze było tak samo i za każdym razem to nieodmiennie wkurzało Thome'a. Funkcjonariusze policji i strażnicy więzienni byli zaprzysięgłymi wrogami. Ci, co łapali, i ci, co przetrzymywali, nienawidzili się wzajemnie z całego serca. Klawiszów uważano za fuszerów, którzy nie nadawali się nawet do policji. Gliniarzy traktowano jak dostawców w czystych mundurkach i z wypielęgnowanymi dłońmi. Jeśli można było coś im przedłużyć lub utrudnić na terenie zakładu karnego tak właśnie robiono.

Dziesięć minut później mocno wytatuowany, wyglądający jak pogrążony w ciężkiej depresji strażnik więzienny wprowadził Martina Palmera do pokoju. Palmer podszedł i zajął miejsce naprzeciw Thome'a. Strażnik, który zdaniem Thome'a wyglądał jak rozchwierutana wygódka, wyszedł, by stanąć za drzwiami i regularnie kontrolować sytuację przez wizjer.

Palmer był blady. Miał na sobie pomarańczową bluzę z kapturem, w której Thome widział go w jego mieszkaniu w Wigilię. Spojrzał na Thome'a, mrugając powoli. Wyglądał, jakby dopiero co się obudził, a nie jak ktoś, kogo należy obserwować, aby nie targnął się na własne życie.

Pomimo czasu i trudu, jaki sobie zadał, aby tam dotrzeć, Thome chciał mieć już to wszystko za sobą. Przyjechał tu, żeby przekazać wiadomość.

- Zamierzam odnaleźć Karen - oznajmił.

CZEŚĆ CZWARTA

PRAGNIENIE

19

Palmer wyglądał na zagubionego.

Rozglądał się dokoła w poszukiwaniu czegoś, co mogłoby stać się jego ostoją, ale wszystko wydawało się obce i nieznanne.

Thome patrzył, próbując wyobrazić sobie zamiast tego mężczyzny chłopca w innym czasie i innym miejscu, lecz nie udało mu się to, tak jak Palmerowi nie wychodziło określenie pewnego miejsca z przeszłości.

To było zrozumiałe. Nasyp musiał wyglądać całkiem inaczej niż przed dwudziestu laty. Ten odcinek torów, o jakieś dwa kilometry dalej biegnący wzdłuż boisk szkoły króla Edwarda, był nieużywany od lat. Przeznaczono go do modernizacji, lecz jakimś zrzędzeniem losu zawsze brakowało na to funduszy. Budynki kolejowe, składziki i magazyny zostały dawno temu oddane do rozbiórki. Tory były miejscami całkiem zarośnięte. Tu i ówdzie trawa sięgała wysokości półtora metra. W miejscu, które niegdyś znał dobrze, Palmer czuł się całkiem obco.

Kajdanki na rękach tylko wzmagały to doznanie.

Thome podszedł i stanął przy nim.

- Coś mi mówi, że to nie będzie proste.
- To miejsce wygląda teraz zupełnie inaczej.
- Żadne miejsce nie pozostaje takie, jak je zapamiętaliśmy.
- Wiem. Ale to... - Palmer podszedł do zagajnika drzew.

Thome podążył za nim. Niebo było czyste, ale w nocy przeszła ulewa i wiatr, który się zerwał, zwiewał chłodne krople z brązowych paproci i szarych jaworów. Długie żdźbła trawy, ciężkie i wilgotne, przylepiały się do ich nóg. Thome miał na spodniach specjalne ochraniacze, ale dzinsy Palmera całkiem już przemokły.

- Może załom nasypu - rzekł Thome. - Szczególny układ drzew. Cokolwiek, co mogłoby zawęzić obszar poszukiwań.

Palmer pokiwał głową.

- Rozejrzę się.

Thome dostrzegł na twarzy tamtego zakłopotanie, pod nim jednak malował się ten sam co zwykle charakterystyczny grymas. Inspektor widział go na zdjęciach na pierwszych stronach gazet. Palmer sprzed pół roku mrugający powiekami, rozmarzony, ze szklanką drinka podczas jakiegoś kretyńskiego biurowego przyjęcia. Zrobiono mu zdjęcie, gdy chował się w kącie, z rozszerzonymi oczami i źrenicami, poczerwieniały od flesza. Robił, co mógł, by udawać, że świetnie się bawi, lecz nie wyszło mu to najlepiej.

Thome mógł się założyć, że autorem tych zdjęć był Sean Bracher. Gdyby ten oślizgły palant stanął teraz przed nim, zapewne dałby mu popalić, ale nie potrafił długo się na niego złościć. Bracher, jak ta sprzątaczką w hotelu, która postanowiła zarobić na zabójstwie, po prostu wykorzystywał okazję. Tragedia jednej osoby i tym podobne. Jednorazowy szybki zysk. Małe sportowe autko i parę tygodni na Antigui z dziewczyną. To było tylko zdjęcie. Chrzanić to, w sumie czemu nie...

Palmer z tą samą miną rozglądał się teraz dokoła.

I nagle Thome zrozumiał, co dostrzegał na jego twarzy: zażenowanie. Był zażenowany, że się tu znalazł. Ze trafił na to przyjęcie. Ze wszedł na posterunek i przyznał się do morderstwa. Thome zorientował się, że tamten czuł się zażenowany, gdziekolwiek się znalazł.

Palmer jęknął z cicha, jego dezorientacja narastała, a Thome zrozumiał, że nawet pory roku zmówiły się przeciw niemu, przeciwko nim obu. Palmer zapamiętał to miejsce takim, jakie było latem. Wtedy drzewa musiały być ciężkie od kwiatów i owoców. Dziś ociekały wodą, ciemne i kościste jak palce szkieletów.

- Może pomoże ci, jeśli pomyślisz o tym miejscu w kontekście domów - podsunął Thome. - Pamiętasz, gdzie mieszkał Nicklin?

Obaj unieśli wzrok w stronę szczytu nasypu. Za linią drzew można było dostrzec anteny telewizyjne i talerze satelitarne.

Palmer pokręcił głową.

- Są inne. Nowsze.

- A co z mostem? Możesz coś ustalić na tej podstawie?

Palmer spojrzał na oddalony o kilkaset metrów metalowy most wznoszący się ponad kotliną.

- Wcześniej go tam nie było. Dopiero budowali. Pamiętam hałas...

Thome owi zrobiło się nagle bardziej mokro i chłodno, gdy coś mu przyszło do głowy. Jak podstępny i sprytny mógł być czternastoletni Stuart Nicklin? Czy Karen McMahon została pogrzebana pod stu tonami betonu wspornika mostu? Jeżeli tak, to nigdy jej nie

znajdą. Jesmond zresztą nigdy by się nie zgodził na takie poszukiwania. I tak miał niezły zgryz, aby zorganizować poszukiwania na tę skalę. Ostatecznie pomogły im trzy magiczne litery. Po rozmowie z Hendricksem nie był co prawda pewien, czy to możliwe, ale pojawiła się nikła szansa na pozyskanie DNA zabójcy. Ostatnie ofiary Nicklina nie zdołały im tego zapewnić, ale może kiedy zaczynał, nie był aż tak ostrożny.

DNA - wielki przełom w walce o schwytanie i skazanie zabójców. Użyteczna bróń, kiedy chce się zamącić w głowach dość tępawym w sumie przełożonym...

Palmer przeniósł wzrok z mostu na zbocze nasypu po obu jego stronach. Popatrzył na małą grupkę umundurowanych policjantów rozstawionych w różnych miejscach na nasypie po prawej. Niektórzy tkwili w bezruchu, z krótkofalówkami w dłoniach, inni poruszali się wolno, podobnie jak on i Thome.

- Co teraz będzie? - spytał Palmer - Co dalej?

- Kiedy tylko odnajdziemy to miejsce, jeżeli zdołasz je jakoś rozpoznać, przybędzie ekipa, by oczyścić ten obszar, wykarczować chwasty i z pomocą ciężkiego sprzętu trochę tu ogarnąć. Zrobi się spore zamieszanie.

Palmer pokiwał głową. Nie to chciał wiedzieć.

- Ale co potem? Chodzi mi o poszukiwania. O kopanie...

Thome wydał policzki. Jako że od lat nie uczestniczył w takiej operacji, nie miał stuprocentowej pewności.

- Zjawi się grupa specjalnie przeszkolonych funkcjonariuszy. Zapewne z psami...Palmer drgnął. Thome zdziwił się, jak można było szkolić psy do... czegoś takiego. Wolał długo się nad tym nie zastanawiać.

Wyczuwanie narkotyków to jedno, ale wyczuwanie śmierci? W Stanach nazywano je „trupimi ogarami”.

Wyjątkowo wyrazista wizja na moment wytrąciła go z równowagi, zapierając dech...

Długie wywalone ozory, łapy rozgrzebujące grunt. Rozdzierające delikatny muślin skóry i napierające na kruche, białe, zwapniałe kości...

Thome odczekał kilka chwil.

- Potem, kiedy już znajdziemy ciało, sprowadzimy eksperta od anatomopatologu sądowej...

Palmer wszedł mu w słowo:

- Niczego nie znajdziecie. - Patrzył na Thome a. Ręce miał skute z przodu, a jego przygarbiona postawa i niezdarny chód stały się niemal komiczne. Wyglądał jak Quasimodo.

- Czemu miałyby tu być?

Pytanie z pozoru szczere i autentyczne sprawiło, że Thome zadał sobie własne. Już je sobie wcześniej zadawał. Dlaczego Palmer nie wziął pod uwagę tego, że Nicklin mógł mieć jakiś związek ze zniknięciem Karen McMahon?

- Może nie wtedy - rzekł Thome. - To całkiem oczywiste. Ale teraz, odkąd wrócił i zaczęło się zabijanie, teraz, kiedy już o nim wiesz. Czy nie brałeś tej ewentualności pod uwagę?

Przez usta Palmera przemknął cień uśmiechu, jak wówczas, kiedy Thome wcześniej próbował wyrzucić na niego presję i raz po raz powtarzał jedyną odpowiedź, jaką sobie wówczas przygotował.

- Chyba wszystko jest możliwe. Jeżeli ktokolwiek z nas był odpowiedzialny za to, co stało się tego dnia z Karen, to raczej ja...

- Powiedz mi dlaczego.

Palmer wychylił się do przodu, jakby miał zaraz się przewrócić, ale w ostatniej chwili zrobił potężny krok i utrzymał równowagę. Thome obserwował go przez kilka chwil, zastanawiając się nad tym, co usłyszał. Czy Palmer ukrywał coś, co miało związek z Karen? A może chodziło o coś innego? O coś, co miało związek z Nicklinem?

Thome poszedł za nim, Palmer hałaśliwie torował sobie drogę wśród chwastów. Wiatr szeleścił żdźbłami traw kołom rdzy. Wydawa-

274 ły się tak ostre, że mogłyby rozciąć skórę do krwi. Ziemia pod stopami była wilgotna i rozmiękła. Błotnista woda wlewała się Thome owi do butów.

- Czasami z nią rozmawiam - rzekł nagle Palmer. - Choć wiem, że to brzmi idiotycznie.

Thome tak nie uważał. Przez lata niejednokrotnie odbywał, choć niekoniecznie z własnej woli, rozmowy z nieboszczykami.

- O czym z nią rozmawiasz?

- Teraz to w sumie o niczym, ale kiedyś opowiadałem jej, co robię.

- Rodzaj wyznania?

Palmer chrząknął głośno.

- Oczywiście ona i tak o wszystkim wiedziała.

- Wybaczyła ci?

- Nigdy nie było wiadomo, co myślała Karen. Chyba nawet Stuart tego nie wiedział...

Palmer wysforował się o kilka kroków naprzód. Skręcił ostro w lewo z dala od nasypu, który wznosił się stromo w kierunku nowych osiedli mieszkaniowych i znacznie łagodniejszego stoku z drugiej strony. U szczytu wysoka metalowa siatka oddzielała ten

zapuszczony splachetek zieleni od lśniącego nowego pejzażu industrialnego powyżej. Thome spojrział na nasyp po prawej. Funkcjonariusze śledzili każdy ich ruch, kilku powoli zaczęło schodzić po śliskim stoku.

- Oczywiście ona zawsze wiedziała, o czym ja myślałem. Przez cały czas... - Powiedział coś jeszcze. Thome wyteżył słuch, ale słowa zagłuszył wiatr.

Kroki Palmera stawały się coraz dłuższe, odległość między nim a Thomeem rosła z każdą chwilą. Thome nieznacznie przyspieszył, teraz jednak przedzierali się przez gęstą trawę i poruszanie się było znacznie utrudnione. Choć grunt był tu suchszy, podszycie wydawało się gęstsze i kroki stawały się cięższe. Nie mógł unosić nóg dostatecznie wysoko, by przestępować nad gęstymi zaroślami orlicy i dzikiej róży. Przedarł się przez kępę wrzośców i ostów. Zaklął, kiedy zahaczył dłonią o coś ostrego, uniósł rękę do ust i na sekundę lub dwie stracił Palmera z oczu. Rozejrzał się gwałtownie dokoła, by ujrzeć o sto metrów dalej policjanta zjeżdżającego po stoku na tyłku. Już miał go zawołać, gdy usłyszał głos Palmera...

- To chyba dlatego, że ją kochałem. Zawsze ją kochałem...

Thome odgarnął na bok zwisające gałęzie zeschniętych jeżyn i zobaczył go stojącego trzydzieści metrów dalej. Thome oddychał ciężko. Zrobiło mu się głupio. Patrzył na Palmera zastygłego, jakby połknął kij. Czym tak się przejmował?

Po śladach dotarł przez sięgające do kolan zarośla do miejsca, w którym zatrzymał się Palmer. Stał obok niego.

- Czy Karen była jedyną kobietą, którą kochałeś?

- Tak. Jedyną kobietą. - Odwrócił się do Thome'a i uśmiechnął smutno jak półgłówek.
- Oczywiście zawsze kochałem Stuarta.

Palmer uniósł zakute w kajdanki ręce i, jak umiał najlepiej, wskazał w stronę gruzłowatych czarnych korzeni posępnego dębu kilka metrów dalej.

- To tutaj. Znalazłem tu kiedyś pisklę. - Odwrócił się i zaczął z przejęciem rozglądać się to w jedną, to w drugą stronę. - Tam były baraki, w których rozrabialiśmy. A dom Stuarta stał tam. - Spojrzął na Thome'a i pokiwał głową. - To tu przychodziliśmy. Tu spotykaliśmy się we trójkę. To tu po raz ostatni widziałem Karen.

Thome odwrócił się. Po dłuższej chwili rozpoznał Dave'a Hollanda na szczycie nasypu rozmawiającego z dwoma mundurowymi i pijącego herbatę. Thome włożył dwa palce do ust i głośno gwizdnął, aby zwrócić uwagę Hollanda. Kiedy tamten usłyszał, zaczął pokazywać ręką w kierunku wskazanym przez Palmera.

Holland pomachał do niego i uniósł krótkofalówkę do ust.

Zerkając w lusterko wsteczne, Thome zauważył, że Palmer siedzi z pochyloną głową, jakby gapił się na obrączki na przegubach, a kątem oka zerka na Dave'a Hollanda, który siedział obok niego i którego obecność przypomniła mu, w jaki sposób kajdanki znalazły się na jego rękach. I jak on sam znalazł się w tym samochodzie. Detektyw prowadzący opła vectrę za nimi wychwycił spojrzenie Thome a i błysnął światłami. Thome uniósł rękę w porozumiewawczym geście.

Niewielki konwój skręcił w lewo, w zjazd do Blackwall Tunnel i ruszył w kierunku Woolwich, wracając do zakładu karnego Belmarsh.

Palmer odezwał się z głupia frant, jakby prosił o uchYLENIE okna, ale przez ryk silnika forda mondeo i innych aut Thome usłyszał w jego głosie pragnienie.

- Dostanę dożywocie, prawda? Już stamtąd nie wyjdę...

Thome starał się nigdy nie myśleć o procesie. Naturalnie potrzebował dowodów, ale do tego czasu jego zadanie - o ile wykona je jak należy - zostanie zakończone. Wtedy będzie już zapewne pracował nad jakąś inną sprawą. Niekiedy, w ostatnich latach niestety zdarzało się to coraz częściej, jakiś kretyński sędzia - prawdziwy beton, który nie wiedział, co to muzyka rap, i uważał, że kobiety noszące mini same aż się proszą o gwałt - mógł zniweczyć wysiłki ich wszystkich, skazując mordercę na karę, jaką ktoś inny mógłby otrzymać za przywłaszczenie sobie książki z biblioteki...

- Dostanę dożywocie, prawda? - Z naciskiem na „dostanę”. - Sądzi pan, że...

Rzut oka w lusterko wystarczył, by Thome, ujrzał Palmera, który uniósł głowę i patrzył tępo przed siebie. Thomp odpowiedział, jak potrafił najszczerzej.

- Mam nadzieję, że tak.

Palmer pokiwał głową do siebie i Hollanda. Thomeowi wydawało się, że tamten odetchnął z ulgą.

- A poza tym, kiedy już tam trafię, zostanę odizolowany, prawda? Czytałem gdzieś, że tak robią z zabójcami kobiet. Odizolowują ich, bo inni osadzeni, ci uczciwi, porządni złodzieje, bandyci od napadów z bronią w rękę i najemni mordercy, załatwiliby takiego typa jak ja przy pierwszej nadarzającej się okazji. Czy to prawda?

Thome nie zamierzał temu zaprzeczać.

- Niekiedy tak się robi. Zwykle dotyczy to pedofilów, którzy molestowali dzieci...

- Wiem, ale ja też z pewnością stałbym się ich celem - To nie było pytanie. Thome wzruszył ramionami, a Palmer mówił dalej: - Nie ma takiej możliwości, abym był odizolowany na okrągło, przez cały czas, prawda? Nawet jeśli jest się z... innymi podobnymi więźniami, tymi szczególnymi. Istnieje swego rodzaju porządek dziobania, a przynajmniej tak

mi się wydaje. Jeśli jesteś zbrojcem, który zamordował uczennicę, to jesteś gorszy niż bydlak, który zabił pensjonariuszkę domu starców. Facet, który zatłukł na śmierć żonę, nie jest tak znienawidzony jak morderca dwóch nieznanymi kobiet...

Thome nie chciał dłużej tego słuchać. Z początku brzmiało to jak próba odzyskania odrobiny pewności siebie. Teraz wydawało się raczej uzalaniem się nad sobą.

- Posłuchaj, Palmer, jeśli chcesz, abym powiedział ci, że w pace będzie ciężko, masz to jak w banku. Zmienawidzisz to. Z całą pewnością. Ale przecież nie jesteś głupi, prawda? Nie o to ci chodzi, zgadza się?

- Tak, jasne...

- Jeżeli chcesz wykrzesać ze mnie choć odrobinę współczucia...

- Nie, ani myślę...

- To dobrze. - Thome dodał gazu i wjechał na Woolwich Church Street; po lewej stronie miał teraz rzekę. Spojrzał w lusterko, by upewnić się, że opel vectra nie zatrzymał się na światłach. Przeniósł wzrok na Hollanda, który - odkąd wsiedli do auta - praktycznie nie odezwał się ani słowem. Wyglądał przez okno pogrążony w zamyśleniu. Ot ciało, do którego był przykuty więzień.

- Musisz pamiętać jeszcze o jednym, Palmer. Tak, masz rację, że będziesz zmienawidzony, ponieważ molestowałeś kobiety. Nie ma znaczenia, dlaczego je zabijałeś, ci, co zechcą zrobić ci z tego powodu krzywdę, będą sądzić, że powodowały tobą pobudki seksualne. Ale takich jak oni psychologia nie interesuje. Nie mają na to czasu. To znaczy czasu mają pod dostatkiem, ale wisi im to. Wystarczą im własne przypuszczenia.

Palmer uniósł jedną rękę, zmuszając Hollanda, by uczynił to samo, i podrapał się paznokciem kciuka w bok głowy.

- Chyba głupotą byłoby prosić, aby ktoś wyjawiał im prawdę.

- Jeszcze jaką. Zresztą to tylko pogorszyłyby sprawę. Oni będą mieć dwa powody, aby cię zmienawidzić.

- To znaczy...?

- Dwa powody, aby chcieć zrobić ci z twarzy miazgę w toalecie. Aby spuścić cię po schodach na kopach albo wbić ci pod żebro kosę, gdy będziesz stał w kolejce po miche w stołówce. Nie zrozum mnie źle, ci ludzie mają ściśle określony kodeks moralny, tyle że dalece różni się on od normalnie pojmowanych reguł, którymi posługuje się reszta społeczeństwa. - Thome wychwycił w lusterku wsteczne spojrzenie Palmera. - Oni nienawidzą mężczyzn, którzy krzywdzą kobiety albo udają, że ich nienawidzą, nieistotne, jaka jest prawda, i jeśli

dopisze ci szczęście, może tylko naszczają ci do herbaty. Ale bardziej niż czegokolwiek nienawidzą tchórzy, a do tego gardzą nimi. A w twoim wypadku dostają dwa w jednym.

W lusterku pojawiła się sylwetka opla vectry, a Palmer opuścił głowę i osunął się na siedzeniu. Zadowolony ze swego krótkiego, acz treściwego monologu, Thome poczuł się jak dorosły, który zagrał w grę z małym dzieckiem i nie pozwolił mu wygrać.

Dziesięć minut później Thome zjechał na pobocze i zatrzymał samochód. Opel zrównał się nimi, czterej funkcjonariusze wymienili spojrzenia; obce samochody czekały na możliwość włączenia się do mchu. Kilometr dalej, po drugiej stronie drogi, za rozległą polacją zrehabilitowanych słonych błot wznosiło się więzienie. Jak wielki betonowy magazyn...

Świat przestępców, królestwo morderców.

Kierowca drugiego auta podniósł oba kciuki, spoglądając na Thome a i przyspieszając, włączył się do mchu, znikając wśród aut zmierzających w stronę miasta. Thome ruszył wolno w stronę głównej bramy więzienia, a za jego oczami zaczął się rodzić tępy ból.

Spojrzał na zegar na desce rozdzielczej, jadąc podjazdem w kierunku szlabanu. Było wpół do drugiej. W duchu zaczął się zastanawiać, co będzie robił za pół godziny.

Nic nie zapowiadało, aby ten dzień miał przynieść coś dobrego.

20

Gdyby ktoś powiedział Thome owi, że ładnie śpiewa, prawdopodobnie stałoby się to na pogrzebie...

Ale on naprawdę miał miły głos, zdumiewająco wysoki i dźwięczny jak na kogoś, kto wyglądał tak, jak wyglądał, i mówił tak, jak mówił, i zazwyczaj dla ludzi, którzy mieli okazję słyszeć go po raz pierwszy, było to sporym zaskoczeniem. Śpiewał, jak większość osób, wyłącznie na ślubach czy pogrzebach.

Skończyli właśnie Pan jest moim Pasterzem i usiedli. Kiedy dyrektor Brian Marsden podszedł do pulpitu, Thome powiódł wzrokiem po twarzach otaczających go ludzi. Zebrało się ich sporo - jakieś sześćdziesiąt pięć, siedemdziesiąt osób. Większość stanowili przyjaciele i koledzy. Kilka pokoleń nauczycieli i dawnych uczniów, ale było wśród nich też wielu, którzy siedzieli, szurając stopami - najwyraźniej uczestniczyli w ceremonii z obowiązku.

Nie należeli do rodziny, byli funkcjonariuszami policji. Wśród nich znaleźli się też Thome i McEvoy, trzon zespołu śledczego. W kościele nie zabrakło także sierżanta Malcolma Jaya z Harrow i Dereka Lickwooda. Przybył również Steve Norman, by przechwycić

wszystkich niepożądanych reporterów, którzy chcieliby zamienić kilka słów z pogrążonymi w smutku krewnymi.

Podczas składania kondolencji żałobnicy byli uważnie obserwowani, na wypadek gdyby zjawił się zabójca, aby rzucić garść ziemi na trumnę. Nie byłby pierwszy. Choć jak zawsze Thome miał wątpliwości, czy nawet gdyby morderca się pokazał, zdołałby go zidentyfikować. Na pewno nie byłby ubrany w krzykliwe barwny strój i nie chichotałby podczas mowy pogrzebowej. Nie wyglądałby na zaniepokojonego ani nie zakasłałby nerwowo na słowa kapłana mówiącego o nagłym odejściu drogiego nieobecnego do domu Ojca. A jednak warto było to zrobić. Zapytają dyskretnie o listę uczestników uroczystości, którzy jeszcze dyskretniej zostaną sfilmowani podczas wychodzenia z kościoła.

Thome rozejrzał się dokoła. W ostatniej ławce siedziało sztywno sześciu czy siedmiu uczniów, zapewne szóstoklasistów, ubranych w eleganckie garnitury. Jeden z chłopaków pochwycił spojrzenie Thome'a i uśmiechnął się, Thome skinął niemal niedostrzegalnie głową i odwrócił wzrok. Nauczyciele, było ich ze dwudziestu, zajmowali ławki po lewej. Mieli na sobie szkolne togi i birety z płaskim kwadratowym wierzchem. Wszyscy patrzyli na wysokiego siwowłosego mężczyznę przy pulpicie. Głos dyrektora poniósł się echem wewnątrz kościoła jak każdego ranka w sali głównej szkoły imienia króla Edwarda. Thome spojrzał na ponury wyraz malujący się na pociągłym obliczu Briana Marsdena i domyślił się, że tamten wyglądał dokładnie tak samo każdego dnia.

Rodzina siedziała w pierwszym rzędzie. Nastoletni siostrzeniec i siostrzenica. Siostra po czterdziestce. Ojciec...

Thome spojrzał na staruszkę i dostrzegł w nim cień dziadka Charliego Gamera. Był jakiegoś trzydzieści lat starszy i nieco delikatniejszy, ale miał ten sam nawiedzony wyraz twarzy. Jakby został wydrążony i nie zostało nic, co mogłoby łączyć ze sobą poszczególne kości.

Zebrani powstali, aby zaśpiewać kolejną pieśń, organista, fałszując niemiłosiernie, zaintonował Trwaj przy mnie. Kiedy Thome wstał, pochwycił spojrzenie dyrektora, który po wygłoszeniu mowy na cześć Kena Bowlesa wrócił na swoje miejsce. Thome otworzył usta, by przyłączyć się do śpiewu, i zdał sobie sprawę, że nie usłyszał ani słowa z tego, co zostało powiedziane.

Później przed kościołem zebrani patrzyli, jak trumna jest wstawiana do karawanu. McEvoy poszła, aby poprawić makijaż, a do Thome'a dołączyli Malcolm Jay i Derek Lickwood. Obaj palili jednego papierosa za drugim i stali niepewnie, nie wiedząc, co zrobić z rękami, i starając się nie wyglądać jak policjanci.

- Inspektorze Thome...?

Thome odwrócił się, słysząc znajomy głos, i zobaczył uśmiechniętą twarz Andrew Cooksona, nauczyciela, który oprowadzał go po szkole.

Nauczyciela, którego przed dwoma tygodniami Thome omyłkowo spisał na straty i uważał za zmarłego.

- Kryje się pan w tłumie? - rzucił ze śmiechem Cookson.

Thome skinął głową i odwrócił się do kolegów. Najwyraźniej nie udało im się wtopić w otoczenie.

- Sierżant Jay, nadinspektor Lickwood...

- Andrew Cookson. Pracowałem z Kenem.

Kiedy wymienili uściski dłoni, Thome spojrzał na mężczyznę stojącego obok Cooksona. Głowę miał całkiem łysą i pokrytą brązowymi plamkami. Opierał się na lasce i gapił gdzieś w dal, jego zuchwa poruszała się nieustannie, jakby wciąż coś przeżuwał. Nagle odwrócił głowę i spojrzał na Thome'a.

- Dziękuję za przybycie.

- Przykro mi z powodu pańskiego syna. Moje kondolencje - rzekł Thome.

Cookson cofnął się i ujął starego pod łokieć.

- To Leslie Bowles, ojciec Kena.

Thome zauważył, że Jay i Lickwood wymienili niepewne spojrzenia. Zanim zdążyli cokolwiek powiedzieć, odezwał się starszek.

- To bardzo miło ze strony Andrew, że tak się o mnie troszczy...

- Nie ma o czym mówić - wtrącił Cookson.

- Nawet mnie nie znasz.

- Znałem Kena...

- Nie tak dobrze jak niektórzy.

Cookson wzruszył ramionami i pokręcił głową.

Bowles postąpił krok w stronę Thome'a i innych.

- To się powinno skończyć, prawda? - spytał. - Wszyscy mówią, że zachodzi zmiana, kiedy się starzejesz, i to o ciebie trzeba dbać. Rodzic staje się dzieckiem... - Po wytwornym akcencie można było się domyślić, że jest dobrze wykształcony. Głos miał zdumiewająco silny i głęboki. Thome wiedział, że starszek jest twardszy, niż mogło się wydawać. - Ale tak naprawdę to bzdura. Nawet kiedy gotują dla ciebie i robią za ciebie zakupy. Nawet kiedy zapinają za ciebie guziki od piżamy i udają, że słuchają twoich kretyńskich historyjek, nawet... - Jego oczy zabłyśły i zniżył głos do konspiracyjnego szeptu. - Nawet kiedy

podcierają ci tyłek, nadal jesteś ojcem... - Głos nagle zaczął mu się łamać. Przełknął ślinę, wziął głęboki oddech i mówił dalej, krótszymi zdaniami, gorączkowo łapiąc powietrze. - To się nigdy nie kończy, nigdy. Ty wciąż jesteś ojcem, a on synem. On nadal jest synem. Odwrócił głowę. Jego żuchwa znów zaczęła się poruszać.

- Tato. Są już gotowi... - Tuż za nimi pojawiła się córka Lesliego Bowlesa.

Thome patrzył, jak odchodzą wolno w stronę linii aut, i zauważył McEvoy mijającą ich na żwirowej ścieżce, zmierzającą w jego stronę.

- Jest niesamowity - rzekł Cookson, popatrując na staruszkę.

- Musi mieć z dziewięćdziesiątkę na karku.

Zjawiała się McEvoy. Skinęła głową do Lickwooda i Jaya, stanęła obok Thome a.

- Szminka nałożona. Wszystko jest jak należy. Co się dzieje?

Thome zauważył spojrzenie Cooksona i dokonał prezentacji.

- Andrew Cookson, wykładowca w szkole króla Edwarda. To detektyw sierżant McEvoy...

McEvoy i Cookson uścisnęli sobie ręce.

- Pomyliłem się - rzekł. - Nie wszyscy jesteście tacy sami.

- A więc zwrócił pan na to uwagę? - spytała z sarkastycznym uśmiechem McEvoy. - A pan jest nauczycielem, zgadza się?

Samochody odjeżdżały jeden po drugim sprzed kościoła. Żałobnicy ruszyli wolno w ślad za nimi, rozkładając parasole, bo zaczęło padać. Thome był zadowolony. Wciąż jeszcze był przemoczony po wizycie przy torach i zmarzły mu stopy, ale uznał, że na pogrzebie mężczyzny powinien padać deszcz. Powinien towarzyszyć temu szelest parasoli i bębnienie deszczu o wieko trumny, powinna też pojawić się nikomu nieznana kobieta zalewająca się łzami... a to wszystko powinno być okraszone morzem alkoholu.

Może po prostu myślał o swoim pogrzebie...

- Chodźmy - rzekł i wraz z innymi ruszył w stronę, gdzie stały samochody. Do cmentarza było stąd z pięć kilometrów. Tylko cmentarz, żadnego krematorium. Tylko pogrzeb, na wypadek gdyby ciało miało zostać kiedyś poddane ekshumacji i badaniom ekspertów.

A co później? Teraz badania. Kopanie.

Przypomniał sobie, co robił tego ranka, znów pomyślał o psach. Szczekanie, wycie, grzebanie w ziemi) Węszenie odoru trupa pośród puszek po coli, niedopałków i zielska.

Lunęło na dobre, gdy dotarli do samochodów. Thome i McEvoy wsiedli do forda mondeo. Uruchomił silnik, przypominając sobie, że wciąż nie naprawił ogrzewania, włączył

skrzypiące wycieraczki. Wyjechał na główną drogę i podążył w ślad za większymi czarnymi autami.

To przeze mnie zginął Ken Bowles.

Thome wiedział, że to prawda i zawsze będzie tego żałował, ale złapie zabójcę. Wiedział, że gdy stanie nad grobem Bowlesa, dopadną go wyrzuty sumienia palące jak żywy ogień, rozdzierające wnętrzności i wypalające mózg.

Wiedział też, że patrząc, jak trumna jest opuszczana do ziemi, będzie myślał o Carol, matce Charliego Gamera, spoczywającej już w grobie. I o Katie Choi i Miriam Vincent w ich mogiłach. Kiedy Ken Bowles zostanie złożony do grobu, Thome będzie myślał o Karen McMahon w jej nieznannej, zapomnianej, przez nikogo niedogładanej mogile.

Ta mogiła była o wiele płytsza niż grób Bowlesa.

Siedział roztrzęsiony. Po przeciwnej stronie stołu płakała Caroline. On też był bliski łez...

Ugotowała makaron. A potem siedzieli i rozmawiali o tym, co każde z nich robiło w ciągu dnia, co nie było łatwe, aż tu nagle znów podjęła temat dzieci. To się działo co kilka miesięcy, a w jego wypadku wszystko sprowadzało się do właściwie wydawanych dźwięków. Będzie kiwał głową, uśmiechał się i wskazywał na otwierającą się przed nią drogą do kariery. Zapyta ją, czy to aby na pewno właściwy moment, ściśnie ją za rękę, po czym zapewni, że oczywiście on także chce mieć dzieci, ale muszą mieć co do tego pewność. Muszą podjąć tę decyzję wspólnie...

Tego wieczoru nie był w stanie wcisnąć jej nawet tak gładkiego kitu. Jego umysł błędził gdzieś jak przez cały miniony dzień. Tak wiele było do rozważenia, tyle należało rozpatrzyć. Wciąż poszukiwał czegoś, co by go ożywiło, co rozpaliloby jego wyobraźnię. Wiedział, co miał zrobić, ale musiał to jeszcze zwizualizować. Wielka idea, koncepcja, która zastąpi krótkotrwałą przygodę z Palmerem.

Caroline mówiła o odzieży ciężowej i urlopie macierzyńskim...

Należało stworzyć nowy scenariusz, wprowadzić nowy element do gry, która stawała się nudna i mało wymyślna. Zastanawiał się nad jakimś urozmaiceniem samego zabijania. Wyobrażał sobie nowe ciekawe sposoby odbierania ludzkiego życia, ale w końcu wyszedł mu z tego scenariusz jak ze starego filmu wytwórni Hammer, z Vincentem Priceem uśmiercającym tych, co weszli mu w drogę, na podobieństwo egipskich plag albo szekspirowskich tragedii.

Musiał pokusić się o kontekst, ukształtować swoje otoczenie tak, by zaczęło iskrzyć i stymulować go, przepełniając nową mocą i energią do działania.

Przede wszystkim musiał iść naprzód. Żadnych przestojów czy cofania się.

To właśnie powinno go pochłonać, ale przeszkodził mu w tym gniew. Nie mógł myśleć twórczo, kiedy to zaćmiewało mu umysł, nie pozwalając się skupić.

Był wściekły, że tamci szukali Karen.

Caroline nachyliła się nad stołem i ujęła go za rękę. Czy może być po temu lepszy czas? Mają dobrą pracę, nieźle zarabiają. To nie będzie proste, z pewnością będą musieli się przygotować, ale dadzą radę...

Obserwował Thome'a i Palmera przy torach. Thome próbował tamtego mobilizować, podpowiadać, Palmer w kajdankach wyglądał po prostu żałośnie. Widział, jak szli wzdłuż nasypu niczym dwie cioty lubujące się w sadomaso. Co u licha Thome chciał zyskać, nawet gdyby zdołał ją odnaleźć?

Jej rodzina im pomoże. Wesprze ich, także jeżeli chodzi o wychowanie dziecka. Będą mogli wspólnie wychodzić, mieć własne życie...

To była jego przeszłość i nie pozwoli, by ktokolwiek ją zakłócił. Nie chciał jej zmieniać. Kiedyś, jeśli tajemnica zostanie odkryta, to tylko za jego sprawą. On ich do niej doprowadzi i nikt inny. To on miał wszystko pod kontrolą.

Chodziło o wspólną pracę i wspieranie się wzajemne...

Musiał stłumić w sobie gniew. Tak, to mogło się udać. Niech inna jego część skupi się na przyszłości, na znalezieniu nowej podniety...

Caroline nie chce zbyt długo tego odwlekać. Chce być matką, póki jest jeszcze młoda...

Znajdzie ją, oczywiście że tak, potrzebował tylko odrobiny luzu, aby się tym zająć, ale Thome i reszta zaczęli deptać mu po piętach.

Dziecko znów ich zbliży, sprawi, że odzyskają to, co utracili...

Widział ją w myślach, jeszcze nieuformowaną i nie całkiem osiągalną.

Czy nie chce mieć dzieci? Mówił, że chce.

Jak coś na końcu języka, coś prawie sformułowanego... co, do cholery, kombinował ten pojeb, Thome?

Czy już jej nie kocha?

Wychylił się do przodu i spoliczkował ją.

To nie była jego wina. Nie chciała się zamknąć, zamilknąć choć na chwilę, aby mógł się skupić. W sumie to zapewne nie jej wina, przecież nie wiedziała, co go zaprzętało, prawda? Nie potrafiła go przejrzeć, nie wiedziała, co skrywał pod uśmiechem i tą nieprzeniknioną maską beznamietnego oblicza, ale mimo wszystko, do cholery...

Potrzebował odrobiny swobody, aby uporać się ze swoimi problemami. Aby oddzielić gniew od kreatywności. Spojrzał na nią. Odcisk dłoni był wyraźnie widoczny, szkarłatny ślad na szczęce i szyi.

Głupia cipa. Wciąż tylko paplała o dzieciach. Teraz, kiedy on potrzebował ciszy i spokoju, aby podumać o śmierci.

Dla Thome a kubek herbaty przed snem stał się swoistym rytuałem. Nocna przechadzka do sklepu, kiedy stwierdził, że zabrakło mu mleka, także nie była dla niego niczym nowym.

Bywał w tym sklepiku co najmniej pięć razy w tygodniu. Trzej bracia, którzy go prowadzili, byli Turkami, a może Cypryjczykami. Nie znał ich nazwisk. Uśmiechali się czasem, gdy kupował chleb, gazetę i piwo, ale raczej nie chcieli go poznać;;

Kiedy Thome sięgał do kieszeni, by zapłacić za piwo, wyobraził sobie, że zostawił portfel w domu. Zastanawiał się, czy daliby mu zakupy na kredyt. Bądź co bądź, przez ostatnie półtora roku bywał w ich sklepiku sześć razy w tygodniu. Pozwoliliby mu zapłacić przy następnej okazji? Zapewne nie. Może gdyby wyjął legitymację i pokazał, że jest gliną.

Przed sklepem, czekając na światłach, Thome zerknął na reklamy naklejone na szybie wystawowej. Ta, która przykuła jego uwagę, napisana była czerwonym flamastrem na odwrocie pocztówki. W reklamie był błąd ortograficzny, ale oferowane usługi wydawały się dość atrakcyjne.

To już tyle czasu.

Thome wyjął pióro i zapisał numer na kartonie z mlekiem.

21

Znaleźli Karen McMahon w ciągu dwunastu godzin.

Ze szczytu nasypu widać było wyraźnie, gdzie pracował zespół. Odgradzony białym namiotem obszar wokół grobu odcinał się wyraźnie na tle brązów i ciemnej zieleni długich traw i paproci. Biały prostokąt wznoszący się nad kośćmi.

Holland zaczął schodzić po stoku w stronę stanowiska, McEvoy szła kilka metrów za nim. Oboje dotarli tam jednocześnie wraz z jeszcze jednym konstabłem i śledczym. Rozmowa w aucie jakoś się nie kleiła. Teraz szli wolno po zboczu, ich białe plastikowe kombinezony szeleściły głośno. Wyglądali jak kosmici, z trudem stawiali kolejne kroki.

Grób odkryto w jednym z rowów odprowadzających, biegnących wzdłuż nasypu u podnóża zbocza. Kiedy tylko wycięto trawę, chwasty i zarośla, nietrudno było go dostrzec ani do niego dotrzeć. Rów miał metr dwadzieścia szerokości, ale poruszanie się w nim było

utrudnione. Błotniste ściany groziły osunięciem i trud wielu godzin ciężkiej pracy mógł zostać zniweczony jednym nieostrożnym stąpieniem.

Holland i McEvoy nałożyli maski i weszli do namiotu. Było tam ciasno i tłoczno. Znajdowało się tam już pół tuzina osób pochylających się lub kucających; namiot nie był na tyle wysoki, by można w nim było stać wyprostowanym. Słońce niedawno weszło. Poranek nie był ciepły, ale w namiocie panował okropny zaduch. Choć lampy przed namiotem wygaszono, wewnątrz wciąż dwie się paliły i temperatura rosła z każdą chwilą. Holland czuł, jak pot spływa mu strużkami pod kombinezonem, gdy ostrożnie minął Phila Hendricksa kucającego przy grobie i podszedł do miejsca, gdzie Thome prowadził ożywioną rozmowę z doktorem Jamesem Pettetem.

Thome popatrzył na Hollanda i McEvoy, gdy weszli do namiotu. Przez kilka chwil zastanawiał się, czy tych dwoje może coś łączyć. Coś wisiało w powietrzu... Odegnął od siebie tę myśl i powrócił do rozmowy o śmierci i rozkładzie.

Jako anatomopatolog sądowy James Pettet był prawdziwym ekspertem, ale jako człowiek nie robił większego wrażenia. Gdyby Thome nigdy więcej go nie spotkał, nie miałby czego żałować.

-...wilgoć jest sojusznikiem rozkładu. Wilgoć i gorąco w połączeniu tworzą naprawdę piorunującą mieszankę. Ale czy to dobre, czy złe... cóż, wszystko zależy od punktu widzenia.

Thome odetchnął głęboko pod maską i bardzo szybko zamknął usta. Zależy od punktu widzenia?

- Zważywszy na to, że ciało pogrzebano w rowie melioracyjnym w środku lata, to cud, że w ogóle coś mamy. - Głos Petteta był głęboki, mówił takim tonem, jakby miał lada moment przysnąć zmęczony wysiłkiem, jaki kosztowało go tłumaczenie tego wszystkiego imbecydom. - Proszę zwrócić uwagę na całkowity brak tkanek miękkich oraz na to, że nawet same kości zrobiły się gąbczaste.

Thome nigdy dotąd nie spotkał Petteta i mógł jedynie domyślać się, co kryło się pod plastikowym kapturem ciasno opinającym twarz i maską zakrywającą nos oraz usta.

- Naturalnie materia nieorganiczna zachowała się lepiej. - W miarę jak Pettet wymieniał kolejne elementy, jego asystent ostrożnie przemieszczał się wokół grobu, raz po raz osuwając się na klęczki albo kładąc się na brzuchu i pęsetą zbierając do foliowych torebek materiały dowodowe. - Materiał sukienki, worki na śmieci, to, co zostało z dywanu, w który je zawinięto. Resztki sznura albo liny wokół szyi wydają się w miarę nietknięte...

Thome wyobraził sobie, że Pettet miał sporą łysinę, czesał się na pożyczkę i miał problemy skórne.

Inspektor odwrócił się i zajął do grobu; skwierzące lampy łukowe zalewały silnym bezlitosnym blaskiem ponurą zawartość mogiły.

Określenie „gąbczaste” było jak najbardziej trafne. Postrzępione pozostałości niebieskiej - dzięki Bogu, nie białej - sukienki oraz pozlepiane fragmenty dywanu zdawały się nurzać w brązowej zupie, kosmyki włosów przylepiały się do czaszki niczym robaki.

Śnieżnobiałe kości ludzkiego szkieletu istniały jedynie pod skórą, gdzie ich miejsce, oraz w wyobraźni scenarzystów seriali telewizyjnych. Ech, te kości, zwieszające się, wyszczerzone i nierzeczywiste jak na szkicach z podręczników medycznych.

Ale to wyglądało inaczej. Jak gulasz z człowieka.

Hendricks przepuścił jednego z członków zespołu bliżej mogiły, aby tamten mógł wyluskać z błota coś długiego i tłustego. Thome pochwycił jego spojrzenie. Hendricks mrugnął do niego. Odwrócił się do Petteta.

- A co z DNA?

Anatomopatolog wydał policzki.

- Niech się pan nie spodziewa zbyt wiele.

Thome chrząknął; to miało brzmieć jak drwiące parsknięcie. Woń wewnątrz namiotu była wszechogarniająca i nawet mimo masek wszyscy pracujący przy grobie starali się wstrzymać oddech. Wszyscy prócz Petteta, ma się rozumieć. Anatomopatolog nie wychwycił ironii w głosie Thome'a.

- DNA ofiary tak, całkiem możliwe. Niech pan zdobędzie dla mnie materiał porównawczy - włosy, kawałki obciętych paznokci. Czasami rodzice trzymają takie rzeczy z pobudek sentymentalnych.

Oczywiście wykonają testy i badania, ale Thome wiedział, że patrzyli na szczątki Karen McMahon.

- Jest szansa, że odnajdziemy jakieś próbki materiału należącego do zabójcy?

Pettet prawie się uśmiechnął.

- Szanse są zawsze. Na loterii też ma pan szanse wygrać, zgadza się? Jedyne prawdopodobieństwo daje nam ten sznur. Są na nim zapewne kawałki skóry, ale wszelki materiał komórkowy został zniszczony przez kreozot.

Thome odwrócił się, unosząc brwi.

Pettet wyjaśnił powoli:

- Kreozotu używa się w celu zabezpieczenia podkładów kolejowych przed działaniem warunków pogodowych. Tą samą substancją zabezpiecza się płyty przy domach. Przez lato kreozot spływał do wody odprowadzanej tymi rowami. Jak na ironię, gdyby pochowano ją

niecو wyżej, w nieco suchszym miejscu, kreozot w glebie mógłby podziać jak środek konserwujący i mogłoby zostać z niej trochę więcej.

Dla Thome a rozczarowanie w głosie Petteta brzmiało nader profesjonalnie. Nie miał w sobie ani krzty sentymentalizmu, jak ci kretyńscy rodzice przechowujący w szkatułkach pukle włosów albo fragmenty paznokci...

Thome spojrział w dmgą stronę, gdzie pod ścianą namiotu leżała niewielka sterta bmdnych kamieni.

Pettet pochwycił spojrzenie Thome a.

- Przynajmniej są tu wszystkie kości. Zabójca zadał sobie wiele trudu, aby nie dobrały się do nich lisy.

Na mogiłę ułożono warstwę kamieni. Były zbyt ciężkie, by mogły je rozrzucić nieduże wygłodniałe zwierzęta. Kamienie, a potem gruba na pół metra warstwa błota, pod tym wszystkim zaś ciało czternastolatki owinięte w plastikowe torby na śmieci i resztki zbutwiałego starego dywanu. Zabezpieczone przed lisami.

Zabezpieczone przed wszystkimi.

Kilka minut później przed namiotem Thorne położył dłoń na ramieniu Phila Hendricksa.

- Nie obraź się, ale to rzadkość móc pogadać o śmierci z kimś, kto nie zachowuje się, jakby sam przy tym cierpiał...

- Szkoda, że tak nie jest - mruknął Holland. - Żałosny palant.

Hendricks uśmiechnął się.

- Nieźle się naharował, co nie?

- Mówił do mnie, jakbym nie miał pojęcia, co to jest cholerny kreozot! - Thome pokręcił głową, a jego zboląła mina rozbawiła pozostałych. Wybuchnęli śmiechem i naprawdę tego potrzebowali. Śmiali się, kręcili głowami i niezdarnie pozbywali się swoich kombinezonów.

McEvoy poślizgnęła się i wyciągnęła rękę do Hollanda, aby się przytrzymać. Śmiech ucichł wkrótce potem i wszyscy stali przez kilka chwil w milczeniu, napełniając płuca cudownie zanieczyszczonym londyńskim powietrzem.

- Nie rozumiem - rzekł Hendricks, rozglądając się dokoła. - Wygląda na to, że on nie chciał, aby dobrały się do niej zwierzęta...

Holland pokiwał głową.

- Znalezienie tych wszystkich kamieni musiało mu zająć wieki. W tej okolicy nie ma ich zbyt wiele.

-...ale nie zadał sobie wiele trudu, jeżeli chodzi o znalezienie miejsca, gdzie ją pogrzebał. Nie ukrył jej za dobrze.

- W ogóle jej nie ukrył - wtrącił Holland. - Nietrudno było ją znaleźć. Tyle tylko że nikt nie pokwapił się, by jej poszukać.

McEvoy zapaliła papierosa i wydmuchała dym.

- Najwyraźniej nie spodziewał się, że ktokolwiek zechce tu jej szukać.

- Och, wiedział, że nikt nie będzie jej tu szukał - rzekł Thome. - Sam tego dopilnował.

Wsiadła do niebieskiego auta, pszešana. Cavaliera. Tak się chyba nazywają te samochody...

- Zrobił to, kiedy miał czternaście lat - ciągnęła McEvoy. - A potem zniknął i pojawił się znowu po piętnastu latach. Po piętnastu latach.

Thome skinął głową. Wiedział, co się święci. Zadał na głos pytanie, które wcześniej zadawał sobie, patrząc na szczątki Karen McMahon.

- Ile jeszcze ciał jest gdzieś tam pogrzebanych?

Robiło się cieplej. W miejscu na nasypie, gdzie stali, nie było wiatru, a smużka dymu z papierosa McEvoy unosiła się pionowo w górę, ku niebu o barwie betonu.

- A więc nie ma szans na zdobycie próbek DNA? - spytała.

Thome pokręcił głową.

- Mówiłem ci - mruknął Hendricks.

Thome wzruszył ramionami. Warto było spróbować. Zresztą i tak była to kwestia czysto akademicka. Wiedzieli, kto leżał w tym namiocie, w dziurze, którą dumnie określali mianem grobu, i wiedzieli, kto złożył tam to ciało.

Nie mają żadnych murowanych dowodów w sprawie PalmerNicklin ani w sprawie Gamer, które można by przedstawić opinii publicznej. Ale znaleźli ciało. Strzał w dziesiątkę. Thome miał zwłoki, którymi mógł zamydlić oczy przełożonym. Postrzegał siebie jak kota składającego u stóp swego pana upolowanego ptaka. Pogłaszcz mnie. Widzisz, jaki jestem zmyślny?

Thome nigdy nie czuł się mniej zmyślny niż teraz.

Usłyszeli za sobą szelest brezentu i ujrzeli Petteta wychodzącego z namiotu z niewielką plastikową torebką na materiały dowodowe. Zdjął maskę i podszedł do nich. Thome z zadowoleniem stwierdził, że nie pomylił się co do problemów skórnych tamtego.

- Pomyślałem, że chcielibyście to zobaczyć. - Wyciągnął woreczek przed siebie, a Thome i pozostali podeszli bliżej, by zobaczyć, co jest w środku.

To coś było kiedyś barwne, ale teraz wyblakłe i oblepione czarnym błotem. To Holland pierwszy zorientował się, z czym mają do czynienia, odczytując ledwie widoczny napis.

- Cholera. Uwielbiałem je, czy wciąż je produkują?

Hendricks nachylił się i zajrzał do plastikowej torebki. Jej ścianki były pokryte brudnymi smugami. Na dnie zalegała mętna woda z drobinami żwiru i szpiku kostnego.

- Co to jest?

- Opakowanie po batoniku - odrzekł Thome. - I nie, chyba już ich nie produkują. - Tak przypuszczał, a może Nicklin zmienił swe upodobania. To nie był ten sam batonik, po którym opakowanie wylizane do czysta trzymał w ręczce Charlie Gamer, ale obecność papierka po słodyczkach zmroziła go do szpiku kości.

Thome zaczął wspinać się po nasypie w stronę aut i nagle przystanął, oglądając się wstecz. Odezwał się do Petteta, spoglądając ponad jego głową na mały biały namiot.

- Bądźcie ostrożni, wyciągając ją stamtąd, dobra?

Pettet już miał odpowiedzieć, ale Thorne odwrócił się i dalej wspinał się po zboczu. W rękę ścisnął biały plastikowy kombinezon, zastanawiając się, na ile chronił on przed tym, co Hendricks nazywał małymi drobinkami śmierci. W tamtym namiocie musiały być ich miliony, unoszące się w powietrzu i osiadające na jasnym białym materiale. Niektóre przenikały go na wskroś, przylepiając się do skóry, mankietów albo podeszew butów. I tylko czekały, by rozjarzyć się, kiedy nadejdzie ich pora.

Kiedy będzie dostatecznie ciemno.

Thome wziął głęboki oddech i zaczął wspinać się szybciej. Poczł piekący ból w udach, po czym wyjął komórkę i wybrał numer Vica Perksa.

Miał ochotę zostać i zaczekać, aż ją stamtąd wyciągną. To byłoby interesujące. Zastanawiał się, jak mogła wyglądać. Prawdopodobnie była jeszcze jedną plamą na starym zbutwiałym dywanie, w który ją owinał, by przerzucić sobie przez ramię. Zarys jej ciała rozmyty i odcisnięty na materiale. Płyny ustrojowe kreślące obrys jej chudego ciała na tanim nylonie.

Bardzo chciał zostać, ale musiał wziąć się do pracy.

Był rozdrażniony, nie pozwolił jednak, by to nim o władnęło. Był wściekły, że zmacono jego przeszłość, że ktoś próbował ją zbadać, skoro on zadał sobie tyle trudu - jak ze wszystkim zresztą - aby raz na zawsze ją wymazać. Panował nad wszystkim, co pozostawił za sobą, inąd tym, co miał przed sobą. Zdenerwował się, widząc, że próbowali odebrać mu część tej kontroli. Byli jak uzurpatorzy wkraczający na jego teren.

Ale on nie pozwoli im niczego zepsuć.

Niech odkryją cząstkę prawdy o tym, kim był. To i tak nic im nie da. Zamierzał dokonać kolejnego skoku w przyszłość.

Był tego bliski już poprzedniego wieczoru, kiedy Caroline zaczęła swoją tyradę na temat dziecka. A potem, gdy zaczęła płakać i krzyczeć, a on wziął ją w ramiona, doznał olśnienia.

Nadszedł czas, by mszyć naprzód.

Teraz, kiedy działał sam, musiał wprowadzić dwie zasadnicze zmiany w swoim otoczeniu. Dwie. A każda z nich sama z siebie powinna wzbudzić w nim silną ekscytację i ożywić jego coraz bardziej miałą egzystencję. Gdy zastanawiał się nad podjętą decyzją, jego rozbawienie przyćmiła świadomość, że nie zdoła niczym tego przebić. Bo niby jak?

Oczywiście był nazbyt skromny. Czy nie myślał tak, kiedy opasywał dłońmi szyję kobiety i wyobrażał sobie, jak Palmer robi to samo, postępując zgodnie z jego instrukcjami? Albo kiedy przyłożył tej kobiecie spluwę do głowy i wyobraził sobie inny wymierzony do strzału pistolet? Broń tkwiącą, jak się okazało, w nieco rozdygotanych dłoniach.

Ale teraz to się zmieni. Potrzebował nowej podniety. I miał ją.

Żadnych przestojów czy cofania się.

Tym razem ofiara nie będzie przypadkowa. Ona, a będzie nią kobieta, nie zostanie wybrana z tłumu. Wyselekcjonuje ją nader pieczołowicie.

Druga zmiana naprawdę zapierała dech - to była ta część planu, w której podbijał stawkę w grze. Doprawdy zuchwałe i śmiałe posunięcie.

Kobieta, którą teraz zabije, zostanie przez niego zaproszona na własną śmierć.

Pozostało już tylko ustalić listę gości tego niezwykłego widowiska.

Sarah McEvoy zatrzaskała za sobą drzwi z taką siłą, że Holland skulił się w sobie, spodziewając się usłyszeć brzęk tłuczonego szkła, który jednak całe szczęście nie nastąpił. Okna też przetrwały atak furii McEvoy, która jak burza przemknęła przez pomieszczenie biura.

- Ty kutasie! Ty mały cuchnący chujku!

- Posłuchaj...

- Co to było? WD40? Olej silnikowy?

Holland poczuł się, jakby otrzymał cios w żołądek, jej gniew sprawił, że zaparło mu dech i mdłości podeszły mu do gardła, ponieważ to on wywołał w niej wściekłość. Równocześnie czuł, że to, co uczynił, było słuszne.

- To był olej roślinny. Taki do smażenia...

Cienka warstewka rozlana na spluczce w damskiej toalecie, niewidoczna, dopóki nie wiedziało się, czego szukać. Kokaina przepadła w ciągu jednej sekundy. Używali tej sztuczki w niektórych klubach, gdzie istniało zagrożenie handlu narkotykami. Kupił olej w drodze do pracy. Nie chciał, by widziała, jak zabiera butelkę z szafki w kuchni.

- Uważasz się za sprytnego, tak?

- Nie.

- Wiesz, ile to kosztowało? No dalej, cwaniaku, strzelaj. Wiesz, ile teraz biorą za gram?

Holland miał już dość wykładów. Wstał i zrobił krok w jej stronę.

- Posłuchaj, co mówisz... posłuchaj siebie...

- Nie stać mnie na takie marnotrawstwo...

- Uważam, że nie stać cię na to, by dalej brać...

McEvoy zaśmiała się. Nie zabrzmiało to przyjemnie.

- Na jakim seminarium usłyszałeś tę odzywkę?

Holland spojrzał na nią. Kręciła głową i ciężko oddychała. Wypluwała z siebie słowa z prędkością karabinu maszynowego. Choć olej ją powstrzymał, to na pewno nie potrwa długo. Przypuszczalnie walnęła kreskę, usypując ją na wierzchu dłoni.

- Mówiłaś, że w pracy nie bierzesz.

- Naprawdę uważasz, że mam z tym problem? - Znów się zaśmiała, unikając jego wzroku. - Mówisz o mnie jak o jakiejś cholernej ćpuncie. A ja biorę tylko od czasu do czasu. Raz na jakiś czas. Jezu...

- Mówiłaś, że w pracy nie bierzesz, Saro.

Zakasłała, krzywiąc się, jakby coś podeszło jej do ust.

- No tak, ale dzień raczej nie był normalny, prawda? - Przecisnęła się obok niego i osunęła na fotel za biurkiem. - Potrzebowałam czegoś po tym, jak cały ranek wgapiłam się w tę dziurę. Dziwisz mi się?

Holland zdał sobie sprawę, że w tym momencie nie czuje prawie nic do tej kobiety, której ciało poznał w najdrobniejszych szczegółach, ale jej samej tak naprawdę wcale nie znał.

- Owszem. Dziwię ci się. Bo to nie jest w porządku.

Uniosła wzrok i uśmiechnęła się do niego krzywo.

- Jesteś tu jeszcze?

- To najgłupsze usprawiedliwienie...

- Bzdura! Nie muszę usprawiedliwiać się przed tobą z tego, co robię.

- Nie, ale najwyraźniej musisz usprawiedliwiać się przed sobą.

McEvoy sięgnęła po kartkę papieru i utkwiała w niej wzrok.

- Pistolet, z którego Palmer miał zabić Jacqui Kaye. Palmer twierdzi, że broń dostarczył mu Nicklin, zostawiając ją pod drzwiami. Szef uważa, że to bzdura i że Palmer z jakiegoś powodu kłamie...

- Wiem. Saro...

- Nie wiemy, dlaczego Palmer nie mówi prawdy, a jednak musiał zdobyć skądś broń. Od kogoś, kto wyraźnie dał mu do zrozumienia, że powinien milczeć, gdyby zapytano go, skąd i od kogo ją ma.

Holland jej nie słuchał. Ona chyba jego też nie.

- To głupie...

- Jeżeli istnieje związek z Nicklinem, musimy podążyć tym tropem. To lista znanych lub domniemanych handlarzy. Podzieliłam ją, bo po pierwsze była za długa, a po drugie uważam, że powinniśmy pracować osobno. Nie chciałabym ci przeszkadzać...

- Musisz z kimś pomówić.

Na zawsze zapamięta jej spojrzenie.

- Bo co? Bo jak nie, to mnie podkablujesz?

Rozległo się pukanie do drzwi i do gabinetu zajrzał śledczy Paul Moorhead. Wyrz jego twarzy świadczył o tym, że zdawał sobie sprawę, iż działo się tu coś niedobrego.

- Przepraszam...

- Za co?

- Nadinspektor Lickwood dzwoni. Chce z tobą mówić. Mam go przełączyć?

- Tak. Dzięki.

McEvoy sięgnęła po aparat i podniosła słuchawkę, ledwie rozległ się pierwszy sygnał.

- Tu Derek.

Zaśmiała się, kiedy usłyszała, co miał jej do powiedzenia Lickwood, zakryła dłonią mikrofon słuchawki i patrzyła na Dave'a Hollanda tak długo, dopóki nie wyszedł z gabinetu. fest coś jeszcze, o czym chciałem panu powiedzieć.

W telewizji pół tuzina nudnych, nieciekawych ludzi przebywało w domu, usiłując wzajemnie uniknąć nominacji. Thome bez entuzjazmu odgryzł kęs kanapki i modlił się, by wydarzyło się coś interesującego. Na przykład, żeby w dom walnął meteoryt albo żeby rozegrała się tam walka na noże. Pomyślał o ironicznej nazwie tego typu programów. Reality show. Kretyni, którzy się tym pasjonowali, fascynowali się nie tyle obserwacją

rzeczywistości, ile raczej tanią sensacją. Byli z tych, co zamiast obserwować muchę na ścianie, woleli ją złapać i poobrywać jej skrzydełka.

Dźwięk został wyciszony. Ścieżkę dźwiękową zapewniało Folsom Prison Blues.

Thome był prawie pewien, że w Belmarsh Prison Blues nie było nic ekscytującego. Żadnego porywającego rytmu. Tylko sprzężenie zwrotne. Atonalny łomot, kakofonia ciężkich butów na schodach i odgłosy uderzania głową o ścianę. Martin Palmer, który parę godzin wcześniej zjawiał się w pokoju odwiedzin, wyglądał, jakby słuchał tej melodii przez cały ubiegły tydzień.

Thome milczał. Położył plastikową torebkę na stoliku i przesunął w jego stronę. Palmer wychylił się do przodu i spojrzał na opakowanie tak jak wcześniej Hendricks i inni. Palmer zorientował się natychmiast. Rozpoznał ten przedmiot.

- To Nicklin zabił Karen, Martin. Zabił ją i pogrzebał w rowie, a potem wmówił wszystkim, że ją porwano. - Thome odwrócił wzrok tylko na chwilę, ale kiedy znów na niego spojrzał, twarz Palmera była wilgotna od łez. - Daj spokój, nigdy nie brałeś tego pod uwagę?

Palmer wyciągnął rękę i zasłonił nią plastikową torebkę.

- Karen była jego pierwszą ofiarą - rzekł Thome. - Tak w każdym razie uważam. Nie zostało wiele materiału do badań, więc nigdy nie będziemy wiedzieć na pewno, ale sądzę, że także się do niej dobierał. Zanim ją zabił, zapewne próbował ją zgwałcić...

Palmer odwrócił wzrok i wsunął dwa palce za szkła okularów, aby wytrzeć oczy.

- Jak to zrobił?

- Udusił ją. Owinął jej sznur wokół szyi. Ten Stuart, którego tak kochałeś.

- Nie wierzę, że tak z nią postąpił. Że próbował ją zgwałcić.

Thome zachnął się.

- Masz rację. To tylko moje przypuszczenia. Pozostanmy więc przy morderstwie i porzuceniu ciała w płytkim grobie, dobrze? Czy zadawałeś sobie kiedykolwiek pytanie, ile ofiar on może mieć na sumieniu? Ilu ludzi mógł zabić. Ile takich Karen zamordował?

Palmer odwrócił się gwałtownie ku niemu.

- Chcę zobaczyć, gdzie ją znaleźliście...

- Wiesz, gdzie to było. Przy nasypie. Mówiłem już, znaleźliśmy jej ciało w rowie odprowadzającym wodę...

- Chcę zobaczyć to miejsce. Chcę zobaczyć, gdzie pochował Karen.

Thome słyszał już wcześniej podobne żądania ze strony przyjaciół i krewnych ofiar. Pokaż mi, gdzie umarła. Zabierz mnie do miejsca, gdzie ją zabili. Gdzie wydarzył się ten wypadek? Miejsce było ważne dla ludzi. Konkretny punkt. Mogli tam przychodzić albo

zapalić znicz. Za sprawą Diany i jej rozrastającego się kultu w miejscach takich jak to całkiem obcy ludzie pozostawiali bukiety kwiatów albo pluszowe misie.

Jednak Palmer nie był ofiarą. Wręcz przeciwnie, był zatrzymanym, oskarżonym o morderstwo.

- Wybacz, ale nic z tego. Zresztą po co? Ciało zostało zabrane, już jej tam nie ma. Nic już tam nie ma... - Thome powiedział bez przekonania. Do tej pory zwłoki zapewne już wywieziono, ale nie wiedział, co jeszcze mogło dzieć się na stanowisku.

- Nieważne. Chcę to zobaczyć.

- Zapomnij. - Thome wstał, postąpił kilka kroków. - Wcześniej pomagałeś nam odnaleźć ciało i to miało sens. A nawet gdybym chciał to zrobić, a nie chcę, nie mam do tego uprawnień.

- Proszę.

- Zamknij się. - Z Palmerem zawsze było tak samo. Nieomal wzbudzał w Thomie współczucie, które jednak błyskawicznie przeradzało się we wściekłość. - Czemu, do cholery, miałbym...?

Palmer odsunął krzesło i poderwał się na nogi. Przez okienko przy drugim końcu pokoju jeden ze strażników zajrzał do środka, aby sprawdzić, czy wszystko w porządku. Thome już miał gestem dać mu do zrozumienia, że wszystko gra, kiedy Palmer powiedział to, co Thome chciał usłyszeć od pierwszego dnia, odkąd tamten zgłosił się na policję.

- Jest coś jeszcze, o czym chciałbym panu powiedzieć...

Teraz w jego mieszkaniu zadzwonił telefon.

Thome wstał, wyłączył telewizor i stereo, po czym wziął telefon ze stolika przy frontowych drzwiach. Odchodząc w bok, by ominąć niedokończoną kanapkę leżącą na talerzu na podłodze, przycupnął na podłokietniku fotela i włączył przycisk.

To był jego ojciec. Nie rozmawiali od tygodnia albo nawet dłużej...

- Tom...

- Jak leci?

- Świetnie, sam wiesz.

- Dziś dowcipy czy zgadywanki?

- Tom, to ja, twój tato.

- Wiem. - Thome zaśmiał się. - Wszystko w porządku? - Jego ojciec oddychał ciężko.

- Nie mówiłeś, jak ci poszło na spotkaniu z kolegami z wojska.

- Że co?

- Mam na myśli ten twój numer. Zadzwoniłeś i pytałeś mnie onajgorszych zabójców.

Zapadła cisza.

- Wcale nie...

- No, pamiętasz, ospa. Chciałeś zażartować sobie ze swoich kumpli. Pamiętasz? To było parę tygodni temu.

- Niestety. Wybacz. Nie mam pojęcia, o czym mówisz. Jaka ospa?

- No, przecież wiesz. Pytałeś mnie o najgorszych zabójców...

- To znaczy o nazwy chorób?

- Tak. O to ci właśnie chodziło. Nieważne. Zapomnijmy To i tak nie było wcale fajne.

- Nabierasz mnie?

Thome znów się zaśmiał.

- Zastanawiam się kto kogo...

- Odwal się, dobra?

- Tato...?

Thome usiadł prosto.

- Jak ty się do mnie odzywasz? Wydaje ci się, że z kim rozmawiasz? Jak śmiesz...

Thome nagle się zaniepokoił, ale starał się nie dać tego po sobie poznać.

- Posłuchaj, tato, uspokój się, dobrze? To już nieważne. Nieważne, jasne?

Zapadła cisza, a potem znowu dał się słyszeć ten ciężki oddech. Dziesięć, piętnaście sekund...

- Tato, ja...

- Idź do diabła, ty mały skurwielu!

Wybuch wściekłości, a potem sygnał przerwanej rozmowy.

22

Rodziców Karen McMahon nie poinformowano o znalezieniu jej ciała, a przynajmniej nie oficjalnie. Nie dojdzie do tego, dopóki nie zostaną zakończone testy, ale prośba o dostarczenie próbek do badań porównawczych DNA musiała uświadomić im, co się stało. Taka prośba po piętnastu latach pozwoliła im się łudzić, że już wkrótce złożą ciało córki na wieczny spoczynek.

Rodzice Karen McMahon nie odwiedzili jeszcze miejsca, gdzie znajdował się jej pierwszy grób, lecz kiedy to nastąpi, nie będą mieć większych problemów z odnalezieniem go.

Minęło czterdzieści osiem godzin, odkąd dokopano się do kości. Worki na śmieci, dywan, sprzęt, wszystkie parafemalia zostały usunięte. Teraz był to już tylko błotnisty dół,

którego umiejscowienie zaznaczały ślady stóp, paski policyjnej taśmy i niewielki stos kamieni, którymi Nicklin zabezpieczył mogiłę, a który teraz wznosił się opodal niczym parodia nagrobka.

Zapewne rodzice zjawią się tu z Vikiem Perksem, jeżeli w ogóle przyjadą...

Perks jasno się wyraził, że chce tu przyjechać. Wydawał się wdzięczny, kiedy Thome go poinformował - wdzięczny i zdruzgotany.

- Myśli pan, że to nie trwało długo? - Palmer wpatrywał się przez kilka minut w rów melioracyjny, nie mówiąc ani słowa. Nagłe pytanie zaskoczyło Thomea.

- Pochowanie jej?

- Zabicie.

Thome przypomniał sobie zbutwiały czarny sznur zwieszający się luźno wokół kości szyi, gdzie niegdyś mocno wpijał się w ciało. Przypomniał sobie raport z autopsji Carol Gamer.

- Nie dość krótko - odparł.

Palmer cofnął się od rowu i odwrócił. Uniósł wzrok w stronę nasypu, gdzie w opłu vectrze, zaparkowanym obok forda mondeo Thome a, siedzieli funkcjonariusze wsparcia. Zaczęło padać. Oba auta były mocno ubłocone. U podnóża nasypu Holland w żółtej kurtce przeciwdeszczowej kręcił się w tę i z powrotem, popatrując od czasu do czasu na Palmera i Thome a; sprawiał wrażenie, jakby chciał być teraz całkiem gdzie indziej.

- Stuart mnie okłamał - rzekł Palmer.

Thome słyszał już dziwniejsze rzeczy, ale nie pamiętał kiedy.

- Naprawdę? - spytał, myśląc: zrobił znacznie więcej, niż tylko cię okłamał...

- Coś się wydarzyło w dniu, kiedy zaginęła Karen - odrząknął i poprawił się. - Tego dnia, kiedy ją zamordowano. Kiedy byliśmy tam we troje - Zaczął iść wolno, jakby się pomszał na filmie o zwolnionym tempie.

Thome ruszył za nim, robiąc dwa kroki na każdy jeden Palmera. Wiedział, że po prawej opodal jest Holland, kątem oka dostrzegł jego jaskrawą kurtkę.

- To był ścierna - rzekł Palmer. - Nie mam pewności, czy oboje brali w tym udział. Teraz to zresztą nieważne. Myślałem, że Karen... mnie pożąda, i podnieciłem się. Myślałem, że ona naprawdę mnie chce. Mnie, nie Stuarta. - Głos miał nieco wyższy niż zwykle, jakby to wspomnienie cofnęło go o piętnaście lat wstecz, do czasów jeszcze sprzed mutacji. Wzmszył ramionami. - Jak już mówiłem, to był żart. Zrobiono mnie w balona, ale ja niczego się wtedy nie spodziewałem. Byłem podniecony bardziej niż kiedykolwiek. Nigdy jeszcze tak się nie czułem. To, co się stało, nie było zamierzone. Powiedziałbym panu, gdyby było inaczej, i tak

ma pan o mnie złe zdanie, ale mówię szczerze. - Wziął głęboki oddech. - Obnażyłem się przed nią. - Palmer zniemchomiał i odwrócił się, by spojrzeć na Thome'a, który podszedł do niego. - Zdaję sobie sprawę, że teraz wydaje się to mało istotne. Ale wtedy, w tym momencie, byłem gotów oddać życie, gdyby to ode mnie zależało. Gdybym miał w sobie dość odwagi. Kiedy się odwróciłem, zrozumiałem, że ze mnie zakpiono. Domyśliłem się, że to była zmowa, ale wyraz twarzy Karen był naprawdę okropny. Była zniesmaczona. Nie zde gustowana, lecz naprawdę przerażona, jakbym coś jej przypomniał... Zastanawiałem się, czy nie była molestowana i czy ten widok nie ożywił w niej uśpionych wspomnień. - Pokiwał głową. - Wiem, wiem, teraz takie dywagacje to musztarda po obiedzie. W każdym razie uciekłem stamtąd przerażony, że tego dnia zrobiłem coś Karen. Później, kiedy zniknęła, Stuart zrobił, co mógł, aby utwierdzić mnie w tym przekonaniu.

Thome spuścił wzrok. Zauważył, że Palmer zacisnął pięści. Kołysały się na wysokości jego krocza, złączone w przegubach kajdankami.

- Powiedział ci, że to była twoja wina, że ona wsiadła do tego auta, zgadza się?

Palmer pokiwał głową.

- Sugerował, że tak nią wstrząsnąłem, że chciała uciec jak najdalej stąd. Powiedział, że zachowa to w tajemnicy. Powiedział, że będzie mnie chronił. Przypomniał mi o tym tego dnia, kiedy wszedł do piwiarni. Sugerował różne rzeczy... groził.

- Wykorzystał cię, aby chronić siebie.

- Tak, teraz to wiem - mruknął Palmer z irytacją w głosie. Opuścił głowę na chwilę, uniósł ją. Irytacja prysła. - Przepraszam.

Thome milczał.

- Przez lata wypaczyłem pamięć o tym zdarzeniu. Często o nim myślałem i wszystko mi się pomieszało. Przekonałem sam siebie, że to, co zrobiłem Karen, w jakiś sposób ją skaziło. Jakby przeze mnie zaczęła inaczej pachnieć. Jak ofiara. To naprawdę silna woń. I ta woń roztaczała się wokół niej, a ten facet w aucie wyczuł ją i zjawił się, by ją uprowadzić...

Thome odczekał parę chwil, by upewnić się, że historia dobiegła końca.

- Co jeszcze chciałeś opowiedzieć mi o Nicklinie?

Palmer powoli zamknął oczy. Opuścił głowę. Thome odniósł wrażenie, że całe ciało Palmera zacznie zaraz zapadać się w wilgotny gmnt za sprawą przytłaczającego go niewidzialnego brzemienia.

- Co jeszcze chciałeś mi powiedzieć?

Thome odwrócił się i skinieniem głowy dał znak Hollandowi. I tak zaczęło robić się już ciemno. Równie dobrze mogli spróbować zdążyć przed godziną szczytu.

Martin Palmer nie odezwał się ani słowem.

Dwa samochody sunęły jeden za drugim z północnozachodniego Londynu szosą na południowy wschód. W brudnoniebieskim fordzie mondeo trzech mężczyzn przez większość drogi byli pogrążeni w głębokim zamyśleniu. Szukali rozwiązań.

Rozważali rozpaczliwe pomysły.

Martin Palmer. Wspominał kłamstwa, zastanawiał się nad naturą zdrady i zawczasu modlił się o wybaczenie.

Dave Holland. Rozważał opcje i każda z nich wydawała mu się nieprzyjemna, niepożądana. Niepasująca do niego.

Tom Thome. Brakowało mu czasu i pomysłów. Zastanawiał się, czy ta sprawa stanie się jedną z tych, o których nie dane mu będzie zapomnieć. Czy nie dane mu będzie zapomnieć twarzy Stuarta Nicklina?

Każdy z nich otrzyma odpowiedzi szybciej, niż by się tego spodziewał.

- Chcę to poukładać, zanim wrócimy do Belmarsh, Martin - rzekł ze spokojem Thome, jakby kontynuował przerwana rozmowę. Przejeżdżali przez Maida Vale w kierunku Paddington. Dwadzieścia minut kompletnej ciszy i miał już tego dość. - Zabrałem cię do miejsca, gdzie on pochował Karen. Zadałem sobie sporo trudu, możesz mi wierzyć...

- Twarz Brigstocke a była jak otwarta księga. Thome wołał nawet nie wyobrazić sobie grymasu malującego się na obliczu Jesmonda, kiedy przekazano mu tę prośbę. - Zasugerowałeś, że chcesz powiedzieć mi coś jeszcze. Tak powiedziałem ludziom. Coś na temat Nicklina.

Palmer siedział przykuty do Hollanda, nie poruszał się.

- Chcę to usłyszeć, Martin. Wydaje mi się, że zawarliśmy umowę.

- Quid pro quo, doktorze Lecter - wyszeptał Holland.

- Właśnie - mruknął Thome. Cholera wie, co to oznaczało, ale widział film. Odwrócił się i łypnął na Palmera. Ijak?

Jeżeli nawet Palmer znał znaczenie tego zwrotu, to nie przejął się tym zbytnio.

Pięć minut później, gdy minęli Victoria Station, Thome gwałtownie skręcił i zjechał w bok. Z tyłu za nimi opel Vectra błysnęła światłami.

- Inspektorze - rzekł Holland - Vauxhall Bridge, Camberwell, Peckham, New Cross. Taka była ustalona trasa...

Thome uniósł dłoń, dając sygnał oplowi. I odpowiedział Hollandowi:

- Lambeth Bridge, Elephant Castle. To nowa trasa. Sam ją wytyczyłem.

- Elephant?

- Podrzucę cię do domu, Dave.

Holland miał zatroskaną minę. Wychylił się lekko do przodu. Palmer zrobił to samo i nie tylko dlatego, że był skuty.

- Doceniam ten gest, ale zważywszy na to, w jakie bagno się wpakujemy, nie sądzę, aby to był dobry pomysł.

- Być może, ale nikt nie musi wiedzieć, prawda?

- Nie, jednak mimo wszystko...

- Posłuchaj, przecież i tak będziemy przejeżdżać niemal tuż przed twoim domem. A nasz Martin zrobił się ciut nieśmiały.

Holland spojrzął na Palmera, a potem obejrzał się do tyłu, na wóz wsparcia. Jeden ze śledczych uniósł obie ręce. Co wy wyprawiacie, do cholery?

Przejechali przez Victoria na drugi brzeg rzeki, minęli dwa wielkie działa przed Muzeum Wojen Imperialnych. Dziesięć minut później dojeżdżali już pod dom Hollanda.

- Zdejmij mu kajdanki, Dave. Chyba że Sophie chce mieć dodatkowego gościa na kolacji. Drugi po lewej, zgadza się...?

Thome patrzył z rozbawieniem, jak Holland trzasnął drzwiczkami i ruszył w stronę opła. Dwaj śledczy wysiedli z auta, zanim do niego podszedł. Po kilku minutach wzruszania ramionami i kręcenia głowami wrócili do środka i czekali.

Holland podszedł do bocznej szyby od strony Thome a i oparł się odrzwiczki.

- Jest pan pewien?

- Wracaj do siebie, Holland. - Skinął głową w stronę tylnego siedzenia. - Spójrz na niego. Raczej nie powinien sprawić mi najmniejszych kłopotów. Mam nadzieję, że... trochę sobie pogawędzimy.

Holland odszedł w bok, a auto ruszyło na pełnym gazie w kierunku Old Kent Road.

Siedzący za kierownicą Thome zachowywał się jak taksówkarz.

- Spójrz, ile aut na drogach, a jeszcze nawet nie ma czwartej. Założę się, że przy Deptford jest korek jak stąd do wieczności. Może jeszcze kwadrans, góra dwadzieścia minut.

Thome spojrzął w lusterko wsteczne. Palmer gapił się na jego potylicę i ciężko oddychał. Co było dla niego tak trudne, że nie potrafił tego z siebie wydusić?

- Zostało ci piętnaście minut do powrotu do więzienia, Palmer. To tyle. A teraz zacznij wreszcie mówić, do cholery...

Już prawie czas do domu.

Zaczął się tu robić pusto, ale on został jeszcze trochę. Musiał nadgonić parę spraw. Przede wszystkim jednak chciał posiedzieć przez chwilę w samotności, by nacieszyć się swoim sprytem.

Nigdy nie uważał, że to, co robi, jest sprytne. To, co robił z pomocą noża, własnych rąk albo przyjaciół. Musiał to zrobić, podpowiadał mu to instynkt. Oczywiście, że wszystko sobie planował dokładniej nawet, niż kiedy wmanipulowywał Palmera, ale nie widział w tym nic trudnego. To była prosta robota. Tak samo jak przetrwanie. Trudniej było sprawić, aby to stało się naprawdę interesujące.

I to było faktycznie sprytne. Zastanowił się, czy od jakiegoś czasu tkwiło to w jego podświadomości, czekając na odpowiedni moment, by się stamtąd wyłonić już w pełni ukształtowane. To było idealne. Ona była idealna. Pasowała do planu, a plan do niej tak doskonale, że zaczął się zastanawiać, czy może to ona, czy to, o czym myślał za jej sprawą, było za to wszystko odpowiedzialne.

W końcu wybrał swego gościa, to nie mógł być nikt inny.

Oczywiście nie miał jeszcze pewności, czy ona się zjawi, a jeśli nawet, to czy zrobi dokładnie to, po co ją zaprosił. Cokolwiek się stanie, był chroniony. Na tym polegał geniusz jego panu. Był pewny siebie. Wiedział, że dokonał właściwego wyboru.

To był rozsądny wybór. Właściwy. Jak zamówienie drogiego wina w szpanerskiej restauracji. To rozsądny wybór, sir...

Szybko uświadomił sobie, że może zapomnieć o pracy. Nie był w stanie skupić się na niczym prócz zadania, jakie go czekało.

Jak ją zabić? Gdzie? Jezu, tyle nowych podniet, tak wiele rzeczy pozostało jeszcze do ustalenia i zaplanowania...

Nic dziwnego, że nie mógł się skupić na papierkowej robocie. Zawsze tak było: rozejrzyj się dokoła, znajdź pomysł na nową przygodę i zapomnij o całej reszcie. Rzuć się w ten wir, zabierz ze sobą innych, jeśli przynieśli butelkę, wyciśnij z tego, co tylko się da, do ostatniej kropli...

W drodze do domu kupił drogi alkohol. Caroline powinno się to spodobać. Wybaczyła mu poniedziałkową noc, sugerując, że może zbyt się przepracowywał i miał za dużo stresów. Zgodził się z nią, mówiąc, że owszem, chyba przyjął na siebie zbyt wiele, a kiedy został sam, śmiał się z tego w głos.

Kolacja, telewizja, potem radio, kiedy Caroline położy się do łóżka. Już się nad tym zastanawiał, ale ostatecznie o doborze słów pomyśli później. O pierwszych słowach. Oczywiście nie dojdzie do tego od razu. Musiał sprawić, by pokusa stała się nie do odparcia, a

to wymagało czasu. Ramy czasowe nadal pozostawały nieokreślone. W myślach miał jedynie przypuszczalną datę głównego wydarzenia, ale zaczęło już dziś.

Od wysłania zaproszenia.

- Palmer, za minutę dojeżdżamy do pieprzonego więzienia. Został już niecały kilometr. - Thorne starał się nie krzyknąć. - Kiedy podjadę pod bramę, będzie po ptakach. Możesz zapomnieć o tym, co jeszcze chciałeś mi powiedzieć, i to na zawsze. Jeżeli nie usłyszę tego od ciebie za chwilę, przestanę w ogóle cię słuchać. Rozumiemy się?

Thome nie był pewien, czy sam to rozumiał. Nie był pewien, czym właściwie grozi Palmerowi. Wiedział tylko, że Palmer chciał mu o czymś powiedzieć. Zawsze tak było. Nagle zaczął się zastanawiać, czy przez cały ten czas nie chodziło mu o wyznanie, że obnażył się przed Karen McMahon. Chyba miał na tym punkcie obsesję. Dłonie Thomea spoczywające na kierownicy zwilgotniały. Czy poszukiwał odkupienia albo inspiracji w zwykłej nastoletniej fantazji erotycznej?

Nie, musiało chodzić o coś innego. O coś, co zbliżyłoby Thome'a do Nicklina.

- O co chodzi, Palmer?

Palmer uderzał skutymi przegubami o kolana i nerwowo kiwał głową...

- Na miłość boską, wparowałeś ze spluwą na komendę. Wszedłeś tam cały we krwi. Od razu zorientowałem się, jaki jesteś zdesperowany i popaprany. Mówiłeś, że masz tego dość, że uczynisz wszystko, by nam pomóc. Mówiłeś, że chcesz go powstrzymać.

- Bo to prawda.

Thome nieomal podskoczył na fotelu. To były pierwsze słowa Palmera od wizyty przy nasypie kolejowym.

- No to mów. O co chodzi? O czym mówiłeś tamtego dnia w więzieniu?

Kiedy Thome zadał to pytanie, wóz pokonał zakręt i w oddali pojawiło się Belmarsh w słabym świetle; oddalone o kilkaset metrów wysokie ogrodzenie wydawało się falować.

- Nie ma jak w domu, Palmer. Jesteśmy już prawie na miejscu. - Palmer stęknął głośno. - Niezbyt tu miło, co? Czemu nie wrócisz za kraty w poczuciu, że zrobiłeś coś naprawdę użytecznego? Nie zwrócisz życia kobietom, które zabiłeś, ale możesz zapobiec kolejnym zgonom...

Palmer kręcił głową, bił się z myślami. Thome'a już się nie hamował.

- No dalej!

Zwolnili, zatrzymali się naprzeciwko głównego podjazdu, przy skrzyżowaniu dróg. Po lewej w ich stronę zmierzał jakiś pojazd z włączonymi światłami, ale był jeszcze daleko, o dobre pół minuty od nich. Vectra podjechała, by stanąć obok nich.

- Ja nie żartuję. Spadam stąd...

Kierowca opla spojrzął na Thome'a, czekając na potwierdzenie, że wszystko gra, i oczekując na sygnał, że mogą jechać dalej.

- Daj mi coś na Nicklina. Wiem, że jest coś, o czym mi dotąd nie powiedziałaś...

Jeszcze kilka aut.

Thome spojrzął w prawo.

- Jak silne musi cię dręczyć poczucie winy? Jak wielkie musisz odczuwać wyrzuty sumienia?

Thome machnął ręką. Vectra ruszyła naprzód, usiłując włączyć się do mchu.

Palmer sprężył się, sięgnął po coś.

- Opowiedz mi o Stuarcie. Powiedz mi, co myślisz. Proszę...

Rozległ się klakson opla, śledczy uniósł rękę, dając znak Thome'owi, aby jechał za nimi.

- No dalej! - wykrzyknął Thome, gdy jadąca obok Vectra z rykiem silnika skręciła w prawo. Thome patrzył na drugi samochód, rąbnął dłońmi w deskę rozdzielczą i zdjął nogę z hamulca.

- Za późno...

Głos z tylnego siedzenia.

- Myślę, że on może być funkcjonariuszem policji.

Lewa stopa Thome'a zsunęła się ze sprzęgła. Wozem zatrzęsło i zarzuciło w przód. Thome został wciśnięty w fotel i już miał odwrócić się na siedzeniu, kiedy całe jego ciało z impetem runęło do przodu. Thome był nadal przytomny, gdy rąbnął twarzą w zniszczony winyl kierownicy, ale nie trwało to długo.

Kilka sekund... kilka minut... jak długo?

Thome spojrzął na zegar na desce rozdzielczej, czekając, aż wzrok mu się przejaśni.

Zaledwie kilka minut...

Odwrócił się wolno. Miał wrażenie, jakby do uszu nalano mu cementu. Palmer zniknął. Tylne drzwiczki były otwarte.

Dokąd...? Co on takiego powiedział?

Thome rozejrzył się gwałtownie dokoła. Każdy ruch gałek ocznych był niczym cios, kiedy przepatrywał okolicę, rozpaczliwie usiłując dostrzec w oddali zwałistą, niezgrabną sylwetkę Palmera. W świetle reflektorów przejeżdżających aut zauważył ciemniejące plamy na przodzie koszuli i strużkę szkarłatnych smarków ściekających z kierownicy.

Sto metrów za jego samochodem było wysokie na jakieś dwa metry ogrodzenie. Opodal stała budka telefoniczna. Wystarczyło się po niej wspiąć i przeleźć na drugą stronę. I pobiec przez plac budowy.

Niech to szlag. Czy mógł wspiąć się na to ogrodzenie w kajdankach. Pewnie tak. Kluczyki zresztą też zabrał. Po prostu zwiął. Nie ma go...

Thome otworzył drzwiczki i nieomal wypadł na drogę. Podniósł się i chwiejnie postąpił kilka kroków. Uniósł rękę i zamachał w stronę nadjeżdżających aut.

Żadne się nie zatrzymało.

Nikogo to nie obchodzi. W tych czasach ludzie sobie nie ufają. Kto jak kto, ale on powinien o tym wiedzieć najlepiej. Może gdyby wyjął swoją odznakę, pokazał im, że jest glina...

Reflektory fordą mondeo wciąż były włączone. Thome skrzywił się, unosząc dłoń do zgruchotanego nosa i stając w świetle. Przejeżdżający akurat samochód zatrąbił, gdy Thorne chwiejnym krokiem ruszył w stronę światła, na drugą stronę drogi, w kierunku więzienia.

23

- Jezu, Tom. Dobrze się czujesz? - Brigstocke wydawał się wstrząśnięty i zatroskany.

Nos niemal natychmiast spuchł groteskowo, a teraz, dwa dni później, reszta twarzy Thomea wyglądała równie okropnie. Miał ogromne sińce pod oczami i wielkie granatowoczarne siniaki na obu kościach policzkowych.

- Czuję się nieźle - odparł Thome. - Wyglądam jak pieprzona panda, ale czuję się dobrze...

Wyraz zatroskania nie zniknął z twarzy Brigstocke a.

- To trafne porównanie, bo pandy to zagrożony wyginięciem gatunek, zgadza się? Coś ty chciał zrobić, do kurwy nędzy?

Jeszcze niedawno Tom Thome próbowałby stawiać opór. Broniłby swoich racji i wygłosił mowę o celach uświęcających środki. Dziś jednak nie miał ochoty na szermierkę słowną.

- Spieprzyłem sprawę.

Brigstocke podniósł się, gdy Thome stanął w drzwiach. Teraz wolno osunął się za biurko.

- Posłuchaj, muszę ci to wręczyć. - Podał Thomeowi kartkę papieru. - To wezwanie służbowe. Inspektorat chce cię zobaczyć.

Thome nie spodziewał się niczego innego. Inspektorat, kretyńska nazwa dla wydziału wewnętrznego. Zajmowano się w nim usuwaniem korupcji, wyłuskiwaniem zgniłych jabłek. Ta sama grupa niedawno przeprowadziła nagłośnioną przez media operację wyszukiwania funkcjonariuszy dorabiających na boku przy serialu The Bill, a obecnie prowadziła dochodzenie w sprawie skargi dotyczącej incydentu, w którym pewien funkcjonariusz podczas nalotu puścił baka i nie powiedział przepraszam.

- Nie mogę się doczekać - mruknął Thome.

- Co z twoim nosem?

- Zero dłubania, zero kichania. Wrócę za tydzień, półtora, kiedy zejdzie opuchlizna. W zależności jak będzie wyglądał, nie zrobią nic albo złamią go ponownie, by go nastawić.

- Potrzebują ochotników?

Thome podszedł do drugiego biurka i usiadł przy nim.

- Co zamierzacie zrobić w związku z Palmerem?

- Co zamierzamy zrobić? Jesteś niesamowity!

- Przepraszam. Wiem, jak to musiało zabrzmieć...

- Robimy to, czego możesz się spodziewać, czyli więcej, niż sam zrobiłeś, czyż nie? Media siedzą nam na karku i musimy tańczyć, jak nam zagrają, o ile chcemy je później wykorzystać. Ktoś wie, dokąd udał się Palmer, i możemy dotrzeć do tego człowieka, albo ludzi, przez prasę i telewizję...

Jak na sygnał do gabinetu wszedł Steve Norman.

- Russell.. inspektor Thome...

Brigstocke wstał. Thome, bez żadnego konkretnego powodu, zrobił to samo.

- Pójdę po kawę - rzekł Brigstocke, kierując się ku drzwiom.

- Ma ktoś ochotę?

Thome pokiwał głową. Norman także wyraził chęć napicia się kawy, rzucając na blat biurka plik gazet. Wziął jedną z wierzchu i odwrócił się do Thome a.

- Umiesz wymyślić niezłą historyjkę, Thome, nie ma co.

Na pierwszej stronie bulwarówki widniało zdjęcie Martina Palmera. Nagłówek był prosty i dramatyczny. Taki, który na pierwszy rzut oka miał zmrozić krew w żyłach.

„Ucieczka zabójcy”.

Thome podszedł do biurka. Był zmęczony, obolały i nie miał nastroju na kolejną pyskówkę.

- Posłuchaj, Norman...

Norman uciszył go, unosząc dłoń, i zdziwił się, kiedy ta sztuczka okazała się skuteczna.

- Posłuchaj, zanim zrobi się tu bajzel, chcę przeprosić za sprzeczkę w zeszłym tygodniu. Zachowałem się jak palant, jasne? Chciałem wpaść i wyjaśnić tę sprawę, ale miałem za dużo pracy.

Thome był zbity z tropu.

- Jasne...

- Prawdę mówiąc, mieliśmy tu spory bałagan, a ja dałem się ponieść. Nie powinno do tego dojść i choć wiem, że nigdy nie będziemy przyjaciółmi, nie ma sensu kruszyć kopii o takie bzdury. Zwłaszcza teraz. Zgoda?

Thome pokiwał głową, zastanawiając się, czy nie doświadczał właśnie skutków opóźnionego wstrząśnienia mózgu.

Norman wskazał palcem na gazetę.

- Tego nam właśnie potrzeba. Telefony dzwonią od samego rana. Zapewne dorwiemy go jeszcze przed wieczorem. - Oblicze Normana nieznacznie spochmumiało, gdy sięgnął po kolejną gazetę. - Widziałeś wczorajszą?

Thome pokręcił głową. Większość dnia przeleżał w ciemnym pokoju, czekając, aż przestanie się czuć, jakby ktoś go flekował. Tym razem zdjęcie na pierwszej stronie było bardziej rozmazane i niewyraźne. Dwie postacie, zdjęcie zrobiono zapewne z użyciem teleobiektywu, z odległości trzystu metrów, jak w wypadku fotografii Wielkiej Stopy albo Bestii z Bodmin.

Thome i Palmer przy grobie Karen McMahan.

- Tego im nie dawaliśmy - rzekł Norman. - Ale ktoś im to sprzedał. Ktoś ma za dobre układy z prasą.

Thome, chcąc nie chcąc, musiał się z nim zgodzić. Poprzedni materiał to bez wątpienia robota Brachera, ale to musiało być dziełem kogoś z ich zespołu.

- Dowiem się, czyja to sprawa.

- Świetnie. Choć muszę przyznać, że przynajmniej na razie mamy z tego same korzyści. Zaczęliśmy przekazywać prasie pierwsze informacje o Karen McMahan. - Thome wydawał się nieznacznie zakłopotany. - Została formalnie zidentyfikowana trzydzieści sześć godzin temu. Mniej więcej wtedy wykonano to zdjęcie.

Thome musiał szybko nadrobić stracony czas. Wypadł z obiegu, odkąd wsadził Palmera na tylne siedzenie forda mondeo w czwartek po południu i zawiózł go nad nasyp przy torach kolejowych.

Myślę, że on może być funkcjonariuszem policji...

- Jest tu sporo czysto ludzkich emocji - ciągnął Norman. - Opinia publiczna to uwielbia. Piętnaście lat udręki jej rodziców i w ogóle. Poza tym zwykły fakt, że rozwiązano sprawę morderstwa sprzed lat. Znalezienie zwłok przyniesie wielu osobom dużo dobrego. Możemy odzyskać choć trochę zaufania publicznego. Ostatnio nie mieliśmy dobrej prasy.

Ćmiący ból przenikający twarz Thome a przybrał na sile. Inspektor sięgnął do kieszeni kurtki po środki przeciwbólowe.

- Znalazłem jedno ciało i straciłem inne.

Norman zachichotał ochryple.

- Fakt. Ale to się równoważy jedno z drugim. - Norman trzymał w dłoniach gazety Uniósł je, by zaakcentować swą argumentację.

- Dzięki punktom zarobionym za odnalezienie ciała Karen McMahan możemy liczyć na rozgrzeszenie za ucieczkę Palmera i robić swoje, pomijając przy tym pewne niezbyt chlubne szczegóły natury proceduralnej.

Pewne niezbyt chlubne szczegóły natury proceduralnej?

- Jasne - mmknął Thome. - Byłbym wdzięczny.

Nalał sobie szklankę wody. Musiał popić pigułki i zabić nieprzyjemny posmak w ustach. Gdy odchylił głowę do tyłu, dostrzegł Brickstocke a idącego w ich stronę przez salę odpraw z trzema plastikowymi kubkami.

- Jest kawa...

- Świetnie. - Zadzwoiła komórka Normana. Spojrzał na wyświetlacz. - Przepraszam, muszę odebrać...

Thome patrzył, jak Norman przykłada komórkę do ucha i odwraca się, mamrocząc coś pod nosem. Trudno było rozróżnić między bólem a chaosem kolidującymi w jego głowie jak dwa zderzające się ze sobą czołowo pociągi. Norman go przeprosił... jedno ciało odnalezione, drugie zagubione... przeciek w śledztwie... inspektorat... ton głosu Palmera, gdy powiedział mu, co miał do powiedzenia o Nicklinie.

No i jeszcze jeden niezbyt chlubny szczegół natury proceduralnej, który zataił przed nimi wszystkimi...

McEvoy zalogowała się do internetu. Holland nie rozpoznał strony, którą wyświetliła na ekranie, ale to, co zdołał dostrzec, zanim ją wygasiała, uświadomiło mu, że mógł to być serwer emailowy. Nie powinni wykorzystywać służbowego sprzętu, by odbierać lub wysyłać prywatne emaile, ale Holland nie skomentował tego. W sumie była to drobnostka, a poza tym wiedział, jaki byłby jej komentarz.

- Przynajmniej nie wychodzisz, kiedy zjawiam się w biurze. To chyba jakiś postęp.

McEvoy wzruszyła ramionami, nie unosząc wzroku.

- Nie powiesz teraz, że nie wypełniam swoich obowiązków jak należy.

Holland uznał, że nie może dłużej owijać w bawełnę. Powiedział wprost:

- Myślę, że jedno z nas powinno opuścić ten zespół. - Wyraz jej twarzy powiedział mu, że jest wstrząśnięta. - Daj spokój, na pewno o tym myślałaś, to...

Weszła mu w słowo.

- Ja stąd nie odejdę. Mowy nie ma.

- Saro...

- No jasne. Mówiąc „jedno z nas”, miałeś na myśli mnie. Zgadza się?

Jeżeli miał odejść, to właśnie teraz. Zapomnieć, że poruszył ten temat, i robić dobrą minę do złej gry. Zawahał się.

- Tak.

- Zapomnij.

- To ty masz problem, nie ja.

- Jesteś pewien?

- Nie próbuj mydlić mi oczu psychoanalizą. To nie ja wciągam nosem równowartość całych poborów, rozpieprzam wszystko i ryzykuję życie kolegów...

Twarz McEvoy nabrała rumieńców. W kącikach jej oczu pojawiły się łzy.

- Kiedy? Powiesz mi kiedy?

- Może nigdy. A może za pół godziny... - Holland chciał pokonać dzielący ich dystans półtora metra i wziąć ją w ramiona, ale nie mógł się na to zdobyć.

- Dave, nikt inny o tym nie wie. - McEvoy zachowywała się jak przysłowiowa blondynka próbująca uniknąć mandatu za nadmierną prędkość. Nie zносиła tego. - Zapomnijmy o całym tym szajsie. Co ty na to, Dave...?

- Na razie nikt inny o tym nie wie. Ale nie sądzę, abyś dobrze się z tym maskowała.

McEvoy w jednej chwili zmieniła front.

- Jak pójdziesz do Brigstocke a, to ja też. Powiem, że mnie nękaś. Pomyślą, że to wszystko zmyśliłaś, bo nie chciałam się z tobą pieprzyć...

Holland zauważył, że jest zdesperowana, zapędzona w kozi róg. Wiedział, że chwytala się brzytwy jak tonący, mówiąc rzeczy, których wcale nie chciała powiedzieć, ale temperament wziął nad nim górę. Przeszedł przez pokój, sięgnął po jedną z gazet leżących na szafie i cisnął na blat tuż przed nią.

McEvoy spojrzała na zdjęcie Thome a i Palmera przy rowie melioracyjnym.

- Jeżeli piśniesz komukolwiek choć słowo - wycedził Holland - otworzysz pieprzoną puszkę Pandory.

McEvoy była zakłopotana.

- Uważasz, że to ja jestem źródłem tego przecieku?

-,„Nie stać mnie na takie marnotrawstwo”. Sama to powiedziałaś.

- Holland zmiął gazetę w dłoniach. - To były łatwe pieniądze, co nie? Tu jakiś cynk, tam fotka i masz na towar na cały tydzień. A może nawet dostajesz kokę od pismaków, bo niby po cholere mają ci płacić? Wiadomo, na co potrzebujesz szmalu.

- Dave...

- Przyznaj się, to twoja robota, tak? Po prostu się przyznaj, do cholery.

Holland dostrzegł iskiarki w oczach McEvoy, całe jej ciało sprężyło się. Gdy się odwrócił, ujrzał stojącego w drzwiach Thome a. Nie było niezręcznej chwili ciszy ani znaczącego milczenia. McEvoy ruszyła szybkim krokiem w stronę drzwi, rzucając na odchodne do Thome a, jak gdyby nigdy nic:

- Niektórzy chyba czują się równie paskudnie, jak ty wyglądasz...

Idopiero wtedy zapadła cisza.

Thome zamknął drzwi i wszedł do pokoju.

- Dave, czy ty i Sarah macie jakiś problem? - Holland nie odpowiedział. Thome poczuł narastającą irytację. Nie chciał więcej niepewności czy chaosu. - Konstablu, czy wy i sierżant McEvoy macie jakiś problem?

Holland spojrzał na Thome a. Później wielokrotnie będzie wspominał tę chwilę. W następnych miesiącach i latach, siedząc w środku nocy na skraju łóżka i słysząc, jak Sophie przewraca się niespokojnie przez sen, będzie powracać w myślach do tej chwili. Będzie przypominać sobie każdy szczegół posiniaczonej twarzy Thome a i najdrobniejszą zmianę w tonie jego schrypniętego głosu. Będzie to wspominał i żałował przed Bogiem, że nie powiedział mu wtedy prawdy.

- Nie, sir.

Thome powoli, przeciągle wypuścił powietrze i podszedł do okna. Spojrzał w dół w nadziei, że ujrzy coś, co poprawi mu humor. Mogliby mu w tym pomóc nieudolnie maszerujący kadeci. Albo jeszcze lepiej, grupka kadetów tworząca ludzką piramidę na dwóch jadących obok siebie motocyklach, tak jak to robili, kiedy był jeszcze nastolatkiem. Ale zobaczył tylko stojącego w bramie palącego papierosa pracownika pionu cywilnego.

Thome odwrócił się i przeszedł przez pokój. Czuł się zagubiony, odrzucony, niepotrzebny. Otworzył drzwi gabinetu i zajrzał do sali odpraw. W oddali spostrzegł Normana pochylającego się nad biurkiem McEvoy. Powiedziała coś, co sprawiło, że się zaśmiał.

- McEvoy i Norman bardzo się zaprzyjaźnili, nie uważasz?

- Pewnie stara się ją namówić, aby przyszła na kolejną konferencję prasową - odrzekł Holland. - Wmawia jej, że powinna odbyć przeszkolenie w kontaktach z mediami. Zapewnia ją, że świetnie się prezentuje w obiektywach kamer.

Thome odwrócił się.

- A co ze mną? Czy ja dobrze się prezentuję przed kamerą? - Holland szukał pospiesznie jakiejś dyplomatycznej wypowiedzi. - Czy naprawdę tak źle wyglądam?

- Kiedy tylko zejdziesz, powinno być nieźle. Złamany nos wygląda całkiem atrakcyjnie. Kobiety mają słabość do takich rzeczy...

- Boże, błagam...

- Powinienem podejść do tego optymistycznie - rzekł Holland. - Prawda jest taka, że, z całym szacunkiem, inspektorze, ale już wcześniej był pan brzydko jak kupa.

Zero dłubania. Zero kichania. Ból uświadomił Thomeowi, że w obecnej sytuacji powinien też powstrzymać się od śmiechu.

Thome zaczął czekać, aż w gabinecie zapanuje cisza, i dopiero wtedy skorzystał z telefonu.

Serce mu dudniło, kiedy wybierał numer, jak za każdym razem, kiedy dzwonił z domu. Ze szpitala dzwonił chyba z dziesięć razy. I za każdym razem włączała się automatyczna sekretarka.

Czekał na połączenie.

Powinien był im o tym powiedzieć, były rzeczy, które mogli zrobić, tropy, którymi mogli podążać - ale instynkt podpowiadał mu, że ich wysiłki okazałyby się bezowocne i że postąpił słusznie.

W ten sposób mógł odpokutować za swój błąd...

Jak zawsze dziesięć, dwanaście sygnałów i znajomy komunikat.

- Cholera...

„Tu Tom Thome. Zostaw wiadomość albo spróbuj zadzwonić na mój numer domowy, czyli...”.

Inagle Thome przypomniał sobie, jak wcześniej Steve Norman odebrał telefon. Rzecznik prasowy spojrzął na wyświetlacz komórki. Na ekranie wyświetlał się numer dzwoniącego...

Ten numer telefonu służbowego był zastrzeżony, podobnie jak domowy. Na wyświetlaczu komórki pojawiał się komunikat: numer prywatny. Nic dziwnego, że tamten nie odbierał. Potrzebował dostępnego numeru, który pojawi się na wyświetlaczu i pozwoli mężczyźnie mającemu jego telefon domyślić się, kto dzwoni.

Thome otworzył drzwi, rozejrzał się po sali odpraw w nadziei, że Holland jeszcze nie wyszedł.

Kilka minut później, korzystając z pożyczonej od Hollanda komórki, ponownie wybrał numer. Na wyświetlaczu pojawi się nazwisko. Sam to zaprogramował.

Ktokolwiek miał teraz jego aparat, ujrzy na wyświetlaczu Holland Kom. i powinien się domyślić, kto dzwoni. Może zaryzykuje i odbierze.

Odebrał.

- Palmer. Tu Thome.

Piętnaście sekund. Thome zaczął się zastanawiać, czy na drugim końcu łącza był faktycznie Palmer. I wtedy usłyszał ten charakterystyczny nosowy głos.

- Tak mi przykro, panie Thome...

- Złamałeś mi nos, do cholery...

- Przykro mi. Nie chciałem, żeby tak się stało.

Thome podszedł do okna i wyjrzał na zewnątrz, lustrując wzrokiem Hendon i auta mknące po M1 na północ.

- Czemu zabrałeś mój telefon?

- Nie zamierzam rozmawiać tak długo, abyście zdołali mnie namierzyć. Zakładam, że namierza pan...

- Zabrałeś go, aby zyskać więcej czasu na ucieczkę, czy po prostu wiedziałeś, że zadzwonię?

Thome usłyszał oddech Palmera zastanawiającego się nad tym pytaniem.

- Pewnie po trosze jedno i drugie.

- Wiesz, że to, co zrobiłeś, było głupie. Znajdziemy cię. Raz oddałeś się w nasze ręce, powinieneś zrobić to ponownie.

Palmer zaśmiał się, ale w jego głosie zabrzmiała nuta desperacji.

- Po co? Czy to może wpłynąć na wielkość mojego wyroku?

- Czemu cię to obchodzi? Przecież i tak chciałeś trafić za kratki na dożywocie. Co się zmieniło, Martin? Dlaczego to zrobiłeś?

- Muszę już kończyć...

- To z powodu tego, co mówiłem o tym, co może cię spotkać w więzieniu?

- Niezupełnie. Tak, poniekąd...

Thome spojrział na swoje odbicie w ciemnej szybie. Jego twarz pokrywały czarne cienie sińców. Przez moment zapomniał, że rozmawia z mordercą. Czuł się jak postać z nagrania pop noir, z której ust płyną niepowiązane ze sobą, bezsensowne zdania, dziwne fragmenty rozmów łączące się w mroczną balladę o utracie lub niemożliwości zyskania przebaczenia.

- Co miałeś na myśli, mówiąc te słowa w samochodzie? Co to znaczy, że twoim zdaniem Nicklin może być policjantem?

- Ja nic nie chciałem przez to powiedzieć. Rzuciłem to ot tak, z głupia frant. Chciałem pana zdezorientować...

- Bzdury, Martin. Mogłeś zrobić coś innego, powiedzieć coś innego. Czemu powiedziałeś akurat to?

- Takie odniosłem wrażenie, to wszystko. To wynikało z jego zachowania, jakby przywykł do tego, że ludzie robią, co im każe...

- Czy nie było tak zawsze?

- Jak powiedziałem, to tylko moje odczucie. Tak to odebrałem tego dnia w restauracji. Nie potrafię ująć tego w słowa. Naprawdę muszę już kończyć...

- Zaczekaj. Chcę, żebyś się zastanowił nad zakończeniem tego wszystkiego. Gdziekolwiek jesteś, znajdziemy cię, po co to robisz?

- Nie mogę dłużej rozmawiać...

- Zaczekaj. Jeszcze do ciebie zadzwonię. Trzy sygnały i rozłączę się. W ten sposób będziesz wiedział, że to ja. Trzy sygnały, Palmer. Zgoda?

Połączenie zostało przerwane.

McEvoy leżała na wznak, wstrzymując oddech i wpatrując się w lustro.

Serce tłukło się w jej piersi jak oszalałe. Świerzbiała ją skóra na twarzy, dziąsła, usta i zęby dziwnie zdrętwiały, a pod czaszką czuła tępe pulsowanie.

Zamarła, gdy usłyszała samochód zatrzymujący się przed domem. Mięśnie w jej ciele napięły się, kiedy czekała na odgłos kroków przed drzwiami. Mogła w dziesięć sekund dotrzeć do głównego przełącznika...

Leżała na wznak na podłodze, pod parapetem okna w pokoju, kompletnie niewidoczna. Lustro w sypialni przesunęła centymetr po centymetrze, aż uzyskała optymalny widok. Teraz mogła leżeć bezpiecznie, obserwując ogród za domem. Natychmiast ich ujrzy, gdyby się zjawili. W ogrodzie było drugie lustro, wielkie, zawieszane przy płocie. Z tego miejsca mogła widzieć praktycznie wszystko, co działo się wokół domu.

Kiedy kupiła to mieszkanie, ogród wyglądał naprawdę pięknie. Uwielbiała przesiadywać tam w letnie noce, nierzadko z mężczyzną, opróżniając butelkę wina przed pójściem do łóżka. Obecnie ogród stanowił niepotrzebne utrudnienie. Wiedziała, że nadejdą właśnie od tej strony. To właśnie stamtąd najczęściej ją obserwowali. Choć pomysł z przebraniem funkcjonariusza za konserwatora ulicznych latarni był naprawdę przedni. Jednak ona była sprytniejsza, znała wszystkie sztuczki, czyż nie? Numery stosowane podczas inwigilacji. Wiedziała, że samochód, który ją śledził, stał teraz zaparkowany gdzieś przed domem. Znała wszystkie te sztuczki, bo sama je stosowała.

Holland musiał puścić parę. Teraz była już pewna, że wszyscy oniej wiedzieli. Wcześniej tego dnia przyłapała dwie osoby, jak rozmawiały na jej temat. Mówiły o niej i natychmiast zamilkły, kiedy tylko weszła do pokoju. Obserwowały ją i osądzały. Cóż, ona też ich obserwowała. Gdy poprawiała makijaż, korzystając z małego lusterka, które miała w torebce. Dobrze wiedziała, o czym myśleli. Tak samo jak Holland. Jak oni wszyscy. Wszyscy bez wyjątku byli przekonani, że nie potrafiła już wypełniać swoich obowiązków.

Zastygła w bezruchu. Przez ogród przesunął się cień. Mogła dotrzeć do głównego wyłącznika światła w pięć sekund i sprawić, że cały dom pogrąży się w ciemnościach, odetnie główne źródło zasilania. Robiła to już wcześniej, gdy słyszała, że się zbliżają. Sporo zachodu kosztowało ją potem ponowne zaprogramowanie magnetowidu i zegarów, ale nie miała wyboru.

Oni byli tam na zewnątrz i nasłuchiwali. Ale tej nocy ci skurwiele niczego nie usłyszą ani nie zobaczą. Przepęzła po podłodze, oddalając się od okna, po czym wstała i zaczęła krok po kroku przesuwać się wzdłuż ściany. Osunęła się na fotel przy biurku i włączyła komputer.

Byli tacy, z którymi mogła rozmawiać, którzy znali jej wartość jako policjantki, którzy uważali zapewne, że była lepsza od innych. I rzucali jej wyzwania, by udowodniła, na co ją stać.

Dostała e maila.

Dźwięk telefonu wdarł się do snu Thome'a, zmieniając się tam w warkot wygłodniałego zwierzęcia drapiącego do drzwi i usiłującego przecisnąć się przez szparę pod nimi. Za drzwiami jak wrośnięty w ziemię stał mały chłopiec, przerażony, dopóki nie zjawiała się dziewczynka i nie wzięła go za rękę. Wtedy obudził się i sięgnął ręką w stronę telefonu.

- Palmer?

- Thome? Tu Colin Maxwell. Spałeś?

Thome zamrugał i spojrzał na zegar. Parę minut po jedenastej. Spał niecałe pół godziny.

- Czytałem do poduszki. Chciałem położyć się wcześniej...

Maxwell. Zabójstwa w hotelu. Kolejne ciała...

- Który to hotel?

Maxwell sprawiał wrażenie zdziwionego.

- Palace, w South Kensington. Skąd wiedziałeś?

Thome już całkiem się rozbudził. Potrzebował paru kolejnych proszków przeciwbólowych.

- A niby po co miałbyś dzwonić do mnie o tej porze? Ile trupów?

- Ani jednego. Posłuchaj, chyba nie całkiem się zrozumieliśmy. Mam dla ciebie dobre wieści, więc może spróbuj się trochę rozchmurzyć. Nasz gagatek nie jest tak bystry, jak sądziliśmy.

Proszki przeciwbólne mogły poczekać.

- Macie go?

- Zajmuje się dostawami do barów. Przywozi cholerne piwo. Przyjeżdża raz w miesiącu, zaprzyjaźnia się z ludźmi od cateringu, zagaduje kelnerki. Czy macie stałych gości? Kto szasta pieniędzmi na prawo i lewo? Czasami musi też posmarować za niektóre informacje.

- Co ma z tym wspólnego hotel Pałace?

- Mamy świadka, sprzątaczkę, która przekazała w ubiegłym roku pewne informacje podejrzanemu, kiedy pracowała jeszcze w Regency, a nasz morderca był wtedy tylko zwykłym złodziejem. Podejrzany ponownie nawiązał kontakt z tą dziewczyną w zeszłym tygodniu, ale nasza sprzątaczką nie jest w ciemni bita. Czytała gazety, wie o nim wszystko. Powiedzieliśmy, że nic jej nie grozi, jeśli tylko będzie postępować zgodnie z naszymi zaleceniami.

Thome był coraz bardziej poirytowany. Szczegółami mogą zająć się później. Będzie dość czasu na ich omówienie.

- Colin, opowiedz mi teraz o hotelu Pałace... o co właściwie chodzi?

- To jest właśnie najlepsze, stary. Co robisz w przyszły wtorek wieczorem?

24

Thome spojrział na swój telefon. Był mniejszy od poprzedniego i bardziej szpanerski. Przez większą część dnia starał się przekazać wszystkim, komu trzeba, swój nowy numer. Nie zrezygnował przy tym z poprzedniego; chciał, by pozostał aktywny jeszcze przez jakiś czas.

Gdy czekali w ciszy i spokoju, Thome próbował rozgryźć poszczególne funkcje komórki. Ta miała rozbudowaną funkcję SMSów. Nigdy dotąd ich nie wysyłał. Uważał, że łatwiej mu zadzwonić, niż wysłać wiadomość tekstową. Ale to mogło być nawet zabawne. Wstukał tekst. Komórka miała mnóstwo różnych symboli i zapewne rozmaite ułatwienia, z których mógł skorzystać - wiedział, że dzieciaki mają bzika na punkcie nowinek technicznych i gadżetów - ale on wolał zrobić to po staremu. Wcisnął klawisz wysyłania wiadomości i uniósł wzrok, uśmiechając się do pozostałych. Wszyscy milczeli.

Thome był pewien, że jego informacja zostanie odczytana. Nie było ryzyka w otwarciu jej, nawet jeśli numer, z którego ją wysłano, był nieznanym. Wiadomość była krótka i prosta.

Podдай się...

Burczenie w brzuchu przełamało ciszę i rozładowało napięcie. Wszyscy zaczęli się śmiać. Ktoś zaproponował, aby wezwać obsługę hotelową i zamówić kolację na koszt firmy.

Holland i McEvoy weszli przez obrotowe drzwi i ruszyli przez hol w kierunku recepcji. Holland miał na sobie granatowy garnitur, McEvoy miękką skórzaną kurtkę narzuconą na czarną sukienkę. Szli, trzymając się za ręce.

- Pokój sto trzydzieści trzy, poproszę o klucz - rzekł Holland.

McEvoy wyjęła z torebki małe lustro i przejrzała się w nim, sprawdzając makijaż. Kobieta w recepcji uśmiechnęła się fałszywie i była to kopia tego samego nieszczęsnego uśmiechu, który nieomal stale gościł na jej ustach. Drżenie dłoni, kiedy podawała klucz, było prawie niewyczuwalne.

- Czy zamawiają państwo budzenie? - spytała.

McEvoy pokręciła głową.

- A czy chcieliby państwo gazetę?

Holland uśmiechnął się. Była naprawdę niezła.

- Nie, dziękuję. Dobranoc...

Zaczekali na windę. McEvoy wpatrywała się w swoje odbicie na metalowych drzwiach. Holland obrócił się nonszalancko i jakby nigdy nic, rozejrzał się wokoło. Mężczyzna pod pięćdziesiątkę palący cygaro i siedzący w fotelu przy głównym wejściu czekał na kogoś. Z baru wyszło kilku hałaśliwych biznesmenów. Przy telefonie stał młody mężczyzna.

Zjawiała się winda, z kabiny wysiadło kilku kolejnych gawędzących w najlepsze biznesmenów. Holland i McEvoy wsiedli do kabiny. Holland wcisnął przycisk pierwszego piętra. Dopiero kiedy drzwi całkiem się zamknęły, ich dłonie się rozłączyły.

Jason Alderton szybko szedł korytarzem, jego stopy w miękkim czarnym sportowym obuwiu nie czyniły najmniejszego hałasu na grubym miękkim dywanie. Zza rogu wyszła jakaś kobieta. Uśmiechnął się, gdy go mijala, i ona także odpowiedziała uśmiechem. Zatrzymał się przed drzwiami i przygotował. Bezgłośnie postawił torbę na podłodze u swoich stóp, przez kilka sekund rozglądał się na prawo i lewo, po czym nałożył rękawiczki. Ważne było, aby stanąć tuż pod wizjerem. Jego ubiór wyglądał dość przeciętnie, ale tak z bliska widać było tylko uśmiechniętą twarz zadowolonego, pogwizdującego pod nosem mężczyzny. Jason wziął kilka głębszych oddechów i zapukał. Był podekscytowany faktem, że jego dłonie w rękawiczkach pozostały całkiem suche. Nabierał wprawy.

Kroki wewnątrz pokoju. Sprężył się, szykując do akcji. Zaskoczenie dawało mu przewagę. Zawsze byli kompletnie dezorientowani. Pamiętał wyraz ich twarzy. Sądził, że są bezpieczni.

- Kto tam?

- Z obsługi. Jeden z grzejników w państwa pokoju szwankuje...

Kiedy otworzyły się drzwi, w ciągu pół sekundy, zanim zaatakował, Jason wychwycił wzrokiem wszystkie niezbędne szczegóły.

Skurwiel w garniturze, przyjechał tu na konferencję, tak jak mówiła mu dziewczyna... nie za duży... w sumie przeciętny... chyba wysportowany, ale to bez znaczenia... pewny siebie, lecz gdy przyjdzie co do czego, jak nic zacznie szlochać jak dziecko... ten jego wyraz twarzy, kompletny szok, kiedy poniewczasie uświadomi sobie, że coś jest nie tak... kobieta, żona albo kochanka, siedząca za nim na brzegu łóżka...

Uniósł ręce i mocno pchnął faceta w garniturze w pierś, powalając go na podłogę. A potem wparował do środka, zabierając torbę i zatrzaskując za sobą drzwi jednym płynnym ruchem; facet w garniturze jęczał na czworakach, a kiedy Jason postąpił naprzód, by przykopać skurwielowi w brzuch, zobaczył, że kobieta na łóżku podskoczyła, dosłownie podskoczyła w górę jak ta stara Holenderka.

Podskoczyła w górę i krzyknęła przeraźliwie...

McEvoy wrzasnęła.

To był okrzyk przerażonej żony. Albo wołanie policjantki dającej swoim kolegom sygnał do działania.

Thome wyszedł szybko ze swojej kryjówki przy szafie wnękowej. Dostrzegł zaskoczenie na twarzy podejrzanego i przybierające na sile, gdy ten odwrócił się, szukając wyjścia, a tymczasem z łazienki za nim wyskoczyło dwóch kolejnych mężczyzn.

Upłynęło niespełna pięć sekund od chwili pojawienia się Thome a do momentu, gdy spojrzał na rozciągniętego na podłodze podejrzanego, i niełicho się zdziwił, że nie pobił drania do nieprzytomności.

Kiedy Thome mszył w jego stronę, podejrzany próbował zbiec, ale Holland skoczył naprzód, chwytając go wpół i powalając na ziemię. McEvoy usunęła się im z drogi, a Holland z podejrzanym z hukiem wyrznęli o krawędź łóżka. Thorne i Maxwell byli tuż za nimi, wspólnie podnieśli podejrzanego z podłogi i cisnęli go ponad łóżkiem, pod ścianę, po przeciwnej stronie pokoju.

Zanim podejrzany ciężko wylądował na dywanie, Thome obszedł łóżko i mszył w jego stronę. Zaciskając pięści.

Był gotowy na wszystko.

Facet nie ukrył twarzy pod kominiarką, bo nie zamierzał zostawić żadnego ze świadków napaści przy życiu. Torba, którą miał przerzuconą przez ramię, zawierała nóż, taśmę klejącą i Bóg wie, co jeszcze...

Thome przypomniał sobie, kiedy ostatni raz był w pokoju hotelowym. Pomyślał o ciałach w wannie i na łóżku. Teraz miał chęć ciosami pięści i kopniakami wylądować całą frustracją. Maxwell i Holland podeszli, by go powstrzymać, zanim zrobi coś głupiego.

Nie musieli.

Thorne dostrzegł wyraz zdumienia na twarzy mężczyzny leżącego bezwładnie na podłodze pomiędzy łóżkiem a ścianą. W całej tej szamotaninie spodnie zsunęły mu się do połowy ud, ukazując szare slipki. Na czole miał spore zadrapanie. Włosy gęste od żelu przylegały do jego skalpu jak odnóża tłustych czarnych pajaków. Twarz miał pociągłą, wymizerowaną, oczy rozszerzone, a usta rozchylone, jakby z trudem łapał powietrze. Thome podeszedł do niego, zaciskając pięści, a jego posiniaczone oblicze spochmumiało.

Thome wiedział, że mężczyzna na podłodze zastanawiał się, czy on sam już wkrótce będzie tak wyglądał...

Inspektor znieruchomiał. Stał jak wryty i wlepił wzrok w parszywego gnoja, tępego osiłka o sadystycznych skłonnościach, który praktycznie sam oddał się w ich ręce. Ten brutalny debil nie był dość ostrożny i do późnej starości będzie mógł o tym rozmyślać w więzieniu. Kolejny powód do świętowania i jeszcze jeden ptaszek za kratkami. Zabójca schwyty z tego samego powodu co większość z nich.

Ślepy traf i głupota.

Sutcliffe, West, Nielsen, Shipman. Dosłownie wszyscy z listy, o którą pytał go ojciec. Wszyscy wpadali przez przypadek, zbieg okoliczności albo własną nieostrożność. I nie tylko

ci najwięksi, Zabójca A i Gwałciciel B również. Pospolici maniacy, jakich pełno na każdym rogu ulicy, większości z nich daleko było do wyrafinowanych, błyskotliwych psychopatów z poczytnych kryminałów. Wszyscy zabijali z prostych, banalnych wręcz pobudek. Powodowały nimi gniew, zazdrość, chciwość, żądza. Byli źli, zepsuci i plugawi, o tak, ale należy przy tym dodać, że również głupi, jak niektórzy spośród tych, co ich ścigali...

Thome i pozostali robili swoje, starali się jak mogli, miewali lepsze i gorsze dni. Czasami dopisywało im szczęście, kiedy indziej zwyczajnie mieli pecha. Raz postępowali zgodnie z procedurą, a kiedy indziej nie, w zależności od tego, kim byli i na ile im zależało. Detektywi łudzili się, że akurat ten sprawca chce, by go schwytano, i czekał ich zawód, modlili się o spostrzegawczych świadków, krewnych dręczonych wyrzutami sumienia albo przygłupiego współnika.

Potrzebowali wszelkiej możliwej pomocy.

Thome naturalnie o tym wiedział. Doskonale zdawał sobie z tego sprawę, ale i tak od czasu do czasu proza życia dawała mu solidnie po pysku. Wystarczyła chwila, jeden obraz, aby sobie to uświadomił. Aby zrozumiał, jak bardzo jest zagubiony. Ile w jego fachu zależało od łutu szczęścia i niepowodzenia innych.

Detektyw? Śledczy? Powinni wymyślić jakąś inną, bardziej adekwatną nazwę.

Thome nie pamiętał, kiedy ostatni raz coś wysledził, nie licząc paru wpadek i alkoholowego chuchu u jednego ze swych kolegów.

Upłynęło nie więcej niż pięć sekund, odkąd wyszedł ze swej kryjówki. Poczł szarpnięcie za ramię i usłyszał jakiś wysoki nieprzyjemny dźwięk. To wyrwało go z odrętwienia...

Mężczyzna leżący na podłodze nie patrzył na niego, lecz na coś, co znajdowało się po drugiej stronie pokoju. Ktoś pociągnął Thome'a za rękę, nie tyle odciągając go od podejrzanego, bo przecież nie próbował mu dołożyć, ile raczej ku czemuś, co wymagało jego pełniejszego zaangażowania i uwagi.

Thome odwrócił się w tej samej chwili, kiedy naprawdę to usłyszał. Obrócił się na pięcie, skrzywił pod nosem i spojrzał w tę samą stronę co pozostali znajdujący się w pokoju. Wszyscy zatykali dłońmi uszy. I patrzyli na Sarę McEvoy, która siedziała skulona pod ścianą, tuż przy drzwiach.

I wciąż wrzeszczała na całe gardło.

Kiedy uniosła głowę, by na niego spojrzeć, Holland zauważył, że jego koszula jest wilgotna od smarków i łez.

McEvoy płakała ponad godzinę.

Trzymała się jakoś, dopóki nie wsiedli do samochodu i nie odjechali sprzed hotelu. Potem wpadła w histerię i nie mogła się uspokoić przez całą drogę do Wembley, a kiedy zatrzymał wóz przed jej domem, przytuliła się do niego i szlochała tak, że niemal się zachłystywała i nie była w stanie mówić. Chciała, żeby ją przytulił.

Od tej pory nawet się nie poruszyli.

W hotelu ich dwoje i Thome zeszli na dół, kiedy tylko z pokoju wyprowadzono Jasona Aldertona. Wsiedli bez słowa do windy i zajęli miejsca na sofie i w fotelach w opustoszałej recepcji. Thome znalazł kogoś z obsługi, zamówił kawę i spojrzał na nich, domagając się odpowiedzi. Holland zdziwił się, jak szybko McEvoy zdołała się opanować, z jaką łatwością spojrzała na Thome a, kłamiąc mu w żywe oczy. Powiedziała, że jej matka zachorowała i że ciężko jej się z tym pogodzić. Zaśmiała się i stwierdziła, że akcja w hotelu musiała obudzić coś w jej podświadomości i wywołać utajoną reakcję. To był jednorazowy przypadek. Więcej się to nie powtórzy...

Thome chyba jej uwierzył. Zaproponował, aby wzięła parę dni wolnego. Wypytywał o jej matkę.

A może wcale jej nie uwierzył. Holland spojrzał w lusterko wsteczne, gdy ruszali z hotelowego parkingu, i ujrzał odprowadzającego ich wzrokiem Thome a. Właśnie wtedy, gdy zobaczył go stojącego z rękami w kieszeniach i tym dziwnym wyrazem twarzy, sądził, że może tamten postanowił przełożyć wszystko na inny dzień.

Holland próbował nieznacznie się poruszyć. McEvoy przygniatała go całym ciałem, przez co było mu niewygodnie, ale za każdym razem, gdy próbował zmienić pozycję, Sarah znów wybuchała płaczem. Zrobiła to kilka razy, odkąd zatrzymali się przed jej domem, i szlochała naprawdę głośno. Ten dźwięk dobywał się z jej trzewi, z samego wnętrza. Uczucie było tak silne i pierwotne, że zdawało się krzyczeć, gdy tylko wydostało się z jej ciała. Za każdym razem szloch wstrząsał nią całą i nawet jego przenikał na wskroś przez wiele minut, dopóki się całkiem nie uspokoiła.

Silnik nie pracował, deska rozdzielcza była wygaszona, ale musiało być już po północy. Mężczyzna wyprowadzający psa zajrzał do auta, po czym odwrócił wzrok. Holland nie wiedział, czy tamten dobrze zinterpretował to, co zobaczył.

- Saro...

Jęknęła i uniosła wzrok. Całkiem się rozmazała. Kiedy Holland otworzył usta, wsunęła język między jego wargi i poczuł ciepło w okolicy krocza. Sporo wysiłku kosztowało go przerwanie tego pocałunku.

- Chodź, Saro, odprowadzę cię do domu.

- Nie...

Ścisnęła go za szyję tak mocno, że prawie krzyknął z bólu. Uniósł rękę i wsunął ją pomiędzy jej palce a swoją szyję.

- Musisz to przerwać. Powinnaś się przespać. Odpocząć.

Głos miała ochryply, mówiła z przerwami, łapczywie chwytając powietrze.

- Miło ci było... kiedy okazało się, że masz rację? Kiedy... spartoliłam robotę?

- Nie wygłupiaj się.

- Sfuszerowałam... i to przy wszystkich...

- To, co powiedziałaś Thome owi, brzmiało przekonująco.

- O ile mi uwierzył...

Holland zdał sobie sprawę, że od kilku chwil gładzi ją po włosach.

- Posłuchaj, to, co mi mówiłaś, okazało się prawdą. Niewiele mnie to obchodzi, ale może powinnaś potraktować to jako ostrzeżenie i przedsięwziąć w związku z tym pewne kroki...

Wtulila twarz w jego ramię. Może pokiwała głową, nie był tego pewien.

- Saro?

Zaskomlała. Chyba była bliska kolejnego ataku hysterii. Przestał głaskać ją po włosach, schwycił ją za nie.

- To może być twoja ostatnia szansa, masz tego świadomość? Uniosła głowę i spojrzała na niego z dziwnym wyrazem mocno przekrwionych oczu. Patrzyła na niego przez jakieś piętnaście sekund. Wyzywająco... przepraszająco... z akceptacją... mówiąc bez słów coś, co później długo będzie próbował zinterpretować.

Wtedy, wczesnym rankiem, kiedy o przednią szybę rozbryznięły pierwsze krople deszczu, nie był w stanie powiedzieć niczego, co nie zabrzmiałoby żałośnie i bezsensownie.

- Będę tu, aby ci pomóc, jeżeli zdecydujesz się coś z tym zrobić... Delikatnie położył jej głowę na swoim ramieniu i siedzieli tak oboje, tuląc się do siebie z różnych, mylnie pojmowanych powodów.

McEvoy musiała jakoś przez to przebrnąć, ale chciała zostać sama. Chciała wrócić do mieszkania i włączyć komputer.

Holland uciszał ją jak dziecko. I nieznacznie zmienił pozycję, aby unieść rękę i spojrzeć na zegarek.

Mary z Rickmansworth: Nigdy nie powinien wyjść z mamra. A co z dożywociem dla rodziców? Co z rodzicami tej dziewczyny?

Alan z Leicester: Nie chodzi o zemstę, Bob, tylko o sprawiedliwość. Jest jeszcze za wcześnie.

Dzieciak osadzony za zabójstwo dziewczynki, obecnie dorosły mężczyzna domagał się zwolnienia warunkowego. Debata rozgorzała już osiem miesięcy temu w związku z wyjściem na zwolnienie warunkowe chłopców, którzy zabili Jamiego Bulgera. I znów rozpętała się na nowo. Linie telefoniczne, jak przypominał Bob, były rozgrzane do czerwoności...

Susan z Bromley: Ten chłopak dla własnego dobra powinien zostać w więzieniu. Jeżeli wyjdzie na wolność, ktoś go znajdzie i zabije.

To było jego ulubione. Nie mówmy o uwolnieniu naszych demonów i ich powrocie do społeczeństwa. Nie mówmy że chcielibyśmy, aby zamknięto ich w więzieniu na resztę życia, bo dzięki temu wyrzuty sumienia, że nie zdołaliśmy ochronić naszych dzieci, nie doskwierają nam tak bardzo. Udawajmy, że troszczymy się o bezpieczeństwo tych morderczych łajdaków. Bezczenne.

Rozważał argumenty, jak zawsze zresztą, i koniec końców wziął stronę większości.

Tego człowieka nigdy nie powinno się wypuścić na wolność. Zabicie dzieci było złe.

Caroline położyła się wcześniej, a on miał cały wieczór na przemyślenia i upewnienie się, że pomyślał o wszystkim.

Rozważał porzucenie tego wszystkiego z chwilą ucieczki Palmera. Zastanawiał się nad odnalezieniem go i ponownym nawiązaniem współpracy. Nie żywił do niego złości, że ostatnim razem skrewił i odwrócił się od niego. Tak to już było z ludźmi pokroju Martina. Strach można okiełznać, ale czasami bywał on nieprzewidywalny.

Po zastanowieniu zdecydował robić dalej swoje. Żadnych przestojów czy cofania się. Palmer należał po części do przeszłości, niech odpłynie z nurtem na głębinę i utonie. Jego przyszłość była o wiele bardziej ekscytująca. Mimo to ucieczka Palmera rozbawiła go do łez. Thome był taki arogancki. Thome, który nie znosił głupców. A jednak pokpił sprawę dokumentnie. I to on wyszedł na głupca.

Nalał sobie kolejny kieliszek wina. Zastanawiał się, czy McEvoy spieprzy sprawę. Gdyby do tego doszło, nie byłby to koniec świata - on byłby kryty - ale poczułby

rozczarowanie po tym, ile wysiłku włożył w to wszystko do tej pory. Uznał, że ma powód, aby zachować odrobinę optymizmu.

Stanowiła doskonały wybór.

Gdy spotkał ją po raz pierwszy, coś w niej dostrzegł. Jakąś potrzebę, choć nie tak oczywistą. Wychwylił objawy uzależnienia od narkotyków, widywał je wielokrotnie, kiedy jeszcze pracował na ulicy. To zapewne kokaina podsunęła mu ten pomysł, szybko jednak zorientował się, że pragnienie McEvoy sięgało dużo dalej.

Tak więc przy odrobinie szczęścia oboje na tym zyskają. Już wkrótce przekona się, czy dokonał słusznego wyboru, ale gdyby coś poszło nie tak, postanowił już, że później i tak ją zabije.

Sięgnął ręką i podkręcił radio. Jakiś dureń perorował o tym, że ten chłopiec nie zdołałby ukryć tego, kim był, nawet gdyby wypuszczono go na wolność. To samo mówiono o Venablesie i Thompsonie. Musieli stać się innymi ludźmi, ukryć przed wszystkimi swą przeszłość. Musieli kłamać, i to już zawsze, okłamywać bliskich, przyjaciół i późniejsze towarzyski życia. To było niemożliwe. Prędzej czy później ktoś musiał się dowiedzieć. Jak można ukryć przed wszystkimi całą swoją przeszłość?

Uśmiechnął się pod nosem. Wiedział, że można było tego dokonać.

Thome wcisnął guzik odtwarzacza automatycznej sekretarki i dzień, który zaczął się mamie, stał się jeszcze paskudniejszy.

- Halo... Tom, mówi Eileen. Ciocia Eileen z Brighton... nie cierpię tych urzędzeń. Posłuchaj, musimy pomówić o twoim ojcu. Od świąt jestem z nim w stałym kontakcie i... cóż... nie jest dobrze. Ty tego nie pamiętasz, ale... z twoim dziadkiem było podobnie... później. Czasami zapomina o jedzeniu. Namawiam go na wizytę u lekarza, a on twierdzi, że nie ma nic przeciw temu. Podobno był u specjalisty. Przypuszczam, że skierowano go na badania specjalistyczne, ale na wszelki wypadek skontaktuj się z nami, razem spróbujemy coś na to zaradzić. Powinieneś się do tego przyłączyć, dopilnować, aby stawił się na badania...

Włączył przycisk stop i poszedł nastawić wodę.

Z hukiem postawił kubek na stole. Od kłótni z ojcem minął już prawie tydzień. Powinien jutro do niego zadzwonić, jakoś to załagodzić. Po co Eileen mieszała się w to wszystko? Do tej pory zawsze trzymała się na uboczu. Chryste, zawsze kiedy miał coś na głowie, zwały się na niego najróżniejsze problemy. Kłopoty chodzą parami, ale w jego wypadku można było chyba mówić o tabunach.

To był błąd, że przed powrotem do domu zajrzał do KFC. Rozbolał go brzuch.

Badania specjalistyczne? O co tu chodzi, do cholery?

Spojrzał na zegarek. Już za późno, żeby dzwonić do ojca. Rozerwał karton z mlekiem tak nieudolnie, że wszystko pozalewał. Chrzanić to, herbata pozwoli mu utrzymać się na nogach. Czy nie pisano gdzieś, że teina ma silniejsze działanie niż kofeina?

Wparował do pokoju i siedział tam w milczeniu, z telefonem w ręku.

Do kogo ta mowa? To byłby cud, gdyby udało mu się zasnąć. Adrenalina krążąca w jego żyłach od czasu akcji w hotelu wciąż domagała się spożytkowania. Emocje, jakie nim ośwładnęły, trochę go otrzeźwiły, a teraz usunęły się w cień, a on nadal czuł się jak bokser po ciężkim sparingu.

No i jeszcze McEvoy...

Co miało znaczyć jej zachowanie? Rano pomówi o tym z Brigstockiem. Maxwell na pewno wspomni o tym w raporcie, ale Thome wiedział, że lepiej będzie, jeśli sam pierwszy o tym poinformuje. Nie wiedział tylko, co ma właściwie powiedzieć Brigstockowi. Zapewne spróbuje wcisnąć mu ten sam kit, który usłyszał od McEvoy.

Z Hollandem też się rozmówi.

Spojrzał na zegarek. Od ostatniego zerknięcia minęło zaledwie pięć minut.

Odczekał trzy sygnały, przerwał połączenie, ponownie wybrał numer. Sygnał brzmiał długo.

- Palmer?

- Spałem...

- Podaj mi adres...

- Co...?

- Podaj mi adres, gdzie jesteś, to po ciebie przyjadę.

- Nie mogę.

Thome nie liczył, że będzie łatwo, ale i tak go to rozdrażniło.

- Czemu z tym nie skończysz, Palmer? Nie jesteś z tych, co uciekają. Ucieczka to do ciebie niepodobne. To nie w twoim stylu. Jesteś ciniąsem, tchórzem, mięczakiem.

Zapadła cisza, dostatecznie długa, by Thome wstał i poszedł do sypialni. Położył się na łóżku. I wtedy Palmer znów się odezwał.

- Wiem...

- I co ty właściwie robisz?

- Nie jestem pewien.

Nie był jedynym, który miał takie wątpliwości. Thome wlepił wzrok w sufit i spytał siebie w myślach, dlaczego o wpół do pierwszej w nocy mógł zadzwonić jedynie do zbiegłego mordercy. To rzecz jasna było pytanie retoryczne. Kompletna bzdura. Był

zmęczony i różne głupoty przychodziły mu do głowy. Holland nie miałby nic przeciwko pogawędzeniu przez telefon, zapewne i tak jeszcze nie spał. Hendricks również. Powinien zadzwonić do Hendricksa...

- Jakież wieści o Stuarcie? - zapytał Palmer.

- Martwisz się, że może cię odnaleźć przed nami?

- Nie... tak tylko zapytałem.

Thome chrząknął.

- Może ty wiesz coś, czego my nie wiemy.

- Przykro mi, ale ja naprawdę nic nie wiem.

- Z wyjątkiem tego, że może być policjantem.

- Powiedziałem wcześniej, że odnoszę takie wrażenie. To nic konkretnego ani pewnego. Nigdy pana nie okłamałem, inspektorze Thome.

- Chcesz mi w ten sposób zaimponować? Uważasz, że to zrobi na mnie wrażenie?

- Niczego takiego nie powiedziałem.

- Zadźgałeś jedną kobietę, a drugą udusiłeś...

- Proszę...

- Ale w głębi serca jesteś całkiem uczciwy!

- Przykro mi, że nie pasuję do utartego schematu.

- Bzdura... zamknij się. Dość tego szajsu.

Thome usłyszał dochodzące od strony ulicy odgłosy kłótni. Kobieta i mężczyzna. Nie potrafił stwierdzić, czy zbliżali się, czy może raczej oddalali.

- Nie jest pan jedynym, który chciałby wiedzieć, jaki jestem naprawdę - rzekł Palmer.

- Nie wyciągaj mylnych wniosków, Palmer. Ja wiem doskonale, jaki jesteś...

- Przykro mi, że napytałem panu biedy...

- I skończ z tym przeproszaniem. To żalosne.

Thome potrzebował paru proszków przeciwbólowych. Wziął głęboki oddech i zwiesił nogi z łóżka, a nieprzetrawiony kurczak podszedł mu do gardła.

- Inspektorze Thome...?

Wstał i podszedł wolno do szafy. Kopniakiem otworzył drzwi i przejrzał się w lustro wiszącym po ich wewnętrznej stronie.

- Jezu Chryste - wyrwało mu się mimowolnie.

- Inspektorze Thome...?

Patrzył na swoje obrzmiałe, spuchnięte, zniekształcone odbicie, które przypomniało mu o jego obowiązkach. I uprzejmie, lecz stanowczo zapytało go, co właściwie, do kurwy nędzy, wyprawia.

- Wszystko w porządku, inspektorze Thome?

Eksplozja wściekłości. To u niego rodzinne.

- Nie mów tak do mnie! Nigdy się tak do mnie nie odzywaj, jasne? Nie pytaj, czy wszystko ze mną w porządku. Ani nie mów, że jest ci przykro...

- Janie...

- Mów do mnie jak morderca.

26

Thome zjawił się w pracy, czując pustkę i będąc przekonany, że za dnia nie wydarzy się nic, co mogłoby ją zapełnić.

Po rozmowie z Palmerem zapadł w zdumiewająco głęboki sen, także za sprawą środków przeciwbólowych. Tym razem zwierzę jeszcze mocniej i usilniej grzebało w szparze pod drzwiami. Kopało zawzięcie, usiłując wcisnąć pysk w szczelinę. Tym razem za drzwiami nie było Karen McMahan, by wzięła za rękę Charliego Gamera.

Z uwagi na stan dochodzenia Thome spodziewał się, że nadchodzący dzień będzie prawie surrealistyczny.

Pościg za Palmerem utknął w martwym punkcie.

Pościg za Nicklinem wracał do punktu wyjścia.

Thome i reszta zespołu zapewne spędzą ten dzień, świętując...

Butelka lub dwie i odrobina dobrej zabawy, by zabić wspomnienie ubiegłej nocy w hotelu. Nudę mijającego dnia przerwało rutynowe, regulaminowe spotkanie Thome a z funkcjonariuszami z inspektoratu.

To był dzień, kiedy nic się nie działo. I kiedy wszystko powoli zaczęło się układać.

Tom Thome nie był jedynym, który zjawił się w pracy, a pod czaszką mężczyzny, który nazywał się kiedyś Stuart Nicklin, zaczął tykać zegar.

Ocena Thome a co do rozwoju dnia była w dużej mierze trafna. Nie przewidział jedynie tego, że impreza zacznie się znacznie wcześniej. Wiadomości rozeszły się błyskawicznie: mała feta podczas lunchu na cześć dobrze wykonanej roboty. Jednakże w Grupie do spraw Przepiękstw Szczególnych morale nie było zbyt wysokie. Ani w zespole nr 3, ani w tym zajmującym się zabójstwami w hotelach, ani w ogóle. Kilka piw w pubie w porze lunchu byłoby miłe, ale wszyscy wiedzieli, że na kilku się nie skończy.

Pierwsza butelka szkockiej pojawiła się, zanim jeszcze wypito pierwszą tego dnia kawę i herbatę.

Thome i Brigstocke patrzyli z gabinetu, jak napełniane są papierowe kubki, a równocześnie w centrali zaczęły krążyć mocno przesadzone opowieści o wydarzeniach ubiegłej nocy.

- Trochę na to wcześnie, co nie? - spytał Thome.

Brigstocke uniósł brwi w teatralnym geście.

- Powiedz, Tom, dobrze się czujesz? Może to uderzenie w twarz jest poważniejsze w skutkach, niż się wydaje.

Thome milczał. Rozejrzał się dokoła, lecz nigdzie nie zauważył Hollanda. Sierżant nie dołączył do świętujących.

Brigstocke wzruszył ramionami.

- Szczerze mówiąc, myślę, że to jest nam potrzebne. Dopóki nad tym panujemy, nie ma sprawy. Grunt, żeby nikt się nie zataczał, kiedy zjawi się Jesmond, by choć przez chwilę pławić się w blasku sławy...

Hałas w sali odpraw zaczął powoli cichnąć. Nie ulegało wątpliwości, o którym wydarzeniu z ubiegłej nocy rozmawiano.

- Dziś rano spotkałem się z McEvoy - rzekł Brigstocke.

- Jak wyglądała?

- Niewyspana. I chyba była zakłopotana z powodu tego, co się stało. Chciała zgłosić się do pracy, ale ja poleciłem jej, aby wzięła wolne do końca tygodnia. Co o tym sądzisz?

Thome pokiwał głową, to brzmiało rozsądnie.

- Musi uporządkować pewne sprawy osobiste.

- Z Hollandem?

Thome nie zdziwił się, że Brigstocke coś zauważył, zawsze był bystry, jeżeli chodziło o relacje między członkami zespołu.

- Holland twierdzi, że nie - powiedział Thome.

- To nie koniec świata. Przenieś jedno z nich do Belgravii albo na West End...

- Niech to będzie McEvoy.

- Problemy?

- Nie. Niezupełnie. - Nic więcej prócz zwykłej lojalności wobec Dave'a Hollanda i lekkiego niepokoju co do Sary McEvoy. Nic, co mógłby określić, jedynie cień podejrzenia, nic konkretnego.

- Tak czy owak - rzekł Brigstocke - skoro Holland twierdzi, że to nie ma z nim nic...

- Nie ma.

- No proszę, jest już twój najlepszy kumpel.

Thome patrzył, jak do sali odpraw wszedł Steve Norman ze skórzaną torbą przewieszoną przez ramię. Przywitał się z funkcjonariuszami jak ze starymi przyjaciółmi i uniósł rękę, dziękując za zaproponowanego mu drinka.

- Co on tu robi? Nie ma własnego biura?

- Chyba jest jednym z tych, którzy chcą czuć się członkiem zespołu, no wiesz...

- Niech to szlag...

Norman szedł w ich kierunku. Nie mieli gdzie się skryć.

- Cześć, chłopaki. Wpadłem tylko, by pogratulować wczorajszej udanej akcji. To więcej roboty dla mnie, ale cóż, tak bywa. Pójdę już, spotkamy się na lunchu. Mam dziś mnóstwo pracy, sporo miejsc do odwiedzenia...

Poklepał pasek torby i odwrócił się, by odejść. Thome zauważył, że w torbie jest laptop. Norman był jednym z tych, którzy lubili przypominać innym, jak bardzo są ważni. I jacy są zapracowani. Zapewne pracował na laptopie w drodze pociągiem do biura.

- Palant - wycedził Thome, kiedy Norman zamknął za sobą drzwi.

- Nadinspektor Lickwood wspomniał chyba, że może tu dziś zajrzeć, aby się przywitać i wypić jednego za powodzenie zespołu. - Brigstocke uśmiechnął się na widok wyrazu twarzy Thome'a. - Pomyślałem, że to cię ucieszy.

- A więc nie ma dziś szans, abyśmy schwytali jakichś zabójców?

- Daj spokój, Tom. Ludzie będą tu przychodzić przez cały dzień, a wczoraj odwaliliśmy kawał naprawdę dobrej roboty. Możemy sobie pozwolić na odrobinę luzu.

Thome'owi nie trzeba było tego przypominać.

- Robota jak robota - ciągnął Brigstocke. - Dzień jak co dzień. Ale tym razem jest się z czego cieszyć. Potrzebujemy pozytywnego nastawienia. Nie pamiętasz, jak było ostatniego dnia, zanim rozpoczęłaś służbę w policji?

Thome wiedział, o co chodziło Brigstocke'owi, ale wciąż mu coś nie pasowało. Wyszedł z gabinetu, mamrocząc pod nosem.

- Przyniosę papierowe czapeczki...

I wtedy dopadło go biurko.

Thome zaklął głośno i kopnął w złośliwy kant, papierów, którymi go zabezpieczył, już nie było. Kiedy roztarł udo, postanowił, że podczas gdy inni świętują, on zrobi coś naprawdę użytecznego. Zawołał na całe gardło, nie mając na myśli nikogo konkretnego:

- Dajcie mi tu ręczną piłę, tylko szybko...

Kilku stałych bywalców siedziało przy barze, topiąc smutki w szklanicach piwa, zwierając się właścicielowi knajpy i rzucając złowrogie spojrzenia, ale miejsce to należało do Grupy do spraw Przepięstw Szczególnych. Przy kontuarze tłoczyło się prawie stu funkcjonariuszy mundurowych i cywilnych. Choć oficjalnie przyszli tu na lunch, Thome wąpił, aby tego dnia wypełniali swe obowiązki jak należy.

- Napijesz się, wielkoludzie?

Thome drgnął nieznacznie. Pomimo hałasu i ścisku odpłynął na chwilę, rozmyślając o pokoleniach stróżów prawa otaczających go ze wszystkich stron. Myślał o młodych mężczyznach i tych w podeszłym wieku...

- Stoisz z tą szklaneczką w dłoni już od dwudziestu minut - rzekł Hendricks. - Pewnie wolałbyś być teraz gdzie indziej.

- Aż tak to widać?

- Zamierzałem powiedzieć, że masz facjatę jak po renowacji, ale powiem raczej, że wyglądasz, jakby ktoś przefasonował ci gębę.

Thome upił łyk i uniósł szklankę w cichym salucie.

- Ale głupota, co?

Hendricks pokręcił głową i oparł się o kontuar.

- I tu się z tobą nie zgodzę, stary. Wszyscy musimy czasem trochę się rozluźnić, niektórzy bardziej niż inni. Ty również...

- Głina z kuflem w dłoni to nie jest mój ideał dobrej zabawy. Chryste, nawet praca z nimi to prawdziwa mordęga.

- Zakładam, że nie przeciskają się jeden przez drugiego, żeby uściskać cię na misia?

Thome w końcu się uśmiechnął.

- Większość raczej trzyma się ode mnie z daleka.

- Jeszcze jedno?

Thome pokręcił głową.

Hendricks odwrócił się do baru i uniósł rękę, aby zwrócić uwagę barmanki.

Większość. Steve Norman pojawił się i truł Thome owi wprost do ucha przez bite dziesięć minut. Chciał dać mu do zrozumienia, jak ciężko pracuje. Cieszył się, że po frustrujących tygodniach śledztwa dotyczącego Nicklina i Palmera miał w końcu jakieś sukcesy do opisanie, odnalezienie McMahon i rozwiązanie sprawy zabójstw w hotelach. Zanim odszedł, wypił dwa soki pomidorowe, po czym udał się, by jak wyjaśnił z ekscytacją w głosie, przygotować wystąpienie na konferencji prasowej i zrelacjonować szczegóły błyskotliwej operacji, której wynikiem było aresztowanie Jasona Aldertona.

Hendricks wrócił do Thome a ze szklanką guinnessa i niezadowoloną miną.

- Kazań nam teraz za nie płacić. Ile Brigstocke wyłożył?

- Dwie i pół stówy. Starczyło na jakiś kwadrans.

Obaj milczeli przez kilka chwil. Stali i patrzyli, jak funkcjonariusze w różnym wieku i różnych szarż cieszą się krótką chwilą triumfu. Wyświechtane kurtki i butelki piwa. Koszule z bmdnymi kołnierzykami i odświeżone krawaty upstrzone plamami piwa. Eleganckie garnitury i szprycery Kobiety, które były twardsze, niż mogło się wydawać, i mężczyźni młodsi, niż wyglądali na pierwszy rzut oka. Stare wygi tuż przed emeryturą i młode wilki, cwaniaki w wypasionych furach, przerzucające się cytatami z filmów Guya Ritchiego.

Parę godzin, by zapomnieć. By udawać, że jest inaczej. A potem powrót do rzeczywistości.

Policja miejska krwawiła. Traciła pięciu funkcjonariuszy dziennie. Thorne dziwił się, że ta liczba nie była dziesięciokrotnie wyższa. Dziwił się, że był zbyt uparty, głupi lub przerażony, by do nich dołączyć.

- Jutro też będzie dzień, Tom - rzekł Hendricks. - Parę godzin picia niczego nie zmieni. Napij się, skurwiela dorwiesz innego dnia...

Thome uśmiechnął się i dopił piwo, myśląc: Jutro to kolejny dzień zbliżający nas do odnalezienia kolejnych zwłok. A parę godzin może stanowić zasadniczą różnicę. Taką, która decyduje o czymś życiu lub śmierci.

Lunch był prawdziwą mordęgą. Rozmowa z ludźmi, jedzenie i uśmiechy. Udawanie, że go to w ogóle interesuje. Dziś, kiedy tak niewiele dzieliło go od nowych wrażeń, było mu naprawdę ciężko.

Udawało mu się to każdego dnia, ale to już była rutyna. Czy nie jest tak, że wszyscy czasami kłamią? Na przykład kiedy mówisz, że ci to wisi, a tak naprawdę byłbyś gotów zabić, aby zdobyć tę czy inną robotę. Kiedy mówisz, zostaliśmy przyjaciółmi, a już pieprzysz się z kimś nowym na boku. Kiedy zakładasz maskę. Gdy udajesz, że ci zależy.

Tak właśnie było w dniach, kiedy zabijał. Przynajmniej do pewnego stopnia. Przypomniwał sobie to nudne zebranie w dniu, kiedy zabił tę Chinę; na jego twarzy malował się wyraz głębokiego skupienia, ale tak naprawdę myślał jedynie o tym, jak będzie wyglądała jej twarz i jakie będą mu towarzyszyły emocje. Wciąż czuł muśnięcie warg Caroline na swym gładko ogolonym policzku, kiedy pocałowała go na do widzenia tego dnia, gdy rano odwiedził Kena Bowlesa. Uśmiechnął się i też ją pocałował, rozmawiali o tym, co zrobią na kolację, a on przez cały czas czuł słodki ciężar kija, który miał w swojej torbie...

To będzie jeszcze lepsze. Tym razem z trudem pohamował się, by nie wyjawić wszystkim prawdy. Miał chęć opowiedzieć im, co zaplanował, jak wspaniale wszystko zaaranżował i jakie to było cudowne uczucie. Narastała w nim ekscytacja. Maskę zaczęła się zsuwać z jego twarzy.

Ktoś odezwał się do niego. Odpowiedział coś zdawkowo. Włożył do ust coś pozbawionego smaku i spojrzał na zegarek.

Potrzebował samotności. Jakieś pół godziny, aby wypić kawę i zjeść batonik. Musiał zebrać się w sobie, zanim zacznie się nowa przygoda.

Thome uniósł wzrok, by ujrzeć Hollanda przechodzącego między stolikami w jego stronę. Po wyrazie twarzy zorientował się, że bawił się niemal równie dobrze jak on. Fakt, że utkwiał w kącie razem z Derekiem Lickwoodem, bynajmniej nie poprawił jego sytuacji.

- Wielkie dzięki - rzekł Holland, wciskając się między Thome a i Hendricksa.

- Przywilej rangi, Holland. Ja informuję rodzinę, ty rozmawiasz z nadinspektorem Lickwoodem. Czy rozmawiając z tobą, strasznie się puszył?

Holland uśmiechnął się i pokiwał głową.

- To skończony palant. Próbował wypytywać mnie o ucieczkę Palmera. Pytał, czy kiedykolwiek pracował pan dla Grupy 4.

Hendricks parsknął do szklanki z guinnessem. Thome odwrócił się do niego.

- Przestań.

- Zmył się - rzekł Holland.

Thome odwrócił głowę, by ujrzeć Lickwooda zmierzającego w stronę wyjścia. Zanim przestąpił próg, Lickwood odwrócił się i przekrzywił głowę buńczucznie, spoglądając na Thome'a. Inspektor miał wrażenie, że tamten uśmiechnął się drwiąco.

- Domyślam się, po co przyszedł - rzekł Holland. - Wydawał się bardzo rozczarowany nieobecnością sierżant McEvoy. Trochę go to zaskoczyło...

Hendricks zaciekawił się.

- Co jest? Lickwood zagiął parol na McEvoy?

- Jeszcze jak. Ma bzika na jej punkcie.

- Co mu powiedziałeś? - spytał Thome.

- Wcisnąłem mu kit, że nie wiem, gdzie jest ani co się z nią dzieje. Cholernie się wtedy wkurzył.

Hendricks dopił guinnessa.

- Ta McEvoy jest bardzo popularna.

- To fakt - przyznał Thome. - Sęk w tym, że chyba ona sama niezbyt za sobą przepada.

Jeżeli Thome miał pewien problem z rozszyfrowaniem wyrazu twarzy Lickwooda, to grymas na twarzy Dave'a Hollanda pozostał dla niego nieodgadniony. Przyglądał mu się przez kilka chwil, po czym odwrócił się, z ciężkim sercem wsłuchując się w panujący dokoła hałas. Jakiś kretyn dorwał się do mikrofonu. Rozległ się jęk sprzężenia zwrotnego.

- To Jesmond - oznajmił Hendricks.

Thome nie potrzebował lepszej zachęty do wyjścia.

- Chodź, Holland, spadamy.

- Dokąd się wybieramy?

- Tak się składa, że mam umówione pilne spotkanie w Colindale w biurze inspektoratu. Możesz mnie potrzymać za rękę.

Kiedy wewnątrz baru rozbrzmiało pierwszymi dźwiękami wzmocnionymi przez mikrofon, Thome i Holland precyzyjnie się do wyjścia. Thome zastanawiał się, czy woń piwa w jego oddechu może stanowić minus podczas rozmowy, którą miał wkrótce odbyć.

Idący za nim Holland przypominał sobie, jak zimno było tego ranka o wpół do czwartej. Kiedy siedział nagi na skraju łóżka, rozmawiając szeptem przez telefon, a Sophie przewracała się przez sen, ale się nie obudziła...

Głos McEvoy był pełen napięcia, bełkotliwy... podniesiony na tyle, by mógł ją usłyszeć poprzez hałas miejsca, gdzie się znajdowała; była to chwytająca za serce mieszanina bezradności i arogancji.

- Nic mi nie jest. Jasne? Chciałam tylko, abyś to wiedział. U mnie wszystko w porządku.

27

Głos z każdą chwilą coraz bardziej cichł.

Nie zmrużyła oka od blisko trzydziestu siedmiu godzin. Nie była czysta znacznie dłużej. Trudno określić, co konkretnie było odpowiedzialne za stany, którym co kilka minut podlegało jej ciało. Była przemęczona. Roztrzęsiona. Zdezorientowana. Naćpana, rozhisteryzowana, na haju, nakręcona, porąbana, przerażona, nieustraszona...

Poprzedniej nocy, kiedy tylko Holland odjechał, wciągnęła resztę koki, jaką jeszcze miała w mieszkaniu, i czym prędzej zasiadła do komputera. Napisała parę emaili, odebrała kilka i poszła po nową działkę. Szła, a właściwie biegła, starając się jak zawsze nie nastąpić na szczelinę między płytami chodnikowymi. Dzięki temu wiedziała, że jej diler tam będzie i do tego z zapasem towaru. Przez resztę nocy nie zmrużyła oka - piła i paliła jak lokomotywa,

otwierając pakiecik zrobiony z losu na loterię i wciągając kreskę co pół godziny. Odkąd wzeszło słońce, ciągnęła krechy co kwadrans.

Ten skurwiel ją orznął, nie mogło być inaczej. Zawsze wysypywała z pakiecika cztery krechy, a teraz zaledwie trzy Musiała robić je grubsze. Ten skurwiel ani chybi dorabiał towar jakimś świństwem.

Dorabiany czy nie, towar spełnił swoje zadanie. Głos ucichał. Ten sam głos w jej głowie, wytworniejszy i atrakcyjniejszy niż jej własny, który cichł z każdą kolejną kreską. Ten głos, który mówił jej, że jest głupia, że to, co zamierzała, to szaleństwo, że ryzykowała życie. Każdy niuch ściszał odrobinę ów głos.

Były jednak inne głosy, które nadal słyszała, które musiała słyszeć. Głos Hollanda mówiącego jej, że nie jest już w stanie wykonywać swoich obowiązków. Głos jej matki. Głos, którego nigdy nie słyszała, ale który wyobrażała sobie, czytając e maile. Tych głosów na razie nie chciała wyciszać, bo zmuszały ją do robienia różnych rzeczy, ale kiedyś się z nimi upora. Uciszy je wszystkie raz na zawsze.

Fala wściekłości owładnęła nią, gdy wyobrażała ich sobie zbierających pochwały za jej wysiłki, komplementujących jej inicjatywę i spijających całą śmietankę. Chrzanić to. Wyobraziła sobie Hollanda wracającego do niej, rzucającego swą obecną dziewczynę i próbującego zacząć wszystko od nowa...

Podeszła do stołu. Pusta butelka po wódce. Puste opakowanie.

Niech to szlag, cholera...

Rozłożyła bilet loteryjny, położyła na blacie i wylizała do czysta. Uklękła i zaczęła zgarniać białe drobinki z dywanu, wcierając w dżiasta prócz kokainy kurz i płatki martwej skóry.

Chryste Panie, ile w sumie wzięła? Ten skurwiel musiał doprawić działkę pół na pół. To pewne...

Zapaliła papierosa, włożyła płaszcz.

Nie miała dużo czasu. Wciąż potrzebowała jednej, konkretnej informacji. Jedynej, jaką przed nią zataił, odkąd zaczął przysyłać jej tajemnicze, zaszyfrowane wiadomości. W zeszłym tygodniu na pewno sądził, że jest bardzo sprytny, ale nie docenił bystrości jej umysłu. Nikt jej nie doceniał. A ona przez cały czas wyprzedzała ich o krok. I była o jeden krok przed nim.

Wysłała emaila, a gdy nie uzyskała natychmiastowej odpowiedzi, wysłała drugiego z wiadomością, że musi wyjść. Poinformowała go, jak może się z nią skontaktować. To jedyne,

co mogła zrobić poza siedzeniem i czekaniem na porę lunchu, kiedy zwykle zasiadał do komputera. A ona nie mogła dłużej czekać.

Sięgnęła po torebkę, upewniła się, że przed domem nie ma niepożądanych obserwatorów, zamknęła za sobą drzwi i rozdygotana wyszła na ulicę. Było naprawdę chłodno.

McEvoy żwawym krokiem pomaszerowała po brudnym chodniku, starając się nie nastąpić na szczelinę pomiędzy płytami.

- Jak poszło?

Holland czekał na Thome a w recepcji, gawędząc ze starym kumplem, który akurat pełnił dyżur za biurkiem. Pomachał mu na do widzenia, po czym on i Thome wyszli z budynku i zaczęli dziesięciminutowy marsz w kierunku Becke House.

Słońce nie miało szans przebić się przez gęstą pokrywę chmur. Niebo miało barwę stopu cyny z ołowiem. Kilka aut włączyło już światła.

Było parę minut po trzeciej.

- No to jak poszło?

- Chyba miałem szczęście - rzekł Thome. - To było kilku cichociemnych z dużym poczuciem humoru.

Holland uśmiechnął się. Cichociemni. Takich nawet nie usłyszysz, jak się do ciebie podkradają.

- A co ich rozbawiło...?

Nie zaczęło się najlepiej.

Nadinspektor Collins (niski, korpulentny) i inspektor Manning (wysoki i korpulentny) nie wyglądali na takich, co to lubią się pośmiać. Obaj mieli dziwny wyraz twarzy - balansujący na granicy oburzenia i znudzenia, który Thome widział dotąd jedynie u mężczyzn na Oxford Street, noszących tablice z reklamami sezonowych wyprzedaży.

Manning wertował papiery, podczas gdy Collins wychylił się nad biurkiem, aby udzielić ostrzeżenia. Zaczęło się i skończyło tymi samymi słowami, których użył Thome, by ostrzec Martina Palmera. W trakcie napomknięto o zaniedbaniu obowiązków, błędach proceduralnych, które pozwoliły Palmerowi na ucieczkę; słowa były wypowiedziane wolno i z powagą. Ci funkcjonariusze wykonywali swoje obowiązki lepiej niż Thome.

- Chciałbym zgłosić też do akt inne przypadki poważnego zaniedbania obowiązków - powiedział Thome. - Są to przypadki, których nie sposób tu nie nadmienić.

Manning zerknął z ukosa na Collinsa, a potem na włączony magnetofon rejestrujący całe spotkanie.

- Proszę mówić, inspektorze.

Thome odchrząknął.

- Otóż wielokrotnie zdarzało mi się puścić bąka, nie mówiąc przy tym przepraszam, i choć nigdy nie zagrałem w The Bill, pewna podpita kobieta powiedziała, że wyglądam jak gość grający inspektora Bumsidea...

Manning i Collins wymienili spojrzenia, a potem się wściekli.

- No i jak to się skończyło? - spytał Holland.

Zbliżali się do pubu, gdzie zapewne wciąż imprezowali członkowie GPS prowadzący swe indywidualne dochodzenia.

Thome nie miał pojęcia, co będzie dalej, ale dla odmiany postanowił myśleć pozytywnie.

- Nie zdjęto mnie z haczyka, ale chyba nie zdegradują mnie jeszcze do funkcjonariusza mundurowego.

Holland przystanął i skinął głową w stronę pubu.

- Wchodzimy?

Thome szedł dalej i nie zatrzymując się, rzucił przez ramię.

- Rób, co chcesz, Holland. Ja muszę odebrać samochód. Pomyślałem sobie, że pojedę i sprawdzę, co z McEvoy. Dowiem się, czy jej matka czuje się już lepiej...

Owpół do czwartej zajęchali przed dom Sary McEvoy w Wembley.

Thorne wysiadł z auta i podszedł do drzwi frontowych. Odwrócił się i spojrzał na Hollanda, który, gapiąc się przed siebie, wciąż siedział na fotelu pasażera.

- Chodź, Dave... - Holland wysiadł, a Thorne nacisnął dzwonek.

Sierżant podszedł do niego w chwili, gdy Thome znów naciskał dzwonek.

Nic.

Thome cofnął się o krok i spojrzał w lewo, na ciemnogrnatowe zasłony zaciągnięte w wykuszowym oknie.

- To jej mieszkanie? - Kilka razy podwoził McEvoy, ale nigdy nie był w jej mieszkaniu.

Holland odparł obojętnie.

- Może się położyła.

Thome wzruszył ramionami, włożył ręce do kieszeni kurtki i poczłapał z powrotem do auta.

Holland patrzył, jak Thome się oddala, walczył ze sobą, wiedział, jak łatwo byłoby mu podbiec i pospieszyć za nim. Jego głos, gdy się odezwał, brzmiał silniej, niż to było konieczne.

- Myślę, że powinniśmy wejść do środka...

Thome odwrócił się, obracając na palcu kluczyki do auta.

- Chyba nie mam ochoty trafić do paki za włamanie z wtargnięciem, Dave...

- Mam klucz - rzekł Holland.

Thome wspiął się po schodach, pokonując po dwa stopnie na raz, i ujął za rękę sierżanta, który już miał włożyć klucz do zamka.

- Musimy o tym pogadać, Holland...

W mieszkaniu było równie ciemno i ponuro jak na ulicy. Podobnie jak zasłony od frontu, w oknie sypialni McEvoy opuszczono żaluzje.

- Jednak nie śpi - mruknął Holland, wracając do pokoju.

Thome go nie słuchał. Patrzył na tuzin swoich odbić. Naliczył co najmniej tuzin. Lustra zwieszały się z sufitu, stały na podłodze, były oparte o ścianę pod różnymi kątami. Ciężkie i ozdobne, proste, w ramach i bez, okrągłe, kwadratowe, wypolerowane...

- Co to, kurwa, ma być?

Holland minął go, podszedł do okna, podniósł żaluzje i odwrócił się. Otworzył usta, by odpowiedzieć na pytanie, ale głos uwiązł mu w gardle.

Thome wolno przechadzał się po pokoju, każde spojrzenie odnajdowało nowe, nierzadko dziwaczne odbicie jego samego. Fragment uda, czubka głowy. Miał okazję ujrzeć swe błędne sińce równocześnie en face i z profilu.

Na stole Thome zauważył jeszcze jedno, mniejsze lustro i pomięty bilet loteryjny. Od razu zorientował się, co ma przed sobą.

- Od jak dawna o tym wiesz? - zapytał.

- Jakies trzy tygodnie.

- Ty cholerny idioto...

Holland uniósł rękę, by uciszyć Thomea. Fakt, był cholernym idiotą, nawet gorzej, ale musiał pohamować Thome a przed popełnieniem niewybaczalnego błędu. Zwłaszcza teraz. Nie było na to czasu. Teraz mógł pochylić głowę i wysłuchać sekowania kiedy indziej. To natomiast coś innego...

- Myślę, że McEvoy ma jakiś problem.

- Jakiś?

- Poważny problem - Holland nie potrafił powiedzieć, dlaczego się martwi. Nie wiedział, co go dręczyło, nie potrafił wyjaśnić, skąd wzięło się w nim to przecucie. To przyprawiało go o dreszcze i nie dawało zasnąć; musiał się z kimś tym podzielić. To kryło się w oczach McEvoy, w jej słowach i jej zachowaniu w ostatnim czasie. Zupełnie jakby miała jakiś sekret. Kolejny sekret...

- Jaki? - spytał Thome.

Holland pokręcił głową, rozejrzał się dokoła, rozpaczliwie wypatrując czegoś, co mogłoby ukoić jego nieokreślony niepokój. Jego wzrok padł na komputer.

Wyraz twarzy McEvoy przed kilkoma dniami, kiedy wszedł do biura, a ona buszowała po internecie. Panika i coś jeszcze. Zuchwałość? Triumf...?

Thome patrzył, jak Holland podchodzi, przystawia fotel i włącza urządzenie.

- Co robisz?

- Zamierzam przejrzeć jej emaile.

- Sądysz, że zamawia prochy przez internet?

- Nie... może. Nie sędzę, żeby chodziło o kokę.

Holland zaczął przesuwac myszką, klikając i otwierając kolejne okna.

- Nie potrzebujesz hasła?

- Potrzebowałbym, gdybym chciał wejść na jej konto, ale do przejrzania skrzynki nie jest to konieczne. Zobaczmy, co ostatnio otrzymała i co wysyłała...

Thome pokiwał głową, pozwalając Hollandowi, aby robił swoje.

Kokaina. Thome tyle zdołał domyślić się już wcześniej. Znał paru gliniarzy, którzy lubili ciągnąć kreski. Zwykle to ci starsi, którzy powinni mieć więcej oleju w głowie i którzy nie zażywali ecstasy, bo to wiązało się z tańcem. Tak czy owak, niezależnie dlaczego to robili, spieprzyli sobie przez to życie.

Thome zastanawiał się, jak głęboko zabmęła McEvoy Uniósł wzrok i ujrzał odpowiedź odbitą w taflach luster...

- Kurwa, kurwa mać, nie.

- Co jest? - Thome poczuł, że całe jego ciało przeszył dreszcz. Mięśnie napięły się, a zakończenia nerwowe stały się wyjątkowo wyczulone, gdy przeszedł przez pokój, reagując instynktownie na nutę paniki w głosie Hollanda. - O co chodzi, Dave?

Holland przesunął dłonią po włosach i podrapał się po głowie, wpatrując się z niedowierzaniem w ekran. Thome nachylił się i spojrzal mu ponad ramieniem. Nie od razu zorientował się, na co patrzy.

- Nic nie...

- Ona otrzymuje emaile od mordercy - rzekł Holland. - Od Nocnego Strażnika...

Thome poczuł świerzbienie skóry na wysokości ramion i barków, jego serce zabiło szybciej.

- Tylko je otrzymuje, czy także na nie odpowiada? Od jak dawna...?

- Chwileczkę. - Holland kliknął myszką, by posortować emaile według dat. Zaczął wolno przesuwac kursorem w dół. Thome patrzył, jak obraz na ekranie się zmienia. Korespondencja pomiędzy kobietą z ich zespołu a człowiekiem, którego usiłowali schwytać. Człowiekiem, który zabijał w bmtalniejszy sposób niż ci, przez których Thome miał okazję nie przespać nocy. - Od tygodnia, może dłużej - odparł Holland. - Cholera, są ich dziesiątki...

Zaczynało się nieśmiało, jak wymiana listów między przyszłymi kochankami. Zapewniał ją, że uważa ją za kogoś wyjątkowego, że miała w sobie to coś. Zastanawiał się, jak daleko była w stanie się posunąć, aby osiągnąć sukces. Jego słowa brzmiały niejasno, tajemniczo, kusząco. Thome zorientował się, że tamten na początku próbował wybadać sytuację, sprawdzić, ile wiedzieli na jego temat. Podrywał ją. Dla Thorne'a to było jasne jak słońce. Zastanawiał się, czy McEvoy zdołała go przejrzeć. Jej odpowiedzi były bezpośrednie i otwarte. Wpadła w jego sieć albo przynajmniej udawała, że dała mu się omotać. Thome nie potrafił stwierdzić, jak było naprawdę.

- W co ona gra, do cholery? - W głosie Hollanda z każdym kolejnym otwartym e mailem narastała panika.

W miarę jak Thome czytał dalej, odpowiedź wydawała mu się przeraźliwie oczywista. W ostatnich dwóch, trzech dniach owijanie w bawełnę ustąpiło miejsca otwartemu tekstowi. Pojawiły się konkrety. Zaproszenie. Czy chciała się z nim spotkać? Czy była osobą, za jaką ją uważał? McEvoy odpowiadała. Była dokładnie taka, jak o niej myślał.

- Kiedy? To może być coś, co da nam trochę czasu...

- Już mam - odrzekł Holland, otwierając kolejnego e maila. - Jezu, to dziś. O czwartej...

Thome spojrział na zegar mrugający w prawym górnym rogu ekranu. Cokolwiek zamierzała McEvoy, zostało jej jakieś dwadzieścia pięć minut życia.

- Gdzie?

Holland kliknął myszką, a potem zaczął energicznie stukać w klawisze.

- Jego ostatni e mail przyszedł... tuż po pierwszej, dziś rano. - Otworzył plik i obaj ujrzeli na ekranie wiadomość od mordercy.

Umówmy się w miejscu, gdzie Martinowi opowiadano o Dżungli. Nie mogę się doczekać tego spotkania, Saro-

- Co to ma znaczyć, do cholery? - Holland przybliżył palec do ekranu i docisnął mocno, jakby chciał go przebić i dotknąć widniejących na nim słów.

- A co z ostatnim e mailem McEvoy?

Holland wybrał go.

- Wysłała dwa, jeden po drugim, tuż przed południem...

Nie mam pojęcia, co to znaczy. A powinnam wiedzieć?

Jeżeli chcesz się ze mną spotkać, lepiej to sprecyzuj.

- Sprawdźmy ten drugi. - Thome nie łudził się. Wiedział, że zabójca nie odpowiedział, nie podał nic konkretniejszego. Czy ostatnia wiadomość od McEvoy będzie rozpaczliwym krzykiem, próbą zmiany czasu i miejsca spotkania? Nie miała wyboru. Nie знаła miejsca, o którym wspominał.

Wychodzę. Nie wiem, o której wrócę. Muszę wiedzieć, gdzie mamy się spotkać.

I nagle na ekranie pojawiły się słowa, które sprawiły, że żołądek podszedł mu do gardła.

Wyślij mi SMSa.

Ciałem Hollanda wstrząsnął spazmatyczny dreszcz.

- Cholera. On wysłał jej wiadomość o miejscu spotkania na komórkę.

- Nie wiemy, czy w ogóle się z nią skontaktował - rzucił Thome.

- Może zjawi się lada chwila, nawalona koką po same uszy.

Spojrzenie Hollanda uświadomiło Thomeowi, że nie wierzył w to, podobnie jak on.

Thome sięgnął po telefon na biurku i podał Hollandowi.

- Dzwon do niej na komórkę.

Podszedł do okna i spojrzał na ogród. Zrywał się wiatr. Patrzył, jak długa zaniedbana trawa faluje nieznacznie, a podłużne zardzewiałe lustro uderza delikatnie o płot. Patrzył w nadziei, że usłyszy zatroskany głos Hollanda, przepelniający się gniewem, gdy uzyska połączenie. Gdzie ty, kurwa, jesteś? Zamiast tego usłyszał tylko pełen frustracji oddech, szcęk odkładanej słuchawki i słowa, na które nie czekał.

- Wyłączyła komórkę...

Thome odwrócił się, podszedł do biurka i sam sięgnął po telefon. Wybrał numer, odczekał chwilę i odłożył słuchawkę.

- Do kogo pan dzwoni?

Thome nie odpowiedział, ale nie wypuścił słuchawki z dłoni. Ponownie ją podniósł i wybrał numer. Odwrócił wzrok od Hollanda, czekając na połączenie...

- To ja. Opowiedz mi o Dżungli... nieważne, skąd wiem, gadaj! Palmer, nie ma na to czasu, mów, o co chodzi. Co to jest Dżungla? Nie... zapomnij... lepiej powiedz, gdzie opowiadano ci o Dżungli. Gdzie to było, konkretnie...?

Holland nie mógł uwierzyć własnym uszom. Palmer? W co, u licha, grał Thome? Przestał myśleć o czymkolwiek, kiedy wyraz twarzy Thome a się zmienił. Nawet sińce na jego obliczu pobladyły. Wydawało się, że Thome wydał z siebie cichy przeciągły jęk, ale może wydobył się on z jego ust.

Thome przerwał połączenie. Szybko, lecz łagodnie podał słuchawkę Hollandowi.

- To w szkole. Ma spotkać się z nią w podstawówce króla Edwarda.

- Dokąd...?

Thome zmierzał już w stronę frontowych drzwi, rzucając od progu podniesionym tonem:

- Łap telefon i zorganizuj wszystko, ale już! Powiedz Brigstocke owi, że chcę, aby ściągnął tam Grupę Szybkiego Reagowania. Próbnij jeszcze dzwonić na komórkę McEvoy albo zleć to komuś.

- Sir...

Thome już praktycznie krzyczał:

- I przekaz wiadomość do szkoły...

28

McEvoy jak w zwolnionym tempie weszła na boisko.

Zatrzymaj się. Wycofaj. Wróc tam, skąd przyszedłaś. Tylko on będzie wiedział, że zwiadałaś. Nie musisz niczego udowadniać, Saro...

To była ta dziwna pora na pograniczu światła i mroku, pół godziny kompletnej niepewności i niezdecydowania. McEvoy szła krok za krokiem, a powietrze wydawało się lepkie i gęste jak galareta.

Wokoło było pełno dorosłych i dzieci. Ich ruchy wydawały się niewiarygodnie szybkie. Głosy przenikały ją na wskroś, były tak donośne, że aż rozbolały ją zęby Piski mniejszych dzieci, pokrzykiwania nieco starszych i srogie głosy nauczycieli. Zawodząca kakofonia dźwięków i głosów walczących w jej głowie o odrobinę przestrzeni.

Głos powrócił, i to mocniejszy niż kiedykolwiek.

Już miała się odwrócić i zniknąć gdzieś, gdzie mogłaby wciągnąć kreskę i zamknąć się w sobie. Głos podpowiadał jej, żeby to zrobiła, uparcie więc szła naprzód. Może gdyby

weszła do szkoły, mogłaby wejść do którejś z toalet... Nie mogła zrobić tego tutaj, nie przy tych wszystkich dzieciakach. To zajęłoby tylko minutkę. Nauczyciele na pewno mieli własną toaletę...

Co ty, kurwa, wyprawiasz? Pomyśl, po co tu przyszłaś. Nie czas teraz na zastanawianie się, gdzie i kiedy wciągniesz następną kreskę.

Szła dalej. Postanowiła, że kiedy dojdzie na drugi koniec wielkiego boiska, zawróci do wyjścia. Nie uzgodnili nic konkretnego. Jego wiadomość nie określała dokładnego miejsca spotkania.

Głupia suka. Zawzięta zdzira. Zawziętość nic ci teraz nie pomoże. Co on z tobą zrobi?

Przez ramię miała przewieszoną torebkę. Przyciskała ją do boku. Czy miała w niej coś, czego mogłaby użyć przeciw niemu?

Uciekaj. Wiej. Wezwij Thomea...

Większość chłopców uśmiechała się, mijając ją albo przebiegając tuż obok. Spieszyli się do swoich domów, ale zachowywali się uprzejmie, tak jak ich nauczono. Byli mili wobec starszych, dobrze wychowani, zwłaszcza wobec kobiet.

On był tu uczniem, prawda? I nic nie wskazuje, aby nauczono go dobrze traktować kobiety.

Uniosła głowę i spojrzała na budynek szkoły po jednej stronie i strzeliste drzewa w parku opodal, po drugiej. Czy ją obserwował? Czy da jej jakiś sygnał? Czuła się przytłoczona brzemieniem tego, czego nie wiedziała. Było jej głupio. Czuła się ogłupiała i osaczona. Jeszcze kwadrans temu panowała nad wszystkim i była gotowa na tę konfrontację.

A teraz, idąc przez boisko, czuła, jak z każdym krokiem opuszcza ją pewność siebie.

Widział, że ona się boi.

Zapewne nikt nie zdołał tego dostrzec. Wyglądała, jakby wybrała się na spacer. Usunęła się w bok, by uniknąć zderzenia z krępyim szóstoklasistą, i odwróciła się bokiem, by przepuścić gromadkę rozwrzeszczanych pierwszoklasistów. Sprawiała wrażenie, że nad wszystkim panuje.

Ale on wiedział, czego ma szukać. Rozpoznał strach. Dostrzegłby to nawet z daleka. Widział fale strachu bijące z McEvoy jak żar z nagrzanego asfaltu. To, że się bała, było dobre, ale mniej istotne niż fakt, że tu przyszła. W dodatku przyszła sama.

To od początku była hazardowa zagrywka w grze, której nie mógł przegrać. Mógł ją widzieć, odkąd tylko tu dotarła. Ze swego punktu obserwacyjnego stwierdził, że postąpiła dokładnie według jego zaleceń.

Gdyby tak się nie stało, gdyby w ostatniej chwili zdradziła i powiadomiła Thome a, wiedziałby o tym. Nawet gdyby przysłali ją, tak jakby była tu sama, na przynętę, zorientowałby się natychmiast. Wypatrzyłby ich, niezależnie jak dobrze by się ukryli.

Nigdy by go nie rozpoznali.

Nawet gdyby go zawiodła, poradziłby sobie, a nią zająłby się później.

Ale była gotowa na spotkanie. Poczł przyplływ podniecenia, którego nie czuł od czasów dzieciństwa. Równie silna ekscytacja ogarniała go wyłącznie przed dokonaniem zabójstwa. Uśmiechnął się. Wciąż czuł smak czekolady. O co w tym wszystkim chodziło? O kontakt z jego wewnętrznym dzieckiem? przyjdź na boisko:o)

Tekst wiadomości był prosty. A graficzny symbol na końcu, tak lubiany przez dzieciaki, również jemu poprawił humor.

Teraz nadszedł czas na prawdziwą zabawę.

Jadąc jak wariat przez Wembley Park, z włączonym kogutem i syreną, jednym okiem patrzył na zegar na desce rozdzielczej, a w myślach poszukiwał odpowiednich słów. Słowa łączyły się w zdania z każdym kolejnym mijanym skrzyżowaniem i światłami. Układał w myślach mowę, jaką wygłosi rodzicom Sary McEvoy, jeżeli się spóźni...

Dlaczego zabójca wybrał na cel McEvoy? Jak do tego doszło?

Thome nacisnął klakson i z piskiem opon wyminął po wewnętrznej furgonetkę forda transita. Wiedział, że nie uzyska odpowiedzi na dręczące go pytania, jeszcze nie teraz. Dopiero wtedy, gdy ten skurwiel zasiądzie na krześle naprzeciw niego, fajdając w gacie, w dusznym pokoju przesłuchań, tuż przed świtem.

Mimo to miał jeszcze wiele innych pytań. I dręczyły go równie mocno. Dlaczego niczego nie zauważył? Czemu się nie zorientował? Jak to możliwe, że to przeoczył? Narkotyki, kłamstwa, cała ta zabójcza, mroczna kabała...

Jechał na północ przez Fryent Country Park, stąd do szkoły było jeszcze pięć minut. Wskazówka zegarka przesunęła się na tarczy o kolejną minutę. Przemowa była prawie gotowa.

Detektyw sierżant McEvoy, która oddała życie na służbie...

Thome skręcił i zjechał w lewo, w stronę centrum Harrow. Ryknął na całe gardło, gdy samochód, który powinien mieć pierwszeństwo, minął go o włos, a na twarzy kierowcy malowała się żądza mordy. Thome także spiorunował tamtego wzrokiem i dał po hamulcach, oddychając przez zaciśnięte zęby, gdy tuż przed nim pojawił się długi sznur aut czekających w korku.

Wszystkim, którzy mieli okazję z nią pracować, będzie brakować jej oddania i poczucia humoru...

Szkoła była zaledwie kilkaset metrów stąd. Kłkcie Thomea zaciśnięte na kierownicy zbiegły, jego stopa raz po raz dociskała pedał gazu. Ryk silnika był niemal tak głośny jak krzyk rozbrzmiewający pod jego czaszką.

Nic się nie poruszało. W oddali nie było świateł ani żadnego wypadku. A mimo to wszyscy stali w korku.

Pieprzone godziny szczytu.

McEvoy dotarła na drugi koniec boiska, odwróciła się i rozejrzała, myśląc, no dalej, skurwielu, pokaż się, gdzie jesteś. Kierując się w stronę środka boiska, powtórzyła to na głos jak wariatka w autobusie. Jestem tu, czemu ciebie wciąż nie ma? Czemu się nie pokażesz? Gdzie jesteś, do cholery? Czeka cię wielka niespodzianka, wszyscy się o tym przekonają...

Nagle zmitygowała się, bo przecież musiała ewakuować stąd wszystkich. To oczywiste. Przecież nie wiadomo, co się może wydarzyć. Wciąż było tu sporo dzieci, bawiących się, spacerujących i kopiących piłkę. Chryste, przecież on używał już broni palnej, prawda? Pomyślała o masakrach w Dunblane i Columbine High...

Jesteś aż tak popieprzona? Przede wszystkim powinnaś pomyśleć o ochronie niewinnych... a przynajmniej tak byłoby jeszcze kilka miesięcy temu. Jeżeli w ten sposób chcesz udowodnić, jaka jesteś dobra w tym, co robisz, mamie ci to wychodzi...

Sięgnęła do kieszeni żakietu po legitymację i otworzyła usta, aby zacząć krzyczeć...

A jeżeli wpadną w panikę? Jeżeli on jest w pobliżu, to może go sprowokować do działania. Albo wystraszyć. Musi zrobić to, na co się umawiali. Poza tym, jeśli jest w pobliżu, ona postara się załatwić gnoja, zanim zrobi komukolwiek krzywdę.

To była jej ostatnia myśl, zanim poczuła ostrze noża wpijające się w plecy i usłyszała tuż przy uchu cichy szept.

- Jesteś tu sama, prawda, Saro?

- Tak.

- Nie kłamiesz. To dobrze. Chodź ze mną i zachowuj się rozsądnie...

Syknęła, kiedy nóż przebił jej żakiet i bluzkę i skaleczył skórę. Dłoń dotknęła ciała na wysokości nerek i zaczęła popychać ją ku wyjściu.

Jego głos. Czy go rozpoznała? Tak, może, nie pamiętała. Chrzanić to...

McEvoy prawie się zaśmiała. Załatwi tego gnoja. Wiedziała, co chce, co musi zrobić, ale nie pamiętała, jak to się robi. Była kompletnie rozbita. Bezradna. I choć była słaba jak

dziecko, ledwie trzymała się na nogach, to, co usłyszała chwilę później, do reszty odebrało jej rezon.

- Jeżeli zaczniesz krzyczeć albo spróbujesz uciekać, zabiję jednego z tych bachorów.

Thome owi wydawało się, że z odległości kilku przecznic usłyszał, jak na niego trąbią, kiedy wysiadł z forda mondeo i zaczął biec. Stojący w korku byli wściekli, że ośmielił się porzucić samochód.

Chryste...

Zwolnił, uniósł dłonie do głowy, nogi miał jak z ołowiu.

Kurwa...

Skąd przyjadą? Z której strony pojawią się wozy wsparcia? Brigstocke, Holland i Grupa Szybkiego Reagowania? Wcześniej przejazd był utrudniony Teraz dzięki niemu droga będzie nieprzejezdna. Gdyby auta nadjechały z tej samej strony co on...

Nagle Thome ujrzał mijających go uczniów, najpierw pojedynczo i dwójkami, potem w większych grupkach. Trajkotali i błaznowali w najlepsze. Niebieskie blezery z herbem szkoły. Poluzowane pod szyją krawaty.

Był już prawie na miejscu.

Wziął głęboki oddech i przyspieszył kroku. Kosztowało go to sporo wysiłku.

Możemy mieć tylko nadzieję, że pojawi się więcej kobiet jej pokroju, aby służyć ochronie porządku publicznego...

Na zadrzewionych ulicach wokół szkoły dostrzegł kolejne mundurki, dzieci pokrzykiwały, rozmawiały i przekomarzały się między sobą.

Naprzód, krok za krokiem.

Poczuł palenie w żołądku, każdy krok przesywał spazmatycznym bólem jego strzaskany nos i powodował tępe ćmienie za oczami. W piersiach mu świszcząło. Koszula pod marynarką, cała przesiąknięta potem, przyklepała się do pleców. Zrobiło mu się zimno, gdy chłodny podmuch powietrza omiół jego szyję i kark.

Chryste, ależ niektóre z tych dzieciaków są duże. Dwóch zwalistych nastolatków z pasiastymi krawatami zawiązanymi wokół czoła tarasowało chodnik na wprost niego. Thome opuścił głowę i rzucił się na nich, nie zważając na okrzyki protestu i przekleństwa, przecisnął się między nimi i wpadł na podjazd prowadzący do głównego wejścia do szkoły.

Kiedy tak biegł, tupot kroków na żwirze przypominał mu chrzęst opon auta wtaczającego się na żwirowany podjazd. Powrócił myślami do swej ostatniej wizyty tutaj. I rozmowy z Hollandem. A potem już w szkole po raz pierwszy zobaczył Stuarta Nicklina. Odwróconą twarz.

W tym geście ostatecznego poświęcenia ta dzielna Junkcjonariuszka umocni determinację pozostałych stróżów prawa kontynuujących jej dzieło...

Czy ujrzy tę twarz w rzeczywistości?

Do celu pozostało jeszcze ze sto metrów. Podjazd ostro zakręcał w lewo i gwałtownie się zwiężał, tworząc wąskie gardło przy wysokiej smukłej bramie przy wejściu na boisko.

Nieznacznie zwolnił tempa.

Wszystko wyglądało normalnie. Dzieciaki wychodziły przez bramę uśmiechnięte i rozbawione. Nie było słychać żadnych podejrzanych dźwięków. Zwolnił do truchtu, a potem do szybkiego marszu. Powoli zaczął odzyskiwać oddech. Wszystko wydawało się normalne, ale nie miał pojęcia, co go czekało za bramą.

Nagle się zmartwił i zaczął się pocić niemal równie obficie jak podczas biegu.

Jeżeli ta wiadomość, jakkolwiek brzmiała, dotarła do szkoły, to przecież nie mogło być normalnie. Czy dzieci nie powinny pozostać w budynku? Z dala od potencjalnego zagrożenia?

Thome wyjął broń, przeszedł obok chłopca kręcącego się w bramie i poszedł dalej.

Zatrzymał się tam z żołądkiem podchodzącym do gardła, lustrując przestrzeń wokół i usiłując ogarnąć wszystko za jednym zamachem. Po prawej miał główny budynek. Olbrzymie okna sali gimnastycznej z drabinkami wzdłuż ścian. Na wprost nowsze budynki, blok szóstoklasistów, sale muzyczne i jeszcze dalej boiska. Wciąż było tu sporo dzieciaków. Skądś dobiegał śpiew. Tu i ówdzie kręcili się nauczyciele...

McEvoy...

Postąpił krok w jej stronę i nagle się zatrzymał. Oczy wyszły mu z orbit, twarz przeraźliwie pobladła, jakby odpłynęła z niej cała krew. Zaparło mu dech w piersiach.

- Saro...

I właśnie wtedy Thome po raz pierwszy ujrzał wyraźnie stojącego za nią mężczyznę. Tego, który łagodnie, acz stanowczo prowadził ją w jego stronę. Mężczyznę, który przystanął i spojrzał na niego, jakby traktował go za ledwie jak drobną przeszkodę na drodze do osiągnięcia celu.

Wtedy też Thome zrozumiał, dlaczego Ken Bowles musiał zginąć.

29

- Masz zadyszkę - rzekł Cookson. - Coś ty robił?

To był moment przeraźliwej jasności. Takiej, jakiej zwykle towarzyszy dojmująca groza albo wielki ból. Thome przyjął ją jak liźnięcie płomienia przyzegającego świeżą ranę.

Andrew Cookson...

- Zabiłeś Bowlesa, bo cię rozpoznał - rzekł Thome. - To nie była przypadkowa zbrodnia. To nie była wiadomość. Musiałeś to zrobić.

Cookson jakby od niechcienia położył rękę na ramieniu McEvoy.

- Ten stary piernik powinien był przejść na emeryturę wiele lat temu. Ledwie potrafił rachować. I nagle pół godziny po spotkaniu z tobą patrzy na mnie, widzi mnie bez brody i... łubudu! Doznaje olśnienia. Wszystko układa mu się pod kopułą. Dopada mnie w pokoju nauczycielskim. Pokazuje na mnie palcem i wygłasza melodramatyczną przemowę. „Wiem, kim jesteś”. Skończony dureń...

Thorne przypomniał sobie ślady kredy w kroczu Bowlesa i grudy ziemi sypiącej się na jego trumnę. Dlaczego nie wezwał policji? Czemu, skoro rozpoznał Cooksona jako Nicklina, nie skorzystał z wizytówki, którą dał mu Thome, a którą Jay odnalazł w kieszeni jego marynarki?

Odpowiedź była bolesna. Nie chodziło o heroizm, lecz o desperację. To była ostatnia szansa Kena Bowlesa. Ostatni wyczyn w rodzaju żonglowania krzesłem na podbródku.

- Choć to wydaje się zabawne - ciągnął Cookson - sytuacja jest dość napięta, czyż nie? Myślę, że musimy ją szybko rozwiązać. Ma ktoś jakieś błyskotliwe pomysły?

Ton głosu miał swobodny, przepelniony rozbawieniem. To nietrudne, kiedy przytykasz nóż do pleców kobiety.

- Raczej nie - odparł Thome.

- Tak też sądziłem.

Zapadła cisza, która mogła być przepelniona atmosferą zagrożenia i niebezpieczeństwa, ale akurat obok przebiegła grupka roześmianych dzieci, które nieco rozładowały tę sytuację. Thome zastanawiał się, jak musiała wyglądać ich trójka. Cookson i McEvoy mogli być kochankami, a on byłym chłopakiem, który zjawił się nie w porę...

Cookson uśmiechnął się, jakby wymyślił coś, co bardzo go rozbawiło.

- Ty też przyjechałeś tu sam, prawda?

Thome już miał skłamać, ale nie był dość szybki. Cookson wychylił się do przodu, aby mówić dalej.

- Trochę pokrzyżowałaś nam szyki, przyznaję, ale nie możemy dopuścić, aby zepsuł nam całą zabawę, prawda, Saro?

McEvoy skrzywiła się, kiedy czubek noża rozorał kolejną warstwę jej skóry.

Thome chciał rzucić się na niego z pięściami, rozgnieść jego twarz na miazgę.

- W tej sytuacji przyjmujemy, że cię nie widzieliśmy. Wybacz...

Thorne nie mógł nic zrobić. Musiał odstąpić w bok i przepuścić Cooksona. Nie miał najmniejszych wątpliwości, że tamten przy byle okazji wbiłby McEvoy nóż w plecy. Odwrócił się bokiem, aby Cookson mógł przejść i przeprowadzić McEvoy przez bramę. Thorne zauważył, że Cookson trzymał w drugiej ręce aktówkę. Jego kamuflaż był idealny. Na tym terytorium czuł się bezpieczny. Ot zmęczony nauczyciel wracający po całym dniu do domu wraz z przyjaciółką...

Cookson nagle znieruchomiał, rozejrzał się na lewo i prawo. I wtedy Thome zrozumiał, co się stało. Dzieci wracały do głównego budynku, niektóre z nich biegły. Na boisku bezgłośnie pojawili się nauczyciele, zabierając stamtąd pozostałych.

Wiadomość jednak dotarła.

Szeptane polecenie, przywołania i gesty, oto w jaki sposób nauczyciele możliwie cicho i spokojnie opróżnili boisko. Wykonywali otrzymane zalecenia - standardowe w takich sytuacjach, aby starali się zrobić swoje, nie wzbudzając paniki ani nie niepokojąc zabójcy, który mógł zaciąć się gdzieś w pobliżu.

Ale on znajdował się bliżej, niż sądzono, i był zaniepokojony Thome dostrzegł wahanie i napięcie w wyrazie twarzy Cooksona oraz naprężenie mięśni dłoni, którą zaciskał na karku Sary McEvoy.

- Proszę - rzuciła McEvoy. To zabrzmiało prawie jak jęk.

- Chyba jesteśmy skazani na siebie - rzekł Thome. - Połowa lokalnej policji czeka na ciebie za bramą. Większość z nich jest uzbrojona i tylko czeka na sposobność...

Cookson pokręcił głową i błyskawicznym ruchem przyłożył McEvoy nóż do gardła. Uśmiechając się, zaczął się cofać w stronę środka boiska. Thome wolno podążył za nim, modląc się, by to, co właśnie powiedział Cooksonowi, było prawdą. Gdy zbliżyli się do środka boiska, McEvoy odnalazła spojrzenie Thorne'a. Nie próbował nawet domyślić się, co chciała mu powiedzieć.

Cookson przystanął i wziął głęboki oddech. Nieznacznie zmienił pozycję, mocniej przykładając ostrze noża do szyi McEvoy i stając dokładnie za nią.

- Wiesz, że ją zabiję, więc może przestańmy się wzajemnie drażnić. Tak czy inaczej wyjdę stąd. Jeżeli wyjadę stąd na tylnym siedzeniu radiowozu, to ona nogami do przodu w worku na zwłoki.

- Pieprz się - syknęła McEvoy.

Cookson otworzył oczy w wyrazie udawanego zdziwienia.

- To mówi - mruknął. - Już myślałem, że zapomniałaś, jak to się robi. Musisz mieć we krwi więcej koki niż czerwonych ciałek. - Zaśmiał się, a McEvoy stęknęła, gdy na jej skórze pojawiło się długie na dwa centymetry ociekające krwią nacięcie.

- Wybacz - rzekł Cookson - wypadek...

Thome drgnął, a spojrzenie Cooksona zmusiło go, by znieruchomieć. Wiedział, że następnym razem krwi będzie znacznie więcej.

- Co zrobiłeś z chłopcem, kiedy zabiłeś Carol Gamer? - zapytał Thome. - Czy widział, jak to się stało? - Cookson zmrużył lekko powieki i wyjął wargi, jakby to pytanie zbiło go z tropu. - Czy zmusiłeś tego chłopca, aby patrzył, jak zabijasz jego matkę?

Cookson pokręcił głową i wypuścił powietrze przez zaciśnięte usta. - Wybacz, musisz mi powiedzieć, która to była Carol Gamer.

Thome wiedział, że w obecnej sytuacji żadne z nich trojga nie opuści tego boiska żywe. Na razie zmusił się, by stać w bezruchu, ale w każdej chwili mógł stracić nad sobą panowanie i doprowadzić do sytuacji, kiedy gniew zaślepi go na tyle, że przestanie przejmować się czymkolwiek. Wiedział, że w tej samej chwili gardło McEvoy zostanie rozplątane, a jej krew zbryzga ich obu od stóp do głów, on zaś i Andrew Cookson pozabijają się nawzajem nożem i gołymi pięściami, na tym zimnym, odpychającym asfalcie...

Nagle Thome zwrócił uwagę na buczenie. Ten dźwięk, jak się okazało, płynął z ust McEvoy.

- Przepraszam... przepraszam... przepraszam...

- McEvoy...

Głos Thome'a uruchomił jakiś przełącznik w głowie McEvoy. Słowa popłynęły z jej ust jak rzeka. Pokręciła mocno głową, jakby chciała się od czegoś uwolnić, wyrwać, i równocześnie przeciągnęła szyją po ostrzu noża, raz po raz, szkarłatna struga zalała palce Cooksona.

- Przepraszamprzepraszamprzepraszamprzepraszam!

Thome był pewien, że krzyk, jaki potem się rozległ, wypłynął z jego ust, a przynajmniej rozbrzmiewał w jego głowie, ale skoro tak, to dlaczego Cookson zaczął się nagle obracać? Dlaczego wydawał się tak zaskoczony?

Za rogu głównego budynku wybiegła jakaś postać, krzycząc i wymachując rękami. Thome zamrugał i znów spojrział w tę stronę.

Postać wymachiwała bronią.

Martin Palmer ciężko sunął w ich stronę, a wszystko, co rejestrował Thome, działo się jakby w zwolnionym tempie, choć równocześnie myśli w jego głowie pojawiały się tak szybko, że nie był w stanie wychwycić w nich żadnego sensu.

Cookson odepchnął od siebie McEvoy, upuścił nóż...

McEvoy odwróciła się i wpadła prosto na Palmera.

Cookson wniósł ręce, by osłonić głowę, gdy ponad boiskiem przetoczyło się echo pierwszego wystrzału...

Kiedy Thome ciężko wylądował na ziemi, usłyszał drugi wystrzał i kątem oka spostrzegł, jak McEvoy potyka się i upada. Na ułamek sekundy, zanim zamknął oczy, dostrzegł na twarzy Cooksona wyraz bezbrzeżnego zdumienia, na obliczu Palmera zaś malował się grymas nie do opisania.

Upłynęło zaledwie kilka sekund, ale kiedy Thome otworzył oczy, zrobiło się jakby ciemniej. Zaczął padać deszcz ze śniegiem...

Thome uniósł głowę. Dwadzieścia metrów dalej McEvoy leżała na ziemi. Nie miał pojęcia w co ani jak mocno oberwała. Usłyszał jej jęk, gdy próbowała pomszyć wygiętą pod dziwnym kątem nogą, na której leżała.

Ale przynajmniej wciąż się poruszała.

Thome podniósł się powoli. Ani on, ani Andrew Cookson nie odrywali wzroku od Martina Palmera. A on stał o jakieś dwa metry od nich, z pochyloną głową, dłoń, w której trzymał broń, drżała spazmatycznie.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz, Palmer? - spytał Thome.

Palmer uniósł wzrok. Jego oczy za szklami okularów wydawały się ogromne. Raz po raz uderzał pistoletem o nogę.

- Przepraszam.

Zza pleców Palmera dobiegł krzyk McEvoy. Thome nie był w stanie rozróżnić, czy był to okrzyk bólu, czy wściekłości.

- Przepraszasz? - wrzasnął Thome. - Przykro ci, do kurwy nędzy?

- Jesteś pełen niespodzianek, Martin - rzekł Cookson. - Kiedy każę ci kogoś rozwalić, wpadasz w panikę i idziesz na policję...

Palmer pokręcił głową.

- Zamknij się, Stuart...

Cookson nawet nie zaczerpnął tchu.

- A potem pojawiaasz się, jak gdyby nigdy nic, i założę się, że wpakujesz kulkę co najmniej jednemu gliniarzowi.

McEvoy odwróciła się i wpadła prosto na Palmera.

Cookson wniósł ręce, by osłonić głowę, gdy ponad boiskiem przetoczyło się echo pierwszego wystrzału...

Kiedy Thome ciężko wylądował na ziemi, usłyszał drugi wystrzał i kątem oka spostrzegł, jak McEvoy potyka się i upada. Na ułamek sekundy, zanim zamknął oczy, dostrzegł na twarzy Cooksona wyraz bezbrzeżnego zdumienia, na obliczu Palmera zaś malował się grymas nie do opisania.

Upłynęło zaledwie kilka sekund, ale kiedy Thome otworzył oczy, zrobiło się jakby ciemniej. Zaczął padać deszcz ze śniegiem...

Thome uniósł głowę. Dwadzieścia metrów dalej McEvoy leżała na ziemi. Nie miał pojęcia w co ani jak mocno oberwała. Usłyszał jej jęk, gdy próbowała poruszyć wygiętą pod dziwnym kątem nogą, na której leżała.

Ale przynajmniej wciąż się poruszała.

Thome podniósł się powoli. Ani on, ani Andrew Coókson nie odrywali wzroku od Martina Palmera. A on stał o jakieś dwa metry od nich, z pochyloną głową, dłoń, w której trzymał broń, drżała spazmatycznie.

- Co ty, kurwa, wyprawiasz, Palmer? - spytał Thome.

Palmer uniósł wzrok. Jego oczy za szklami okularów wydawały się ogromne. Raz po raz uderzał pistoletem o nogę.

- Przepraszam.

Zza pleców Palmera dobiegł krzyk McEvoy. Thome nie był w stanie rozróżnić, czy był to okrzyk bólu, czy wściekłości.

- Przepraszasz? - wrzasnął Thome. - Przykro ci, do kurwy nędzy?

- Jesteś pełen niespodzianek, Martin - rzekł Cookson. - Kiedy każę ci kogoś rozwalić, wpadasz w panikę i idziesz na policję...

Palmer pokręcił głową.

- Zamknij się, Stuart...

Cookson nawet nie zaczerpnął tchu.

- A potem pojawiaasz się, jak gdyby nigdy nic, i założę się, że wpakujesz kulkę co najmniej jednemu gliniarzowi.

Palmer uniósł broń i wymierzył w pierś Cooksona.

- Kazałem ci się zamknąć.

- Nie rozmyślnie, rzecz jasna. Myślę, że wiemy, dla kogo były przeznaczone te kule. - Skinął głowę w stronę McEvoy. - Ona po prostu napatoczyła się przypadkiem.

Thome spojrział na Cooksona oddalonego niespełna o dwa kroki i obiecał sobie, że niezależnie, co jeszcze dziś się wydarzy, porachuje mu wszystkie kości.

Z gardła Palmera wydobył się głęboki ryk. Kłykcie jego palców zaciśniętych na kolbie broni zbieleły, palec na spuście drgał nerwowo. Skinął głową raz i drugi. To były drobne gesty. Zmuszał się do działania, przekonywał sam siebie, aby oddać kolejny strzał.

Cookson niezbyt się tym przejął.

- Zawsze musiałem cię jakoś rozdrażnić, prawda? Pamiętasz? Za każdym razem musiałeś się wkurzyć, bo w przeciwnym razie szybko się zniechęcałeś. Co tym razem tak cię poruszyło? Ale konkretnie? - Zadał to pytanie jakby od niechcenia. - Czy chodzi ci o Karen?

Palmer przełknął ślinę. Uniósł lewą rękę i zacisnął palce na przegubie prawej, aby podtrzymać broń.

- Tak, oczywiście, że tak. - Cookson uśmiechnął się. - Tak było. Z naciskiem na „było”, prawda, Martin? Już ci przeszło. Chcesz mnie zabić, ale cokolwiek dodawało ci odwagi, abyś przynajmniej spróbował, przysło. Już tego nie ma, zgadza się? Wypłynęło z ciebie jak rzadkie gówno. I znów jesteś przerażony...

Thome spojrział na McEvoy. Trudno ją było dostrzec. Chmury były coraz ciemniejsze i wisiały coraz niżej. Zrobiło się szaro, światło było brudne, rozrzedzone. Wydawało się, że tę całą scenę oświetlało tysiąc zakurzonych czterdziestowatowych żarówek.

Musiał coś zrobić.

- Idę sprawdzić, co z moją podwładną - powiedział.

Palmer zdawał się go nie słyszeć. Thome postąpił krok naprzód i w tej samej chwili pistolet został wymierzony w niego.

- Nie! - krzyknął Palmer.

Thorne był szczerze zdziwiony.

- W co ty grasz, Martin?

Palmer nie odpowiedział. Wyglądał na zagubionego. Zagubionego, zakłopotanego, zbitego z tropu i celującego z pistoletu w brzuch Thornea.

Thome starał się zachować spokojny, zrównoważony ton.

- Nawet teraz przez cały czas obserwują nas uzbrojeni policjanci. I umieją strzelać trochę lepiej niż ty. Rozumiesz, Martin?

Palmer wolno pokiwał głową.

Thome wiedział doskonale, że nikt ich nie obserwuje, przynajmniej na razie. Gdyby na miejsce dotarła już Gmpa Szybkiego Reagowania, Palmer nie stałby i nie celował do niego z pistoletu. Do tej pory byłby już martwy.

- Rzuć broń i pozwól mi podejść do mojej podwładnej, Martin...

Po prawej stronie Thome a pojawiło się światło. Spojrzał w tę stronę i ujrzał dzieci obserwujące tę scenę z okna sali gimnastycznej.

Deszcz ze śniegiem sypał coraz gęściej.

- Martin? - rzucił Thome.

Cookson wzmszył ramionami.

- Nie ma lekko, Mart...

Thome odwrócił się i z nienawiścią splunął Cooksonowi prosto w twarz.

- Stul ryj, ty cholerna cipo. Zabiję cię, czy to jasne? Ja się nie boję, a już na pewno nie ciebie. Nie obchodzi mnie, co się stanie. Może zastrzelić nas obu, wisi mi to. Ale jeśli choćby piśniesz, zanim to wszystko się skończy, przysięgam, że urwę ci łeb gołymi rękami. Zerwę ci skórę z twarzy, gdybyś chciał zyskać nową, miłą tożsamość...

Twarz Cooksona była pozbawiona wyrazu. Mężczyzna stał w kompletnym bezruchu. Thorne owi wydawało się, że nim wstrząsnął, ale nie był pewien, czy ten bezruch oznacza podjętą przez drapieżnika próbę ratowania skóry, czy raczej milczące przygotowanie do ostatecznego, zdecydowanego ataku.

Palmer przemówił, a myśl w jednej chwili przysła.

- Przykro mi z powodu pana podwładnej. - Mówił ciszej niż zwykle i wydawał się spokojniejszy niż przed paroma minutami. - Muszę panu coś powiedzieć - rzekł. - Zdobyłem ten pistolet od faceta w pubie. Ten pierwszy, znaczy się. - Wymierzył broń w Cooksona. - On to wie, może panu powiedzieć. To pub w Kilbum. Na pewno pan go znajdzie...

Thome patrzył na niego. O czym on bredzi, u licha?

- Nie musimy teraz tego robić, Martin...

- Wziąłem tę spluwę od tego samego faceta. Poszedłem za nim aż z pubu. Ma garaż - dziupłę w Neasden, przy torach, niedaleko stacji metra.

Thome był zakłopotany, ale w jego umyśle trwało gorączkowe łączenie faktów. Neasden, cztery, pięć przystanków metrem od miejsca, gdzie się znajdowali. Góra piętnaście minut. Palmer mógł z łatwością dotrzeć tu szybciej niż on.

- Martin, to nieistotne...

- Proszę, musi pan mnie wysłuchać. Wziąłem tę broń i było tam sporo gotówki...

Cookson parsknął.

- On cię zabije.

- On nie żyje. - Oczy Cooksona rozszerzyły się. Oczy Palmera wychodziły z orbit, gdy odwrócił głowę w stronę Thome a. - Był złym człowiekiem, więc może postąpiłem słusznie.

Zresztą nie miałem wyboru. - Spojrzał na trzymany w rękę pistolet. - Potrzebowałem... tego. I musiałem zatrzymać się gdzieś na pewien czas. Zaszyłem się w tej dziupli. Z trupem. Zaczęło tam nielecho cuchnąć...

Palmer zamrugał powoli, jego powieki przymknęły się, ale nie na tyle, by Thome zdecydował się na niego rzucić...

- Zajmiemy się tym później, Martin. Będzie na to mnóstwo czasu. Tylko rzuć ten pistolet. Musisz się go pozbyć.

Palmer opuścił rękę.

- Dobrze, Martin, ale musisz go puścić. Rzuć broń. Po prostu rozluźnij palce.

Palmer pokręcił głową. Thome wyczuł jakiś ruch po prawej i odwrócił głowę, by ujrzeć, jak dzieci są usuwane sprzed okien sali gimnastycznej. Twarze jedna po drugiej znikają.

Thome zamrugał. Ostatnia twarz przyciśnięta do szyby, rozszerzone oczy pełne powątpiewania, to z pewnością był Charlie Gamer...

Pojawił się jeszcze inny ruch, niewyraźny i ulotny, gdzieś powyżej, na prawo od niego. Thome zorientował się, że w końcu dotarły tu posiłki. Zajmowano pozycje, identyfikowano cele, szykowano broń do strzału. Jedno spojrzenie upewniło go, że Cookson także to dostrzegł.

- Nie chcę, aby pan się bał - rzekł nagle Palmer.

Thome odwrócił wzrok od dachu budynku. Gdy znów popatrzył na Palmera i Cooksona, który stał sztywno, jakby połknął kij, z rękoma opuszczonymi wzdłuż boków, nieznacznie przymrużył powieki.

Wyraz twarzy Palmera wydawał się dziwnie szczery.

- Naprawdę. Nie musi pan się bać.

- Broń palna wzbudza we mnie niepokój, Martin. Wyrzuć ją.

- Wie pan, że strach ma smak? Smakuje jak adrenaliną. To właśnie czujesz w ustach, kiedy się boisz...

Thome zauważył drżenie palców Palmera. Bojąc się zaczerpnąć tchu, patrzył, jak na spuście drży palec wskazujący tamtego. W końcu Palmer oparł palec o obudowę spustu. Czy teraz powinien zaatakować? Rzucić się na niego i spróbować wyrwać mu broń?

- To bardzo dziwny smak. Jakby żuło się w ustach pasek cynfolii. Metaliczny posmak. To przez substancję chemiczną zawartą w adrenalinie...

Palec Palmera zdecydowanie spoczął na obudowie spustu. Teraz już było bezpiecznie.

Musiał to zrobić teraz. Nie był pewien, czy McEvoy jeszcze się ruszała. Wydawała się leżeć bez ruchu od jakiegoś czasu...

- To się nazywa andrenochrom, to wydzielina nadnerczy. Wiedział pan o tym?

Thome pokręcił głową. Nie znał tej nazwy, ale smak znał doskonale.

Kiedy Palmer krzyknął i unióś rękę, Thome zorientował się, co się dzieje. Gdy Palmer wycelował w niego, Thome zrozumiał, o co mu chodziło.

Zorientował się, ale było już za późno.

Kula Strzelca wyborowego przeszła gardło Palmera, zanim ktokolwiek z nich zdołał usłyszeć strzał. Palmer dziwnie wolno osunął się na kolana, a potem już szybciej przewrócił się do przodu na twarz. Thome usłyszał, a może tylko mu się wydawało, że słyszy trzask gruchotanego nosa, kości policzkowych i okularów, kiedy tamten wyrznął twarzą o ziemię.

Thorne rzucił się naprzód, chwytając broń leżącą obok ciała Palmera. Spojrzał na McEvoy. Łudził się...

- Gratulacje, Thome, wciąż żyjesz. - Cookson uśmiechnął się, powoli unosząc ręce. - Życ jest łatwo, prawda? - Za nimi zagrzmiął głos wzmocniony przez megafon. Cookson zrobił krok w tę stronę z uniesionymi rękami. - O wiele trudniej jest czuć, że żyjesz, czyż nie...?

Jednym płynnym ruchem Thome podniósł się i machnął ręką na odlew, uderzając kolbą broni w usta Cooksona. Poczł, jak pękają wargi tamtego. Ujrzał łamiące się zęby i rozbijane dziąsła na chwilę przed tym, jak dłoń się uniosła, by powstrzymać strugę krwi.

Thome usłyszał za sobą tupot stóp. Odwrócił się i zobaczył funkcjonariuszy wpadających przez bramę oraz Dave'a Hollanda pędzącego przez boisko w stronę ciała Sary McEvoy.

30

Mecz był fatalny. Sporo nieudanych podań, przejęć, fauli, głupich błędów. Brakowało już tylko spornych decyzji sędziego i graczy niesłusznie zdjętych z boiska. Gdyby do tego doszło, Thorne uznałby, że opłata za ten miesiąc za dostęp do Sky była w pełni usprawiedliwiona.

Zastanawiał się, czy jego ojciec też ogląda mecz, pokrzykując przed telewizorem, jak gdyby znajdował się na trybunach. Ojciec, który ponad trzydzieści lat temu zabrał go po raz pierwszy na mecz Spurs, jeszcze w czasach Martina Chiversa i Alana Gilzeana. Thome zastanawiał się, jak długo jeszcze ojciec będzie w stanie oglądać mecze i śledzić przebieg gry.

Ten telefon od niego był naprawdę typowy. Próbował uporać się z sytuacją na swój przewidywalny sposób.

- Pamiętasz ten żart, który ci opowiedziałem o facecie, który przyszedł do lekarza?

Thome zaśmiał się.

- Było ich wiele - który?

- Doktor mówi: Nie mam dla pana dobrych wieści. Ma pan raka i alzheimera...

Thorne poczuł nieprzyjemny ucisk w dołku.

- Tato...

- Facet patrzy na lekarza... - Głos w telefonie zaczął lekko się łamać. - Patrzy na lekarza i mówi: Cóż, przynajmniej nie mam raka.

- O czym ty mówisz, tato?

Zapadła długa cisza, zanim ojciec powtórzył puentę i powiedział to, co chciał powiedzieć.

- Przynajmniej nie mam raka, Tom.

Dopiero wtedy Thome pojął, co miał jego ojciec.

Syk otwieranej puszki wyrwał Thome a z zamyślenia. Odwrócił się, by spojrzeć na Hendricksa. Jak zawsze leżał rozciągnięty na kanapie bez butów, tylko w skarpetkach, z podkulonymi nogami.

- Powiedziałeś kiedyś coś ciekawego - rzekł Thome.

- Tylko raz?

- Wspomniałeś, że woń formaliny odstrasza ludzi. Nie sądzisz, że to może mieć raczej związek z twoimi stopami?

- Spadaj - burknął Hendricks.

Sytuacja w zasadzie wróciła do normy.

Niemal miesiąc temu Thome zszedł z boiska szkoły króla Edwarda. Patrzył, jak do karetki wtaczano nosze. Widział nauczycieli tulących w ramionach zapłakane dzieci. I ten wyraz malujący się na twarzy Dave'a Hollanda...

Upłynął prawie miesiąc, odkąd pokonał całą długość tamtego podjazdu, jakby od niechcienia zastanawiając się, co się stało z jego samochodem. I jak długo potrwa, zanim z asfaltu znikną ślady krwi...

Palmer doskonale wiedział, co robi, kiedy w niego wymierzył. Thome powinien był się tego spodziewać dużo wcześniej - kiedy Palmer tak chętnie wyjaśnił mu, skąd wziął ten pistolet. Ostatnia próba, gest dobrej woli przed ostatecznym aktem czystej desperacji.

Czy to zamierzone samobójstwo było przejawem tchórzostwa, czy może odwagi? Thome zastanawiał się, czy Palmer zdecydował się na ten krok z odrazy do samego siebie, czy raczej dlatego, że wiedział, iż w więzieniu długo nie pożyje?

Były wykładowca literatury angielskiej był natomiast ulepiony z innej gliny. Surowszej. I bardziej osobliwej.

Andrew Cookson poradzi sobie wyśmienicie. Zgarniając tantiemy za prawa do książki i filmu na temat popełnionych przez niego zbrodni, z pewnością znajdzie sobie przytulny kącik w Belmarsh albo Broadmoor. Będzie świrem numer jeden w celi. W więzieniu strach odgrywał ważną rolę. W miejscu, gdzie ciężko jest przetrwać każdy kolejny dzień, prawdopodobnie będzie zastraszał złodziei i gwałcicieli z równą łatwością jak wcześniej Martina Palmera.

Palmer mięczak, podszyty tchórzem od małego, który w całym swoim życiu dokonał tylko jednego odważnego i tragicznego w skutkach czynu.

Słowa przemowy, które układały mu się w głowie przez cały ten dzień, były bliskie prawdy i zbliżone do tych, które padły w rzeczywistości.

Wszystkim, którzy z nią pracowali, niezależnie od rangi, będzie brakować jej oddania i poczucia humoru...

Twarze Lionela i Rebeki McEvoyów dołączyły do Roberta i Mary Enrightów, Rosemary Vincent i Lesiego Bowlesa. Uchwycone w sepia portrety tych, którzy dożyli dnia, kiedy musieli pochować własne dzieci.

Leslie Bowles ujął to najlepiej i najprościej.

„To się nigdy nie skończy, nigdy”.

- Nawiasem mówiąc - rzekł Hendricks - gdyby zadzwonił Brendan, to mnie tu nie ma...

Thorne odwrócił się i spojrzał na wybitny okaz rozciągnięty na kanapie i szczerze, pełne wyrazu oblicze mężczyzny, który przeprowadził sekcję zwłok Sary McEvoy.

I który później zdołał w jakiś sposób zawieruszyć raport toksykologiczny.

- Ee... nie ma mnie. Gdyby zadzwonił. Jasne?

- Chyba szykuje się kolejny kolczyk - mruknął Thome. - Co tym razem?

Hendricks opuścił stopy na podłogę i usiadł.

- Pamiętasz, jak mówiłem ci, że on może być zniesmaczony tym, co robię? Wyobraź sobie jednak, że to mu się właśnie podoba.

- No i?

- No i to mnie coraz bardziej zaczyna niepokoić...

- Trudno cię zadowolić.

- Mnie? A co powiesz o sobie?

Thorne wstał i poczłapał do kuchni po następne piwa.

- Dziękuję, u mnie wszystko gra.

Hendricks uśmiechnął się, ponownie wyciągnął na kanapie i splótł dłonie za głowę.

- Taa, no jasne. W sumie czemu by nie. Masz fantastycznego kumpla, browar i Spurs wygrali jeden zero na wyjeździe. Czegóż można chcieć więcej, prawda?

Thorne był odwrócony do Hendricksa plecami i ten nie mógł zobaczyć, czy na twarzy przyjaciela gościł uśmiech, kiedy rzucił krótko:

- No właśnie...

Dyer Close 23 Kings Heath Birmingham B14 3EX West Midlands

28 lutego 2002

Szanowny Inspektorze Thorne, Wiem, że minęło trochę czasu, odkąd obiecałem poinformować Pana o dalszych wypadkach, ale sporo się dzieje i od dnia, kiedy doszło do aresztowania, przeżywaliśmy naprawdę trudne chwile.

Przykro nam z powodu detektyw sierżant McEvoy. Musiała być w tym samym wieku co Carol. Proszę przekazać jej rodzinie wyrazy współczucia w naszym imieniu.

Charlie zaczyna dochodzić do siebie. Zadomowił się już w przedszkolu i sypia o wiele lepiej. Psycholog dziecięcy jest z niego zadowolony. Moja żona uważa, że chciałby Pan o tym wiedzieć.

Tak naprawdę piszę ten list jako spóźnione podziękowanie za zestaw małego majsterkowicza, który przysłał Pan Charliemu na Gwiazdkę. To było bardzo trafne.

Chyba nie ma Pan nam za złe, że nie zdradziliśmy, że to prezent od Pana. On zresztą już chyba Pana nie pamięta, toteż uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli powiemy, że to prezent od nas. Jestem pewien, że Pan to zrozumie.

Robert Enright

Z poważaniem,

„MARK BILLINGHAM UMIEJETNIE ŁĄCZY SOCZYŚCIE NAKREŚLONE POSTACIE Z WCIĄGAJĄCĄ, DAJĄCĄ DO MYŚLENIA AKCJĄ I DYLEMATAMI CODZIENNEGO ŻYCIA”. GEORGE P. PELECANOS

KOKON

Psychopata z premedytacją wywołuje u porwanej kobiety udar, który prowadzi do syndromu zamknięcia. Ofiara zostaje wprowadzona w stan uśpienia - umysł i zmysły pozostają nienaruszone, jednak nie może się ona ruszać ani komunikować. Zwyrrodnialec wciąga nieustraszonego inspektora Thorne'a w zabawę w kotka i myszkę, ujawniając swoje sadystyczne obsesje.

Mark Billingham należy do czołówki brytyjskich autorów powieści kryminalnych. Od kilku lat kryminały o inspektorze Tomie Thornie zdobywają najbardziej prestiżowe nagrody. Każdy z nich trafia na najwyższe miejsca listy bestsellerów „Sunday Timesa”.